

CZARNA SERIA



LEIF GW
PERSSON

UMIERAJĄCY DETEKTYW



LEIF GW
PERSSON

UMIERAJĄCY DETEKTYW

Przekład Dominika Górecka

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2012

Tytuł oryginału

DEN DÖENDE DETEKTIVEN

Redakcja

Krystyna Podhajska

Korekta

Małgorzata Dedys

Weronika Girys-Czarowiec

Projekt okładki

Magda Kuc

Skład

Dariusz Piskulak

Copyright © Leif GW Persson 2010

Published by agreement with Salomonsson Agency

Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna
Owca, 2012

Wydanie I

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

e-mail: wydawnictwo@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. (22) 616 29 36

faks (22) 433 51 51

Zapraszamy do naszego sklepu internetowego:

www.czarnaowca.pl

ISBN 978-83-7554-335-3

Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o.

virtualo.eu

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

I

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

II

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[III](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Rozdział 55](#)

[Rozdział 56](#)

[Rozdział 57](#)

[Rozdział 58](#)

[Rozdział 59](#)

[Rozdział 60](#)

[Rozdział 61](#)

[Rozdział 62](#)

[IV](#)

[Rozdział 63](#)

[Rozdział 64](#)

[Rozdział 65](#)

[Rozdział 66](#)

[Rozdział 67](#)

[Rozdział 68](#)

[Rozdział 69](#)

[Rozdział 70](#)

[Rozdział 71](#)

[Rozdział 72](#)

[Rozdział 73](#)

[Rozdział 74](#)

[Rozdział 75](#)

[Rozdział 76](#)

[Rozdział 77](#)

[Rozdział 78](#)

[Rozdział 79](#)

[Rozdział 80](#)

[Rozdział 81](#)

[Rozdział 82](#)

[Rozdział 83](#)

[Rozdział 84](#)

[Rozdział 85](#)

[Rozdział 86](#)

[V](#)

[Rozdział 87](#)

[Rozdział 88](#)

[Rozdział 89](#)

[Rozdział 90](#)

[Rozdział 91](#)

[Rozdział 92](#)

[Rozdział 93](#)

[Rozdział 94](#)

[Rozdział 95](#)

[Rozdział 96](#)

[Rozdział 97](#)

[VI](#)

[Przypisy](#)

I

Oko za oko...
Księga Wyjścia 21:24

Rozdział 1

Poniedziałek, 5 lipca 2010 roku, wieczorem

Na Karlbergsvägen 66 w Sztokholmie stoi Günters, budka z najlepszymi w Szwecji kiełbaskami. Otoczona solidnymi kilkupiętrowymi kamienicami z początku ubiegłego stulecia, murowanymi starannie, cegła po cegle, o tynkowanych fasadach, z wykuszami i staroświeckimi szczeblinowymi oknami. Przed kamienicami rozległe trawniki, wzdłuż ulic drzewa obficie pokryte liśćmi, przynajmniej o tej porze roku. Przy wejściach i na klatkach schodowych budynków często widać marmur, dekoracyjny fryz pod sufitem, sztukaterię, czasem ozdobną lamperię. Dębowe listwy, futryny i drzwi. Wszystko tu emanuje bogactwem i spokojem.

Zaletą Güntersa jest również dobra lokalizacja: na rogatkach najpiękniejszej stolicy świata. Załedwie kilkaset metrów na południe od zamku Karlberg i szpitala uniwersyteckiego Karolinska, niedaleko dwóch dużych tras wylotowych z północnej części śródmieścia.

Tego dnia Lars Martin Johansson, były szef Komendy Głównej Policji, właściwie powinien być w swoim letnim domu w Roslagen. Rano musiał jednak podjechać do miasta na spotkanie w banku, żeby dopełnić formalności związanych z leśnym interesem, który ubił ze swoim najstarszym bratem.

Gdy już to załatwił, przypomniały mu się jak zwykle kolejne sprawy o bardziej lub mniej prywatnym charakterze,

którymi z powodzeniem mógł się zająć od ręki. Lista zadań szybko się wydłużyła i kiedy nadszedł czas, by wracać do żony i letniej oazy spokoju na Rådmansö, zbliżała się ósma, a Johansson był głodny jak wilk.

Zaledwie kilkaset metrów przed wjazdem na Roslagstull, z którego wyjeżdżało się dalej na północ, głód zwyciężył. Johansson zorientował się, że za nic nie wytrzyma godziny za kółkiem, skoro już teraz jego żołądek ryczał, domagając się jedzenia. Nie ma rady, trzeba podjechać do budki z najlepszymi w Szwecji kiełbaskami po solidnie doprawioną jugosłowiańską *bratwurst* z kiszonym ogórkiem z Wysp Alandzkich, kiszoną kapustą i musztardą z Dijon. Albo cygańską *wurst* pachnącą świeżo zmielonym pieprzem, papryką i cebulą. A może Johansson powinien pozostać wierny swoim norrlandzkim korzeniom i zjeść lekko wędzoną kiełbaskę z łosia z domowej roboty ziemniaczanym purée Güntersa?

Pograżony w tych przyjemnych rozważaniach zaparkował zaledwie kilka metrów od budki, zaraz za jednym z radiowozów policji sztokholmskiej. Podobnie jak on wjechał przednimi kołami na chodnik. Wygodnie dla kierowcy i dla jadących samochodów, choć nie do końca zgodnie z przepisami. Od trzech lat był na policyjnej emeryturze, ale niektóre przyzwyczajenia nabyte w ciągu prawie pięćdziesięciu lat służby tkwiły w nim głęboko.

Ciepły i słoneczny początek lipca, wieczór równie ciepły jak mijający dzień. Wyjątkowo nieodpowiedni czas na kiełbasę.

To mogło tłumaczyć, dlaczego kolejka przed budką składała się wyłącznie z czterech jego młodszych kolegów z grupy szybkiego reagowania. Byłych kolegów, jeśli chodzi o ścisłość. Poznali go. Ukłonili się, uśmiechnęli, a dowódca zasalutował do krótko ostrzyżonej głowy, choć czapkę policyjną miał zatknęta za pasek.

- Co słysząc, chłopcy? - zapytał Johansson, który powziął decyzję, gdy tylko poczuł pierwsze niebiańskie zapachy. Kiełbaska z łosia musi poczekać do jesieni. Zapach dymu, pełny smak i norrländzka flegma... Z całym szacunkiem, ale wieczór taki jak ten zasługiwał na coś mocniejszego. Choć może niezbyt mocnego, nie prosto z południowych Bałkanów. Wystarczą papryka, cebula, pieprz, grubo mielona i lekko solona wieprzowina. Przy tej pogodzie i w takim nastroju trudno sobie wyobrazić coś lepszego.

- Jest spokój, pomyśleliśmy, że podjedziemy naładować baterie, zanim znów się zacznie - odpowiedział dowódca. - Prosimy przodem, szefie, nam się nie spieszy.

- Jestem na emeryturze - powiedział z jakiegoś powodu Johansson. - A na was czeka robota. Kto by miał siłę ganiać za łobuzami z pustym żołądkiem?

- Jeszcze się nie zdecydowaliśmy. - Dowódca grupy kiwnął głową z uśmiechem. - Więc spokojnie.

- Skoro tak - powiedział Johansson i zwrócił się w stronę okienka. - Cygana z kiszoną kapustą i francuską musztardą. I coś zimnego do picia. Może być woda z bąbelkami. Ta co zawsze.

Kiwnął ponagłajaco głową w stronę najniższego rangą

pomocnika. Młody talent o imieniu Rudy był z pochodzenia Austriakiem, podobnie jak nieżyjący już od blisko dziesięciu lat Günter. Niemal wszyscy pracownicy budki pochodzili z ojczyzny jej założyciela. Sebastian, najbliższy przyjaciel Güntera, który przejął interes jeszcze przed jego śmiercią, Udo, który pracował tu od wielu lat, Katja, która wpadała tylko czasami. I jeszcze ktoś, kogo imienia nie pamiętał. Jako ostatni dołączył Rudy. Johansson znał ich wszystkich, a i oni znali go od wielu setek kiełbas. Gdy Rudy realizował jego zamówienie, Johansson oddał się pogawędce z kolegami. Byłymi kolegami, jeśli chodzi o ścisłość.

- W tym roku mija czterdzieści sześć lat, od kiedy zacząłem pracę w prewencji w Sztokholmie - powiedział Johansson. - Albo czterdzieści siedem. Zresztą, czy to ważne?

- Nosiliście wtedy szable? - Najmłodszy z załogi uśmiechnął się szeroko.

- Uważaj, chłopcze - powiedział Johansson. Miły dzieciak - pomyślał.

- A potem była dochodzeniówka - stwierdził przełożony młodego talentu, który najwyraźniej dobrze znał historię Johanssona.

- Czyli wiesz. Piętnaście lat - potwierdził.

- Razem z Jarnebringiem - wtrącił inny.

- Nie inaczej. Wiecie wszystko o starej gwardii.

- Pracowałem tam. Jarnis, Bosse, był moim szefem. Najlepszym, jakiego miałem - dodał z jakiegoś powodu.

- Do bułki czy woli szef na tacce? - wtrącił Rudy, unosząc

świeżo zdjętą z grilla kiełbasę.

- Tak jak zawsze - powiedział Johansson. - Weź bułkę, wyrwij środek, włóż kiełbasę, kapustę i musztardę. - Aż tak trudno zapamiętać? - pomyślał.

- Na czym to skończyliśmy? - zapytał głośno i skinął w stronę kolegi, którego szefem był jego najlepszy przyjaciel.

- Jarnebring, Bo Jarnebring.

- Właśnie - powiedział Johansson, przesadnie akcentując, jak ktoś, kto stracił wątek. - Właśnie, Jarnebring. Też jest na emeryturze, przeszedł rok temu, w wieku sześćdziesięciu pięciu lat. Poza tym wie dzie mu się doskonale. Spotykamy się regularnie i opowiadamy sobie bajki z przeszłości.

- Niech go szef pozdrowi od Patrika Åkessona, Pe-dwa. Było nas w grupie dwóch Patrików, a ja dołączyłem jako drugi, więc Jarnis dał mi ksywę, żeby nie było nieporozumień.

- To w jego stylu - powiedział Johansson. Skinął głową, wziął resztę, kiełbasę i wodę mineralną. Ponownie skinął głową, głównie dlatego, że nie miał nic więcej do powiedzenia.

- Uważajcie na siebie, chłopcy - dodał. - Słyszałem, że od moich czasów trochę się tu zmieniło.

W odpowiedzi wszyscy kiwnęli głowami, nagle spoważnieli, a ich przełożony kolejny raz oddał honory, dotykając dłonią krótko ostrzyżonej głowy.

Za moich czasów wyleciałbyś za to, że salutujesz do gołej głowy - pomyślał Johansson, z trudem gramoląc się do samochodu. Wcisnął butelkę w uchwyt między siedzeniami

i przełożył bułkę z lewej ręki do prawej. W tej samej chwili ktoś musiał wbić mu kolec w kark. Żadnego ćmienia zapowiadającego zwykłą migrenę, tylko ostry, rozdzierający ból, który nagle przeszył cały tył głowy. Odgłosy ulicy stały się niewyraźne, niezrozumiałe i umilkły. Przed oczami pojawiła się ciemność: najpierw prawe oko, potem lewe, jakby ktoś zaciągał roletę, która zacięła się na trzech czwartych wysokości. Zdrętwiałe ramię i zastygłe, sztywne palce. Upuszczona między fotele kiełbasa.

Potem już tylko ciemność, cisza.

Rozdział 2

**Od poniedziałku, 5 lipca 2010 roku, wieczorem, do
środy, 7 lipca 2010 roku, po południu**

Lars Martin Johansson leży nieprzytomny. Krótco po północy, gdy tylko jego stan się ustabilizował, przeniesiono go z intensywnej terapii na neurochirurgię. Niedaleko, na wypadek gdyby doszło do komplikacji i trzeba go było operować.

W mitologii greckiej bogiem snu jest Hypnos, bliźniaczy brat Tanatosa, boga śmierci. Obaj są synami Nyks, bogini nocy. Żadne z nich, nawet Nyks, nie jest bogiem Johanssona, bo Johansson leży nieprzytomny. Co prawda, czysto fizjologicznie reaguje na światło, gdy którejś z postaci w białym kitlu przyjdzie do głowy podnieść mu powieki i poświecić w oczy, ale ponieważ nie jest tego świadomy, to wszystko mu jedno.

Hypnos nie jest bogiem Johanssona, bo on przecież nie śpi i z całą pewnością nie ma snów, które by go dręczyły lub które mogłyby zmniejszyć jego udrękę. Do snów potrzeba osób i zdarzeń, a jeśli ich nie ma, wystarczą nierozumne zwierzęta lub martwe przedmioty, choćby zielona podrywka, nawet jeśli jest w złym kolorze, albo sanki, na których zjeżdżało się w dzieciństwie. Tak czy inaczej, sny wymagają świadomości, w której mogą znaleźć punkt zaczepienia, a tej Johanssonowi

brakuje.

Również Tanatos nie ma nad nim władzy. Bo przecież Johansson żyje, oddycha, a jego serce bije samodzielnie. Nieważne, że potrzebuje środków wspomagających, które pozwalają ustabilizować tętno, obniżyć ciśnienie, rozrzedzić krew, które koją jego ból, usypiają go i uspokajają. Wszystkich tych igieł, przewodów, wężyków i rurek, które wbito w jego ciało lub do niego doczepiono. Mimo to żyje i jeśli akurat przebywa u Nyks, w nocy i ciemnościach, to wszystko mu jedno, bo nie jest tego świadomy. Może to i dobrze, bo Nyks nie jest szczególnie miłą kobietą, nawet jak na postać mitologiczną. Jest boginią zemsty, a któż prawy mógłby żywić urazę do Larsa Martina Johanssona?

Możliwe, że najbliższy jest mu jednak Hypnos, w czasach antyku przedstawiany zwykle jako młody mężczyzna z makówkami w dłoni. Samo to dowodzi, że starożytni Grecy pojmowali rzeczy, na których zrozumienie medycyna i międzynarodowa przestępczość narkotykowa potrzebowały kolejnych paru tysiącleci. I gdyby Johansson miał świadomość tego, co sący się do jego żył, z pewnością pokiwałby twierdząco głową. Nieważne. Johansson leży nieprzytomny. Nie umarł, nie śpi, z całą pewnością nie śni, o tym, żeby przytaknął, nie ma nawet mowy, a to, czy jest jasno, czy ciemno, nie robi mu różnicy.

Rozdział 3

Środa, 7 lipca 2010 roku, po południu

Zaczyna się od ćmiącego bólu z tyłu głowy i percepcji światła. Nie wiadomo, kiedy i dlaczego, Johansson nagle się budzi. Spostrzega, że leży w łóżku. Musiał zasnąć na prawym ramieniu, bo całkiem zdrętwiało. Palce ma sztywne i nie może zacisnąć prawej dłoni. Przy jego łóżku siedzi kobieta w białym kitlu. Ma krótko ścięte jasne włosy. Do kieszeni na piersi włożyła stetoskop, żeby jeszcze bardziej podkreślić, kim jest.

Co się, kurwa, dzieje? – myśli Johansson. – Co się dzieje? – mówi do kobiety w białym kitlu.

– Nazywam się Ulrika Stenholm – odpowiada kobieta, przechylając lekko głowę. – Jestem zastępcą ordynatora tu, w szpitalu Karolinska. Trafiłeś na mój oddział. Na początek chciałabym spytać, czy pamiętasz, jak się nazywasz.

Uśmiecha się i kiwa przyjaźnie głową, pochyła ją do przodu, jakby chciała złagodzić pytanie.

– Jak się nazywam? – pyta Johansson. Co się, kurwa, dzieje? – myśli ponownie.

– Jak się nazywasz? Pamiętasz?

– Johansson – odpowiada Johansson. – Nazywam się Johansson.

– A dalej? – znowu kiwnięcie, kolejny przyjazny uśmiech. Kobieta przechyla głowę na drugą stronę, widać nie ma

zamiaru się poddać.

- Johansson. Lars Martin Johansson - odpowiada Johansson. - Jak chcesz mnie zapytać o numer osobisty, prawo jazdy mam w portfelu. Noszę go zwykle w lewej kieszeni spodni. Co się stało?

Tym razem kobieta przy jego łóżku uśmiecha się znacznie szerzej.

- Leżysz na oddziale neurologii szpitala Karolinska - odpowiada. - W poniedziałek wieczorem miałeś udar mózgu i trafiłeś tutaj. - Jej głowa znów zmienia pozycję... Krótko ostrzyżone blond włosy, długa szczupła szyja bez cienia zmarszczek.

- Jaki dziś dzień? - pyta Johansson. Nawet o dobę nie przekroczyła czterdziestki - przychodzi mu na myśl z jakiegoś powodu.

- Dziś jest środa, godzina piąta po południu, a ty trafiłeś do nas niecałe dwie doby temu.

- Gdzie jest Pia? Moja żona. - Nagle przypomina mu się, że siedział w samochodzie, i czuje silny lęk, którego nie rozumie.

- Pia jest w drodze. Wszystko z nią w porządku. Rozmawiałam z nią piętnaście minut temu i powiedziałam, że się wybudzasz, więc już tu jedzie. - Doktor Stenholm kiwa głową dwa razy. Jakby chciała podkreślić to, co powiedziała.

- Czyli że wszystko z nią w porządku? Pamiętam, że prowadziłem samochód - wyjaśnia Johansson. Silny lęk niewiadomego pochodzenia ustępuje.

- W samochodzie byłeś tylko ty. Twoja żona była w domu

na wsi, zadzwoniliśmy do niej, gdy tylko trafiłeś na oddział ratunkowy. Od tego czasu nie odstępowała cię ani na krok. Jak już mówiłam, wszystko z nią w porządku.

- Powiedz, co się dzieje? To znaczy, co się stało?

- Pod warunkiem że czujesz się na siłach. - Kolejne skinięcie głową, a na twarzy powaga i wyczekiwanie.

- Powiedz. Czuję się doskonale. W życiu się tak nie czułem. Czuję się jak pączek w maśle - dodaje na wszelki wypadek. Co się, kurwa, tak naprawdę dzieje - myśli, bo nagle robi mu się dziwnie wesoło.

- Chyba zasnąłem na ramieniu - dodaje, choć zaczyna do niego docierać, dlaczego nie może go nawet podnieść z kołdry.

- Jeszcze do tego dojdziemy - odpowiada lekarka. - Później o tym porozmawiamy. Nie martw się. Jeśli będziemy ze sobą współpracować, ty i ja, jestem pewna, że z twoim ramieniem będzie wszystko w porządku.

Rozdział 4

Od poniedziałku, 5 lipca 2010 roku, wieczorem, do środy, 7 lipca 2010 roku, po południu

To kierowca radiowozu pierwszy zauważył, że z Johanssonem coś się stało. Gdy wysiadł, żeby rozprostować nogi, zobaczył głowę Johanssona opartą nieruchomo o kierownicę, a gdy otworzył drzwi jego samochodu, żeby sprawdzić, co się dzieje, nieprzytomny Johansson osunął się bezwładnie i byłby uderzył głową o jezdnię, gdyby kolega nie chwycił go za ramię.

Potem poszło szybko. Usłyszeli, że karetka będzie dopiero za pięć minut, co w praktyce należało pomnożyć przez dwa. A ponieważ dowódca grupy nie miał zamiaru pozwolić, żeby z tego powodu umarła mu na rękach jedna z legend szwedzkiej policji, wnieśli po prostu Johanssona do radiowozu, położyli na podłodze, włączyli silnik, niebieskie światło i syrenę i pognali w kierunku szpitala Karolinska. Nie było to do końca zgodne z przepisami, ale chodziło przecież o kolegę, który znalazł się w opałach. Procedury formalne i regulacje mieli w tym momencie w tyłku.

Oddział ratunkowy Karolinska był oddalony o niecały kilometr w linii prostej. Pojechali, trzymając się jej możliwie blisko, i już po dwóch minutach hamowali przed jego drzwiami. Wejście Johanssona do szpitala było równie brawurowe jak życie, którym żył, a które teraz z niego

uchodziło. Nieprzytomny, otoczony przez policjantów z grupy szybkiego reagowania i personel medyczny, został przeniesiony na noszach na oddział intensywnej terapii. Ominął kolejkę zwykłych pacjentów, którzy, siedząc lub leżąc, udręczeni niewyjaśnionym bólem w klatce piersiowej, z połamanymi rękoma, ze zwichniętymi kolanami, z zapaleniem ucha, z alergią lub ze zwykłymi przeziębieniami, czekali na pomoc.

Potem wszystko odbyło się zgodnie z procedurą i cztery godziny później niebezpieczeństwo zostało zażegnane, ogólna diagnoza postawiona, a pacjent przeniesiony na neurochirurgię.

- Rozmawiałam ze swoim kolegą, który miał dyżur w poniedziałek wieczorem - mówi pani doktor. - I jeszcze z jednym z twoich kolegów, który cię przywiózł. Zrobiliście tu niezły raban. Szkoda, że tego nie widziałeś. - Kiwnięcie głową, lekki uśmiech. Tym razem nie przechyliła głowy.

- Raban?

- Ktoś musiał cię rozpoznać, chyba pomyślał, że zostałeś postrzelony w brzuch.

- Postrzelony? W brzuch?

- Całą koszulę miałeś umazaną kapustą i musztardą. No i jeszcze ci wszyscy policjanci. Ktoś pomyślał, że wyszły ci na wierzch jelita. - Widocznie ją to rozśmieszyło.

- Słodki Jezu! - powiedział Johansson. Co też ludziom potrafi przyjść do głowy? - pomyślał.

- Wygląda na to, że straciłeś przytomność przed tą budką z kiełbaskami na Karlbergsvägen. Jeszcze zanim zdążyłeś

w siebie wpakować całe to świństwo. Kiszona kapusta, musztarda, smażone białe pieczywo, tłusta grillowana kiełbasa, i co tam jeszcze.

O czym ona mówi? - pomyślał Johansson. Chyba o Güntersie. Rzeczywiście, zatrzymał się przy Güntersie, budce z najlepszymi w Szwecji kiełbaskami. Rozmawiał z młodszymi kolegami. Przypomniało mu się. Tak daleko potrafił sięgnąć pamięcią.

- Jeden z moich kolegów zmarł, stojąc tam w kolejce. Na zawał serca. Jadł te kiełbaski, chociaż był lekarzem.

Przechylona głowa, poważna mina.

- Kiszona kapusta - oburzył się Johansson. - To już nawet kiszonej kapusty nie wolno? - Przecież jest cholernie zdrowa - pomyślał.

- Chodziło mi raczej o kiełbasę.

- Słuchaj - powiedział Johansson, bo nagle naszła go złość i poczuł silny ból głowy. - Uczepiłaś się tej kiełbasy, a gdyby nie ona, toby mnie tu nie było.

Tym razem tylko kiwnięcie i zmiana kąta nachylenia głowy. Bez ani jednego słowa.

- Gdybym nie zatrzymał się na tę kiełbasę, siedziałbym za kółkiem w drodze na wieś i szlag by mnie trafił. - W najgorszym razie nie tylko mnie - dodał w myślach.

- Później o tym porozmawiamy - odpowiedziała, pochyliła się do przodu i poklepała go po ramieniu, które nie zdrętwiało, tylko zwyczajnie przestało działać.

- Nie masz czasem lusterka? - zapytał Johansson.

Widać nie pierwszy raz usłyszała takie pytanie. Kiwnęła

głową, wsunęła rękę do kieszeni białego kitla, wyjęła lusterko i położyła je na jego wyciągniętej lewej dłoni.

Fatalnie wyglądasz, Larsie Martinie – pomyślał Johansson. Wydawało się, że cała jego twarz zjechała w dół, wargi zwisały bezwładnie, a pod oczami wykwitły liczne siniaki, niebieskoczarne kropki nie większe od główki szpilki.

- Sine plamki – zauważył Johansson.

- Wybroczyny – odpowiedziała, kiwając głową. – Fakt, na jakąś minutę zatrzymał ci się oddech, ale potem przywrócił ci go jeden z twoich kolegów. Zanim trafił do policji, pracował jako kierowca karetki. Wykwalifikowany ratownik medyczny. Rzeczywiście miałeś szczęście, że stało się to tam, gdzie się stało.

- Fatalnie wyglądam – powiedział Johansson. Ale żyję – pomyślał. Czego nie można powiedzieć o wszystkich ludziach z takimi plamami pod oczami, których widział.

- Chyba przyszła twoja żona – powiedziała lekarka. – Zostawię cię, żebyście mogli spokojnie porozmawiać. Zajrzę jeszcze przed spaniem.

- Wiesz co?

Pokręciła głową.

- Wyglądasz jak wiewiórka – powiedział Johansson. Co ja wygaduję? – pomyślał.

- Wiewiórka?

- Później o tym porozmawiamy – obiecał Johansson.

Rozdział 5

Środa, 7 lipca 2010 roku, po południu

Pia podeszła prosto do łóżka. Uśmiechnęła się do niego, ale jej oczy nie były uśmiechnięte. Chciała usiąść na krześle i przypadkowo je przewróciła. Odsunęła je nogą, pochyliła się i przytuliła go. Z całych sił, przyciskając jego głowę do swoich piersi. Ukołysała go, jakby był małym dzieckiem.

- Lars, Lars - szepnęła. - Coś ty nabroił.

- Nic takiego - powiedział Johansson. - Zrobił mi się w głowie jakiś badziew.

Nagle poczuł ucisk w gardle, z oczu popłynęły mu łzy. Przecież nigdy nie płakał. Tylko kiedy był dzieckiem. I jeszcze na pogrzebie matki kilka lat temu i wcześniej, na pogrzebie ojca, ale wtedy wszyscy płakali. Nawet najstarszy brat Johanssona tarł oczy i chował twarz w dłoniach. Ale poza tym nigdy. Aż do teraz, choć nie potrafił zrozumieć, co się stało. Przecież żyjesz - pomyślał. Czego, kurwa, ryczysz?

Wziął głęboki oddech. Pogłaskał Pię po plecach zdrową ręką. Objął ją i przycisnął do siebie.

- Podaj mi, proszę, chusteczkę - powiedział. Co się, kurwa, dzieje? - pomyślał. Potem znów był sobą. Kilka razy wydmuchał porządnie nos, przytrzymał jej rękę, gdy próbowała otrzeć mu łzy, i przeciągnął wierzchem jej dłoni po swojej twarzy. Spróbował się uśmiechnąć swoimi obwisłymi wargami. Ból głowy nagle ustąpił.

- Pia, maleństwo - powiedział Johansson. - Już dobrze. Czuję się jak pączek w maśle, rybko. Niedługo zatańczę.

Dopiero teraz się uśmiechnęła. Siedziała na krześle, pochylona, a jej oczy i usta się uśmiechały.

- Wiesz co - powiedział Johansson. - Posunę się trochę, żebyś mogła się obok mnie położyć.

Pokręciła głową. Ścisnęła go za zdrową rękę i pogłaskała po tej, która nie zdrętwiała, choć tak mu się zdawało.

Potem wyszła, a że jeszcze nigdy tak bardzo nie potrzebował samotności, przed wyjściem musiała mu przyrzec, że pojedzie do ich mieszkania w mieście, porozmawia ze wszystkimi, którzy niepotrzebnie się zamartwiali, postara się porządnie wyspać i wróci dopiero po południu następnego dnia.

- Gdy już skończą ze mną białe kitle - wyjaśnił Johansson.

- Żebyśmy mogli porozmawiać w spokoju.

- Obiecuję - powiedziała Pia. Pochyliła się nad nim, ujęła go za kark, choć to zwykle on tak robił, pocałowała. Kiwnęła głową, poszła.

Żyjesz - pomyślał Lars Martin Johansson. I choć ból głowy wrócił, zrobiło mu się nagle wesoło. Nie potrafił jednak zrozumieć dlaczego.

Potem zasnął. Ból głowy zelżał, ktoś dotknął jego ramienia. Jakaś kobieta, która nawet o dzień nie przekroczyła trzydziestki. Pokazała głową tacę stojącą obok jego łóżka. Jej ciemne oczy i wydatne usta uśmiechnęły się do niego.

- Jak chcesz, mogę ci pomóc - powiedziała.

- Nie trzeba - powiedział Johansson. - Dam sobie radę. Tylko podaj mi łyżkę.

Wróciła pół godziny później. Przez ten czas Johansson zdążył spróbować gotowanej ryby - dwie łyżki, białego sosu - pół łyżki, kremu z rabarbaru - trzy łyżki. Wypił też całą szklankę wody.

Gdy stanęła nad nim, udał, że śpi, i chyba nawet z powodzeniem, bo nagle zobaczył Güntersa, budkę z najlepszymi w Szwecji kiełbaskami, i poczuł boskie zapachy, które dosięgały go zwykle kilka metrów przed okienkiem.

Potem zjawiała się kolejna ubrana na biało młoda kobieta, żeby opróżnić jego kaczkę, a on obiecał sobie, że następnym razem pójdzie do toalety. Jak każdy normalny człowiek. Nawet jeśli miałyby to zrobić, skacząc na swojej jedynej zdrowej ręce.

Potem odwiedziła go jego osobista wiewiórka.

- Zapytam wprost - oświadczył Johansson. - Ile masz lat?
- zapytał głównie po to, żeby uprzedzić ewentualną pogadankę na temat jego nawyków żywieniowych i wiejskiego stanu zdrowia.

- Czterdzieści cztery - powiedziała. - A dlaczego pytasz?

- Ulriko Stenholm - powiedział Johansson. - Przysięgam, jak tu leżę. Nie ma takiego, co by uwierzył, że choć o jeden dzień przekroczyłaś czterdziestkę. O wiewiórce porozmawiamy innym razem.

I zasnął.

Z początku sen był niespokojny. Znow rozboleła go głowa, ale potem do akcji najwidoczniej wkroczył Hypnos. Jak przez mgłę pamiętał, że ktoś podszedł do jego łóżka i poruszył jeden z wielu przewodów, prowadzący do kroplówki nad jego głową. Ból nagle ustąpił, a on zaczął śnić.

Cudowne sny. Sny potrafiące ukoić więcej niż zwykły ból głowy. Śniły mu się wiewiórki, które zastrzelił, gdy był jeszcze małym chłopcem i mieszkał z mamą Elną i tatą Evertem w gospodarstwie w północnym Ångermanlandzie. Wszystko zaczęło się od starego wuja Gustafa, który siedząc na ławie u nich w kuchni, użalał się na swój reumatyzm i mówił, że pomoc może mu tylko porządna kamizelka z wiewiórczej skóry, noszona futerkiem do środka.

- Jeśli wuj chce, mogę się o taką dla wuja postarać - powiedział Lars Martin Johansson z taboretu przy skrzyni na drewno. Był wtedy o dwie trzecie mniejszy od reszty domowników.

- Bardzo to uprzejme z twojej strony, Larsie Martinie - powiedział wuj. - Możesz sobie pożyczyć moją strzelbę, żebyś nie musiał się użerać z tą wiatrówką, którą dostałeś od ojca na święta.

- Zgoda - rzekł ojciec Evert. - Chłopak strzela w śmiesznie, więc niech tak będzie. Daj mu strzelbę, a on już się postara o kamizelkę dla ciebie.

I tak to się zaczęło z wiewiórkami na jawie i we śnie: od propozycji wuja, na którą przystał ojciec. Minęło sześćdziesiąt lat, zanim Johansson spotkał Ulrikę Stenholm, docent neurologii, dzięki której powróciły wspomnienia

z dzieciństwa. Lat czterdzieści cztery, choć wyglądała, jakby nawet o dzień nie przekroczyła czterdziestki.

Rozdział 6

Noc ze środy, 7 lipca 2010 roku, na czwartek, 8 lipca 2010 roku

Johanssonowi śnią się wszystkie zastrzelone wiewiórki. Śni mu się kamizelka z wiewiórczego futra, którą w ciągu roku udało mu się wystrzelać dla starego wuja Gustafa. Co prawda, musiał kombinować ze skórkami letnimi i zimowymi, ale mama Elna, której przypadła rola kuśnierza, powiedziała, że różna jakość skórek nie przeszkadza. Jej zdaniem wystarczy, jeśli skórki zimowe pokryją plecy i inne bolące miejsca.

Na wiewiórkę potrzebował mniej niż minutę. W ciągu roku zastrzelił jakieś pięćdziesiąt sztuk. Potrzebował tyłu, bo wuj, podobnie jak pozostali mężczyźni w rodzinie, miał szerokie plecy i potężną klatkę piersiową.

Małe, lśniące, czarne oczy, główki, które kiwały się i obracały, gdy zwierzątka przeskakiwały między sosnami, biegały w górę i w dół po pniach. Wiewiórki potrafiły zatrzymać się w połowie drogi z głową skierowaną do góry lub do dołu, odwracały się i kręciły główką, patrząc na wszystko i na wszystkich, nawet na niego. Ciekawskie, żywe, czujne oczka, czarne jak ziarnka pieprzu. Gdy już miał wiewiórkę na muszce i chciał pociągnąć za spust, zastygała z przekrzywioną główką. Wtedy strzelał. Ledwie słyszalny dźwięk i kolejna zdobycz dołączała do kolekcji.

Bardzo często zwierzątko zaczepiało gdzieś o gałęzie. Jako chłopiec zwykle ściągał je za pomocą brzozonej albo topolowej witki. Gdy dorósł, a jego ramiona zrobiły się niemal tak samo szerokie jak u najstarszego brata, Everta, wspinał się po pniu i ściągał wiewiórki ręką. Bez najmniejszego wysiłku. Gdy sosny zimą robiły się zmarznięte i śliskie, gdy pokrywały je poduszki śniegu i lodu, pomagał sobie sznurem, którym przewiązywał się w pasie, i finką trzymaną w prawej dłoni.

Któregoś dnia po prostu przestał do nich strzelać. Małe główki, ruszające się bezustannie, czarne oczy, które się na nim zatrzymywały w chwili, gdy naciskał spust. Jakby nie rozumiały, że to, co widzą, to śmierć. Ciekawiła je tak samo jak wszystko inne. Łącznie tylko kilka minut naciskania spustu, żeby zabić ich setki. I setki godzin spędzone na przyglądaniu się im.

Dużo później, w innym życiu, Lars Martin spotkał Ulrikę Stenholm. Neurologa ze szpitala Karolinska z krótko ściętymi jasnymi włosami, gładką szyją, bez brązowego futra i puszystego ogona. Byłaby zupełnie niepodobna do wiewiórki, gdyby nie sposób, w jaki przechylała głowę, kiedy na niego patrzyła.

Mniej więcej wtedy się obudził. Spróbował podnieść ramię z pościeli – bez skutku. Leżało wciąż nieruchome, choć on się ruszał. Larsowi chciało się pić, ale gdy sięgnął po szklanekę z wodą, przewróciła się, a gdy chciał zadzwonić po nocną pielęgniarkę, upuścił pilota.

– Co jest, do cholery! – wrzasnął na całe gardło.

Po chwili zjawiała się pielęgniarka, podała mu szklanke wody, poklepała go po prawym ramieniu, choć leżało nieruchome, i pokręciła coś przy jednej z kroplówek. Potem znów zasnął. Tym razem nic mu się nie śniło.

Rozdział 7

Od czwartku, 8 lipca 2010 roku, do wtorku, 13 lipca 2010 roku

W czwartek poszedł do toalety. Co prawda, z pomocą asystenta i o lasce z gumową stopką, ale na podstawiony wózek tylko pokręcił głową, podobnie jak na balkonik. Wysiusiał się całkiem sam. Pomimo kroplówki, zwisającego bezwładnie prawego ramienia, niestabilnej prawej nogi i obolałej głowy. Poczuł się tak szczęśliwy, że zebrało mu się na płacz. Ale bez łez.

- Przestań jęczeć - mruknął na głos do siebie. - Przecież wracasz do zdrowia.

Trudno, żeby było inaczej, bo jego przypadek jest wyzwaniem dla współczesnej sztuki lekarskiej. W ciągu kolejnych dni łóżko z Johanssonem wędruje z oddziału na oddział, Johansson jest podnoszony i kładziony, kłuty igłami, zakładają mu nowe kable, przewody, węże i rurki, pobierają kolejne próbki krwi, znowu jest prześwietlany, przypinany do gładkiego blatu, na którym jeździ tam i z powrotem przez szeroką, szumiącą rurę. Badają go pod wszystkimi możliwymi kątami i ze wszystkich stron. Świecą mu w oczy, uciskają go, zginają, uginają i wykręcają mu ramiona i nogi, pukają go w kolana metalowym młoteczkim, by po chwili przejechać trzonkiem tego młoteczka po spodzie stóp albo

pokłuć go małymi igłami we wszystkich możliwych miejscach i na dobrą sprawę przez cały czas.

Spotyka się z rehabilitantką, która pokazuje mu najprostsze ćwiczenia wprowadzające. Zapewnia go, że „już wkrótce przywrócimy” – celowo akcentując ostatnią sylabę – czucie, mobilność i siłę w prawej ręce, a prawa noga będzie sprawna jak dawniej. Jego twarz już wraca do swojego dawnego kształtu. Trochę sama z siebie, trochę dzięki czarom. Rehabilitantka przynosi mu kilka broszur do czytania i czerwoną gumową piłeczkę do ściskania w prawej dłoni. I jeśli Johansson nie ma w tej chwili żadnych pytań, to nie szkodzi, bo jutro znów się spotkają.

Ulrika Stenholm wyjechała na urlop. Tylko na kilka dni, więc o to też nie musi się martwić. Przez ten czas będą się nim zajmować jej koledzy. Młodszy stażysta z Pakistanu i tleniona cycata blondynka w średnim wieku, która przyjechała z Polski i praktycznie przez całe życie była chirurgiem mózgu. Żadne z nich nie jest ani trochę podobne do wiewiórki.

Pia odwiedza Johanssona codziennie. Gdyby to ona mogła decydować, najchętniej przeprowadziłaby się do jego pokoju, ale Johansson się nie zgodził. Wizyta raz dziennie w zupełności wystarczy. Gdyby miało się zdarzyć coś, co zmieniłoby ten porządek, z pewnością dowie się o tym jako pierwsza. Johansson unika również konsekwentnie wszelkich pytań dotyczących stanu zdrowia – z każdym dniem jest lepiej. Nie ma o czym gadać, już niedługo wszystko będzie

jak dawniej.

A tak na marginesie, jak ona się czuje? Musi mu obiecać, że będzie na siebie uważać. Mogłaby mu przynieść komórkę, laptop i tę książkę, którą zaczął czytać, zanim tu trafił. Nie pamięta tytułu, ale leży na stoliku nocnym w domu letnim. Pia robi to, o co ją prosi. Książka, którą przeczytał zapewne do połowy, bo tam tkwi zakładka, leży nietknięta. Johansson nie ma pojęcia, o czym jest. Nie ma siły zaczynać lektury od początku. Nie teraz, może potem, gdy znów będzie sobą.

W weekend odwiedzają go dzieci, najpierw córka z zięciem, potem syn z synową. Wnuki zostały w domu, nawet nie musiał nic mówić. Przekazały jednak liściki i prezenty.

Najstarsza wnuczka, siedemnastoletnia, która wiosną skończy liceum, napisała długi list, w którym prosi „najlepszego dziadka pod słońcem”, żeby przestał się stresować, uspokoił się i odprężył, „wrzucił na luz” i „wziął na wstrzymanie”. Na wszelki wypadek do listu dołączyła książkę o medytacji i skopiowaną płytę z muzyką relaksacyjną.

Jej młodsza siostra przekazała mu rysunek - Johansson leży w łóżku otoczony białymi kitlami i z głową owiniętą bandażem. Mimo to wygląda na zadowolonego, nawet macha ręką, a wnuczka życzy mu: „Dziadku kuruj się szybko”.

O dwa lata młodszy od niej brat cioteczny zaśpiewał mu coś przez telefon swoim delikatnym głosem i podzielił się „połową” wydzielanych mu w sobotę łakoci. Banany z pianki i żelkowe ludziki ze śladami dziecięcych palców oddane były

najwyraźniej z wahaniem. Z kolei o dwa lata młodszy od niego bracia bliźniacy zmieścili się wyjątkowo na jednej kartce, obrysowali swoje stopy i narysowali coś, co prawdopodobnie było słońcem.

Ukochany mąż, ojciec i dziadek przede wszystkim życzył sobie, żeby wszyscy dali mu święty spokój. Nie chciał, żeby oglądali go w takim stanie. Nie chciał patrzeć w ich pełne niepokoju oczy.

Wszystkich innych wizyt bliższych i dalszych znajomych Pia zakazała. Jarnebring dzwoni w związku z tym w zasadzie bez przerwy, starszy brat co rano i co wieczór i chce z nim rozmawiać o interesach, dzwoni też cała reszta rodziny, przyjaciół, znajomych i dawnych kolegów, którzy domagają się bieżących raportów o stanie chorego.

- Musi ci być ciężko, mała - mówi Johansson, poklepując żonę po ręce. - Ale to już niedługo. Poproszę ich, żeby mnie wypuścili w poniedziałek, zaraz po weekendzie.

- Później o tym porozmawiamy - mówi Pia ze słabym uśmiechem.

Ponieważ już wcześniej słyszał taką odpowiedź, domyśla się, że raczej nie będzie to najbliższy poniedziałek.

Mimo wszystko coraz z nim lepiej. Liczba przewodów, wężyków, kabli i igieł zmniejszyła się o połowę. Coraz rzadziej boli go głowa. Prawie wszystkie lekarstwa dostaje w postaci kolorowych tabletek, starannie odliczonych i podzielonych na porcje w plastikowych kubeczkach. Połyka je samodzielnie i popija wodą. W poniedziałek dostaje osobistą apteczkę od pielęgniarki oddziałowej. To ważne,

żeby nauczył się sam brać lekarstwa. Im szybciej wyrobi sobie odpowiednie nawyki, tym lepiej.

Jeszcze tego samego wieczoru Johansson pokazuje apteczkę żonie. Małe pudełko z czerwonego plastiku z siedmioma wąskimi przezroczystymi szufladkami. Łącznie dwadzieścia osiem małych przegródek na rano, południe, wieczór i noc przez siedem dni w tygodniu. Wypełnione po brzegi małe przegródki, łącznie kilkanaście tabletek dziennie.

- Co tam medale i emerytura, nie ma jak porządna apteczka - stwierdza Johansson z krzywym uśmiechem, który teraz przychodzi mu zupełnie naturalnie.

- No tak - mówi Pia. - Za zasługi. - Uśmiechają się jej usta i oczy. Wydaje się równie szczęśliwa, jak za pierwszym razem, gdy się do niego uśmiechnęła. Dziękuję, że mam cię z powrotem - myśli.

Rozdział 8

Środa, 14 lipca 2010 roku, przed południem

W środę przed południem spotkał Ulrikę Stenholm, która tym razem miała przy sobie zapisany gęsto notatnik.

- Wyrok - powiedział Johansson, pokazując głową na notatnik.

- Pod warunkiem że czujesz się na siłach.

- Słucham - powiedział Johansson i znów go dopadło. Nagłe, obezwładniające, całkowicie niewytłumaczalne uczucie. Tym razem podekscytowanie.

Doktor Stenholm wyjaśniała wszystko po kolei nauczycielskim tonem. Johanssonowi zrobił się zator w lewej półkuli mózgu, który doprowadził do „częściowego prawostronnego paraliżu”. Zator między innymi „ograniczył sprawność” jego prawego ramienia i zmniejszył czucie w prawej nodze, jej mobilność i siłę. Ponieważ oddech zatrzymał się mniej więcej na minutę, ustały również funkcje oddechowe, nie znaleziono jednak żadnych trwałych uszkodzeń.

- Chwilowe zatrzymanie oddechu nie należy do rzadkości i może być wywołane przez wiele czynników - wytłumaczyła Ulrika Stenholm.

- Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego trafiło akurat na mnie - powiedział Johansson. - Z głową było u mnie zawsze

w porządku. Nie brałem nawet tabletek przeciwbólowych. - Prostata też działała bez zarzutu - pomyślał, ale że nie było to jej zmartwienie, uwagę tę zachował dla siebie.

- Nie w tym rzecz - powiedziała doktor Stenholm. - Problemem jest twoje serce.

- Moje serce - powtórzył Johansson. O czym ona, kurwa, mówi? - pomyślał. Fakt, czasem przy dużym wysiłku brakowało mu tchu, czuł lekki ucisk w piersiach, nieraz kołatanie serca albo zawroty głowy, gdy zbyt szybko wstał, ale kto by robił z tego problem. Przechodziło po kilku głębokich wdechach i krótkiej poobiedniej drzemce.

- Twoje serce nie jest, niestety, w najlepszym stanie - przechyliła lekko głowę i skinęła dwukrotnie dla podkreślenia wagi tego, co powiedziała.

- Czyli że ten zator w głowie to tylko jakiś cholerny bonus - powiedział Johansson.

- Tak, można tak to nazwać - uśmiechnęła się. - Zaraz ci wszystko wytłumaczę - dodała po chwili.

Nieźła lista - pomyślał Johansson, gdy już skończyła. Migotanie przedsionków, zaburzenia rytmu, powiększone serce, powiększona tętnica, serce, które bije zbyt szybko lub zbyt nierówno, i jeszcze coś, o czym już zdążył zapomnieć, a wszystko przez to, że jadł za dużo i niezdrowo, za mało się ruszał, miał poważną nadwagę, za bardzo się stresował, miał za wysokie ciśnienie i naprawdę fatalny cholesterol.

- W całej tej historii rolę czarnych charakterów odgrywiają przedsionki. Ich migotanie powoduje, że ciałka krwi się zlepiają, tworząc skrzep - wytłumaczyła, a jej mina

sugerowała, że w jego piersiach czaił się niejeden czarny charakter.

- Co masz z tym zamiar zrobić? - zapytał Johansson. Ani myślał się poddawać. Miał w pamięci wszystkie te składki na ubezpieczenie zdrowotne, które odprowadzał w czasie swego długiego i pracowitego życia, gdy okradały go rzesze symulantów oraz ich łatwowiernych lekarzy.

- Lekarstwa - powiedziała. - Takie, co obniżą ciśnienie, rozrzedzą krew, zbiją cholesterol. Już je zresztą bierzesz. Ale za całą resztę odpowiadasz ty.

- Mam schudnąć, mniej jeść, przestać się stresować, zacząć się ruszać - powiedział Johansson. Żebyś już nie musiała gadać - pomyślał. Żegnajcie, kielbaski!

- Sam widzisz - powiedziała doktor Stenholm z uśmiechem. - Wszystko już wiesz. Musisz tylko zacząć dbać o siebie. I tyle.

- A gwiazdkę z nieba dostanę? - zapytał Johansson, któremu już dawno nie było tak wesoło. Co jest? - pomyślał.

- Mówię serio - powiedziała Ulrika Stenholm. Nie wyglądała, jakby jej było do śmiechu. - Jeśli nie zmienisz trybu życia, a musisz go zmienić radykalnie, umrzesz. Jeśli nie będziesz brać lekarstw albo będziesz to robić nieregularnie, obawiam się, że przyspieszysz swoją śmierć.

- Ten zator, który zrobił mi się w głowie, to był tylko taki bonus. Bo moje serce nagle zaczęło migotać i podskakiwać.

- To było ostrzeżenie - powiedziała. - I tak ci się udało. Mam tu pacjentów, którzy dostali ostrzeżenie znacznie poważniejsze. Podejrzewam, że twoje problemy z sercem

ciągną się od lat. Czy twój lekarz nic ci o tym nie mówił? – spojrzała na niego pytająco.

– Co roku chodzę do lekarza. Za każdym razem osłuchuje mi serce i co tam jeszcze znajdzie – wyjaśnił. – Nie ma do mnie żadnych uwag. Nigdy nic nie mówił.

– Nigdy nic nie mówił?

– Nie – powiedział Johansson. – Tylko żebym trochę zwolnił. Żadnych lekarstw, nic z tych rzeczy.

– Dziwny ten twój lekarz.

– Bynajmniej. Od lat chodzimy razem na polowania. Na łosie, w moich rodzinnych stronach. Pochodzi z sąsiedniej wioski. Jego ojciec był weterynarzem w Kramfors. On sam studiował medycynę w Umeå. Bada mnie zawsze, gdy przyjeżdżam na polowanie we wrześniu.

– Przepraszam, jeśli się powtarzam, ale czy nigdy nie powiedział ci nic na temat twojego serca?

– Nigdy. – Johansson miał dosyć tego zrzędzenia. – Ostatnim razem nawet pogratulował mi zdrowia. Powiedział, że mi zazdrości. Że muszę być szczęśliwym człowiekiem.

– Pogratulował? Niby czego?

No dobra – pomyślał Johansson. Czas już skończyć tę dyskusję.

– Ptaszka i prostaty – powiedział. – Cytuję: „Gdybym miał twojego ptaszka i twoją prostatę, tobym nie narzekał”. Jest urologiem, więc wie, o czym mówi. W ciągu swojego życia widział kilometry siusiaków. – Sama się o to prosiłaś – pomyślał.

Doktor Stenholm pokręciła z politowaniem jasną głową.

Chyba ją to rozzłościło.

- Może chciałabyś jeszcze o coś zapytać? - dodał z niewinną miną.

- Czy chciałabym o coś zapytać? A niby o co? - wciąż była zła.

- O to z wiewiórką - powiedział Johansson. - Jeśli masz siłę słuchać - nagły przypływ złości jakoś mu minął.

Opowiedział jej o wszystkich tych wiewiórkach, które zastrzelił, gdy był małym chłopcem. O tym, jak ruszały głową. O setkach godzin, które spędził, obserwując je z ukrycia. Zapewnił ją, że niewtajemniczonemu obserwatorowi w żadnym wypadku nie przypomina wiewiórki.

- To pewnie jakiś rodzaj tik. - Ulrika Stenholm kiwnęła głową jakby na potwierdzenie tego, co przed chwilą powiedziała. Była jakby weselsza. Uśmiechała się, nie przechylając przy tym głowy. - Jest coś jeszcze - powiedziała. - Tym razem nie chodzi jednak o ciebie. Raczej o twoją pracę. Twoją dawną pracę - podkreśliła. - Pomyślałam, że skoro już rozmawiamy w cztery oczy... Mam pytanie.

Johansson skinął głową.

- Pod warunkiem że masz siłę. To dosyć długa historia.

- Słucham - powiedział Johansson i tak to się zaczęło. To znaczy dla Larsa Martina Johanssona. Bo dla wszystkich innych zamieszanych w tę historię zaczęło się dużo wcześniej.

Rozdział 9

Środa, 14 lipca 2010 roku, przed południem

Długa historia. Z długim wstępem. I licznymi wątpliwościami z nią związanymi. Za to ona miała tylko jedno pytanie: Czy pamiętał zabójstwo Yasmine Ermegan? Miała tylko dziewięć lat, gdy została zgwałcona i uduszona.

Najpierw wstęp, stanowczo zbyt długi i zbyt chaotyczny, zwłaszcza jak na gust Johanssona.

Ulrika Stenholm miała starszą o trzy lata siostrę Annę, która pracowała jako oskarżyciel, a Lars Martin Johansson był jej idolem. Ulrika słyszała o nim niezliczone historie.

- Pracowała dla ciebie przez kilka lat w czasach, gdy byłeś szefem Säpo. Twierdziła, że potrafiła zobaczyć, co dzieje się za rogiem. To znaczy, że nie musiałeś w tym celu wystawiać głowy.

- Na tym to polega - powiedział Johansson. Za kogo go miała. Ale siostry nie pamiętał. Zresztą, co znaczy „szef”. Owszem, był dyrektorem operacyjnym. Nie jakimś tam urzędasem od papierkowej roboty.

- Nasz ojciec był duchownym, nazywał się Åke Stenholm.
- Był proboszczem parafii Bromma - mówiła dalej. - Właściwie chodzi o niego. Zmarł zimą, tuż przed świętami. Miał osiemdziesiąt pięć lat, chorował na raka. Wtedy był, oczywiście, na emeryturze. Przeszedł na emeryturę w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku. To znaczy

w wieku sześćdziesięciu pięciu lat.

Aha - pomyślał Johansson i poczuł, jak wszystko się w nim gotuje. A mi co do tego?

- Chyba nie mówię wprost - powiedziała Ulrika Stenholm i przechyliła nerwowo głowę. - Postaram się przejść do rzeczy. Mój ojciec powiedział mi na sam koniec, dosłownie kilka dni przed śmiercią, że było coś, co od wielu lat nie dawało mu spokoju. Jedna z parafianek powiedziała mu w czasie spowiedzi, że wie, kto zamordował pewną dziewczynkę. Nazywała się Yasmine Ermegan. Miała dziewięć lat, gdy to się zdarzyło, i również mieszkała na terenie parafii Bromma. Ale ta kobieta wymogła na nim, by przysiągł, że nikomu nie powie, a ponieważ było to w czasie spowiedzi, miała do tego prawo. Jak pewnie wiesz, księży obowiązuje tajemnica spowiedzi. Bezwarunkowa i nieuwzględniająca odstępstw, nie taka jak ta, która obowiązuje lekarzy. To go naprawdę męczyło, szczególnie że nigdy nie zatrzymano sprawcy.

Co za wyjątkowo zawiła historia - pomyślał Johansson. Nasilający się ból głowy jeszcze wszystko pogarszał.

- To, nad czym się zastanawiam, znaczy to, do czego zmie...

- Daj mi długopis i kartkę - przerwał jej Johansson i pstryknął ponagląco palcami lewej ręki. A na co ci one, kurwa? - pomyślał, a myśl ta pojawiła się wyjątkowo szybko. - Zaczekaj - powiedział. - Lepiej, żebyś ty pisała. Pisz. Weź nową kartkę. Jak nazywała się ofiara? Ta dziewięciolatka, która mieszkała na terenie parafii twojego ojca.

- Yasmine Ermegan.

- Pisz - powiedział Johansson. Pisz tak. Ofiara, dwukropek. Yasmine Ermegan, lat dziewięć, zamieszkała na terenie parafii Bromma.

Ulrika Stenholm kiwnęła głową i zapisała. Skończyła, podniosła wzrok, kiwnęła głową.

- Kiedy to się niby zdarzyło? - zapytał. Raczej nie ostatnio - pomyślał.

- W czerwcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego. Przed kilkoma tygodniami pisały o tym wszystkie gazety. Był duży artykuł w związku z tym, że minęło już dwadzieścia pięć lat.

- Zaczekaj - przerwał jej Johansson. - Którego czerwca? Którego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku? - dodał dla pewności. Najbardziej chaotyczny informator, z jakim się spotkałem - pomyślał Johansson. Nie ułatwiał sprawy ten przeklęty ból głowy ani to, że był emerytem i pacjentem w jednej osobie i że zabroniono mu się stresować. Dlaczego zatem kłął teraz jak szewc nie tylko wtedy, gdy zostawał sam? I dlaczego wszyscy doprowadzali go do szału, wszyscy z wyjątkiem Pii?

- Zniknęła wieczorem czternastego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego, w piątek. Tydzień później, w noc świętojańską, znaleziono ją martwą. Została zgwałcona i uduszona. Znaleźli ją dwudziestego pierwszego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego. Morderca zakopał ją w lesie w okolicach Sigtuny. Włożył ją do takich okropnych czarnych worków na śmieci.

- Zaczekaj - powiedział Johansson. - Jaki dziś dzień? - miał w głowie kompletną pustkę.

- Środa - powiedziała Ulrika Stenholm. - Dziś jest środa.

- Nie - powiedział Johansson. - Chodzi mi o datę. Którego dziś mamy? - Co się, kurwa, dzieje z moją głową? - pomyślał.

- Czternasty lipca. Środa czternastego lipca dwa tysiące dziesiątego roku.

- Ile to będzie? Od dnia, w którym ją znaleźli.

- Dwadzieścia pięć lat i trzy tygodnie, licząc szybko. Dwadzieścia pięć lat i dwadzieścia trzy dni.

- W takim razie sprawa uległa przedawnieniu - stwierdził Johansson i wzruszył ramionami. A raczej prawie mu się udało wzruszyć ramionami. - W tej sytuacji nawet ja tu nic nie wskóram. Ten, który to zrobił, może udawać, że nic się nie stało, a tacy jak ja nie mogą z nim o tym nawet rozmawiać.

- Ale przecież ten przepis został zniesiony, ten o przedawnieniu. Wiosną przegłosowano to w sejmie. Teraz przedawnienie nie obejmuje morderstw. Dajmy na to zabójstwo Olofa Palmego. Nigdy się nie przedawni.

- Posłuchaj no - powiedział Johansson. Ta to się dopiero uwzięła - pomyślał. - Zasada przedawnienia morderstw i innych przestępstw podlegających karze dożywocia została zniesiona pierwszego lipca tego roku - tłumaczył na głos. - Decyzja sejmu rzeczywiście zapadła wiosną, ale zmienione prawo weszło w życie dopiero pierwszego lipca. Morderstw, które uległy przedawnieniu przed pierwszym lipca, ta zmiana nie obejmuje. Są zamknięte na amen. Możesz zapytać swoją

siostrę oskarżycielkę, jeśli mi nie wierzysz. - Naiwna - pomyślał.

- No a Palme?

- Jako że Palme został zamordowany w lutym tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku, ta zbrodnia nie była przedawniona pierwszego lipca tego roku i w związku z tym podlega zmianie prawa. Nigdy nie ulegnie przedawnieniu. Yasmine, o której mówisz, została natomiast zamordowana w czerwcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego, więc sprawa była już przedawniona, zanim nowe prawo weszło w życie. Chyba widzisz różnicę.

- Przecież to straszne. Załóżmy, że znajdujecie mordercę. Załóżmy, że któryś z twoich kolegów znajduje człowieka, który zamordował Yasmine. Załóżmy, że znajdujecie go dzisiaj. Musicie puścić go wolno? Nic nie możecie zrobić?

- Nic a nic. - Johansson kiwnął głową. - Nic a nic - powtórzył dla pewności, bo wyglądało na to, że zagadnienia natury prawnej nie były jej mocną stroną.

- Przecież to naprawdę straszne - powtórzyła Ulrika Stenholm. - Pomimo tego całego DNA i tego wszystkiego, czym dzisiaj dysponujecie.

- Fatalne - powiedział Johansson, który nie wiedzieć czemu nagle tryskał humorem.

- Okropne - zgodziła się Ulrika Stenholm.

- Tak. I wiesz, co jest jeszcze gorsze?

- Nie. - Pokręciła jasną głową.

- Że ten zator nie zrobił mi się pół roku wcześniej. Co za

bezczelność z mojej strony. Mielibyśmy wtedy czas na rozwiązanie tej sprawy, ty i ja. To znaczy, zanim uległa przedawnieniu. Albo gdybyś wcześniej porozmawiała z którymś z moich kolegów. Albo gdyby zrobił to twój ojciec proboszcz. Albo gdyby ten, kto zamordował Yasmine, był tak miły i poczekał kilka tygodni, nim odebrał życie temu biedactwu.

- Wybacz - powiedziała Ulrika Stenholm i wyglądało, że mówi to, co myśli. - Niepotrzebnie cię męczę...

- Daj spokój. Ten informator, ta kobieta, która rozmawiała z twoim ojcem, ta, która wiedziała, kto zamordował Yasmine...

- Taaak...

- Jak się nazywała? Ta kobieta.

- Nie wiem, tego mi nie powiedział. Nie mógł. Tę obowiązywała przecież tajemnica spowiedzi.

- Niech to szlag - powiedział Johansson. Co ona, do licha, wygaduje - pomyślał.

- Kiedy powiedziała o tym twojemu ojcu? - pytał dalej. - Ta informatorka.

- Z tego, co mówił, zrozumiałam, że było to co najmniej rok po zabójstwie Yasmine. Raczej nie po lecie osiemdziesiątego dziewiątego, bo wtedy ojciec zdążył już przejść na emeryturę. Że była starszą kobietą należącą do jego parafii, dopowiedziałam sobie sama. Również to, że powiedziała mu o tym, gdy była ciężko chora, i że stało się to w trakcie spowiedzi.

- Ale nie wiesz, jak się nazywa. To znaczy ta kobieta.

Może się domyślasz?

- Nie, nie domyślam się.

- Skąd w takim razie wiesz, że mówiła prawdę? Może miała nierówno pod sufitem. Albo chciała zwrócić na siebie uwagę. To się często zdarza, przecież wiesz.

- Mój ojciec jej uwierzył. Był naprawdę mądrym i rozważnym człowiekiem. Zresztą niejedno w życiu słyszał i nie dało się go łatwo oszukać.

- Czy twój ojciec powiedział, że ona powiedziała, kto to zrobił?

- Nie. Tego nie powiedział. W każdym razie nie mnie.

- I nie powiedziała mężowi albo synowi ani nikomu z rodziny, sąsiadowi, koledze z pracy? Komuś, kogo znała? Nie powiedziała nic, co by w jakikolwiek sposób o tym świadczyło?

- Nie. Ale jestem prawie pewna, że powiedziała o tym mojemu ojcu. To znaczy, że powiedziała, kto to zrobił.

- A skąd o tym wiedziała? Że zrobiła to właśnie ta osoba.

- Nie wiem. Wiem tylko, że ojciec jej wierzył i że to nie dawało mu spokoju, zwłaszcza pod koniec życia.

- Dobra, dobra - powiedział Johansson. - Powiedz lepiej, w jakich okolicznościach opowiedział ci o tym ojciec. - Zacznijmy od początku - pomyślał. - Od twojego początku.

Były pastor parafii Bromma, Åke Stenholm, zmarł na raka w wieku osiemdziesięciu pięciu lat na początku grudnia ubiegłego roku. Przez ostatnie dni Ulrika nie odstępowała go w zasadzie na krok. Jego żona, matka Ulriki, nie żyła już od dziesięciu lat, a stosunki między nim a jego starszą córką

były napięte. Od kilku lat nawet ze sobą nie rozmawiali. Ulrika była jedyną bliską mu osobą. Ukochaną córką.

Pod koniec życia głównie spał. Przyjmował silne leki przeciwbólowe. Dwa dni przed śmiercią na kilka godzin wróciła mu jednak świadomość i właśnie wtedy jej powiedział.

- Zaczął od tego, że celowo nie wziął tego dnia tabletek. Że chciał mieć jasno we łbie. Właśnie tak to ujął: „Jasno we łbie”, żeby móc ze mną porozmawiać.

- Aha - powiedział Johansson. - To wszystko?

- Tak - potwierdziła Ulrika Stenholm. - Zdaję sobie sprawę, że nie masz zbyt wielu punktów zaczepienia. Nawet gdyby ta sprawa nie była przedawniona.

- Bzdura - powiedział Johansson. - Powinnaś wiedzieć, Ulriko, że jeśli masz do rozwiązania zagadkę morderstwa, musisz brać, co ci dają. Nie możesz użalać się nad tym, że to za trudne i że za mało wiesz. Żaden prawdziwy policjant nie zawraca sobie tym głowy. Bierz, co ci dają.

- No tak, ale zbyt wielu...

- Skończ już - przerwał jej Johansson. - Podsumujmy lepiej, co wiemy. Pisz.

Ulrika Stenholm kiwnęła głową, miała przygotowany zeszyt i długopis.

- W grudniu zeszłego roku, krótko przed śmiercią, twój ojciec mówi ci o tym, co usłyszał od jednej ze starych parafianek. Powiedziała mu to jakieś dwadzieścia lat wcześniej, kilka lat po zabójstwie Yasmine, gdy sama była śmiertelnie chora. Powołała się na tajemnicę spowiedzi.

Dobrze zrozumiałem? – Tajemnica spowiedzi. Poczuj wagę tych słów – pomyślał Johansson.

– Tak – potwierdziła Ulrika Stenholm.

– Nic więcej nie pamiętasz?

– Nie.

– Nie to nie. Bierz, co ci dają. Zapamiętaj to sobie.

– Zdążyłam zapamiętać – powiedziała Ulrika Stenholm. – Ale przyszło mi coś do głowy. Już wtedy, gdy zobaczyłam cię po raz pierwszy. Następnego dnia po tym, jak przyjęliśmy cię na oddział.

– Słucham.

– Ta historia nie dawała spokoju mojemu ojcu. Mnie też nie. Zwłaszcza ostatnio, gdy rozpisywały się o niej gazety. I nagle zjawiasz się ty...

– I?

– Mój ojciec był człowiekiem głębokiej wiary.

– Całkiem praktycznie, zważywszy na to, że był księdzem – powiedział Johansson.

– Ja też, choć może nie wierzę tak głęboko jak on. Wiesz, co powiedziałby ojciec?

– Nie – powiedział Johansson. Skąd mam niby, kurwa, wiedzieć – pomyślał.

– Zawsze to mówił, gdy działo się coś dziwnego. Dziwne zbiegi okoliczności, których nie dało się wytłumaczyć. Dotyczyło to zarówno dobrych, jak i złych rzeczy.

– Wciąż słucham – powiedział Johansson.

– Mówił wtedy, że nieznane są ścieżki Pana – powiedziała Ulrika Stenholm.

- Wybacz - powiedział Johansson. - Dla mnie to brzmi jak czyste bluźnierstwo. - Znowu coś poczuł. Nagła ekscytacja. Ból głowy zniknął, jak ręką odjął.

- Co masz na myśli?

- To, że nasz Pan przysłałby ci byłego policjanta, nieprzytomnego i z zatorem w główce, żeby pomóc w uporządkowaniu sprawy zabójstwa sprzed dwudziestu pięciu lat. Które na dodatek się przedawniło, ponieważ wydarzyło się kilka tygodni za wcześnie, żeby podlegać nowemu prawu. - Co dodało całej sprawie pieprzu - pomyślał Johansson.

Głowa doktor nauk medycznych i docent neurologii Ulriki Stenholm, lat czterdzieści cztery, choć wyglądała, jakby nawet o jeden dzień nie przekroczyła czterdziestki, nawet nie drgnęła.

- Nieznane są ścieżki Pana - powtórzyła.

- Problem w tym, że ja już nie widzę, co jest za rogiem - powiedział Johansson. - Ledwo widzę na oczy. Wielu rzeczy nie pamiętam. Niedawno potrzebowałem godziny, żeby sobie przypomnieć, jak ma na imię moja synowa. Zalewa mnie krew, w ciągu sekundy robię się smutny lub wesoły, wszystko naraz, choć nie wiem dlaczego. Gadam od rzeczy i klnę jak szewc. Nawet nie pamiętam zabójstwa, o którym mówisz, tej małej Yasmine. Nawet jak przez mgłę, mówię szczerze.

- Wszystko przez to, co ci się przytrafiło - powiedziała Ulrika Stenholm. - Tak się dzieje ze wszystkimi w podobnej sytuacji. Wiesz...

Johansson pokręcił głową.

- Skoro już mówimy o tobie. Założę się, że z tego wyjdiesz.

- A ręka? - powiedział Johansson. Kuj żelazo, póki gorące - pomyślał.

- Ręka też - powiedziała doktor Stenholm i skinęła głową.

Potem wstała, kiwnęła głową i poklepała go po jego zdrowym ramieniu.

- Uważaj na siebie - powiedziała. - Widzimy się jutro.

Przypomniawszy sobie o tym dopiero wtedy, gdy wyszła z pokoju. Pierwszy z podstawowych odruchów zawodowych, który ktoś widocznie wymazał mu z głowy.

- Cholera jasna! - krzyknął Johansson. - Wracaj, kobieto.

- Słucham - powiedziała. Znów stała przy jego łóżku.

- Twój ojciec - powiedział Johansson. - Na pewno zostawił po sobie masę zapisków. - Starzy duchowni byli pod tym względem niedoścignieni - pomyślał.

- Pełne szuflady - powiedziała Ulrika Stenholm.

- Sprawdź, czy coś znajdziesz - powiedział Johansson. Bo ja tego za ciebie nie zrobię - pomyślał.

Ledwo zniknęła za drzwiami, Johansson już spał. Ten, który widział, co jest za rogiem - pomyślał, zanim Hypnos chwycił go za zdrowe ramię i poprowadził w ciemność. Wodził go na pokuszenie zieloną makówką, którą trzymał w drobnej białej dłoni.

Rozdział 10

Środa, 14 lipca 2010 roku, po południu

Kiedy Lars Martin Johansson był w sile wieku, koledzy znali go jako „człowieka, który widzi, co jest za rogiem”. Uchodził też za żywą encyklopedię kryminalistyki, zwłaszcza w kwestii ciężkich przestępstw. Zawsze gdy jego kolegom trafiała się jakaś sprawa, której czasu ani miejsca nie potrafili określić, zwracali się do Johanssona. Pytającemu oszczędzało to zwykle wiele czasu spędzonego przed komputerem, a Johansson nigdy nie zawiódł i zawsze chętnie pomagał. Jego odpowiedzi były wyczerpujące i dokładne. Poza tym miał wyjątkową pamięć do cyfr. Często się zdarzało, że pamiętał numer jakiegoś przeźrocza, którego nerwowo i bez skutku szukał kolega.

Coś jednak stało się z jego głową. Z tym, że nagle zapomniał imienia drugiej żony swojego jedyne syna, potrafił żyć. Zwłaszcza że po chwili sobie przypomniał.

To, że nie pamiętał zabójstwa Yasmine, która, jak usłyszał, miała dziewięć lat, gdy została zgwałcona i uduszona, było znacznie bardziej niepokojące. Fakt, że stało się to dwadzieścia pięć lat temu, jeszcze bardziej pogarszało sprawę. Zabójstwa z tego okresu, z czasu gdy był w sile wieku, pamiętał nawet lepiej niż te, które wydarzyły się później. Najgłośniejsze z nich znał w najdrobniejszych szczegółach.

Poczuł silny strach, graniczący z przerażeniem, wywołany nie tym, że zapomniał o sprawie Yasmine, ale tym, co stało się z jego głową.

Z początku chciał zawołać pielęgniarkę. Poprosić o dodatkową tabletkę. Taką, dzięki której robił się nieobecny i która oddalała go od tego, co go dręczyło, sprawiała, że było mu wszystko jedno. Cokolwiek to było, nie dotyczyło już jego.

Ale nie tym razem.

- Obudź się - powiedział Johansson głośno do siebie. Poszukaj w internecie. Tej małej wiewiórce wszystko się pokręciło, pewnie dlatego nie pamiętał zabójstwa Yasmine. Myśl, szybka decyzja i nagle wszystko się posypało.

Biada, biada, biada. Najpierw musiał zdjąć laptop z nocnego stolika, ułożyć go przed sobą na łóżku, otworzyć, włączyć, a wszystko lewą ręką, zahaczając cały czas o prawą. Wszystko po to, żeby na koniec uświadomić sobie, że zapomniał kodu dostępu. Tego samego, który pamiętał jeszcze rano, zanim ta nieszczęsna lekarka weszła do jego pokoju i skomplikowała mu życie. Nie mógł nawet skorzystać z własnego komputera. Jakby nie było mu mało.

Mimo to zrobił dozwoloną liczbę prób. Pot lał mu się z czoła, bolała go głowa, czuł ucisk w piersiach, nasilający się z każdą kolejną odmową dostępu. Psiakrew, psiakrew, psiakrew - myślał Johansson, ale to nie zmieniony język był powodem jego irytacji. Zadzwoił do Pii. Siedziała na zebraniu, mimo to odebrała natychmiast, gdy zobaczyła, że to on. Nawet nie wyczuł niepokoju w jej głosie.

- Lars, czy coś się stało?

- Zapomniałem kodu.

- Jakiego kodu?

- Kodu do mojego cholernego komputera.

- Jezu, jak mnie wystraszyłeś.

- Kodu - powtórzył Johansson. Do cholery, kobieto - pomyślał. Jeszcze nigdy nie pomyślał tak o Pii. Teraz pierwszy raz od dnia, w którym ją spotkał, czyli jakieś dwadzieścia lat temu.

- Mam go w domu - powiedziała Pia. - Wezmę go ze sobą wieczorem. Nie znam go na pamięć.

- Do cholery, kobieto! - wrzasnął Johansson. - Tak trudno zapamiętać jakiś pieprzony kod do komputera? - W ciągu sekundy wściekł się bez powodu na tę, którą kochał najbardziej na świecie.

- Lars, jeszcze nigdy na mnie nie krzyknął. To nie jesteś ty, Lars. Wiemy dobrze, z czego to się bierze, ale proszę cię, nie wolno ci tak na mnie krzyczeć.

Ścisnęło mu się gardło. Również to nie zajęło więcej niż sekundę.

- Przepraszam - powiedział Johansson. - Przepraszam cię, kochanie.

Potem rozłączył się, ale łzy zdążyły już popłynąć mu po policzkach.

Wytańniętą twarz prześcieradłem. Laptop zsunął się z łóżka, ale on nawet tego nie zauważył. Prędzej czy później ktoś go podniesie. Wziął trzy głębokie wdechy i wybrał numer do swojego najbliższego przyjaciela. Na szczęście miał do niego

ustawiony skrót. Przynajmniej tym razem poradził sobie lewą ręką i kciukiem.

- Jarnebring - odezwał się Jarnebring już po drugim sygnale.

- Cześć, Bo - powiedział Johansson. - To ja.

- Do diabła - powiedział Jarnebring. - Nawet nie wiesz, jak się cieszę. Co u ciebie? Masz dobry głos.

- Chciałem prosić cię o przysługę - powiedział Johansson.

- Masz przecież klucz do naszego mieszkania, może mógłbyś tam podjechać i sprawdzić kod do mojego laptopa? Mam go na kartce w tajnym miejscu, no wiesz.

- Jasne. Będę za godzinę.

- A tak poza tym czuję się wyśmienicie. Jak pączek w maśle.

- Fakt, głos masz dobry - stwierdził Jarnebring. - Nie seplenisz ani nie bełkoczesz.

- W życiu lepiej się nie czułem - potwierdził Johansson, któremu właśnie przyszła do głowy myśl. Wyjątkowo przyjemna w porównaniu z większością tego, co ostatnio przychodziło mu do głowy. Prawdziwy bonus. Nie jakiś tam zator mózgu wywołany przez chore serce.

- Jeszcze coś. Weź z domu butelkę bimbru i kup mi po drodze dużą *bratwurst* z kiszoną kapustą i musztardą. Wiesz, u Güntersa. Picia nie bierz, mam na miejscu.

- Rozumiem, że cię tam głodzą - przytaknął Jarnebring. - Słyszałem, że w takich miejscach dają dziwne żarcie.

- Załatwisz to?

- Pikuś - powiedział Jarnebring. - Kielbasa i kod, bimber

i kiszona kapusta, widzimy się za godzinę.

Prawdziwy przyjaciel - pomyślał Johansson. Ale nie zamierzał się z tego powodu rozbeczeć. Ułożył się wygodnie na łóżku. Udało mu się nawet spleść dłonie na brzuchu w sensowny sposób. Żadnego bólu głowy, żadnej złości, żadnego niepokoju. Spokój - nakazał sobie. Wreszcie ktoś ukoił wędrowca i myśliwego.

Oto jak dalej było z Johanssonem. Oto jak on i jego przyjaciel Bo Jarnebring zaczęli wszystko od początku. A pierwszy raz spotkali się dwadzieścia pięć lat temu.

II

Oko za oko, ząb za ząb...
Księga Wyjścia 21:24

Rozdział 11

Środa, 14 lipca 2010 roku, po południu

Jarnebring wyglądał jak zawsze. Zatrzymał się w drzwiach do pokoju Johanssona i najpierw omiół go wzrokiem, a potem zawłaszczył go w czysto fizycznym tego słowa znaczeniu. Jakby wbijał się do meliny w szemranej dzielnicy. Dopiero potem podszedł do łóżka Johanssona i usiadł. Pokiwał głową z uśmiechem.

- Fatalnie wyglądasz, Lars - powiedział Jarnebring. - Choć, kurwa, dużo żywiej, niż się spodziewałem - poprawił się szybko, bo dotarło do niego, co powiedział.

Coś się nie zgadza - pomyślał Johansson. Czegoś tu brakuje. Tego czegoś raczej nie było w dużej brązowej torbie, którą Jarnebring postawił przy jego łóżku. Poza tym Jarnebring pachniał wodą kolońską. Wyłącznie wodą kolońską. Nie jak ktoś, kto właśnie wraca od Güntersa.

- Gdzie jest, kurwa, moja kiełbasa - powiedział Johansson z pretensją w głosie.

- Słuchaj, Lars. - Jarnebring pochylił się nad nim i, chwytając go za ramię swoją wielką łapą, uścisnął. - Jesteś moim najbliższym przyjacielem. Cholernie się cieszę, że żyjesz.

- Ja też - powiedział Johansson. - No to gdzie jest, kurwa, moja kiełbasa? - I mój bimber - dodał w myślach.

- Tutaj - powiedział Jarnebring, wysypując zawartość

torby na łóżko. - Jabłka, gruszki, pomarańcze, banany. Kupiłem ci nawet czekoladę, taką zdrową, z prawdziwym kakao.

- Ale nie kiełbasę - powiedział Johansson.

- Ale nie kiełbasę, bimbru też nie - potwierdził Jarnebring.

- Jak chcesz się zabić, to zrób to sam. Nie mam zamiaru ci w tym pomagać. Wziąłem za to kod do komputera, o który prosiłeś. I gdy tylko staniesz na nogi i stąd wyjdiesz, osobiście zaniosę cię na moją siłownię i zrobimy z tobą porządek.

- Wielkie dzięki za pomoc. Jak się ma takich przyjaciół, to nie trzeba mieć wrogów.

- Nie jęcz - powiedział Jarnebring. - Nie tylko tobie jest ciężko. Pii też nie było do śmiechu. Mnie zresztą też nie. W poniedziałek wieczorem, gdy tu trafiłeś, zadzwonił do mnie jakiś przygłup z „Aftonbladet” i powiedział, że zostałeś postrzelony w brzuch i leżysz na intensywnej terapii. Siedzę spokojnie w ogrodzie z moją żoną, siostrą i szwagrem, popijam zimne piwo. Korzystam z uroków emerytury, a tu dzwoni ten palant i twierdzi, że zostałeś postrzelony i właśnie się pakujesz na tamten świat. Pyta, czy chciałbym to skomentować.

- I co, chciałeś? - zapytał Johansson.

- Kazałem mu iść do diabła - powiedział Jarnebring. - Potem zadzwoniłem do bazy, żeby zapytać, czy coś wiedzą. A tam siedzi kolejny oszołom, nasz kolega - kogo oni, kurwa, teraz sadzają na centrali? - i mówi, że wie tylko, że chłopcy z grupy szybkiego reagowania podali przez radio, że wiozą

cię na ratunkowy do Karolinska. Cholernie im się, widać, spieszyło i nie mieli czasu czekać na karetkę. Proste, kurwa, że się zdenerwowałem. Zacząłem wydzwaniać gdzie się tylko da, ale lekarze nie chcieli ze mną rozmawiać, a u Pii było ciągle zajęte, więc proste, kurwa, że się zdenerwowałem.

- No nie było ci lekko - powiedział Johansson.

- No nie - powiedział Jarnebring. - Już miałem wsiadać do samochodu, i to pomimo tych trzech czy czterech piw, i jechać do Karolinska, żeby się z tobą pożegnać, gdy zadzwonił jeden z moich dawnych chłopaków i wszystko wyjaśnił. Był jednym z tych, którzy cię wieźli, wciąż mamy ze sobą kontakt.

- Pe-dwa - powiedział Johansson. - Patrik Åkesson. Nagle mu się przypomniało.

- No widzisz - powiedział Jarnebring. - Główka pracuje. Ale nie, kurwa, nie postrzelili cię w brzuch. Stało się to, na co pracowałeś przez ostatnie dwadzieścia lat. Próbowaleś zażyć się na śmierć. Straciłeś przytomność i zalałeś się tą breją, tą twoją kiełbasą, musztardą i sosem, i co ty tam jeszcze jesz.

- Dobra, dobra - powiedział Johansson. - Straciłem przytomność...

- Nie przerywaj - powiedział Jarnebring. - Chciałem ci tylko powiedzieć, że mam gdzieś tę twoją kiełbasę. O wszystko inne możesz mnie prosić. Wal śmiało.

- W takim razie mam coś dla ciebie.

- Słucham.

- Pamiętasz może morderstwo sprzed dwudziestu pięciu

lat, latem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego? Dziewięcioletnia dziewczynka, zgwałcona, uduszona i zakopana na obrzeżach Sigtuny, Yasmine Erdogan.

Jarnebring spojrział na niego zdziwiony.

- Do czego ci to?

- Nieważne. Jeszcze do tego wrócimy - dodał, żeby załagodzić. - Pamiętasz tę sprawę?

- Tak - przytaknął Jarnebring.

- To dawaj.

- Nazywała się Yasmine Ermegan. Nie Erdogan. Ermegan. Jak by to w skrócie... Była z Iranu. Przyjechała tu z rodzicami, gdy miała kilka lat. Zniknęła z mieszkania matki w Solnej w piątek wieczorem czternastego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego. Znaleziono ją tydzień później, w noc świętojańską, w piątek dwudziestego pierwszego czerwca. Nie została uduszona, tylko zaduszona. Zdaniem lekarza sądowego prawdopodobnie poduszką, bo znalazł w jej przetyku ptasie pierze i drobne białe włókna. Ciało zostało zawinięte łącznie w cztery czarne worki na śmieci, sklezione zwykłą taśmą do pakowania. Sprawca wrzucił ją w sitowie w zatoczce jeziora Mälaren, kilka kilometrów na północ od zamku Skokloster. Nie została zakopana, tylko wyrzucona. Na miejsce dało się dojechać samochodem. Sprawca miał do pokonania jakieś dziesięć metrów, co dla większości ludzi nie powinno stanowić problemu, bo Yasmine nie ważyła więcej niż trzydzieści kilogramów.

- Skąd to wiesz? - zapytał Johansson. Dlaczego Jarnebring

wszystko pamięta, a ja mam pustkę w głowie? - pomyślał.

- Ja to prowadziłem - powiedział Johansson. - Więc to nie takie dziwne. Wiem wszystko o zabójstwie małej Yasmine. Poza jednym.

- Czyli? - zapytał Johansson, choć znał odpowiedź.

- Kto wykończył tę małą - powiedział Jarnebring. - Chętnie zamieniłbym kilka słów z tym draniem.

Rozdział 12

Środa, 14 lipca 2010 roku, po południu

- Teraz twoja kolej - powiedział Jarnebring i odgryzł duży kawałek jabłka, jednego z tych, które przyniósł Johanssonowi. - Dlaczego interesuje cię morderstwo sprzed dwudziestu pięciu lat? Planujesz powrót do służby?

- Gdzie tam. Zapytała mnie jedna taka, co tu pracuje, przeczytała o tym w gazecie. Zorientowałem się, że nie mam pojęcia, o czym mówi. Nie powiem, żeby to mi poprawiło humor, zwykle pamiętam takie rzeczy.

- To nie takie dziwne - uśmiechnął się Jarnebring. - W tym czasie siedziałeś w zarządzie policji. Po pachy w teczkach, mało co widziałeś i słyszałeś.

- No tak - powiedział Johansson.

- No nic - powiedział Jarnebring, wypinając pierś. - Nie jestem, co prawda, lekarzem, ale może to przez to, co ci się stało. Nie pomyślałeś o tym? Takie zatory potrafią człowiekowi nieźle namieszać w głowie. Pamiętam, jak to było z moim ojcem. Nagle przestał nas poznawać. Spędził resztę swoich dni, szczerząc się lub rechocząc na widok wszystkiego, co się ruszało. Nie był już sobą, że tak to ujmę.

- U mnie przypomina to bardziej plamki w głowie - powiedział Johansson. - Niektóre są całkiem białe - wyjaśnił. - Mimo wszystko mam wrażenie, że powinienem to pamiętać. Na pewno trąbili wtedy o tym w gazetach. Na przykład

zabójstwo Helene Nilsson z Hörby z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego pamiętam w najdrobniejszych szczegółach.

- Nie - powiedział Jarnebring, kręcąc zdecydowanie głową. - Wcale nie było tak jak z Helene. O niej pisali ze sto razy więcej niż o Yasmine. W tygodniu, w którym zniknęła Yasmine, nie było o niej nawet jednej wzmianki. W radiu i telewizji też nie.

- Dlaczego? - powiedział Johansson. - Dziewięcioletnia dziewczynka, która znika z domu w piątkowy wieczór. Pewnie była pełna mobilizacja.

- Nic z tych rzeczy - powiedział Jarnebring. - Jakiś rok wcześniej jej rodzice się rozstali. Yasmine mieszkała co drugi tydzień u swojego taty i jego nowej kobiety w Äppelviken, a co drugi - u mamy w Solnej. Matka mieszkała sama. Akurat w tym tygodniu miała być u mamy, ale po paru godzinach się pokłóciły. Młoda spakowała manatki i dała nogę. Gdy po kilku godzinach matka zadzwoniła do naszych kolegów z Solnej, wciąż myślała, że Yasmine pojechała z powrotem do ojca. Dzwoniła tam, oczywiście, ale nikt nie odbierał. Dyżurny z Solnej wysłał radiowóz. Matka nie pojechała ze strachu przed swoim byłym mężem. Jego dom stał jednak pusty, wszystko było pozamykane. Trochę to dziwne, bo koledzy z pracy, z którymi nasi rozmawiali, twierdzili, że facet w ten weekend zamierzał pracować. Był lekarzem. Prowadził jakieś tajemnicze badania i musiał często kursować między domem a pracą, żeby doglądać zwierząt doświadczalnych, które stopniowo wykańczał. Ale

w piątkowy wieczór nagle wyjechał. Namówił kolegę, żeby go zastąpił. Odkryliśmy to dopiero po tygodniu. Pracował tutaj, tak na marginesie.

- Tutaj? Na neurologii?

- Nie, w Karolinska. W Karolinska Institutet. Zatrudniony jako docent w jakimś zakładzie badawczym.

- Tuś mi, bratku - powiedział Johansson.

- Otóż to - powiedział Jarnebring. - Wszyscy uważali, że gdy mała zjawiała się z powrotem u ojca, ten się wściekł, zabrał ją i dał nogę. Byli z żoną w trakcie rozwodu, regularnie darli ze sobą koty. Kłócili się o opiekę nad Yasmine, która, zapomniałem powiedzieć, była jedynaczką, ale też o wszystko inne. Sądziliśmy, że właśnie to się stało. Podobnie zresztą matka Yasmine.

Klasyka - pomyślał Johansson. Klasyczny przykład sprawy prowadzonej źle od samego początku. Wszystko się wszystkim zgadzało. I wszystko było nie tak.

- Ale w noc świętojańską, gdy ją znaleźli, pojawił się nowy wątek. To wtedy włączyłem się do sprawy. Zostałem wezwany w sobotę rano ze swoim zespołem, żeby pomóc kolegom z Solnej. No ale i tak się wszystko zjechało, chociaż nie z mojej winy, tylko z winy tego idioty, który prowadził śledztwo.

- Myślałem, że to byłeś ty - powiedział Johansson. - Wydawało mi się, że powiedziałaś, że to była twoja sprawa.

- Byłem drugim prowadzącym - powiedział Jarnebring. - Dochodzeniem kierował inny kolega.

- Kto taki?

- Nie chcesz wiedzieć. - Jarnebring uśmiechnął się szeroko.

- Chcę.

- Evert Bäckström. - Jarnebring uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Słodki Jezu! - westchnął Johansson. Słodki Jezu - pomyślał.

Rozdział 13

Środa, 14 lipca 2010 roku, po południu

- Podaj mi szklanekę wody - powiedział Johansson, pokazując głową na karafkę.

- Zrobiłeś się czerwony jak burak, Lars - powiedział Jarnebring. - Może powinienem był cię posłuchać i przynieść ci tę butelkę bimbru.

Jarnebring nalał pełną szklanekę i włożył ją ostrożnie w wyciągniętą dłoń Johanssona. Johansson wypił dużymi łykami. Poczłł spokój. Zupełny spokój, i to bez żadnej tabletki.

- Za późno - powiedział Johansson i starł ręką krople z górnej wargi. - Na bimber.

- Dziękuję - powiedział, gdy Jarnebring odebrał od niego pustą szklanekę i postawił ją z powrotem na stoliku.

- Mógłbyś robić za czerwone światło, Lars - powiedział Jarnebring. - Stawałbyś na przejściu dla pieszych i jak ktoś powie coś nieodpowiedniego, zamieniałbyś się w czerwonego ludka.

- Jak, do diaska - powiedział Johansson stanowczo, kierowany nagłą potrzebą zmniejszenia swojego wewnętrznego napięcia - można wpaść na pomysł, jak komuś może w ogóle przyjść do głowy, żeby powołać Everta Bäckströma na prowadzącego w takiej sprawie?

- Myślę, że zawinił Ebbe - powiedział Jarnebring. Nie

sprawiał wrażenia, że to, co powiedział, go zasmuciło.

- Zawinił Ebbe. Jaki znów Ebbe?

- Ebbe Carlsson. Ten szurnięty wydawca, który wtykał nos we wszystko, czym się my, policjanci, zajmowaliśmy. Począwszy od ambasady RFN, gdy pracował jako rzecznik ministerstwa sprawiedliwości, aż do zabójstwa Olofa Palmego dwadzieścia lat później. Wtedy mały Ebbe został dyrektorem wydawnictwa Bonniers, jakby mieli mieć coś wspólnego z dochodzeniem w sprawie zabójstwa. On albo raczej ta niemota pełniąca wtedy funkcję komendanta wojewódzkiego, co to się obwołała prowadzącym dochodzenie w sprawie śmierci naszego ukochanego premiera. Nie mając bladego pojęcia, jak prowadzi się sprawę zabójstwa bez podejrzanych, i mając do pomocy jedynie swojego najlepszego kumpla Ebbego.

- Wyjaśnij - powiedział Johansson.

- Wolisz wersję krótką czy długą?

- Dawaj długą - powiedział Johansson, bo już od dawna nie czuł się tak rześko.

- Ebbe to był ten pedał, może pamiętasz - zaczął Jarnebring.

- Co to znowu ma do rzeczy?

- Tym razem ma - skrzywił się Jarnebring.

- Jak to?

- Pół roku przed zabójstwem Yasmine nasz wydawca udał się do klubu dla takich jak on. Upatrzył tam sobie młodziana w stroju marynarza, którego zaprosił do siebie na to, co zwykle wszyscy robią, gdy wracają do domu z klubu

z nieznanym. No wiesz, niezależnie od tego, czy są gejami, czy nie – dodał Jarnebring z jakiegoś powodu.

- Co się stało?

- Ten młody człowiek w kostiumie Kaczora Donalda go okradł. Zalał go w trupa, a potem przywłaszczył sobie jego portfel i inną drobnicę. Między innymi jakąś starą kieckę, którą ten wydawca rzekomo kupił na jakiejś aukcji. Ponoć należała do Rity Hayworth. Wiesz, tej amerykańskiej aktoreczki. Założę się, że kosztowała kupę kasy.

- Mów dalej – powiedział Johansson.

- Wydawca zgłosił zdarzenie na policję i miał to szczęście, że jego sprawę wziął Bäckström. Ten sporządził notatkę i przy okazji wyraził pogląd, że jeśli wydawca nie zacznie żyć po bożemu, to jeszcze nieraz coś takiego może mu się zdarzyć.

- Dno – powiedział Johansson. Dno i siedem metrów mułu – dodał w myślach.

- Naturalnie Ebbe się wściekł. Kto by się nie wściekł? W końcu został pobity i okradziony. Więc zadzwonił do swojego najlepszego kumpla i opowiedział o małym Bäckströmie i jego popisach. Wyznał też, że Bäckström wyzwał go od ujeżdżaczy parówek, analnych cyrkowców i tym podobnych przyjemniaczków.

- Komendant wojewódzki oszalał – stwierdził Johansson.

- Delikatnie mówiąc – powiedział Jarnebring. - Ponoć wpadł w furję i zagroził, że zabije Evercika, jeśli ten nie zacznie zachowywać się jak człowiek. Potem Bäckström wyleciał z wydziału zabójstw w centrum Sztokholmu. Został

przeniesiony karnie na dyżur w Solnej. Siedział tam tego wieczora, w którym zaginęła Yasmine. A że było lato, zaczęły się urlopy i nie było kim robić, tydzień później dostał również do poprowadzenia dochodzenie.

- Co się stało potem, to znaczy z Yasmine? - zapytał Johansson. Głupie pytanie - pomyślał, bo przecież znał już odpowiedź.

- Prosto do archiwum - powiedział Jarnebring. - Rachciach! Ale jeśli mam być całkiem szczery, to nie tylko Bäckström zawinił.

- Gadaj - powiedział Johansson.

- O ile masz siłę. - Jarnebring spojrział na zegarek. - Nie miała przyjść Pia?

- Za trzy godziny - powiedział Johansson. - Mamy dużo czasu. Gadaj.

Komisarz kryminalny Evert Bäckström od samego początku miał jasny obraz sytuacji. Yasmine pokłóciła się z matką. Pojechała do ojca, a ten wyjechał z nią z miasta, żeby raz na zawsze zakończyć spór wokół sprawowania opieki nad dzieckiem. Gdy tydzień później znaleziono zamordowaną Yasmine, Bäckström musiał nieznacznie zmienić kurs. Ojciec nie tylko porwał córkę, lecz także zgwałcił ją i zamordował. Z tych samych co zawsze powodów, które mają tacy jak on.

- Kolejne honorowe zabójstwo, typowe dla Arabów, muzułmanów i tym podobnych. A na tym Evert znał się jak mało kto. - Jarnebring kiwnął ciężko głową.

- A co z gwałtem? Jak to tłumaczył? Dziewczynkę przecież zgwałcono. - Johansson pokręcił ze zdziwieniem głową.

- Bez problemu. Według Bäckströma ludzie pokroju ojca Yasmine posuwają kozy i owce, jeśli akurat nie mają pod ręką swoich dzieci. Niestety, trzy grosze dorzuciła też matka Yasmine. Jak już mówiłem, rodzice dziewczynki byli w tym czasie w trakcie rozwodu, matka, korzystając z okazji, złożyła na niego doniesienie w sprawie wielokrotnego użycia przemocy. Wylądowało zresztą od razu na półce, ale jeśli chcesz znać moje zdanie, myślę, że nieraz porządnie od niego oberwała. - Jarnebring kiwnął zamyślony głową.

- Zaledwie parę miesięcy przed zabójstwem matka zgłosiła na policję, że ojciec wykorzystuje Yasmine seksualnie. Typowy chwyt poniżej pasa. Oboje chcieli sprawować opiekę nad córką. Czekali na wyrok sądu i rozwiązali to w ten sposób, że Yasmine mieszkała u nich na zmianę: tydzień u ojca, tydzień u matki. A, zapomniałem powiedzieć, że chodziła do szkoły w centrum Sztokholmu. To była taka elitarna prywatna szkoła, do której poszła, gdy jej rodzice jeszcze mieszkali razem.

- Czy matka mówiła prawdę? - zapytał Johansson. - Rzeczywiście ojciec dobierał się do córki?

- Gdzie tam. Zaraz do tego dojdę. Nie wątpię natomiast, że zdarzało mu się tłuc żonę. Podejrzewam nawet, że pod koniec małżeństwa robił to dosyć regularnie.

- Smutna historia - westchnął Johansson.

- Będzie jeszcze gorzej.

- Słucham.

- Gdy znaleziono Yasmine, jej ojciec był wciąż nieuchwytny. Nie było go już od tygodnia. Rankiem

następnego dnia, czyli w sobotę, radio i telewizja podały, że znaleziono Yasmine. W ciągu kilku godzin ojciec zjawił się na komendzie w Solnej. Kompletnie roztrzęsiony.

- I co było dalej?

- Szkoda gadać. Pierwsze przesłuchanie prowadzone przez Bäckströma o mało nie skończyło połamaniem mu kończyn przez ojca Yasmine. Ten facet był potężnej budowy, jak ja - powiedział Jarnebring. - Ale nie z Bäckströmem takie numery. Na miejscu byli koledzy, więc zanim ojciec Yasmine trafił do aresztu, spuścili mu niezłe bęcki. Prokurator natychmiast podjął decyzję o jego zatrzymaniu. W tym czasie podzielał jeszcze zdanie Bäckströma. Podobnie jak większość kolegów, tak dla twojej wiadomości. Nawet ja uczepiłem się ojca. Jego wersja zdarzeń nie miała, niestety, wiele wspólnego z prawdą.

- Co powiedział?

- Że siedział w jakiejś chacie na szkiecach i rozmyślał o życiu. Chata należała do jego kolegi, akurat to się zgadzało, ale cała reszta była już kłamstwem, zresztą z tego samego, co zawsze, powodu.

- Kręcił na boku. Był tam z kobietą.

- No jasne. Ale wydusił to z siebie dopiero po kilku dniach. Sprawa była trochę skomplikowana, jeśli mogę to tak określić.

- Co znaczy „skomplikowana”? - zapytał Johansson.

- Miał już jednego gryzonia na etacie, mówiłem ci - powiedział Jarnebring. - Lekarkę w jego wieku. W tej historii aż roi się od lekarzy. To z nią zamieszkał w Äppelviken, to

była jej chata. Dostała ją od rodziców, zaczęli się spotykać rok przed tym, jak wyprowadził się od matki Yasmine. Akurat wtedy jej nie było. Wyjechała na dwa tygodnie do rodziców do Hiszpanii, w tym czasie jej konkubent nie omieszkał skorzystać z okazji. Poderwał młodszą koleżankę z laboratorium, wziął klucze do chaty kolegi i oddał się temu, co zawsze. Udawali zwierzątko o dwóch grzbietach, dzień i noc. Dziewczyna, którą poderwał, była od niego dwa razy młodsza, i dla niej to też był skok w bok. Miała narzeczonego w kamaszach.

- Mówisz: „o połowę młodsza”. Ale to nie ojciec zabił Yasmine?

- Nie. To nie on zamordował Yasmine. Owszem, lubił kobiety. Potrafił też przywalić, ale nie był pedofilem. Nie bardziej niż ja i ty, Lars. Gdy jego córka została zamordowana, miał trzydzieści cztery lata. Urodził się w pięćdziesiątym pierwszym, jeśli dobrze pamiętam. Dziewczyna, którą zabrał ze sobą na szkiery, miała, co prawda, dziewiętnaście lat, ale dzieckiem bym jej nie nazwał. Młoda, ładna blondynka. Ani ty, ani ja nie odmówilibyśmy, gdyby poprosiła.

- Kiedy to zrozumiałeś? - zapytał Johansson. Mów za siebie - pomyślał.

- Gdy tylko się z nim spotkałem - powiedział Jarnebring. - Przebywał w areszcie, normalnie chodził po ścianach. Po kilku dniach poszedłem do niego. Od razu się zorientowałem, że to nie może być on. Oszalał ze smutku z powodu tego, co stało się z jego córką.

- Byłeś pewien?

- Nie ten typ, już mówiłem. Nic do siebie nie pasowało. W każdym razie udało mi się zamienić z nim kilka sensownych zdań. W końcu powiedział, że był z kimś, kto mógłby dać mu alibi. Że była to kobieta, którą poznał w pracy. Nie chciał jednak podać jej nazwiska. Wtedy przemówiłem mu do rozumu. Powiedziałem, że dochodzenie wymyka się spod kontroli dlatego, że on zachowuje się jak dziecko. Że drepczemy wciąż w tym samym miejscu, bo nie możemy go odhaczyć. A skoro jest tak niewinny, jak twierdzi, to powinien się jeszcze zastanowić. I wtedy podał mi jej nazwisko. Odbyłem z nią poważną rozmowę. Było tak, jak powiedział. Pojawiły się kolejne zeznania, które wzmocniły jego alibi. Ludzie, którzy rozmawiali z nim przez telefon albo którzy widzieli go razem z tą dziewczyną w domku. To, co zwykle.

- Co było dalej?

- Zamieniłem słowo z prokuratorem i Bäckströmem. Prokurator zaczął nabierać wątpliwości, poza tym ciążył mu nakaz tymczasowego aresztowania, a nie miał na ojca nic konkretnego. Bäckström zachowywał się jak zawsze. Każdy myślący człowiek widzi chyba, że zrobił to ojciec. Że ci wszyscy świadkowie, którzy pojawili się nagle, nie wiadomo skąd, kłamali, żeby go chronić. No, chyba że ktoś jest tak głupi jak ja.

- W dniu, w którym ojciec miał zostać aresztowany, dostaliśmy odpowiedź z laboratorium. Zabezpieczono spermę z ciała i ubrań Yasmine. Grupa krwi sprawcy nie

odpowiadała grupie krwi ojca. W tych czasach nie było badań DNA, ale grupa krwi w zupełności wystarczała.

- Czyli prokurator zmiękł, a ojciec wyszedł na wolność - powiedział Johansson.

- Nie inaczej - powiedział Jarnebring. - Domyślam się, że wiesz, o czym mówię. Nie poddał się tylko Bäckström. Skoro to nie ojciec zgwałcił córkę, to z pewnością zabawiał się z nią jeden z jego kolegów. W efekcie tego bałaganu po czternastu dniach od zniknięcia dziewczynki ledwo zaczęliśmy ogarniać dochodzenie. Nie będę już wracać do tego, że zaczęły się urlopy i brakowało rąk do roboty. Była nas jedna trzecia składu. Jedna trzecia tego, co zwykle potrzebne jest do prowadzenia takich spraw. I jeszcze ten szurnięty grubasek, który miał za zadanie prowadzić i przydzielać robotę.

- Chcesz powiedzieć, że Bäckström dalej się upierał?

- Naturalnie - powiedział Jarnebring. - Wszystkim, którzy mieli siłę słuchać, opowiadał, że teraz jest pewien, że sprawców było co najmniej dwóch. Ojciec plus jego tajemniczy kolega. Nabrało się na to wielu dziennikarzy. I producentów. Zresztą właśnie z tego powodu media tak rzadko poruszały temat Yasmine. Przez to, że byli imigrantami. I jeszcze te donosy złożone przez matkę. Zabójstwa honorowe, przemoc wobec kobiet, debata wokół kazirodztwa i Bóg wie co jeszcze. Nagle zrobił się z tego drażliwy temat.

- Wyobrażam sobie - powiedział Johansson. - Cały ten szajs, który nie ma nic wspólnego ze sprawą, a tylko wprowadza zamieszanie.

- Nie musisz mi tego mówić - powiedział Jarnebring. - Ale tłumaczyć to Evertowi Bäckströmowi było stratą czasu. W tej kwestii był głuchy jak pień.

- Czego się spodziewałeś?

- Zrobił się z tego straszny burdel. - Jarnebring westchnął ciężko. - Dochodzenie w sprawie zabójstwa małej Yasmine to smutna historia. Naprawdę smutna historia.

Johansson pokiwał głową. Przez dłuższą chwilę się nie odzywał, aż Jarnebring zaczął się niepokoić i spojrzał na niego, żeby sprawdzić, czy nie zasnął. Albo gorzej, czy nie dostał kolejnego udaru. Ale nie. Wyglądało, jakby myślał. Jakby zapadł się w siebie i myślał.

- Poproszę dłuższą wersję - powiedział nagle. - Chcę wiedzieć więcej na temat postępowania sprawdzającego. Chcę wiedzieć więcej na temat tej małej dziewczynki i jej rodziny. Wciąż mamy sporo czasu - powiedział, pokazując zegar nad drzwiami.

- Jesteś pewien, że dasz radę? - zapytał Jarnebring. - Wracasz do siebie. Mimo że wyglądasz fatalnie i zwisa ci pół twarzy.

- W życiu lepiej się nie czułem - powiedział Johansson. Jak wysrana szarlotka - pomyślał.

- No dobra - powiedział Jarnebring. - Daj mi tylko kartkę, ołówek i pięć minut na zebranie myśli.

- Poproś pielęgniarkę - powiedział Johansson. - A ja w tym czasie zjem jeden z twoich bananów. - Przynajmniej kształtem przypomina doskonałą *bratwurst* Güntersa - pomyślał. Niestety, na tym wszelkie podobieństwa się

kończyły.

Rozdział 14

Środa, 14 lipca 2010 roku, po południu

- Śpisz? - pyta Jarnebring.

- Nie - mówi Johansson i poprawia się w łóżku. - Zdrzemnąłem się tylko na chwilę.

- No to lecimy - mówi Jarnebring. - Może zacznijmy od tego, jaka była pogoda w dniu, w którym zniknęła.

- Słucham.

- Środek szwedzkiego lata, bezchmurne niebo, w zasadzie bez wiatru. Jakieś dwadzieścia, trzydzieści stopni. Przez cały tydzień była piękna pogoda, a ja jak zwykle siedziałem w robocie, grzejąc tyłek. Taka dola.

- Małej Yasmine poszcęściło się przynajmniej z pogodą - stwierdził Johansson. W miejscu, w którym zwykle miał serce, zrobiła się nagle czarna dziura, ale nie miał zamiaru wybuchnąć płaczem, bo jednocześnie równie gwałtownie pojawiła się nienawiść tak silna, że wykluczała miłość, smutek i zwykłą ludzką przyzwoitość.

Jarnebring patrzy na niego z nieukrywanym zdziwieniem.

- Co jest, Lars? Może odłożymy to na później?

- Nie, nie. Słucham. Opowiedz mi, co takiego zdarzyło się w dniu, w którym zniknęła. Mówiłeś, że to był piątek.

- Piątek czternasty czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego - potwierdza Jarnebring.

- Piątek czternasty czerwca tysiąc dziewięćset

osiemdziesiątego piątego - powtarza Johansson. Co tam
środek szwedzkiego lata czy przepelniająca go nienawiść.
Pomyśl, że już nie potrafisz zobaczyć tego, co za rogiem -
myśli.

Rozdział 15

Piątek, 14 czerwca 1985 roku

Gdy Josef Ermegan, lat trzydzieści cztery, po raz ostatni rozmawiał ze swoją dziewięcioletnią córką Yasmine, skłamał. Było około szóstej wieczorem. Wysadził ją przed bramą domu na Hannebergsgatan w Solnej, gdzie mieszkała jej matka. Ucałował ją w oba policzki i w czoło, poprosił, żeby mu obiecała, że nie będzie się kłócić z matką, i dał słowo, że zadzwoni do niej w wolnej chwili, ale możliwe, że potrwa to parę dni, bo miał teraz mnóstwo roboty. Potem pojechał do domu kolegi na szkiery z młodą kobietą, z którą właśnie zaczął się spotykać. Nie z tą, z którą od paru lat dzielił dom i łóżko. Nie z tą, na którą Yasmine zdarzyło się powiedzieć „mama”, gdy była zmęczona lub się zapomniała.

Gdy jakiś tydzień później Josef Ermegan opowiada o tym Jarnebringowi, siedzi w policyjnym areszcie w Solnej, podejrzany o zamordowanie córki. Szłocha jak skrzywdzone dziecko. Jarnebring nie wie, co robić. Poklepuje go po ramieniu i mówi, że mu wierzy. Josef chwyta jego dłoń, ściska ją mocno obiema rękami, przyciąga do swojej twarzy. Jarnebring jest „szczerze mówiąc, cholernie skrępowany”, chociaż niejedno w życiu widział. Uwalnia dłoń najdelikatniej jak potrafi, pochyla się nad stołem i chwyta Josefa Ermegana za ramiona. Ściska z całej siły, żeby ten zaczął go słuchać. Josef kwili, jęczy i skamle jak ranione zwierzę, przyciska

pięści do oczu, a głowę do stołu. Jarnebring klepie go po plecach. Mówi, że musi się wziąć w garść, jeśli chce mu pomóc w odnalezieniu tego, kto zamordował jego córkę. Josef prostuje się, odejmuje ręce od twarzy.

- Przysięgam - mówi Josef Ermegan. - Zobaczysz, stanę się twardy, sięgnę po to, co we mnie najgorsze. Przysięgam, że ci pomogę. Przysięgam na głowę swojej córki.

Gdyby tylko Yasmine posłuchała ojca, nigdy nie zdarzyłoby się to, co się zdarzyło. Ale ona i jej matka Maryam, lat trzydzieści dwa, zaczęły się kłócić, jeszcze zanim zaczęły jeść kolację. Yasmine usiadła przy stole, wyjęła z plecaka puszkę coca-coli i jakieś pismo i zaczęła czytać. Matka naskoczyła na nią, powiedziała, że zabrania jej pić colę, że to nie jest dobre dla zębów i że ona, pielęgniarka, wie na ten temat znacznie więcej niż ojciec Yasmine. Próbowwała odebrać córce puszkę, a wtedy napój wylał się na bluzkę Yasmine. Dziewczynka chwyciła plecak ze swoimi rzeczami, pobiegła do łazienki i tam się zamknęła.

Matka postanowiła nie ciągnąć tej sprawy. Skończyła szykować kolację i gdy już nakryła do stołu, zapukała do drzwi łazienki. Powiedziała, że czas coś zjeść. Yasmine wyszła, przebrana w różowy T-shirt i jasnoniebieskie dżinsy. Usiadła przy stole i jadła, milcząc ostentacyjnie. Również to matka zignorowała. Potem zadzwonił telefon. Maryam wyszła do salonu, żeby odebrać. Dzwoniła koleżanka z pracy. Maryam powiedziała, że właśnie jedzą z córką kolację i że oddzwoni. Kiedy odkładała słuchawkę, usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych. Krótco przed siódmą wieczorem,

w piątek czternastego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego. I gdyby nie naskoczyła na córkę, nigdy nie zdarzyłoby się to, co się zdarzyło.

Najpierw Maryam wpadła do łazienki. Zapytana dlaczego, nie potrafiła wytłumaczyć. Na podłodze pod umywalką leżały klucze Yasmine. Spleciony starannie rzemyk, który zwykle nosiła na szyi, z kluczem do mieszkania matki i do domu ojca. Prawdopodobnie zdjęła go, gdy się przebierała w różowy T-shirt, i zapomniała założyć, gdy matka wołała ją do stołu.

Potem Maryam wybiegła na balkon i wołała córkę. Ale na ulicy nie było żadnych dzieci. Przechodziło tylko kilkoro dorosłych, którzy spojrzeli na nią wyraźnie zdziwieni. Nie rozumieli, dlaczego stoi na balkonie i krzyczy.

Założyła więc buty i zbiegła na dół. Na klatce wpadła na policjanta, który mieszkał w tym samym budynku. Był znacznie od niej starszy, ale sposób, w jaki na nią patrzył, mówił jej, że podoba mu się to, co widzi. Być może trochę się w niej podkochiwał, może nawet sobie wyobrażał, że mogliby być razem. Chociaż był Szwedem, miał jasne włosy i pracował w policji, chociaż był od niej znacznie starszy, a ona była uciekinierką z Iranu i dopiero niedawno dostała szwedzkie obywatelstwo.

- Tu to się dopiero dzieje - powiedział komisarz Peter Sundman i z nieukrywaną sympatią spojrzął na kobietę, która właśnie wpadła mu w ramiona.

- Przepraszam, Peter - powiedziała Maryam, gdy się zorientowała, kogo ma przed sobą. - Chodzi o Yasmine, moją

córkę. Uciekła z domu.

- Pewnie niedaleko - powiedział Peter Sundman. - Spotkałem ją kilka minut temu, gdy schodziła do metra. Wyglądała, jakby się właśnie pokłóciła z matką. Pomachałem do niej, ale ledwo mnie zauważyła. Moim zdaniem jest już w drodze do ojca, żeby się poskarżyć.

Jak było z Maryam i jej byłym mężem, dobrze wiedział. Opowiedziała mu o tym, słyszał też trochę w pracy. Młoda, śliczna kobieta, która wydawała się wykształcona i zdolna. Jeżeli tylko chciała od życia czegoś nowego, był gotów zaczekać na stosowną chwilę.

- Zostawiła klucze - powiedziała Maryam.

- Jeśli ojciec jest w domu, na pewno ją wpuści - powiedział Peter Sundman i poklepał Maryam po ramieniu, by dodać jej otuchy. - Choćby po to, żeby móc cię za to potem zwymyślać.

- Pod warunkiem że nie jest w pracy - powiedziała Maryam.

- To zadzwoni. Zobaczysz, zadzwoni do ciebie, już żałuje i chce cię przeprosić za swoje zachowanie. Może napijemy się kawy?

- U mnie - powiedziała Maryam. - Chcę być w domu, jeśli zadzwoni. To znaczy, gdy zadzwoni.

I gdyby Yasmine nie zostawiła kluczy w łazience, nigdy nie zdarzyłoby się to, co się zdarzyło.

Nie zadzwoniła jednak. Po kilku godzinach i kilku filiżankach kawy Maryam i Peter zaczęli dzwonić. Peter najpierw zadzwonił do domu byłego męża Maryam - ona nie chciała

tego robić - a potem do jego pracy. Maryam zadzwoniła do kilku kolegów męża z pracy i do domu najlepszej przyjaciółki Yasmine. Jednak albo nikt nie odbierał, albo odbierał, ale nie miał nic do powiedzenia. Koledzy nie wiedzieli, gdzie jest Josef. Skoro nie ma go w domu, to pewnie jest w pracy. Może wyszedł, żeby coś zjeść, choć to prawda, jest już trochę późno. Pewnie krąży między domem a laboratorium. Tak to już jest, gdy prowadzi się eksperymenty na zwierzętach.

Gdyby jej nie zrugala, gdyby ojciec nie dał jej puszki z colą... Przecież dobrze wiedział, że nie wolno jej pić tego świństwa. Gdyby nie zostawiła kluczy... Gdyby nie to, gdyby nie tamto...

W ciągu kolejnych miesięcy Maryam i jej były mąż znajdowali setki powodów tego, co się stało i co nie powinno było się stać. Gdyby nie... Dręczyli siebie nawzajem i każde dręczyło samo siebie.

Krótko przed północą Peter Sundman zadzwonił do kolegi z komendy w Solnej, który zmienił go na dyżurze o szóstej trzydzięci wieczorem. Oficer dyżurny przełączył go do kolegi z oddziału kryminalnego w Solnej, który tej nocy miał dyżur, i gdy komisarz Peter Sundman usłyszał, kto odebrał telefon, w głębi duszy westchnął głęboko.

- Bäckström - powiedział Bäckström. - O co chodzi?

Rozdział 16

Sobota, 15 czerwca 1985 roku

Bäckström i Sundman z miejsca się pokłócili. Bäckström miał ważniejsze sprawy na głowie niż „jakąś tam smarkulę, która pożarła się z matką i związała do ojca”. Nawet ktoś taki jak Sundman powinien to zrozumieć. Sundman zakończył rozmowę i zadzwonił raz jeszcze do oficera dyżurnego. Powiedział mu, żeby wysłał radiowóz do domu, w którym mieszkał ojciec. Radiowóz przyjechał na miejsce krótko po północy. Drzwi były zamknięte, w środku nie paliło się światło, na podjeździe nie było samochodu, a w skrzynce listów. Przez chwilę pojeździli po okolicy, ale wokół panowały ciemność i cisza, jakby nagle znaleźli się w opuszczonej dzielnicy.

W drodze powrotnej na komendę w Solnej patrol policyjny zatrzymał się w miejscu pracy ojca w Karolinska. Co prawda, w kilku oknach świeciło się światło, ale gdy zadzwonili domofonem, nikt się nie zgłosił. Na wszelki wypadek objechali kilkakrotnie szpital, nie zauważyli jednak nikogo, kto choćby w najmniejszym stopniu przypominałby Yasmine.

Przed zakończeniem zmiany następnego dnia rano powtórzyli całą procedurę, choć w odwrotnym kierunku. Z tym samym skutkiem. W miejscu pracy ojca nikt nie odebrał domofonu. Dom, w którym mieszkał, wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętali. Miejsce parkingowe puste,

skrzynka pusta, żadnej gazety, choć gazeciarz już tędy przechodził. Zatrzymali się, żeby z nim porozmawiać. Sprawdził listę. Prenumerata została zawieszona od poniedziałku na czternaście dni. Nie zauważył nic godnego uwagi.

- Większość wyjechała już na wieś - wyjaśnił.

W czasie gdy jego młodszy koledzy jeździli po okolicy, oficer dyżurny dzwonił do domu i do pracy ojca. Jak twierdził, przynajmniej trzy razy w nocy z przerwami co kilka godzin. Nikt nie odebrał. Czym w tym czasie zajmował się Bäckström - nie wiadomo. Gdy dyżurny zadzwonił do niego o trzeciej w nocy, nie odebrał telefonu. Wszystko to opowiedział, gdy jakiś tydzień później rozmawiał z Jarnebringiem.

- Głównie po to, żeby się podrażnić z tym grubasem. W poglądach na tego człowieka zgadzam się całkowicie z kolegą Sundmanem. Gdybym miał wybierać między Bäckströmem a hemoroidami, wybrałbym hemoroidy!

W sobotę przed południem Peter Sundman rozmawiał ze swoim szefem, który rozmawiał z szefem Bäckströma, który z kolei dopilnował, żeby Bäckström przynajmniej oficjalnie wpisał do akt zaginięcie: Yasmine Ermegan, lat dziewięć. Co do jednego zgadzał się z Bäckströmem: „Dobrowolne zniknięcie. Bez podejrzenia o przestępstwie”.

Za kilka dni Yasmine i jej ojciec zjawią się na pewno cali i zdrowi. Potem między nią a jej matką wszystko zacznie się od nowa. Tak się to zwykle dzieje, gdy w powietrzu aż się roi od wzajemnych oskarżeń i pretensji. Tak jest zawsze, gdy

dzieciaki takich rodziców i z takich środowisk uciekają z domu. Wie o tym każdy prawdziwy policjant.

Tym razem było inaczej.

Rozdział 17

Środa, 14 lipca 2010 roku, po południu

- Co by znaczyło, że przez cały pierwszy tydzień nie posunęliśmy się do przodu nawet o milimetr. Aż do dnia, w którym znaleziono dziewczynkę, to znaczy w noc świętojańską, wieczorem dwudziestego pierwszego czerwca - stwierdził Jarnebring i zajrzał do swoich notatek.

- Słucham dalej - powiedział Johansson.

- Klasyka. Jakiś koleś, który wyszedł na wieczorny spacer z psem. Ciekaw jestem, ile tacy jak on znaleźli trupów?

- No tak. Dobrze mieć psa. Nie ma to jak pies.

Jarnebring spojrział na niego ostrożnie. Z Larsem Martinem coś się stało - pomyślał. Co mógł w tej sytuacji zrobić? Na pewno więcej niż do tej pory.

- Tak czy owak - zaczął Jarnebring - wynajął domek niedaleko zamku Skokloster. Gdy spacerował wzdłuż brzegu, psiak zerwał się nagle, pobiegł prosto w sitowie i zaczął szczekać jak opętany. Biedaczka leżała owinięta w takie, wiesz, plastikowe czarne worki, ale pies zaczął je szarpać, więc jego pan zobaczył, co jest w środku. Odkoczył jak oparzony. Przywiązał psa, pognął do domu i zadzwonił pod dziewięćdziesiąt i trzy zera, wtedy jeszcze obowiązywał ten numer. Powiedział, że znalazł trupa zawiniętego w czarny plastik. To był pudel królewski, ten pies. Nazywał się Bossio, akurat zapamiętałem. Jak można, kurwa, nazwać psa Bossio?

- Czekaj, a ty jesteś chyba Bo? - zastanowił się Johansson.

- Owszem - powiedział Jarnebring i wyszczerzył zęby. - Teraz cię poznaję, Lars. - Dobrze widzieć, że nie stoczyłeś się całkiem na dno - pomyślał.

- Czyli leżała w sitowiu - powiedział Johansson. - Nie została zakopana?

- Nie. Zawlókł ją kilka metrów dalej, tam gdzie sitowie było najgęstsze, a potem wcisnął ją albo wdeptał w błoto. To było prawdziwe grzęzawisko. Gdyby nie pies, jeszcze by tam poleżała.

- Dokąd pojechała? To znaczy po tym, jak uciekła od matki.

- Dojdę do tego, spokojnie - powiedział Jarnebring, przeciągając palcem wskazującym po gęsto zapisanych stronach.

Rozdział 18

Piątek, 14 czerwca 1985 roku, wieczorem

Tuż przed siódmą w piątek wieczorem Yasmine wymknęła się matce. Po wyjściu z budynku najprawdopodobniej skręciła w prawo i poszła lub pobiegła niecałe pięćdziesiąt metrów w dół do pierwszego skrzyżowania, przy Skytteholmsvägen. Tam znów skręciła w prawo i przeszła kolejne sto metrów w stronę wejścia do stacji metra, gdzie zauważył ją pierwszy świadek, komisarz policji, Peter Sundman.

Przeszedł jakieś dziesięć metrów od Yasmine. Pomachał do niej, ale chyba go nie zauważyła. Szła zdecydowanym krokiem w stronę wejścia do metra, zniknęła za wahadłowymi drzwiami i z jego pola widzenia. Wyprostowane plecy, zadarta do góry głowa, kurtka przewiązana w pasie i mały plecak, który trzymała w dłoni – wszystko w jej zachowaniu świadczyło o tym, że jest zła i że się jej spieszy.

Znów się pokłóciły – pomyślał Sundman i przez chwilę zastanawiał się nawet, czy za nią nie pobiec choćby po to, żeby porozmawiać. Ale w końcu machnął ręką i zrezygnował. Kilka minut później, gdy wszedł do klatki schodowej, zdenerwowana matka Yasmine wpadła mu w ramiona.

W ciągu kolejnych miesięcy i lat dużo się nad tym zastanawiał. Gdybym wtedy spróbował z nią porozmawiać – myślał. Pocieszał się tylko tym, że był znacznie lepszym

świadczeniem niż przeciętny człowiek i że zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby pomóc kolegom w szukaniu sprawcy.

Policja, to znaczy Bo Jarnebring i jego pięciu kolegów ze sztokholmskiej sekcji dochodzeniowej, znalazła kolejnych czterech świadków, którzy widzieli Yasmine. Żaden z nich nie był kiepskim świadkiem. Przynajmniej troje było znacznie lepszych niż większość świadków. Marna pociecha, jeżeli weźmie się pod uwagę to, co zdarzyło się później.

Drugim świadkiem był bileter na stacji metra Solna Centrum. Pochodził z Iranu – jak Yasmine. Zwrócił na nią uwagę z powodu jej wyglądu. Przy jakiejś okazji zapytał ją nawet po persku, czy jest z Iranu, ale ona nie odpowiedziała, pokręciła głową i zbiegła na peron.

Jarnebring sprawdził go oczywiście dokładnie – sprawdził nawet Sundmana. Bileter miał jeszcze lepsze alibi niż Sundman. Siedział w swojej budce do momentu zamknięcia stacji na noc. Mogło to poświadczyć wiele osób. Świadczyły też o tym wszystkie ślady, również te elektroniczne, które zostawił w czasie wykonywania swojej pracy.

Yasmine pojechała metrem z Solna Centrum do Fridhemsplan, zmieniła linię i pojechała dalej do Alvik. Tam wskoczyła do tramwaju jadącego w kierunku Nockeby, gdzie spotkała świadków numer trzy i cztery.

Świadkiem numer trzy był motorniczy tramwaju kursującego na trasie Alvik – Nockeby. Zamknął drzwi i chciał ruszać, ale w ostatniej chwili zauważył Yasmine. Motorniczy był imigrantem z Turcji, przyjechał do Szwecji

w latach sześćdziesiątych i kierował tym samym tramwajem prawie dziesięć lat. Dobrze znał Yasmine, bo od kilku lat woził ją na trasie ze szkoły. W tramwaju był świadek numer cztery: emerytka, lat siedemdziesiąt pięć, która mieszkała w tej samej okolicy co Yasmine i która również ją rozpoznała.

Motorniczy zagadnął: „Miałaś szczęście”, a Yasmine podziękowała mu, że zaczekał. Emerytka przywitała ją słowami: „Co dobrego słyszeć?”. Yasmine uśmiechnęła się, dygnęła grzecznie: „Dziękuję, wszystko super”. Żaden ze świadków nie zauważył niczego, co by świadczyło o tym, że jest inaczej.

Yasmine przejechała jeden przystanek, tak jak zawsze. Jakieś pół kilometra, co trwało około minuty. Powiedziała grzecznie: „Do widzenia”, i wysiadła. Ostatni odcinek przeszła pieszo. Najwyżej pięćset metrów.

W połowie drogi zauważył ją piąty i ostatni świadek. Mieszkał w willi na Äppelviksgatan, kilkaset metrów od domu ojca Yasmine i jego nowej kobiety na Majblommestigen. Świadek właśnie wyruszał w drogę do żony i dzieci na wsi, żeby „wreszcie zacząć weekend”. Widział Yasmine, kiedy wyjeżdżał z miejsca parkingowego. Szła w kierunku domu ojca, zostało jej jeszcze jakieś sto metrów. Również on ją rozpoznał. Jego najmłodszy syn chodził do tej samej szkoły co Yasmine.

Świadek pojechał dalej w przeciwnym kierunku. Był zestresowany. Miał kilka godzin spóźnienia. Żona zdążyła już go objechać przez telefon. Nie spuszczał oczu z zegarka. Gdy zobaczył Yasmine, była „za piętnaście ósma, tak około”.

Zwrócił na nią uwagę także dlatego, że szła sama, a tego lata w okolicy kręciły się jakieś podejrzane typy, było kilka włamań. Po tym, co się stało, nie było dnia, żeby nie „przeklinał” sam siebie. Powinien pojechać za nią i „dopilnować, żeby przynajmniej dotarła bezpiecznie do domu”.

Yasmine wyszła więc z mieszkania matki krótko przed siódmą. Kilka minut później zniknęła w metrze na stacji Solna Centrum. Najprawdopodobniej pojechała w kierunku Fridhemsplan metrem, które odjeżdżało ze stacji dziesięć po siódmej. Przesiadła się w metro z Fridhemsplan pięć po wpół do ósmej. Sześć minut później wysiadła w Alvik. Wskoczyła do tramwaju w kierunku Nockeby, który zgodnie z rozkładem odchodził za piętnaście ósma. Wysiadła na następnym przystanku zaledwie minutę później. Następnie szła pieszo przez kilka minut. Sto metrów przed domem spotkała ostatniego świadka, który widział ją żywą. Była godzina „za piętnaście ósma, tak około”.

Rozdział 19

Środa, 14 lipca 2010 roku, po południu

- W zasadzie mogliśmy jej towarzyszyć od początku do końca - podsumował Jarnebring zadowolony. - Poza tym ostatnim odcinkiem w górę ulicy, przy której mieszkała. Nazywa się Majblommestigen. Niewielka przecznica Äppelviksgatan. Nawet byliśmy z siebie całkiem zadowoleni.

- Zaczekaj, zaczekaj - powstrzymał go Johansson. - Ten ostatni świadek. Co to był za ptaszek?

- Ciekawa osoba. Dobrze widzieć, że wracasz do siebie, Lars. Że twoje ukryte moce nie całkiem zanikły.

- Ostatni świadek - powtórzył Johansson. - Słucham.

Ostatni świadek miał czterdzieści dwa lata. Żonaty od piętnastu. Z żoną, z zawodu nauczycielką, miał trójkę dzieci: siedemnaście, piętnaście i dziesięć lat. Pracował w dziale odszkodowań w towarzystwie ubezpieczeniowym. Dom, w którym mieszkał z rodziną, kupił z żoną dziesięć lat wcześniej. Człowiek wypłacalny, bez zaległości finansowych, niekarany, ani razu nie przekroczył dozwolonej prędkości.

- No i - powiedział Johansson i spojrzał podejrzliwie na swojego najbliższego przyjaciela.

- W czasie wolnym pływał - powiedział Jarnebring. - Jako młody chłopak należał do szwedzkiej kadry i gdy skończył z czynnym uprawianiem sportu, działał dalej jako trener

młodzieży i w administracji. Miał sporo zadań zarówno w stowarzyszeniu, jak i w klubie, do którego należał. Zajmował się szukaniem sponsorów.

- Trener młodzieży. Co znaczy „trener młodzieży”?

- No tak. Właśnie tutaj robi się ciekawie. Był trenerem dziewczynek od siedmiu do dziesięciu lat. Czyli w wieku Yasmine.

- Niech no pomyślę. Gdzie ja to już słyszałem?

- Też o tym pomyślałem. Zwłaszcza gdy rozmawiałem z jego żoną. Zeznała, że nie wie, o której mąż zjawił się w ich domku na obrzeżach Trosa, oddalonego o godzinę jazdy od Äppelviksgatan. Poszła spać już o dziewiątej wieczorem. Jak powiedziała, dostała silnego bólu głowy. Wzięła dwie tabletki, wskoczyła pod kołdrę i zasnęła. Ich dzieci były u kolegów, miały u nich zostać na noc. Obudziła się dopiero rano. Mąż leżał obok niej. Jeśli chcesz znać moje zdanie, tego wieczora połknęła nie tylko tabletki od bólu głowy.

- To znaczy?

- Jeśli wierzyć sąsiadom, lubiła sobie pociągnąć. Jestem skłonny się z nimi zgodzić. Miałem okazję ją spotkać. Przesłuchiwałem ją kolejny raz, gdy zaczęło się roić od znaków zapytania. Tej pani już dawno zapaliła się czerwona lampka, że tak powiem.

- Nie miał alibi - powiedział Johansson.

- Nie - powiedział Jarnebring. - Ale za to miał niebywałe szczęście.

- Opowiadaj.

- Dwadzieścia po ósmej został zatrzymany za

przekroczenie prędkości, dziesięć kilometrów na południe od Södertälje. Jakies pół godziny po tym, jak wyjechał z domu.

- Powiedziałeś, że nie miał na koncie punktów karnych?

- Bo nie miał. Koledzy, którzy go zatrzymali - z nimi też rozmawiałem - dali mu tylko upomnienie.

- A to czemu, u licha?

- Zdaje się, że jeden z nich był kiedyś pływakiem - powiedział Jarnebring i zarechotał. - Minęła chwila, zanim to wypłynęło.

- Mógł przecież wieźć małą w bagażniku - powiedział Johansson. - To znaczy Yasmine. Może nie jest to aż tak prawdopodobne, ale wedle zeznania żony równie dobrze mogło go nie być przez całą noc.

- Ten chłop był w czepku urodzony - powiedział Jarnebring. - Mówię ci, miał nieprawdopodobne szczęście. Gdy pół godziny później dojechał do domu na wsi, jego najbliższy sąsiad utknął w rowie. Dom był jakies sto kilometrów na południe od Sztokholmu, więc możliwe, że pokonał ten odcinek w takim czasie.

- Już to widzę - powiedział Johansson. - Utknął w rowie. W środku wsi w piątkowy wieczór.

- No tak, chociaż, jak twierdził, nie miał ani kropli alkoholu w krwi. - Jarnebring uśmiechnął się pod nosem. - Z nim też rozmawialiśmy.

- Skracając tę przydługą opowieść - powiedział Jarnebring. - Najpierw pomaga sąsiadowi wyciągnąć samochód z rowu. Potem jedzie do domu, żeby spotkać się z żoną. Ta śpi. Dzieci nie ma. No to jedzie do sąsiada, tego

z rowu. Siedzi przez pół nocy i pije z kolejnymi sześcioma sąsiadami. Dopiero potem wraca do domu i idzie spać. Kupiłem jego alibi. Co byś zrobił na moim miejscu?

- Kupiłbym jego alibi - powiedział Johansson. - Co się stało potem z dochodzeniem?

- Robiliśmy to co zwykle. Grzebaliśmy w przeszłości Yasmine i jej rodziny. Sprawdzaliśmy wszystkich z jej otoczenia. Resztę rodziny, przyjaciół, znajomych, sąsiadów, kolegów ze szkoły, pozostałych kolegów i ich starsze rodzeństwo. Chodziliśmy od drzwi do drzwi, sprawdziliśmy każdego, kto tam mieszka, jak również gazeciarza, listonosza, rzemieślników i wszystkich innych, którzy choć przez chwilę przebywali w okolicy. Sprawdziliśmy kursy taksówek do i z rejonu w czasie jej zaginięcia. Przejrzeliśmy listę zbrojeńców. Sprawdziliśmy wszystkie inne przestępstwa, które zostały popełnione i które w jakiś sposób mogły się łączyć z Yasmine. Poprosiliśmy wielkiego detektywa, to znaczy społeczeństwo, o wskazówki. Ja i chłopaki, było też kilka dziewczyn, zrobiliśmy wszystko, co było do zrobienia. Podręcznikowo. Na dobrą sprawę nie doszliśmy do niczego. Nie znaleźliśmy miejsca popełnienia zbrodni, ale stan jej ciała i ubrań wskazywał, że stało się to w jakimś pomieszczeniu. Było nas zdecydowanie za mało. Zdecydowanie za późno zaczęliśmy. Bez miejsca popełnienia zbrodni wszystko zwykle się jebie. Sprawcy też nie ma.

- Miała na sobie ubranie?

- Nie. - Jarnebring pokręcił głową. - Była naga, zupełnie naga. Żadnych ubrań, żadnej biżuterii, w ogóle nic. Wrzucił

je w to samo sitowie, jakieś sto metrów od ciała. Znalazł je jeden z naszych ludzi z psami dzień później, to znaczy w sobotę dwudziestego drugiego czerwca, gdy przeszukiwaliśmy okolicę wokół miejsca znalezienia ciała. Jej ubrania, buty, plecak, zegarek, pierścionki, dwa, jeśli dobrze pamiętam, zostały wepchnięte do worków podobnych do tych, w jakie zapakowane było ciało. Zdaniem naszych techników były nawet z tej samej rolki. Takiej zwykłej, dziesięć sztuk, można je kupić w każdym sklepie lub na stacji benzynowej. Worki z ubraniami po prostu zawiązał na zwykły babski węzeł, jeśli jesteś ciekaw.

- Z tej samej rolki - powiedział Johansson. - Skąd to wiesz?

- Jeden z kolegów z labu na to wpadł. Zdolny kolega, niezły bystrzak. Ciało Yasmine i jej ubrania zostały zawinięte łącznie w sześć worków. Pierwszych pięć i ostatni z rolki. Czterech pomiędzy brakowało. Musiał ich więc użyć do czegoś innego, gdy po sobie sprzątał. Do czego, nie wiadomo, bo nigdy ich nie znaleźliśmy.

- Zakrwawione prześcieradło i to, co zawsze. A Bäckström? Co on robił?

- To, co zwykle - powiedział Jarnebring. - Gdy się nie chował, gadał o ojcu Yasmine. Nie potrafił się od niego odczepić.

- Nie rozumiem, jak taki Bäckström mógł zostać policjantem - powiedział Johansson, choć myślami był już gdzie indziej.

- W końcu jego ojciec też był policjantem - powiedział

Jarnebring, uśmiechając się złośliwie. – Podobno był jeszcze bardziej paskudny niż syn. Jego stryj też był policjantem. Podobnie jego kuzyn, totalny kretyn i na wszelki wypadek szef wydziału. No więc to nie takie dziwne. Pełno jest takich w policji. Można być wdzięcznym Bäckströmowi za to, że był tak miły i nie dorobił się gromadki dzieciaków, które by poszły pracować w policji.

- Dochodzenie wymknęło się spod kontroli?

- Od samego początku wszystko szło nie tak - powiedział Jarnebring. - Gdy dołączyliśmy, było za późno. Tak jak mówiłem. Nie znaleźliśmy nic godnego uwagi. Nic, za co dałoby się pociągnąć lub co chociaż dałoby się rozwinąć. Wałkowaliśmy to jeszcze przez jesień, aż któryś z naszych licznych przełożonych odłożył dochodzenie na półkę. Jakoś tak po Nowym Roku. Mnie odłączyli od sprawy jeszcze przed świętami. Kilka miesięcy później zamordowali premiera i wszystko inne diabli wzięli. Cały wydział zabójstw i dochodzeniowo-śledczy pracowały nad sprawą Palmego.

- Wiem. - Johansson kiwnął głową. Jak mało kto. Lepiej niż ty, mój przyjacielu - pomyślał.

- Wyobrażam sobie - powiedział Jarnebring i się uśmiechnął.

- Musiały się przecież pojawić jakieś znaki zapytania.

- Jeśli dobrze pamiętam, całe mnóstwo. Największy dotyczył samochodu, który tego wieczoru rzekomo widziano w pobliżu domu jej ojca. Czerwony golf, nowszy model. Dobrze utrzymany, ale nie odpicowany. Wiesz, typowy motyw samochodu, który pojawia się praktycznie we

wszystkich sprawach zabójstw.

- Opowiedz.

- Tu też niczego nie wskóraliśmy.

- Opowiedz - powtórzył Johansson. - Mimo wszystko opowiedz.

Rozdział 20

Środa, 14 czerwca 2010 roku, po południu

Jak wynikało z zeznania zamieszkałego w okolicy świadka, starszego pana, na Majblommestigen, na której mieszkała Yasmine, stał zaparkowany czerwony volkswagen golf. Zaledwie kilka domów dalej, tuż przed skrzyżowaniem z Äppelviksgatan.

Jak to ze świadkami bywa, tego wieczora, kiedy zaginęła Yasmine, wyszedł na spacer z psem i zauważył samochód „jakoś tak między dziewiątą a dziesiątą wieczorem”.

Dalsze czynności miały charakter rutynowy. Najpierw sprawdzono, czy samochód nie należał do kogoś, kto mieszkał na tej ulicy, na sąsiednich ulicach, w bliskiej okolicy. Lub kto w ten czy inny sposób był z nią związany. Okazało się, że nie, i od razu zrobiło się ciekawiej. Wszyscy okoliczni właściciele golfów zostali skreśleni z listy podejrzanych, choć znaleziono kilka tego typu aut, a nawet dwa we właściwym kolorze.

Kolejnym krokiem było wyszukanie w rejestrze samochodów dla Sztokholmu i okolic wszystkich czerwonych golfów zarejestrowanych na prywatnych właścicieli, firmy, także leasingowe i wynajmujące samochody. Choć ograniczono się do najnowszych modeli, i tak znaleziono ich setki.

W tym czasie świadek, jak to ze świadkami bywa, zaczął

coraz bardziej kluczyć. Najpierw stracił pewność co do dnia, potem co do modelu („w końcu nie jestem ekspertem”), a na koniec nawet co do koloru.

Do tego czasu Jarnebring z kolegami uzbierali cały karton wydruków z rejestru samochodów. Wysypujące się z niego kartki tylko czekały, żeby ktoś się nimi zajął. Z powodu nadmiaru pracy wyszło jak zawsze. Na początek sprawdzono właścicieli mieszkających na terenie między Solną a Brommą, którzy mogli ewentualnie spotkać Yasmine w drodze od matki do ojca, jak również tych, którzy trafili do rejestru karnego i rejestrów osobowych za wcześniejsze przestępstwa. Zwłaszcza jeśli przypominały one to, którego ofiarą padła Yasmine.

Nie znaleziono jednak niczego godnego uwagi, a wszystko, co znaleziono, dało się łatwo odrzucić. Praca została więc przerwana lub przynajmniej zawieszona na czas nieokreślony.

- Żałuję, że nie dorzuciłem tego cholernego samochodu do sprawy Palmego pół roku później - powiedział Jarnebring. - Wtedy wyciśnięto by go jak cytrynę.

Nie byłbym tego taki pewien - pomyślał Johansson, który wiedział lepiej, ale niczego nie powiedział, bo w tej samej chwili przyszła mu do głowy myśl. Zupełnie oczywista, jeżeli się weźmie pod uwagę okoliczności.

- Musimy sprawdzić to w terenie - powiedział Johansson.
- Muszę zobaczyć dom, w którym mieszkała, sprawdzić trasę, którą jechała, przyłożyć ucho do szyny, wiesz, o czym mówię.

- Sprawdzić w terenie - powtórzył Jarnebring. Ten znów swoje - zasepił się.

- Otóż to.

- W białym szpitalnym szlafroku i szpitalnych kapciach?

- Racja. Nie przejdzie. Przynieś mi jutro trochę ubrań, co? Nic wielkiego. Jakies wygodne portki, slipy i koszulę. No i buty. Buty muszę mieć.

- Powiadasz.

- No to, kurwa, ładnie. Wygląda na to, że przez ostatnie dwadzieścia pięć lat nic się w tej sprawie nie ruszyło.

- Prawda. Choć może nie do końca. Wiosną osiemdziesiątego dziewiątego, gdy w Skanii zaginęła Helene Nilsson, dochodzenie wznowiono. Głównie po to, żeby sprawdzić, czy jest coś, co ewentualnie łączy zabójstwo Helene z zabójstwem Yasmine. Nic na to nie wskazywało. Sprawcy mieli różne grupy krwi. Gdy po latach zbadano DNA mordercy Yasmine, stało się jasne, że chodziło o dwie różne osoby. Sprawę znów odłożono.

- I od tego czasu nic się nie wydarzyło?

- Rutynowe czynności i analizy porównawcze ze sprawami, które pojawiały się przez te lata. Ostatni raz zimą, pół roku przed przedawnieniem, pojawił się pomysł, żeby zajął się tym zespół Archiwum X z wydziału kryminalnego Komendy Wojewódzkiej, ale że w tym samym czasie odstrzelili głowę temu prokuratorowi z Huddinge, to mieli co innego do roboty.

- Archiwum X - parsknął Johansson. - Kto by tracił czas na takie bzdury? Sprawy zabójstw mają krótki okres

ważności.

- Brzmi rozsądnie - powiedział Jarnebring. - Bardzo rozsądnie - dodał z jakiegoś powodu.

- A wy co tu knujecie? - zapytała Pia Johansson, stając nagle w drzwiach.

Rozdział 21

Środa, 14 lipca 2010 roku, wieczorem

Jarnebring przytulił Pię na powitanie, choć stała już przy łóżku, gładząc ostrożnie męża po policzku. Odchrząknął i włożył kartki do kieszeni.

- No to cześć pieśni - rzucił.

- Zaiste - powiedział Johansson. - Uważaj na siebie, Bo. Widzimy się jutro. Nie zapomnij, co mi obiecałeś.

- Co on ci tym razem obiecał? - Pia spojrzała z ciekawością na Jarnebringa.

- Na pewno nie kiełbasę ani bimber - powiedział Jarnebring. - Obiecałem, że wpadnę. Powoli wraca do siebie, lepiej, żebym miał na niego oko.

Potem kiwnął głową, poklepał swojego najbliższego przyjaciela po ramieniu i ruszył w stronę wyjścia. Zatrzymał się w drzwiach i kiwnął raz jeszcze.

- Nie poznaję Bo - powiedział Johansson, gdy zamknęły się za nim drzwi. - Chyba się tym wszystkim przejął - dodał. Po co to mówię? Przecież sama widzi, że z Jarnebringiem coś się stało - pomyślał.

Pia usiadła na łóżku. Pochyliła się i głaskała męża ostrożnie po policzkach i czole.

- A ty jak się czujesz? - zapytała.

- W porządku. - Johansson kiwnął głową. - Jestem

zmęczony, może nawet lekko przygnębiony, ale od dawna tak dobrze się nie czułem.

- Rozmawiałam z pielęgniarką oddziałową. Powiedziała, że kiepsko jesz. Musisz jeść. Chyba to rozumiesz? - Spojrzała na niego z powagą.

- Przecież jem - powiedział Johansson. - Kefir, owoce, warzywa, błonnik i co tam jeszcze. Zjadłem dwa banany i jabłko. Bo przyniósł całą siatkę.

- Ale nie kiełbasę - powiedziała Pia.

- Nie. - Johansson pokręcił głową. - Przestała mi smakować.

- O czym jeszcze rozmawialiście z Bo? Słyszałam, że był tu całe popołudnie.

- Stare dzieje - powiedział Johansson. - Stare dzieje, o których zapomniałem. Praca i cała reszta. Nic, co dotyczy ciebie i mnie - dodał. Dlaczego to powiedziałem? - pomyślał.

- Jesteś pewien, że nie chcesz nic zjeść?

- Nie trzeba.

- Zdrzemniesz się teraz?

- Pod warunkiem że położysz się obok.

- Jeżeli się przesuniesz i obiecasz, że nie będziesz chrapać.

- Obiecuję - powiedział Johansson.

Potem przesunął się i ułożył na boku. Pia położyła się obok niego. Objął ją zdrowym ramieniem, ostrożnie przytulił. Potem zasnął. Spał, nic więcej. Tej nocy nic mu się nie śniło, choć powinien był przecież śnić o Yasmine.

Rozdział 22

Czwartek, 15 lipca 2010 roku, przed południem

Z każdym dniem życie stawało się coraz bardziej przewidywalne i uporządkowane. Najpierw Johansson pokuśtykał do toalety o własnych siłach, opierając się jedynie na lasce z gumową stopką, i to jeszcze trzymanej w niewłaściwej ręce. Mniejsza z tym, że krok za nim szedł zaniepokojony pielęgniarz.

Potem wziął lekarstwa i zjadł pożywne śniadanie w całkiem nowym stylu. Pewnie też się zdrzemnął, bo kiedy podniósł wzrok, przy jego łóżku siedziała Ulrika Stenholm. Uśmiechała się do niego, przekrzywiając lekko głowę. Czego się spodziewał?

- Z każdym dniem jest z tobą lepiej - powiedziała.

- Znalazłaś ją? - zapytał Johansson.

- Czy znalazłam?

- Tę informatorkę. Obiecałaś, że zajrzysz do papierów ojca.

- Wiem. Nie, nie znalazłam jej. Ale zaczęłam szukać. Sporo się tego nazbierało. Jakieś dwadzieścia kartonów i papierowych toreb ze starymi papierami. Wycinki z prasy, zapiski, szkice kazań, które wygłosił, stare kalendarze, listy, całe sterty listów i pocztówek, co tylko chcesz.

- Ułożył je chronologicznie?

- Nie pomyślałam o tym. Ale skoro tak mówisz... Pewnie

odkładał je, w miarę jak ich przybywało. Ale nie leżą w jakimś określonym porządku. Raczej wymieszane. Chociaż oczywiście jakiś rodzaj chronologii w tym jest. Przyszło mi to nawet do głowy wczoraj, gdy czytałam zachowane przez niego listy. Wyglądało, jakby były z tego samego roku. To znaczy wszystkie, które miały datę.

- Przypomnij mi, w którym to roku przeszedł na emeryturę?

- W osiemdziesiątym dziewiątym, latem. Chyba jakoś tak na początku lata. Dlaczego pytasz?

- Spróbuj dokopać się do dokumentów z dwóch ostatnich lat pracy. Od lata osiemdziesiątego dziewiątego do lata osiemdziesiątego siódmego - powiedział Johansson. - Zaczynaj od osiemdziesiątego dziewiątego i idź do tyłu.

- A co z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym? - zaprotestowała Ulrika Stenholm. - Przecież zginęła latem osiemdziesiątego piątego. Nie sądzisz, że powinnam od tego zacząć?

- Zrób, jak mówię - powiedział Johansson. No to trafiłem na docenta - pomyślał.

- Teraz się zaciekawiłam - powiedziała Ulrika Stenholm. - Dlaczego chcesz, żebym zaczęła od tyłu?

- Żeby wydusić z siebie coś takiego, potrzeba czasu - powiedział Johansson. Policjantką to ty nie jesteś - pomyślał.

Potem spotkał się z rehabilitantką i ustanowił dwa osobiste rekordy. Pierwszy w ściskaniu czerwonej piłeczki prawą ręką, drugi w zginaniu prawego ramienia. Udało mu się prawie do połowy.

- Ramię, Lars. Wiem, że potrafisz. Dalej, chwyć się sam za ramię.

- Może jutro - powiedział Johansson. Jutro też jest dzień - pomyślał.

Od razu jednak lepiej się poczuł. Chociaż nie dał rady poklepać siebie samego po ramieniu, ożywił się tak, że zdecydował się nawet na stek à la Lindström, który podano na lunch. Sosu i ziemniaków nie tknął. Muszą być przecież jakieś granice.

Zjadł w samą porę, bo ledwo salowa wyniosła tacę, do pokoju wkroczył Jarnebring z trzema grubymi skoroszytami pod pachą. Nie przyniósł jednak ani spodni, ani koszuli, ani butów.

Rozdział 23

Czwartek, 15 lipca 2010 roku, po południu

Jarnebring usiadł. Położył skoroszyty na łóżku.

- A to, kurwa, co? - powiedział Johansson, pokazując skoroszyty. Gdzie są, kurwa, moje spodnie - pomyślał.

- Pamiętasz Kjelle Hermanssona, Hermana, co? - Jarnebring spojrzał na niego. - Nasz młodszy kolega, pracował w wydziale zabójstw w czasie, gdy my pracowaliśmy w dochodzeniówce.

- Skończ już - przerwał mu Johansson. - Jasne, że pamiętam Hermana. - Co on ma niby wspólnego z moimi spodniami? - pomyślał.

- Porządny chłopak - powiedział Jarnebring. - Zdolny policjant. Od kilku lat jest w Komendzie Wojewódzkiej. To on kieruje zespołem Archiwum X.

- Aha - powiedział Johansson. Wciąż ani śladu obiecanych ubrań.

- Gdy się zorientowałem, jak bardzo zainteresowała cię ta sprawa, pomyślałem, że zamienię słowo z Hermanem - powiedział Jarnebring. - Okazało się, że całe dochodzenie w sprawie Yasmine leży u niego. Jak wiesz, uległo przedawnieniu. Minęło się z tymi nowymi przepisami o kilka tygodni. Zapytałem go więc, przy okazji cię pozdrawia, czyby nie mógł mi przygotować tego, co zwykle, o czym wiem, że lubisz sobie na to popatrzeć.

- Tego co zwykle?

- Zgłoszenie zdarzenia, oględziny miejsca zbrodni, wszystkie raporty techniczne, protokół z obdukcji, przesłuchania świadków, łącznie z matką i ojcem, i tymi, którzy ją widzieli, raport z obchodu, no wiesz, to co zwykle.

- Wiem - powiedział Johansson.

- To masz - powiedział Jarnebring i otworzył pierwszy skoroszyt. - Wyjąłem wszystkie spinacze, żeby ci było łatwiej przeglądać. Co drugą kartkę włożyłem czystą, na wypadek gdybyś chciał coś sobie zapisać. Tak będzie ci łatwiej, to znaczy z uwagi na twoje ramię. Najpierw masz spis treści, zgłoszenie zdarzenia, a potem całą resztę, tak jak lubisz.

- To miłe z twojej strony, Bo - powiedział Johansson. - Że tak się o mnie troszczysz - dodał i o mało co znów się nie rozplakał.

Na szczęście miał pod ręką chusteczkę, wytarł więc kilka razy nos, żeby przeczekać najgorszą falę.

- W porządku, Lars? - Jarnebring spojrzał na niego zaniepokojony.

- Jasne - powiedział Johansson. - To przez to lekarstwo - skłamał. - Ma się po nim straszny katar.

- Na pewno?

- Tak. Ty, a gdzie masz, kurwa, moje ubrania? Czy mi się zdaje, czy obiecałeś, że mnie stąd zabierzesz, żebym mógł rzucić okiem na jej dom? Sprawdzić trasę od mamy do taty? Spojrzeć na miejsce, w którym znaleziono ciało? W pobliżu Skokloster.

- Rozmawiałem z Pią - powiedział Jarnebring. - I z

oddziałową. Ich zdaniem to nie jest dobry pomysł.

- Do diabła, Bo! Co to ma do rzeczy? Myślałem, że jestem pełnoletni? Nie trzymają mnie tu przecież siłą. Najwyższy czas, żebyście ty, Pia i cała reszta zaczęli traktować mnie jak pełnoprawnego obywatela.

- Jeśli chodzi o mnie, to na razie traktuję cię jak zwykłego pacjenta. Oczywiście pod warunkiem że przestaniesz gadać od rzeczy, bo inaczej potraktuję cię jak uciążliwego pacjenta zakładu psychiatrycznego, a temu byś nie podołał nawet ze sprawną prawą ręką.

Johansson więcej się nie odezwał. Niezbyt go to ruszyło. Nie miał zamiaru się roześmiać.

- Od czego chcesz zacząć?

- Opowiedz o tym, jak umarła.

- Wszystko jest tutaj - powiedział Jarnebring, podnosząc kolejny skoroszyt. - O ile chcesz sam to przeczytać. Tu znajdziesz wszystko na ten temat. Protokół z obdukcji, badania chemiczne, raport z laboratorium, oględziny miejsca znalezienia zwłok, jej ubrania, czego tylko dusza zapagnie.

Johansson pokręcił głową. Nie miał siły przerzucać kartek, a gdy próbował coś przeczytać, ból głowy wracał.

- Lepiej opowiedz. Zaczynaj od tego, jak umarła. Kto przeprowadzał obdukcję?

- Sjöberg - powiedział Jarnebring. - Chodząca legenda, profesor Sjöberg. Ten, co potrafił prowadzić obdukcję na dwóch biedakach jednocześnie. Nie przerywając przy tym wykładu.

- Myślałem, że był już wtedy na emeryturze.

- Bo był - powiedział Jarnebring. - Ale tego lata na medycynie sądowej był niezły cyrk. Pamiętasz tego obducenta, tego, który był podejrzewany o zabójstwo prostytutki? To było latem rok wcześniej...

- Pamiętam - przerwał mu Johansson. Nie był bardziej szalony od swoich kolegów po fachu - pomyślał.

- Został wywalony z roboty. Kilku jego kolegów złożyło wymówienie, a następcą Sjöberga, ten ślepiec z Jugosławii, ten krótkowidz, co to rano witał się z juką, która stała przy wejściu...

- Pamiętam - wtrącił Johansson. - Co on ma z tym wspólnego?

- Nic - powiedział Jarnebring i pokiwał głową, jakby chciał podkreślić to, co przed chwilą powiedział. - Wyjechał za granicę prowadzić badania. Chociaż to nie w tym miejscu uciskały go buty, jeśli chcesz znać moje zdanie. Nieważne. Na miejscu zostało niewielu. Sjöberg wrócił więc, żeby zaprowadzić porządek w swoim dawnym miejscu pracy. Na takich, co gwałcili i mordowali dziewczynki, miał szczególnie wyczulone oko, jak pewnie pamiętasz.

- Sjöberg - powiedział Johansson. - Całkowicie pozbawiony zahamowań, a gdy miał rację, nie potrzeba było ani policji, ani oskarżyciela, ani sądu. - Trudno lepiej trafić - pomyślał. - Słucham - powiedział i oparł się o poduszkę.

Rozdział 24

Środa, 26 czerwca 1985 roku

Obdukcja Yasmine Ermegan została przeprowadzona w sobotę dwudziestego drugiego i niedzielę dwudziestego trzeciego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku. Protokół z obdukcji sporządził i podpisał trzy dni później, w środę dwudziestego szóstego czerwca, *profesor emeritus*, doktor nauk medycznych i dyplomowany lekarz, Ragnar Sjöberg. Jego podpis był czytelny, pismo eleganckie, harmonijnie zaokrąglone, lekko przechylone. Złożona osobowość.

Wstępne informacje Jarnebring i jego koledzy dostali już wcześniej, w sobotę wieczorem dwudziestego drugiego czerwca, a zaledwie kilka dni później, w dniu, w którym Sjöberg wysłał protokół kurierem, zadzwonił do Jarnebringa, żeby zaprosić jego i jego kolegów z dochodzeniówki do siebie na „poufną i szczerą rozmowę”. Pod warunkiem że nie przyprowadzą ze sobą Everta Bäckströma.

- Nie mam nawet siły patrzeć na tego przygłupa - wytłumaczył Sjöberg. - Pocieszam się tylko tym, że prędzej czy później trafi tu do mnie, do mojego dawnego miejsca pracy, i to w takim stanie, że nawet ja nie będę mógł zrobić z nim niczego sensownego.

Zachowując w pamięci te pobożne życzenia, Jarnebring i jego koledzy odbyli dłuższą i owocną rozmowę z chodzącą

legendą, profesorem Sjöbergiem. Yasmine Ermegan w chwili śmierci ważyła „jakieś trzydzieści trzy kilo” i miała „jakieś sto trzydzieści trzy centymetry wzrostu” – Sjöberg nie mógł być bardziej dokładny, bo Yasmine nie żyła od blisko tygodnia, a jej ciało przez większość czasu leżało zawinięte w czarny plastik i wciśnięte w muł w sitowiu kilka kilometrów na północny zachód od zamku Skokloster w Upplandii.

Yasmine została uduszona, prawdopodobnie poduszką. W jej gardle Sjöberg znalazł ptasie pierze, a między zębami kilka białych włókien.

– Gryzła poduszkę, gdy ją dusił, stąd pierze i resztki włókien – wyjaśnił Sjöberg. – Chciałem wam na to zwrócić uwagę – zaznaczył. – Pierze nie dostało się tam, gdy leżała w sitowiu. Pies rozerwał co prawda plastik, w który była owinięta, ale tylko od strony stóp. Poza tym pierze tkwiło tak głęboko w przełyku, że mogło się tam dostać tylko wtedy, gdy jeszcze oddychała.

Wcześniej Yasmine została zgwałcona. Do penetracji doszło przez waginę, a rany w jej podbrzuszu były z rodzaju takich, jakie powstają zawsze, kiedy dorosły mężczyzna molestuje dziewczynkę w ten sposób. Z jej pochwy pobrano wydzielinę sprawcy, nie znaleziono jednak śladów spermy. Znaleziono ją za to, i to w sporej ilości, na jej brzuchu, piersiach i włosach. Jak również na jej różowym T-shircie.

– Wszedł z niej przed wytryskiem i ejakulował na jej brzuch, piersi i głowę – wyjaśnił Sjöberg Jarnebringowi i jego kolegom.

Na ciele Yasmine nie znaleziono natomiast śladów walki, czego wyjaśnienie Sjöberg i jego koledzy z laboratorium znaleźli w jej krwi i niektórych organach. Silny i szybko działający środek nasenny. W stężeniu trzykrotnie większym niż zalecane, jeżeli się uwzględni jej wiek i masę ciała.

- Jedynym pocieszeniem w tych smutnych okolicznościach jest to, że musiała być nieprzytomna, gdy ją gwałcił - stwierdził Sjöberg.

- I mimo to gryzła poduszkę, gdy ją dusił? - zapytał Jarnebring. Lepiej od razu zapytać - pomyślał.

- Mógł to być odruch bezwarunkowy, wywołany duszeniem - powiedział Sjöberg. - Mogło być jednak znacznie gorzej - mogła się zacząć wybudzać. Bo upłynęło już trochę czasu albo poczuła ból w podbrzuszu. Albo i jedno, i drugie - westchnął.

- Poza tym dziewczynka była w pełni zdrowa. Nawet najmniejszego zrosniętego złamania lub śladu dawnych infekcji, które można znaleźć u prawie wszystkich dzieciaków. Okaz zdrowia.

- Masz pomysł, jak to się stało?

- A myślisz, że po co was tu ściągnąłem? - powiedział Sjöberg z lekkim uśmiechem. - Pomyślałem, że dam wam to, o co zawsze jęczycie, a czego nikt rozsądny w moim fachu nie dałby wam na piśmie.

- To dla nas szczególnie cenne - powiedział Jarnebring.

- No tak - powiedział Sjöberg, wzruszając ramionami. - Poza tym jestem już na emeryturze. A kto by miał siłę z takim zadzierać? Więc myślę, że było tak... Najpierw sprawca

podał jej środek nasenny. Pewnie zmieszał go z jakimś słodkim, intensywnym w smaku napojem, żeby zabić goryczkę. Sądząc po zawartości jej żołądka, mogła to być coca-cola. Lub też jakiś mocny sok albo coś podobnego. Coś, co zabiło smak leku.

Po dziesięciu minutach dziewczynka już spała. Sprawca położył ją na łóżku i rozebrał do naga, zdjął nawet zegarek i pierścionki.

- Oni zawsze tak robią, dokładnie w tej kolejności - wyjaśnił Sjöberg. - O tym, że mogło to być łóżko, świadczy poduszka. Zwykle zależy im też na tym, żeby ofiara była zupełnie naga. Najczęściej najpierw stoją i się jej przyglądają, eksponują jej ciało, układają i lekko obracają, oglądają pod różnymi kątami. Małe i bezbronne, samotne, zdane na ich łaskę. Zwykle się nie spieszą. Potem ją zgwałcił. Miał z nią stosunek waginalny. Wyjął członek przed wytryskiem. Trysnął nasieniem na jej brzuch, piersi i głowę. Po wszystkim wytarł przyrodzenie w jej różowy T-shirt. Wygląda mi to na młodego mężczyznę. Dużo spermy, silny wytrysk. Nie jakiś zmęczony stary dziad.

- Czy był w niej kilka razy? - to pytanie zadał jeden z kolegów Jarnebringa.

- Nie wydaje mi się - powiedział Sjöberg. - Po pierwszym razie dziewczynka zaczyna silnie krwawić. Wielu z nich ma z tym kłopot. Prawdziwi sadyści mają dokładnie na odwrót, ale w tym wypadku jestem zdania, że mamy do czynienia z bardziej wrażliwym typem pedofila. Bardziej taktownym, jak usłyszałem raz od takiego jednego, gdy dokonywałem

ogłędzin jego ciała.

Na koniec facet udusił Yasmine poduszką. Gdy dotarło do niego, że nie ma wyboru, jeśli chce, żeby mu to uszło na sucho.

- Za gwałt siedziałby pewnie siedem, osiem lat - powiedział Sjöberg. - Lepiej zaryzykować. I jeszcze to wszystko, o czym zwykle myślą, robiąc kalkulację. Społeczne konsekwencje, że tak to nazwę. Nie wygląda mi na szaleńca. Nie zadławił jej, nie poderznął jej gardła, nie uderzył jej po prostu w głowę, choć byłoby to pewnie znacznie łatwiejsze. Najmniejszego śladu sadyzmu. Wybrał najbardziej ludzki wariant i zadusił ją poduszką. Nie musiał na nią patrzeć, gdy to robił. Tak jak powiedziałem: wrażliwy pedofil, akceptowany przez otoczenie, które z pewnością nie ma pojęcia o jego preferencjach seksualnych. On sam jest zdania, że nie miał wyboru. Że to, co się stało, nie było jego winą. Po prostu się stało.

- Jednym słowem, prawdziwy obrzyganiec - powiedział Jarnebring. Zabiję tego sukinsyna - pomyślał. Myśl była tak silna, że poczuł ją w pięściach.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - powiedział Sjöberg. - Gdybyś w trakcie zatrzymania przez przypadek połamał mu rękę i nogi, obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby udowodnić, że zrobił to sobie sam.

A aspekt czasowy? Czy mógł powiedzieć coś na ten temat? W odniesieniu do gwałtu, morderstwa?

Sjöberg był zdania, że wszystko, co powiedział do tej pory, zdarzyło się krótko po zniknięciu Yasmine. Prawdopodobnie

nie żyła już tego samego wieczoru, w piątek czternastego czerwca. Świadczyła o tym między innymi zawartość jej żołądka.

A porzucenie ciała? Tu nie był taki pewny. Gdyby miał zgadywać, Sjöberg uważał, że sprawca porzucił Yasmine następnej nocy. Choćby około północy, gdy było dostatecznie ciemno, żeby nie został nakryty, i dostatecznie jasno, żeby nie stanął krzywo, nie potknął się, niechcący nie przewrócił i nie uderzył, gdy był zajęty robieniem tego, co robił. Przecież był taki wrażliwy.

Rozdział 25

Czwartek, 15 lipca 2010 roku, po południu

- Sjöberg był prawdziwie mądrym człowiekiem - stwierdził Jarnebring. - Ale w kolegę Bäckströma nie dane mu było wbić noża. Odszedł dziesięć lat temu. Przekroczył pięćdziesiątkę. Podejrzewam, że do samego końca miał nadzieję. Próbował, ale się nie udało.

- Problem w tym, że tacy jak Bäckström nigdy nie umierają - powiedział Johansson. - Chrzanić go. Opowiedz mi lepiej o Yasmine. Czy była jedną z tych wesołych, spragnionych kontaktu i ufnych dziewczynek, które poszłyby z kimś nieznanym?

- Nie według jej rodziców - powiedział Jarnebring. - Jej matka i ojciec często rozmawiali z nią o tym, że nie wolno jej zadawać się z nieznanymi. Że powinna unikać kontaktu z nieznanymi dorosłymi, z mężczyznami i z kobietami. Jak również z innymi dziećmi i nastolatkami, jeśli nie wiedziała, kim są i czy można im zaufać. Podobno Yasmine była wyjątkowo mądra i dojrzała jak na swój wiek; dobrze wychowana, ale mająca własne zdanie. Śliczna dziewczynka, tak na marginesie. Włożyłem kilka jej zdjęć, możesz je potem obejrzeć. Duże, ciemne oczy i długie, czarne włosy. Zdolna uczennica. Lubiana przez kolegów i koleżanki, na pewno miała powodzenie wśród chłopców. Starannie dobierała ubrania. Taka trochę mała kokietka, jak to się mówi.

- Według rodziców, to jasne - prychnął Johansson.

- Wiem, co chcesz przez to powiedzieć - powiedział Jarnebring. - Ale potwierdzili to i jej nauczycielka, i wszyscy, którzy ją znali.

- Może była taka na co dzień - powiedział Johansson. - Ale to nie był zwykły wieczór. Najpierw ucieka od matki. Gdy przyjeżdża do ojca, dom stoi pusty, ojca nie ma, chociaż nic o tym nie wspominał. Na domiar złego zapomniała kluczy. Nie ma przy sobie telefonu - w tych czasach nie było przecież komórek. Wydaje mi się, że równie dobrze mogło jej przyjść do głowy całe mnóstwo rzeczy, których zwykle by nie zrobiła.

- Podzielam twoje zdanie - powiedział Jarnebring. - Co niekoniecznie ułatwia sprawę.

- Jak oni tu trafili? To znaczy ona i jej rodzice - powiedział Johansson, choć myślami błędził w czasie i życiu, które miały nastąpić dopiero długo potem. Może chciała tylko skorzystać z telefonu, żeby zadzwonić do mamy - pomyślał. Zapukała do jakiegoś wzbudzającego zaufanie pedofila wrażliwca. Który chciał tylko popatrzeć na nią, gdy śpi naga w jego łóżku, a on już sam się obsłuży. Ale żądza - to też nie była jego wina - wbiła w niego szpony, nie dając mu wyboru.

- Nie znam się zbyt na polityce - powiedział Jarnebring, ale zawsze mogę...

- Przepraszam - powiedział Johansson. - Mówiłeś coś o polityce? - Obudź się - pomyślał.

- Jej rodzice przyjechali tu jako uchodźcy polityczni z Iranu - powiedział Jarnebring. - Zimą tysiąc dziewięćset

siedemdziesiątego dziewiątego. Yasmine miała wtedy skończone trzy lata.

- No dobra, nadażam - powiedział Johansson.

Jarnebring „nie znał się zbytnio na polityce”, ale rozmawiał z rodzicami Yasmine i wysłuchał, co mieli na ten temat do powiedzenia. Porównał to z tym, co przeczytał na ich temat w dokumentach sporządzonych przez biuro imigracyjne, gdy trafili do Szwecji i zaraz po wylądowaniu na Arlandzie - dwudziestego stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego - złożyli wniosek o azyl polityczny. Choć raz strony były wyjątkowo zgodne. Ryzyko, że mogłyby ich dosięgnąć „prześladowania polityczne” w absolutystycznym Iranie zostało ocenione jako „bezpośrednie i znaczące”. Ich rodzina należała do mniejszości chrześcijańskiej, byli przedstawicielami klasy wyższej i zwolennikami szacha. Ojciec „Yused” - bo tak wyglądała pisownia jego imienia w irańskim paszporcie - jego żona Maryam oraz ich trzyletnia córka Yasmine szybko dostali azyl.

Rodzice Yasmine mieli wyższe wykształcenie. Ojciec był lekarzem z dyplomem uniwersytetu w Teheranie. Na tym samym uniwersytecie jej matka ukończyła studia pielęgniarские. Poza tym mieli związki z krajem, który miał się stać ich nową ojczyzną. „Josef” Ermegan - pisownię imienia zmienił, gdy tylko dostał prawo stałego pobytu - miał kilku krewnych, którzy mieszkali w Szwecji. Między innymi stryja, wziętego lekarza, profesora biochemii w Karolinska Institutet.

- Zdaje mi się, że ojciec już po roku zdobył uprawnienia - powiedział Jarnebring. - Musiał tylko uzupełnić kilka kursów. Matka Yasmine przekwalifikowała się na stomatologa. Nie zajęło jej to więcej niż rok. Rodzinie przyznano obywatelstwo w lutym osiemdziesiątego piątego. Zaledwie pół roku przed zabójstwem Yasmine. Dopiero wtedy rodzice wnieśli oficjalnie pozew o rozwód. W separacji byli już od około roku, ale raczej się z tym nie obnosili, pewnie z uwagi na złożony wcześniej wniosek o przyznanie im obywatelstwa.

Co ich rozwód ma z tym wspólnego? - pomyślał Johansson, ale tylko pokiwał głową.

- Pamiętasz te donosy na ojca Yasmine, w których jej matka twierdziła, że ją bił? Mówiłem ci o nich.

- Tak - powiedział Johansson.

- Pojawiają się dopiero po tym, jak już zostali obywatelami Szwecji.

- No tak, ale tak było przecież dużo wygodniej, zwłaszcza dla ojca - powiedział Johansson. - Po co niepotrzebnie komplikować? Przecież obiecał jej małą i trochę kasy na utrzymanie, jeśli będzie siedzieć cicho.

Znowu jest jakiś dziwny - pomyślał Jarnebring. - Coś tu się nie zgadza.

- Co się stało potem? - zapytał Johansson. - Z rodzicami. Żyją?

- Nie słyszałem, żeby było inaczej - powiedział Jarnebring. - Ale nie mieszkają już w Szwecji. Ojciec wyjechał do Stanów w dziewięćdziesiątym dziewiątym. Sam. Kobietę, z którą mieszkał, gdy zamordowano mu córkę, szybko zostawił.

Słyszałem, że świetnie sobie radzi. Podobno jest bogaty jak Sknerus McKwacz. Jest właścicielem jakiejś dużej firmy farmaceutycznej. Od lat ma obywatelstwo amerykańskie. Przed wyjazdem zmienił nazwisko na Joseph Simon, Joseph przez „ph”, a Simon po ojcu, bo podobno jego ojciec miał tak na imię. Jak ten z Simon i Garfunkel, no wiesz.

- A matka Yasmine?

- Podobno zwariowała. Wróciła do Iranu w połowie lat pięćdziesiątych. I stała się mahometanką. Nosi burkę i tak dalej.

- Chciałeś powiedzieć, przeszła na islam.

- Właśnie. Zaczęła biegać w burce, czy jak to się tam nazywa.

- Brzmi całkiem praktycznie.

- Z pewnością - zgodził się Jarnebring. - Skoro już jesteś kobietą i mieszkasz tam, gdzie mieszkasz, to można powiedzieć, że nie masz zbyt dużego wyboru.

On przetrwał - pomyślał Johansson. - Stwardniał, sięgnął po to, co było w nim najgorsze, i przeżył dzięki swojej nienawiści. Ona pewnie przeszła załamanie i odrzuciła życie, którym żyła do tej pory.

- Trochę się zmęczyłem - powiedział Johansson. - Nie będziesz mieć mi za złe, jeśli poproszę o *time-out* i chwilę się zdrzemnę?

- W żadnym wypadku.

- Prawda, że widzimy się jutro?

- Wiadomo - powiedział Jarnebring. - Możesz być pewien i już się gotować, ten sam czas i miejsce.

Potem stało się coś bardzo dziwnego. Gdy Jarnebring pochylił się nad łóżkiem, żeby poklepać Johanssona po przyjacielsku w ramię, ten wyciągnął prawą rękę. Po prostu. Uniósł ją nad pościelą, na której leżała przez cały ten czas, i wyciągnął ją jak gdyby nigdy nic.

Jarnebring chwycił jego dłoń. Uścisnął, ale ostrożnie, jakby to była dłoń dziecka.

- Ściśnij, Lars - powiedział Jarnebring. - Pozwól mi sobie przypomnieć twój dawny uścisk.

- Wszystko będzie - powiedział Johansson. Wszystko będzie - pomyślał.

- Ty, Jarnis - powiedział Johansson, gdy przyjaciel był już w drzwiach. - Nie zapomnij o moich portkach.

I zasnął. Na plecach, z dłońmi splecionymi na brzuchu, jak to zwykle robił, zanim zrobił mu się w głowie ten badziew, który tak naprawdę był tylko bonusem, dodatkiem do chorego serca.

Spał głęboko, gdy Pia przyszła wieczorem. Usiadła na krześle przy łóżku i siedziała tak przez kolejnych kilka godzin, patrząc na niego. Choć raz nie chrapał. Leżał na zdrowym lewym boku, w zupełnej ciszy, zastygły.

Dotknęła ostrożnie jego twarzy i prawego ramienia. Nie poruszył się, na twarzy nie dostrzegła najmniejszego drgnięcia. Poczowała silny lęk, którego nie potrafiła wytłumaczyć.

On śpi - pomyślała. - On śpi - powtórzyła. - Żeby tylko nic się nie stało.

Potem pojechała do domu.

Rozdział 26

Piątek, 16 lipca 2010 roku

Kolejny dzień w nowym życiu Larsa Martina Johanssona, który rozpoczął się od ustanowienia kolejnych dwóch rekordów osobistych. Najpierw ponaddwukrotnie wydłużył czas zgniatania czerwonej gumowej piłeczki w prawej ręce. Potem, bez chwili wahania, podniósł uśpioną dotychczas prawą rękę i dotknął dłonią prawego ramienia. Przez cały czas coś kłuło i swędziało go w ramię, co tylko dodawało mu otuchy.

- Jestem z ciebie dumna, Lars - powiedziała rehabilitantka. - Idziesz do przodu jak burza.

- Czy ja wiem? - zastanowił się Johansson, który w głębi ducha był równie nieśmiały, jak skromny. - W każdym razie sprawa jest rozwojowa.

Jego osobistej lekarce, Ulrice Stenholm, nie szło równie dobrze. Wyglądała na zmęczoną i była zmęczona. Od kilku dni miała dyżury i spała najwyżej cztery godziny na dobę.

Z papierami ojca też nie zdążyła zbyt wiele zrobić. Zgodnie z poleceniem Johanssona uporządkowała jednak torby i kartony, w których znajdowały się kartki z lat osiemdziesiąt dziewięć, osiemdziesiąt osiem i osiemdziesiąt siedem. Zawsze coś. Ułożyła je w osobnej stercie i planowała usiąść do nich w weekend.

- Nic się nie stało - powiedział Johansson. - Raczej nam

nie uciekną – dodał.

- Dziękuję. Dobrze, że ktoś ma do mnie cierpliwość.

Prawnikiem to ty nie jesteś – pomyślał Johansson. Przecież już ci tłumaczyłem, jak się sprawy mają.

Potem zjadł lunch, który smakował jak zawsze. Doprawił go bananem, połową torebki czereśni i waflem w czekoladzie zjedzonym po kryjomu. Gdy strzepywał ostatnie okruchy, zjawił się Jarnebring. Dostali do pokoju kawę z dzbankiem ciepłego mleka. Połowę popołudnia spędzili na omawianiu ich wspólnej sprawy.

- Co o tym myślisz, Lars? O zabójstwie Yasmine.

- Lepiej ty zacznij – zaproponował Johansson. - Ja tylko słucham, to ty brałeś w tym udział.

- Od samego początku wszystko szło nie tak jak trzeba – powiedział Jarnebring. - Gdy czasem myślę o tym, dlaczego nam nie wyszło, to się pocieszam, że może natknęliśmy się na jedną z tych spraw, z których i tak by nic nie wyszło. Wiesz, ta rzecz nie daje mi spokoju.

- Co chcesz powiedzieć, kiedy mówisz, że i tak nic by z tego nie wyszło?

- Bo to było za bardzo pogmatwane – powiedział Jarnebring. - W drodze powrotnej do matki, bo przecież tak właśnie było, wierzyłem w to przez cały ten czas, spotyka szaleńca, którego podniecają dzieci. Nigdy wcześniej go nie widziała, to jakiś obcy człowiek i spotyka go zupełnie przypadkiem, ale ponieważ nie jest wtedy sobą, udaje mu się gdzieś ją zaciągnąć. To jedna z tych spraw, których nigdy nie rozwiążemy, bo jest za trudna, po prostu – powtórzył.

- Do diabła, Bo - westchnął Johansson. - Naprawdę zaczynam się o ciebie martwić.

A ty znów jesteś sobą - pomyślał Jarnebring.

- No to powiedz mi, jak to się stało? Ja byłem tylko zwykłym gliną. Nigdy nie widziałem tego, co za rogiem. Powiedz, jak to się stało? - powtórzył.

- Tego nie wiem - powiedział Johansson. Jeszcze nie, dodał w myślach. - Ale jedno wiem na pewno - powiedział.

- Co takiego?

- Że w dziewiętnastu przypadkach na dwadzieścia, jeśli mowa o tego typu zbrodni, sprawca znajduje się w bezpośrednim otoczeniu ofiary. Albo w sensie społecznym - należy do rodziny, krewnych, kręgu znajomych, wiesz, to co zwykle, albo w sensie geograficznym. Są sąsiadami, mieszka w okolicy, widzi ją codziennie, gdy idzie do szkoły i gdy wraca do domu, bo na przykład pracuje w sklepiku po drugiej stronie ulicy. Albo jedno i drugie. W sensie społecznym i geograficznym.

- Zaczekaj, Lars - powiedział Jarnebring i dla pewności uniósł rękę w geście mówiącym „stop”. - Weźmy takiego Andersa Eklunda, tego, co zabił małą Engłę, Engłę Höglund, tę dziewczynkę z Dalarny. Całkowity przypadek. Prawdopodobnie spotkał ją pierwszy raz w życiu.

- To ten dwudziesty przypadek - powiedział Johansson. - Nim się nie przejmuj. Nie w wypadku Yasmine.

- Co masz na myśli?

- Nie miał ze sobą ani tabletek nasennych, ani poduszki w białej poszewce - powiedział Johansson. - Prymityw.

Sposób, w jaki to zrobił, był logiczną konsekwencją tego, co miał w głowie. Szeryf z Dalarny dorwał go już po dwunastu godzinach. No więc takich jak on możesz sobie w tym wypadku darować.

- A Ulf Olsson? Ten, który zamordował Helene Nilsson.

- Klasyczny dziewiętnasty z dwudziestu - powiedział Johansson. - Przez całe życie mieszkał w tym samym miejscu co ona. Ich rodziny się znały, jego młodsza siostra przyjaźniła się z najstarszą siostrą Helene. Dobrze wiedział, kim jest Helene. To, że policja szukała sukinsyna szesnaście lat, nie było nawet jego zasługą. Za ten czas może podziękować kolegom ze Skanii, którzy skomplikowali prostą sprawę do granic możliwości. Mnie zajęłoby to najwyżej miesiąc.

Wierzę - pomyślał Jarnebring. Cholera wie, może i mnie by się to udało?

- A ten, co zabijał dziewczynki? John Ingvar Löfgren. Sztokholm, połowa lat sześćdziesiątych, no wiesz.

- W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim - powiedział Johansson. - Dwie dziewczynki. Pierwsza miała chyba sześć lat, druga była młodsza. Cztery lata, o ile dobrze pamiętam. Do zbrodni doszło dwunastego sierpnia w Aspudden i drugiego września w Vitabergsparken na Söder.

Teraz już naprawdę jesteś sobą - pomyślał Jarnebring.

- Raczej nie spotykał się wcześniej z ofiarami - powiedział Jarnebring. Hańba temu, kto się poddaje - pomyślał.

- Próbował - powiedział Johansson. - Löfgren miał trzydzieści dwa lata. Inteligencja na poziomie ośmiolatka,

ciało i potrzeby dorosłego mężczyzny. W ciągu dnia włóczył się po parkach i szukał dziewczynek w swoim wieku, z którymi mógłby się pobawić. Gwałcił je lub przynajmniej próbował gwałcić, a potem zabijał i uciekał. W porównaniu z nim nawet Anders Eklund wydaje się normalny. Zapomnij o takich jak Eklund czy Löfgren. W wypadku Yasmine możesz zapomnieć nawet o Ulfie Olssonie, chociaż ten akurat znacznie wykraczał ponad przeciętną, przynajmniej jeśli mówimy o poziomie inteligencji.

- O nim też? Dlaczego?

- Zbyt nietypowy, samotnik, apodyktyczny, w ciągłym konflikcie z otoczeniem. Wcześniej karany za typowe wysoki. Zapomnij o takich jak Olsson.

- To co to za koleś?

- Miły, pomocny, otwarty, towarzyski, lubi przebywać z kobietami i mężczyznami w swoim wieku. Nikt nie domyśla się nawet, że tak naprawdę marzy tylko o tym, żeby uprawiać seks z małymi dziewczynkami. Może trochę za dużo pije. - Johansson niemal niedostrzegalnie się uśmiechnął. - Ale nigdy nie nazwałbym go głupim.

- Nie masz czasem jego nazwiska? - powiedział Jarnebring i uśmiechnął się szeroko. Lars Martin wrócił na tor - pomyślał.

- Daj mi jeszcze tydzień. Nie zapominaj, że zrobił mi się ten badziew w głowie. Sporo rzeczy zapomniałem. Wciąż sobie przypominam, że o czymś zapomniałem. Najgorsze, że nie przypominam sobie, co to takiego. Tylko tyle, że o czymś zapomniałem.

- Fakt - zgodził się Jarnebring. - Ostatnio wydawałeś się całkiem normalny. Miałeś też sporo ludzkich odruchów.

- Nie zapomniałem jednak o trzech rzeczach. - Johansson sprawiał wrażenie, że nie usłyszał tego, co powiedział Jarnebring. - Jeśli o nich zapomnę, to koniec ze mną.

- Co to takiego?

- Bierz, co ci dają. Nie komplikuj, jak nie trzeba. Nie ufaj zbiegom okoliczności.

- Trzy złote zasady Larsa Martina Johanssona przy prowadzeniu spraw zabójstw. Powiedziałeś: tydzień. Potem dasz mi jego nazwisko?

- Tylko na co ci ono potrzebne? Sprawie to już nie pomoże.

- Żeby zaspokoić ciekawość. Może odwiedzę tego sukinsyna w jego domu i odbędę z nim poważną rozmowę. W cztery oczy. Powyrywam mu ręce i nogi.

- Brzmi doskonale. Ale daj mi tydzień. Nie doszedłem jeszcze do siebie.

Rozdział 27

Piątek, 16 lipca 2010 roku, po południu

Przez resztę popołudnia Johansson przeglądał skoroszyty, które dostał od Jarnebringa. Dłuższą chwilę siedział ze zdjęciem Yasmine w dłoni. Było to zwykłe zdjęcie portretowe, zrobione pewnie w szkole. Uśmiechając się, patrzyła w obiektyw. Dziecko – pomyślał. Szczęśliwe dziecko, i takie śliczne, Jarnebring miał rację. Potem coś zabolowało go w piersiach. Odłożył zdjęcie na miejsce i ból jakby zelżał.

Protokół z obdukcji tylko przewertował. Większość informacji zdawała się pokrywać z tym, o czym zdążył mu opowiedzieć jego najbliższy przyjaciel. Zamiast tego przejrzał protokół z miejsca znalezienia ciała i przejechał palcem po pozostałych badaniach technicznych. Długo wpatrywał się w zdjęcia zrobione przez techników. Pomyślał nawet, że przydałaby mu się jego lupa, którą nosił doczepioną do kluczy. Nacisnął dzwonek wzywający pielęgniarkę.

- W czym mogę pomóc? - Kobieta około trzydziestki. Aż miło popatrzeć. Wesoła, uśmiechnięta. Takie jak ona na pewno mają szkło powiększające.

- Nie masz przypadkiem szkła powiększającego? - zapytał Johansson.

- Jasne, że mam - powiedziała. - Możesz pożyczyć z dyżurki.

Wrażliwy zabójca, po tym jak zgwałcił i zamordował Yasmine, poświęcił sporo czasu i zadał sobie niemało trudu, żeby zawinąć ją w zgrabną paczuszkę. Naciągnął dwa worki od góry: zakryły głowę, tors i ciało do połowy ud. Kolejne dwa naciągnął od dołu, na stopy, nogi i pas: ich brzegi sięgały na wysokość sutków. Zrobił to po kolei, bo dwa ostatnie worki zostały naciągnięte na dwa pierwsze.

Potem zakleił paczkę taśmą. Zwykłą brązową taśmą pakunkową o szerokości pięciu centymetrów. Zacisnął. Najpierw wokół stóp, kostek i podudzi, warstwa za warstwą. Potem wokół kolan i ud, pod same pośladki. Potem wokół pasa i piersi, ramiona blisko ciała. Na koniec wokół szyi. W każdym z tych miejsc owinał taśmę pięć do sześciu razy, choć wystarczyłoby, gdyby zrobił to raz. Pod względem zawartości i kształtu pakunek przypominał mumię. Nietypową mumię, bo owiniętą w czarny plastik i brązową taśmę.

Lęk - pomyślał Johansson. Nie tylko lęk spowodowany tym, co zrobiłeś, i sytuacją, w jakiej się znalazłeś. To znacznie głębszy lęk. Nauczyłeś się go kontrolować. Kontrolowanie tego lęku stanowi ważną część ciebie.

Nie zostawił odcisków palców. Zostawił natomiast ślady palców obciążonych gumowymi rękawiczkami. Po wewnętrznej stronie taśmy zachowały się drobinki jasnoczerwonej gumy.

Rękawice do zmywania - pomyślał Johansson. Zwykłe rękawice do zmywania. Widać sporo używane, bo zaczęły pękać. I zostawiły ślady. Jeśli jesteś u siebie w domu, to nie

mogą być twoje rękawice - pomyślał. Wówczas byłyby w innym kolorze. Poza tym nie wydaje mi się, żebyś był z tych, co zmywają naczynia, a już tym bardziej w rękawicach. To kobiety ich używają, co by znaczyło, że w twoim otoczeniu jest jakaś kobieta. Czy to ktoś, z kim jesteś związany? A może matka albo siostra? Albo jakaś inna kobieta, którą znasz tak dobrze, że możesz to zrobić u niej w domu, zbytnio się przy tym nie spiesząc?

Ciekawe, czy jeszcze żyjesz? - pomyślał Johansson. Czy może ten twój lęk cię zabił? Wydaje mi się jednak, że żyjesz. Bierz, co ci dają. Za bardzo lubisz siebie i raczej nie masz wyrzutów sumienia. Nie jest to w każdym razie lęk, którego nie byłbyś w stanie kontrolować. Takich jak Yasmine jest więcej. Widzisz je wszędzie. Nie możesz przestać o nich myśleć.

Potem Johansson odłożył skoroszyty, żeby zjeść kolację. Wypił dwie szklanki wody, zjadł połowę porcji pełnoziarnistego makaronu z pesto. Głównie z poczucia obowiązku i żeby niepotrzebnie nie martwić tych wszystkich, którzy odpowiadali za niego i jego szybki powrót do zdrowia.

Potem zasnął. Gdy się obudził, przy łóżku siedziała Pia i przesuwiała palcem wskazującym po jego policzkach i brodzie.

- Jak się czujesz? - zapytała. - Lepiej wyglądasz. Byłam tu wczoraj, ale spałeś. Jak małe dziecko, ani razu nie chrapnąłeś. Trochę się wystraszyłam.

- Jak pączek w maśle - powiedział Johansson. - Nic się nie martw. Lepiej powiedz, co u ciebie.

Rozdział 28

Od soboty, 17 lipca 2010 roku, do niedzieli, 18 lipca 2010 roku

Kolejny weekend i kolejne odwiedziny. Podobnie jak w zeszłym tygodniu. Tym razem jednak nie musiał pokazywać się dzieciom. Na wszelki wypadek zadzwonił najpierw do syna, potem do córki.

- Przecież niedługo stąd wyjdę - powiedział. - Lepiej będzie, jeśli spotkamy się u nas na obiedzie. Jak normalni ludzie.

- Doskonały pomysł - powiedział jego syn.

- Zrobimy, jak chcesz - usłyszał od córki. - Córeczka tatusia zawsze go słucha - dodała z jakiegoś powodu.

Przed najstarszym bratem Evertem nie sposób było się jednak uchronić. Przyszedł jeszcze przed lunchem. Wysoki i potężny, nieugięty i prosty jak struna, choć był o dziesięć lat starszy od najmłodszego chłopca w rodzinie, Larsa Martina.

Wesoły i zadowolony z siebie, jak zwykle. Jakie to „niesłychane szczęście”, że dobili targu i zakończyli tę leśną transakcję, zanim Larsowi zrobiła się „ta trąbka w głowie”.

- Głupi ma szczęście - stwierdził Evert Johansson, odsłaniając w uśmiechu zęby mocne i żółte jak u konia. - Ceny drewna i masy drzewnej idą w górę jak szalone. Już

teraz kręci się wokół mnie masa ludzi, którzy chcą ze mną ubić interes, wykorzystując ten wzrost.

- I co im odpowiadasz? - rzucił Johansson, który postanowił nie słuchać więcej niż połową ucha, bo poczuł mrowienie w głowie.

- Za wcześnie, żeby sprzedawać, stanowczo za wcześnie. Każę im iść do diabła - powiedział Evert i roześmiał się zadowolony.

- I nie mają ci tego za złe? - zdziwił się Johansson.

- Nawet jeśli, to ich problem, na pewno nie twój ani mój - mruknął Evert. - Teraz coś całkiem z innej beczki. Znalazłem taki jeden zakład w okolicy Örebro, produkcja i magazyny. Wygląda naprawdę nieźle. Naprawdę nieźle. Co myślisz?

- Opowiedz - powiedział Johansson, bo i tak postanowił, że dalej słuchać nie będzie.

W trakcie tych wywodów przyszedł Jarnebring. Wystarczyło, że on i Evert spojrzeli na siebie. Od razu zrozumieli, że mierzenie długości penisa byłoby w tym wypadku stratą czasu. Wszak nie co dzień ma się do czynienia z równym sobie.

- Bo Jarnebring - powiedział Evert Johansson. - Przybij piątkę, Bo. Bardzo ci jestem wdzięczny za to, że opiekujesz się moim braciszkiem. Dawniej to była moja działka, ale kiedy pięćdziesiąt lat temu przeprowadził się do Sztokholmu, nie mam za często okazji, że tak powiem.

Potem uścisnęli sobie dłonie. A były to dłonie takiej wielkości, że niewielu mężczyzn może się pochwalić podobnymi. Ścisnęli je mocniej, niż to jest w zwyczaju,

i puścili mniej więcej w tym samym momencie, po czym pokleпали się serdecznie po ramionach.

- Jeśli mogę coś dla ciebie zrobić, Bo - powiedział Evert - dzwoń śmiało. - Dam ci numer swojej komórki. Ty daj mi numer swojej.

Potem rozmawiali tylko ze sobą. Nie o przestępcach, lasach czy nieruchomościach, ale o samochodach. Jak się okazało, były one ich wspólnym konikiem. Evert Johansson zgromadził sporo lasów, ziemi i nieruchomości, a oprócz tego prowadził kilka salonów samochodowych w Västernorrlandzie. Bo Jarnebring, choć nie miał grosza przy duszy, był zapalonym kierowcą i oczywiście gustował w samochodach o wiele dla niego za drogich.

- W takim razie mam coś dla ciebie, Bo - powiedział Evert. - Jeden z moich sprzedawców zadzwoni do ciebie w poniedziałek, to dobiejecie interesu. Lepszej ceny w życiu nie dostaniesz, masz na to moje słowo.

Lepiej uważaj, Jarnis - pomyślał Johansson, ale na głos niczego nie powiedział.

Potem przyszła Pia. Uśmiechnęła się czarująco do Everta Johanssona i Bo Jarnebringa, przytuliła obu na powitanie i kazała im iść do diabła. Być może nie do końca tak się wyraziła, ale właśnie o to jej chodziło.

- Szkoda, że już musicie iść - powiedziała Pia. - Może usiądziecie w jakimś miłym miejscu i zjecie porządny męski lunch, posilujecie się trochę na rękę i po prostu zajmiecie się sobą? Evert zapłaci rachunek, a ja będę mogła wreszcie

porozmawiać w spokoju ze swoim mężem.

- Znam świetną knajpę na Regeringsgatan - powiedział Jarnebring, zanim wyszli. - Tradycyjna kuchnia, spokój, cisza i całkiem znośne ceny. Właścicielami są dwaj Jugole. Poznałem ich wtedy, kiedy pracowałem w dochodzeniówce. Teraz się uspokoili i dają czadu w gastronomii.

- Na co czekamy? - ożywił się Evert. - Porządnym chłopom należy się porządne żarcie.

- Już za nimi tęsknisz - westchnęła Pia, gdy zniknęli za drzwiami.

- Ani trochę - powiedział Johansson i wyciągnął w jej stronę obie ręce, żeby przytulić ją tak, jak robił to zawsze, zanim stał się kimś innym.

Rozdział 29

Poniedziałek, 19 lipca 2010 roku

Co prawda, człowiek, przede wszystkim jednak pacjent, w związku z tym skazany na wykonywanie zadań określonych przez innych. Najpierw spotkanie z rehabilitantką. Dawny rekord w ściskaniu gumowej piłeczki został utrzymany. Prawe ramię jak poprzednim razem. Ani lepiej, ani gorzej. Być może bardziej go kłuło. I swędziało. Klucie, mrowienie, a ostatnio nawet swędzenie.

- Wszedłeś w fazę *plateau* - wyjaśniła jego zaprawiona w boju oprawczyni. - To zupełnie normalne i nie ma się czego obawiać. Wracasz do zdrowia stopniowo. Twoje ramię będzie jak kiedyś. Ale na to potrzeba czasu.

Dlaczego jakoś ci nie wierzę? - pomyślał. Nagle poczuł się zmęczony i przygnębiony.

- Dlaczego jakoś ci nie wierzę? - zapytał.

- Nie wolno ci tak myśleć - powiedziała. - To tylko niepotrzebnie wydłuży cały proces. Wszystko się ułoży, twoje ramię będzie jak kiedyś. Tak powinieneś myśleć.

Lekarska odmiana „bierz, co ci dają” - pomyślał.

- W policji mówimy: bierz, co ci dają - powiedział Johansson.

- Dokładnie - powiedziała. - Dokładnie tak.

Nie tak łatwo, gdy chodzi o ciebie - pomyślał.

Gdy wrócił do pokoju, zadzwonił Jarnebring. Niestety, musiał przełożyć spotkanie. W kuchni córki wylała się woda i tatuś musiał zabawić się w hydraulika.

- Jak trzeba fachowca, to nie ma - powiedział Jarnebring z jakiegoś powodu. - Skończę i jadę do ciebie.

- Masz do tego smykałkę - powiedział Johansson. - Nic się nie stało. Zresztą mam tu jeszcze trochę roboty, więc może lepiej spotkajmy się jutro. O ile ci pasuje.

- Jasna sprawa - powiedział Jarnebring. - Za kogo mnie masz? Uważaj na siebie.

Potem zjawiała się jego lekarka, Ulrika Stenholm. Miała wyrzuty z powodu papierów ojca, które obiecała przejrzeć w weekend, ale znów nic z tego nie wyszło. Nie wie, w co ręce włożyć.

- Powinnaś wcześniej zdecydować się na dzieci - powiedziała. - W moim wieku i w moim zawodzie trzy- i pięciolatek to kiepski pomysł.

- Nic się nie stało - powiedział Johansson.

- Ależ stało - powiedziała Ulrika Stenholm. - Obiecuję, dziś wieczorem do tego siądę. Tylko odwiozę dzieci do ich ojca. Ale mam też dobrą wiadomość - dodała.

Dostanę nowe ramię - pomyślał Johansson. Takie z hakiem na końcu. Tego jednak, oczywiście, nie powiedziała.

Johansson może już wrócić do domu. Wyjść ze szpitala. Przejdą na obserwacje i regularne kontrole. Co prawda nie jutro, ale dopiero w środę, bo wcześniej chciałyby jeszcze spojrzeć na wyniki ostatnich badań. Oczywiście, pod

warunkiem że nie stanie się nic nieoczekiwanego.

- Nie stanie - powiedziała doktor Stenholm i uśmiechnęła się z radością jak na profesjonalistkę przystało. - Moim zdaniem świetnie sobie radzisz. Zapisalam cię do siebie na wizytę za tydzień w poniedziałek. Resztę omówię już z Pią.

„Z Pią” - pomyślał Johansson. Czyli mówicie sobie po imieniu. Dla mnie wciąż jesteś doktor Stenholm. Ulriką Stenholm albo osobistym lekarzem.

- Jesteś moim lekarzem, więc wiesz najlepiej - przytaknęła Johansson. - Chcę do domu - powiedział nagle.

- Doskonale cię rozumiem - powiedziała Ulrika Stenholm i uśmiechnęła się, przechylając lekko głowę.

Po lunchu, który smakował tak samo, niezależnie od tego, co akurat było na talerzu, Johansson podjął kolejną próbę wzięcia się w garść.

- Czy w tym miejscu można dostać filiżankę kawy? - huknęła na salową, która przysłała po jego tacę.

- A może lupę? - Uśmiechnęła się rozbawiona.

- Kawę - powiedział. - Czarną. - Czarną, żeby ci się przejaśniło w głowie - pomyślał i sięgnął po pierwszy ze skoroszytów. Weź się w garść. Bierz, co ci dają. W końcu nie o ciebie tu chodzi.

Wśród licznych kartek wpiętych w skoroszyty znalazł opinię ekspercką z Państwowego Laboratorium Kryminalistycznego w Linköping, uzupełnioną opinią profesora biologii zwierząt z uniwersytetu w Sztokholmie.

Gdy profesor Sjöberg wyciągnął ostrożnie ptasie pierze, które utknęło w gardle Yasmine, i z taką samą ostrożnością

wydłubał dwa białe włókna, które utkwiły między jej zębami, włożył je do osobnych torebek, wypełnił potrzebne formularze i wysłał z całą resztą do laboratorium przy sztokholmskim wydziale kryminalnym.

Na miejscu obejrzał je technik. Dwa białe włókna. Ptasie pierze o długości około dwóch centymetrów i szerokości jednego centymetra. Nic ponadto nie mógł stwierdzić, jako że brakowało mu wiedzy i niezbędnej aparatury. Był jednak sumiennym i porządnym urzędnikiem, włożył je więc do dwóch nowych torebek, wypełnił kilka kolejnych formularzy i wysłał wszystko do Państwowego Laboratorium Kryminalistycznego w Linköping. Miał dwa pytania. Z jakiego rodzaju włóknom mieli tu do czynienia? I czy dałoby się coś powiedzieć na temat ptasiego pierza?

Zajmującemu się tymi zagadnieniami biologowi w laboratorium kryminalistycznym udzielenie odpowiedzi na pierwsze pytanie nie sprawiło najmniejszego problemu. Miał wiedzę i aparaturę. Były to włókna rośliny o nazwie *Linum usitatissimum*. Lnu, jak to się potocznie mówi.

Lniane włókno pierwszej klasy, dokładnie odmiana lnu, której używano do produkcji tekstyliów. Len najwyższego gatunku. Więc to, co mówił o poszewce na poduszkę kolega z laboratorium w Sztokholmie, wydaje się bardzo prawdopodobne. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę samo zdarzenie. Prześcieradło, poszwa na kołdrę lub chusteczka do nosa raczej nie wchodziły w rachubę. W żadnym wypadku nie mogło tu chodzić o obrus, bieżnik, ręcznik ani o serwetkę. Materiał na nie tkano zwykle z nici o innej

strukturze i grubości.

Został jeszcze fragment pierza, ale biologowi brakowało wiedzy na ten temat. A ponieważ był równie sumienny, jak jego kolega z laboratorium technicznego, przesłał je dalej – do jednego ze swoich dawnych wykładowców na uniwersytecie w Sztokholmie: profesora, wybitnego ornitologa. Dla niego była to bułka z masłem.

Odpowiedź przyszła faksem jeszcze tego samego dnia, w którym profesor odebrał przesyłkę z pierzem. „Mamy tu do czynienia z blaszkodziobem”, wyjaśnił profesor. „A dokładnie z przedstawicielem grązyc. Jest to pierze z piersi *Somateria mollissima*, kaczki edredonowej”. – Niezła poduszka – pomyślał biolog z laboratorium kryminalistycznego, przesyłając odpowiedź do komisariatu w Solnej. – Wypełniona puchem edredonowym i z lnianą poszewką najwyższej jakości...

Co jest, do jasnej cholery! – pomyślał były szef Komendy Głównej Policji, Lars Martin Johansson, gdy skończył czytać. Jakim sposobem coś takiego mogło im umknąć? Każdy głupi by to zauważył! Ale nie mój najbliższy przyjaciel, były inspektor kryminalny, Bo Jarnebring.

Potem Johansson zapisał całą stronę. Nowy rekord lewej ręki – podsumował swój trud i zasnął.

Rozdział 30

Wtorek, 20 lipca 2010 roku

Kolejny dzień zaczął się od spotkania z rehabilitantką. Tak naprawdę zaczął się od tego, że Johansson poszedł do toalety, wziął prysznic, ogolił się i zjadł śniadanie, wolał jednak o tym nie pamiętać. Jego dzień zaczął się spotkania z rehabilitantką – przedostatni dzień, jeśli doktor Stenholm dotrzyma obietnicy i jeśli nie zdarzy się nic nieoczekiwanego. Niestety, wciąż tkwił w tym samym „ruchowym *plateau*”.

- Bierz, co ci dają – powiedziała optymistycznie rehabilitantka.

- Bierz, co ci dają – pokiwał głową Johansson.

Coś się stało – pomyślał Johansson, gdy doktor Stenholm weszła do pokoju i usiadła tam, gdzie siadała zawsze. Miała zaczerwienione policzki.

- Coś znalazłaś?

- Tak, miałaś całkowitą rację. Leżała w kartonie między papierami z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego. Nie wiem, jak na to wpadłeś – powiedziała, podając mu plastikową torebkę.

- Niech no spojrzę – powiedział Johansson, wyciągając zdrową rękę. Spinka do włosów – pomyślał. Mała spinka do włosów z czerwonego plastiku, z główką małpki Monchichi.

- Małpka Monchichi – powiedziała Ulrika Stenholm.

- Wiem - powiedział Johansson i uśmiechnął się pod nosem. - Mam dzieci i wnuki. Była w tej torebce? - zapytał, unosząc torebkę.

- Nie - powiedziała doktor Stenholm i pokręciła stanowczo jasną głową. - To ja ją włożyłam do torebki. Pomyślałam, że...

- Wiem, co pomyślałaś - powiedział Johansson, żeby uniknąć dłuższych wywodów o ewentualnych odciskach palców i DNA.

- Spinka leżała w tej białej kopercie - powiedziała Ulrika Stenholm i podała mu kolejną torebkę z kopertą w środku.

- Żółtawa - zauważył Johansson. - Najwyższej jakości i z nazwiskiem nadawcy wydrukowanym na odwrocie. „Margaretha Sagerlied” - przeczytał. Gdzieś już słyszałem to nazwisko - pomyślał, obracając kopertę. W miejscu, w którym zwykle przykleja się znaczek, widniał jakiś skrót. Cztery litery napisane wiecznym piórem: „TS/ÅS”.

- Tajemnica spowiedzi, ukośnik, inicjały twojego ojca, czyli Å.S. Åke Stenholm.

- Tak. Zaczynam rozumieć, że moja siostra ani trochę nie przesadzała, opowiadając o tobie wszystkie te historie.

- Dobra, dobra. Nie tak szybko. Jesteś pewna, że ta spinka nie należała do ciebie ani do twojej siostry? - W kopercie mogło wcześniej leżeć coś innego - pomyślał.

- Nie. Ani ja, ani moja siostra nie miałyśmy takiej spinki. Poza tym jesteśmy na to za stare. Takie spinki nosiło się w końcu lat siedemdziesiątych. Dziś zresztą też. Małpka Monchichi jest wciąż popularna, jak pewnie wiesz. Moi

chłopcy też ją mają. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym, gdy Yasmine została zamordowana, miała dziewięć lat. Z pewnością mogła mieć taką spinkę.

- Ta koperta - powiedział Johansson, podnosząc drugą torebkę. - Nie zauważyłaś, czy był w niej może jakiś włos?

- Nie. Bardzo uważałam przy jej otwieraniu. Widziałam przecież, co tata na niej napisał. Wszystkie te skróty, które tak bardzo lubił, a które moja siostra rozszyfrowała, gdy tylko nauczyła się czytać... Żadnego włosa. Sprawdziłam. Jestem przecież lekarzem, więc coś tam potrafię. Nic, tylko spinka.

Wrażliwy morderca - pomyślał Johansson. Zdjął ostrożnie spinkę, żeby długie czarne włosy uśpionej ofiary mogły swobodnie rozsypać się na poduszce.

- Margaretha Sagerlied. Co o niej wiesz?

- Całkiem sporo. Kilka razy nawet ją spotkałam. Wyszukałam ją w internecie po tym, jak znalazłam kopertę. Znalazłam ją nawet w *Kto jest kim*. No wiesz, w tym leksykonie znanych ludzi.

- Opowiedz - powiedział Johansson. Znowu ten internet - pomyślał.

Margaretha Sagerlied urodziła się dwunastego kwietnia tysiąc dziewięćset czternastego i zmarła szóstego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego, czyli w wieku siedemdziesięciu pięciu lat. Była śpiewaczką operową. Nie bardzo znaną śpiewaczką operową, ale wystarczająco znaną, żeby zostawić po sobie ślad w artykułach prasowych i recenzjach, a nawet w książkach

o tematyce operowej. Wystarczająco znaną, żeby już w latach pięćdziesiątych trafić do *Kto jest kim*.

- Jak już mówiłam, znalazłam ją w starym roczniku *Kto jest kim*. Mój ojciec chyba to prenumerował. Mam u siebie na półce dwadzieścia roczników, które od niego dostałam.

- Co wyczytałaś?

- Trochę się nawet zdziwiłam. Wiedziałam, co prawda, że była znana, ale nie wiedziałam, że aż tak. Było o niej prawie tyle, co o Birgit Nilsson. Mogę zrobić ci ksero.

- Nie trzeba - powiedział Johansson, który coś wiedział na ten temat. - Da się to łatwo wytłumaczyć: jak już tam trafisz, możesz o sobie opowiedzieć, co tylko chcesz.

- A, to już wszystko jasne. Prawda, lubiła samą siebie. Kilka razy była u moich rodziców na obiedzie, byliśmy wtedy z siostrą małą. Śpiewała w kościele w Brommie w czasie chrztów, ślubów i pogrzebów. Zawsze miała na podorędziu mnóstwo historyjek. O tym, jak spotkała króla, to znaczy starego króla, jak śpiewała z Jussi i że znała Birgit Nilsson. I o tym, że była na kolacji w zamku u wojewody. Że śpiewała na gali noblowskiej. Już mówiłam, że zawsze świetnie wyglądała? Bardzo dbała o swój wygląd. Według mnie nie była jednak wielką śpiewaczką.

- Według ciebie - powiedział Johansson. Nie to, co Birgit Nilsson. Birgit raczej nie pochylała się nad zlewem w popękanych czerwonych rękawiczkach - pomyślał.

- No tak. Musisz wiedzieć, że jestem całkiem muzykalna. Grałam na pianinie i na organach w kościele u ojca. Wciąż gram po kilka godzin tygodniowo. Tak się wyciszam.

- A czy ta Sagerlied miała męża i dzieci?

- Dzieci nie. Wyszła dosyć późno za mąż. Według *Kto jest kim* było to w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym, dobiegała wtedy pięćdziesiątki. Jej mąż był znacznie od niej starszy, urodził się w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym. Zmarł w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym. Pamiętam go jak przez mgłę. Przy jakiejś okazji byli u nas w domu na kolacji. Według *Kto jest kim* nazywał się Johan Nilsson i był dyrektorem. Wydaje mi się, że pracował w branży spożywczej. Pamiętam, jak ojciec wspomniał kiedyś, że jest bardzo bogaty.

- Osiemdziesięciopięcioletni mężczyzna, który zmarł pięć lat przed zabiciem Yasmine. Żadnych dzieci, żadnych wnuków. W każdym razie żadnych znanych dzieci ani wnuków. A jakiś inny młodszy krewniak? Ktoś, kto choćby tylko podziwiał znaną śpiewaczkę operową i z tego powodu mógł przebywać w jej otoczeniu? - Który być może należał do jej świty - pomyślał Johansson i samo to słowo wydało mu się ładne.

- Może zapytam siostrę - powiedziała Ulrika Stenholm. - W końcu jest ode mnie o trzy lata starsza i powinna więcej pamiętać z tego czasu.

- Nie - pokręcił zdecydowanie głową Johansson. - Nie rób tego. Chciałbym, żeby to na razie zostało między nami. Nie chcę, żebyś z kimś o tym rozmawiała. - Jeszcze mi tu tylko brakuje wścibskiej pani oskarżyciel - pomyślał.

- Okej. Rozumiem, co masz na myśli.

- Przejrzyj resztę papierów ojca. Sprawdź, czy jeszcze coś

uda ci się znaleźć.

- Miałam taki zamiar. Mój były zabrał dzieci na wieś, więc czasu mam pod dostatkiem.

- Jeszcze jedno. Nie wiesz czasem, gdzie mieszkała ta Sagerlied?

- Pewnie w parafii ojca, w Brommie.

- Bromma jest duża.

- Wiem. Pamiętam, że chciała przeprowadzić się do miasta. Żeby mieć bliżej do opery i teatrów, Östermalmshallen i przyjaciół. Willa, w której mieszkała, po śmierci męża zrobiła się dla niej za duża. Musiało to być jakiś rok po tym, jak została wdową. Ale ja byłam wtedy dzieckiem. Zostały mi tylko zamazane wspomnienia. Pamiętam natomiast, że mój ojciec zajął się jej pogrzebem. Wiem to na pewno, bo pytał mnie i siostrę, czy przyjdziemy. Pewnie da się to ustalić. Mogę porozmawiać z kimś z biura parafialnego.

- Nie ma takiej potrzeby. Mogę zachować spinkę i kopertę?

- Jasne, że możesz. Nie myśl, że jestem dziecinna, ale wydaje mi się to bardzo ekscytujące. Okropne, ale ekscytujące.

- Nie. Wcale nie uważam, że jesteś dziecinna. I co, byłyście z siostrą na tym pogrzebie?

- Nie. Nie miałyśmy czasu. Ojcu było z tego powodu trochę smutno. Podobno nie przyszło wiele osób. Prawie nikt. Nawet wrażliwy dzieciobójca - pomyślał Johansson.

Gdy tylko doktor Stenholm wyszła, Johansson wybrał numer

policji sztokholmskiej i poprosił o połączenie z Kjellem Hermanssonem, szefem zespołu Archiwum X przy wojewódzkim wydziale kryminalnym. Gdyby Hermansson nie był łaskawy odebrać, poprosił o przekierowanie rozmowy na centralę.

- Mówi Lars Martin Johansson - powiedział. Jakby to miało jakieś znaczenie - pomyślał. Z krajowego związku emerytowanych policjantów - pomyślał jeszcze i o mało się nie roześmiał.

- Poznałam szefa po głosie - powiedziała telefonistka. - Proszę chwilkę poczekać.

- Hermansson - powiedział Hermansson zaledwie piętnaście sekund i trzy sygnały później.

- Johansson - powiedział Johansson.

- Johansson - powtórzył Hermansson. - Ja pitolę, co u ciebie? Słyszę, że już lepiej - dodał z jakiegoś powodu.

- Czuję się doskonale - skłamał Johansson. - Mam do ciebie prośbę. Potrzebuję spojrzeć na kartę Yasmine. Wiesz, tę, na której są wszystkie osoby, pojazdy, miejsca i daty, pojawiające się w dochodzeniu.

- Teraz to się dopiero zaciekawilem - powiedział Hermansson.

- Nie powinienes. Jeszcze za wcześnie. Możesz mi ją przesłać mailem?

- Nie da rady. Nie mamy jej w komputerze. Kilka lat temu siadł nam system i niestety została skasowana.

Nie wierzę w to, co słyszę - pomyślał Johansson.

- Ale mam gdzieś na pewno kopię papierową w naszym

back-upie, mogę ją szefowi dać. Zrobię ksero i wyślę kurierem, jeśli tak będzie dla szefa wygodnie.

- Doskonale - powiedział Johansson. - Kiedy mogę się jej spodziewać?

- W zasadzie szef już ma ją na biurku - oświadczył Hermansson. - Ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Że pierwszy poznam nazwisko tego sukinsyna - powiedział Hermansson, a jego głos zabrzmiał wyjątkowo gorzko. - Mam bowiem zamiar go zabić.

- Nie ma sprawy.

- Zaraz wyślę swojego zięcia - zakończył rozmowę Hermansson.

Pół godziny później komisarz Patrik Åkesson, Pe-dwa, wszedł do pokoju Johanssona z brązową kopertą w dłoni. W cywilu. Nie tak jak ostatnio.

- Przykro mi, szefie - powiedział Pe-dwa. - Tym razem nie mam kiełbasy od Güntersa. Rozmawiałem z Jarnisem. Dostał ściśle instrukcje od Alfya Jeden.

- Alfya Jeden?

- Małżonki szefa - powiedział Pe-dwa i uśmiechnął się szeroko. - To taki kod, którego używamy w robocie. Rodzinna samica alfa, kryptonim żony. Oszczędza czas i zbędne dyskusje.

- Dobry pomysł - powiedział Johansson. - Właśnie, nie zdążyłem ci ostatnio podziękować. Poza tym nie wiedziałem, że wzięłaś ślub z córką Hermanssona. Ona czasem nie zajmuje się przemocą w rodzinie w Centrum?

- A tak - powiedział Pe-dwa i uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Ale poza tym wszystko z nią w porządku. Jaki ten świat mały, prawda?

- Bardzo mały - powiedział Johansson. Moja rodzina - pomyślał. Jeśli pominąć takie kukułcze pisklęta jak Evert Bäckström.

Według karty sporządzonej latem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego - w ramach dochodzenia w sprawie zabójstwa Yasmine Ermegan - Margaretha Sagerlied została przesłuchana w czasie policyjnego obchodu we wtorek drugiego lipca. Przesłuchiwała ją aspirantka Carina Tell, a tym, który określił ją jako osobę mało przydatną dla dochodzenia, był prowadzący dochodzenie komisarz kryminalny, Evert Bäckström.

Starsza kobieta, lat siedemdziesiąt jeden, wdowa od pięciu lat, bezdzietna i niemająca żadnych interesujących dla sprawy kontaktów z mężczyznami, wyjechała trzy dni przed zaginięciem Yasmine. Wróciła do domu zaledwie na dzień przed przesłuchaniem. Niekarana, nie miała samochodu ani prawa jazdy.

Jedynym powodem, dla którego w ogóle z nią rozmawiano, było to, że mieszkała na Majblommestigen 2, przy skrzyżowaniu z Äppelviksgatan. Czyli mniej więcej w tym miejscu, w którym tego wieczora, gdy zaginęła Yasmine, jeden ze świadków widział czerwonego golfa. Albo wydawało mu się, że widział.

Ta sama Yasmine, co mieszkała na drugim końcu Majblommestigen pod numerem 10 ze swoim ojcem i jego

nową kobietą, którą czasem nazywała mamą, gdy była zmęczona lub gdy się zapomniała.

Wyjątkowo dziwny zbieg okoliczności – pomyślał były szef Komendy Głównej Policji, Lars Martin Johansson, który bardzo wcześnie znienawidził zbiegi okoliczności.

Rozdział 31

Wtorek, 20 lipca 2010 roku

Teraz to już tylko kwestia czasu – pomyślał Johansson, bo nauczył się brać, co mu dają, jeszcze zanim zniechędził zbiegi okoliczności. Naturalnie pod warunkiem że nie zrobi mi się nowy skrzep. W końcu jestem teraz kimś innym, niż byłem kiedyś.

Najpierw zamierzał się zdrzemnąć, spocząć na świeżo zdobytych laurach. Przykazano mu przecież, żeby się oszczędzał. Oczywiście okazało się to niemożliwe. Ani chwili spokoju w głowie – pomyślał po kilku próbach, w czasie których nie bez wysiłku, ale samodzielnie przekreślił się z boku na bok.

Zamówił kawę i zaczął przeglądać jeden ze skoroszytów, który dał mu jego najbliższy przyjaciel. A ponieważ Jarnebring ułożył kartki dokładnie tak, jak Johansson lubił je mieć ułożone, od razu znalazł protokół oględzin z opisem ubrania Yasmine oraz wszystkich pozostałych rzeczy, które mogła mieć przy sobie w chwili zniknięcia.

Żadnej spinki – pomyślał Johansson po przejrzeniu listy. Ogarnął go spokój, gdy zobaczył, że listę podpisał jego najbliższy przyjaciel, wówczas jeszcze komisarz kryminalny, Bo Jarnebring.

Nie mogło tam być spinki, przecież zgubiła ją po drodze. Spróbował odsunąć od siebie obraz ciemnych włosów

Yasmine rozsypanych na białej poduszce.

Potem wziął do ręki zdjęcie portretowe, na którym Yasmine uśmiechała się do obiektywu, patrząc błyszczącymi oczami i odsłaniając rząd równych, białych zębów. Równych, choć miała dopiero dziewięć lat, a połowa jej kolegów z klasy nosiła zapewne aparat ortodontyczny. Johansson nie widział, co jest za rogiem, nie potrafił też zobaczyć, co kryje się za oczami i ustami Yasmine, dojrzeć jej drobnej szyi i tego, jak upięła swoje długie czarne włosy. Nie pomoże nawet to, że obróce zdjęcie – pomyślał i naszła go ta sama niezrozumiała wesołość, którą poczuł, gdy o mały włos nie powiedział recepcjonistce, że dzwoni z krajowego związku emerytowanych policjantów.

Johansson odłożył zdjęcie na kołdrę. Pokrzepił się łykiem kawy. Trzy głębokie oddechy... Spróbował znów wziąć się w garść.

- Larsie Martinie Johanssonie, zaczyna ci odbijać – powiedział do siebie na głos. Lepiej weź się, kurwa, w garść – pomyślał. Zadziałało. Nagle wróciły mu spokój i skupienie. Wziął do ręki zdjęcie. Przyjrzał mu się ponownie.

Nie jestem fryzjerem – pomyślał Johansson – ale wygląda na to, że jej włosy są upięte albo zebrane, czy jak to się mówi. Spinką, wstążką lub zwykłą gumką – taką jak ta, którą jego żona ściągała nieposłuszne loki, gdy szła na siłownię bądź gdy po prostu chciała trochę się poruszać.

Bo Jarnebring był wyjątkowo dokładnym człowiekiem. Nie bez powodu owianym legendą śledczym, którego znakiem

rozpoznawczym był protokół oględzin. Załącznikiem do protokołu była lista przesłuchań, które przeprowadził w celu ustalenia tego, co Yasmine miała na sobie w chwili zniknięcia. Trzy przesłuchania matki, dwa ojca, pięć przesłuchań świadków, którzy rzekomo widzieli ją w drodze z mieszkania matki do domu ojca – razem dziesięć. Kolejnych kilkunastu świadków, którym się zdawało, że ją widzieli, choć prawdopodobnie tak nie było. Głównie dlatego, że ich opis wyglądu Yasmine i tego, w co była ubrana, nie odpowiadał temu, co podało pierwszych siedmioro świadków.

Nic o małej czerwonej spince z plastiku w kształcie małpki Monchichi. Najprościej byłoby chyba zadzwonić do Jarnebringa – pomyślał Johansson i niemal w tej samej chwili poczuł, jak ogarnia go zmęczenie. Odarło go ze wszystkich myśli, wszystkich sił i chęci. Podziękował za ciepłą kolację, zamiast niej posłusznie zjadł kanapkę (chrupkie pieczywo z serem) i gruszkę, a może jabłko – nie był pewien. Poszedł do toalety, odlał się, umył zęby. Omówił z Pią wszystkie praktyczne kwestie, o których trzeba było pomyśleć przed jego powrotem do ich dwupoziomowego mieszkania z kuchnią i gabinetem na parterze, sypialnią i łazienką na piętrze oraz wąskimi schodami, którymi raczej nie będzie miał siły chodzić ani w górę, ani w dół. Nie w tym stanie.

– Jak chcesz, możemy wstawić łóżko do twojego gabinetu. Masz tam sporo miejsca. Możesz też spać w pokoju gościnnym na dole. Powiedz, jak wolisz – zaproponowała Pia.

– Mogę spać na kanapie – powiedział Johansson i zasnął.

Spał całą noc, śnił o Yasmine. Bez lęku, ale też bez radości, pogrążony w myślach, jeżeli to było możliwe we śnie. A może to był smutek? Smutek, który nie zdążył go jeszcze ogarnąć, który dopiero go doganiał.

Yasmine ze zdjęcia. Nie uśmiecha się jednak. Stoi, przyglądając się mu. Poważna, wyczekująca, lecz nie wystraszona.

- Cześć, mała - mówi Johansson. - Nie bój się.

Nie odpowiada, tylko kiwa głową. Nie, nie wygląda, jakby się bała.

- Znalazłem twoją spinkę - mówi i wyciąga w jej stronę dłoń.

- Dziękuję - odpowiada Yasmine. Uśmiecha się, zaskoczona. - Bardzo dziękuję - mówi i bierze spinkę z jego otwartej dłoni.

Rozdział 32

Środa, 21 lipca 2010 roku, przed południem

Najpierw toaleta, potem prysznic, na koniec szczoteczka do zębów. Tylko golenie sobie darował. Dryblasom do twarzy w zaroście – pomyślał Johansson i powlókł się z powrotem do pokoju.

Leniwe skurczybyki – pomyślał, gdy już ułożył się w łóżku. Już czwarty raz z rzędu pozwolili mu pójść samemu na tę jego śmiertelnie niebezpieczną przechadzkę. Mimo tych wszystkich składek, które przez całe swoje życie bez szemrania na nich odprowadzał, nie zająknął się nawet, że chciałby dostać coś w zamian.

Potem śniadanie. Zdrowa wersja z jogurtem, müsli i świeżymi owocami. Trzy szklanki wody mineralnej, bez kawy. Na kawę nie miał dziś jakoś ochoty.

Od wizyty u rehabilitantki nie udało mu się jednak wymigać, choć w jego wnętrzu biły już dzwony wolności. Niestety, wciąż tkwił w fazie *plateau*, choć robił co mógł, żeby w tych ostatnich minutach zrobić jakieś postępy.

- Bierz, co ci dają – powiedziała rehabilitantka i mocno go przytuliła.

- Bierz, co ci dają – powtórzył niby to z optymizmem Johansson. Łatwo ci powiedzieć – pomyślał. Jestem wolny. I czuję się wolny. Z lekką i spokojną głową. Bez śladu

niepokoju, lęku albo najmniejszych oznak zniechęcenia.

Potem spotkał się ze swoim osobistym lekarzem, a teraz również w najwyższym stopniu osobistym informatorem, doktor Ulriką Stenholm, która tego ranka wydawała się tak zmęczona, że spokojnie można jej było dać czterdzieści cztery lata.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje - westchnęła. - Pierwszy raz od kilku miesięcy mam trochę spokoju, a przez całą noc prawie nie zmrużyłam oka. Myślę o dzieciach, śnią mi się dzieci, dzwonię do ich ojca i budzę go.

- To chyba nie takie dziwne - przerwał Johansson. - Skoro przez pół nocy grasz na pianinie, a potem pijesz czerwone wino i słuchasz, jak grają inni. - Znajdź sobie chłopca - pomyślał.

- Wiesz co - powiedziała Ulrika Stenholm. - Czasem się ciebie boję. Czy ty czasem nie wymykasz się stąd nocami i mnie nie śledzisz?

- Dziękuję za zaproszenie - powiedział Johansson - ale nie. Gruby emeryt w białym szlafroku z kroplówką w ręku i nosem przyciśniętym do twojego okna w środku nocy? Nie. To niemożliwe. Takiego kogoś nawet zmęczona pani doktor by zauważyła.

- Wiesz co - uśmiechnęła się. - Czasem potrafisz być naprawdę zabawny. Po rozmowie z tobą człowiek robi się weselszy.

- Wiem - powiedział Johansson. - Masz dla mnie jakieś konkrety?

Zdaniem Ulriki Stenholm, która z Pia rozmawiała tego ranka, wszystko było gotowe. Pia zajęła się wszystkim w domu. Poza tym ułożyła grafik wizyt kontrolnych, badań i codziennych wizyt u rehabilitantki.

- Przyjedzie po ciebie twój kumpel - powiedziała Ulrika. - Weźmie ze sobą twoje ubrania. Ma samochód, ale jak wiesz, przysługuje ci prawo do taksówki.

- Mój przyjaciel - powiedział Johansson i poczuł się tak, jakby podskoczyło mu serce. - Znamy się jeszcze ze szkoły policyjnej. Niedługo stuknie mu pięćdziesiąt lat. Zajmował się sprawą Yasmine. Ja w tym czasie siedziałem w zarządzie Komendy Głównej.

- Yasmine. - Spojrzała na niego zdziwiona. - To chyba się świetnie składa. Pomógł ci w czymś?

- Przyniósł mi stertę dokumentów do przeczytania. - Johansson wskazał segregatory leżące na stoliku przy łóżku. Czy mi pomógł? Tak sobie - pomyślał.

- Świetnie - powiedziała Ulrika Stenholm, sięgając po komórkę do kieszeni białego kitla. - No tak. Na mnie już czas. Muszę uciekać.

- Uważaj na siebie - powiedział Johansson i wyciągnął w jej stronę lewe ramię. Co za wredna robota - pomyślał.

Pięć minut później do jego pokoju wmaszerował Jarnebring. Podeszedł prosto do łóżka i wysypał na nie ubrania z torby.

- Wyskakuj, stary. Nie pozwól, żeby ci uciekła młodość. Bokserki, T-shirt, koszula, skarpety, buty i portki. Plus najdłuższy z możliwych pasek do spodni - dodał, rozkładając ręce. - Jest około dwudziestu stopni i świeci słońce, więc

raczej nie odmroziś sobie tyłka.

- Najwyższy czas, kurwa - powiedział Johansson, podnosząc się z wysiłkiem.

- Przestań jęczeć. Mam cię ubrać czy wolisz, żebym cię zasłonił, żeby cię nie widziały te śliczne pielęgniarki?

- Siadaj na krześle i stul pysk, resztą zajmę się sam - powiedział Johansson.

Pół godziny później stali na parkingu przed samochodem Johanssona.

- Pomyślałem, że skorzystam z okazji i zrobię sobie jazdę próbną, zanim twój brat załatwi wszystkie formalności - powiedział Jarnebring.

- Kupiłeś mój samochód - powiedział Johansson, który nawet się nie zdziwił, bo znał swojego najstarszego brata tak samo dobrze jak swojego najbliższego przyjaciela, to znaczy jak samego siebie.

- Yes - powiedział Jarnebring. - Musisz coś tam jeszcze podpisać, ale papiery wziąłem ze sobą, więc załatwimy to w domu.

- A co ze mną?

- Jak to, co z tobą? - Jarnebring wzruszył ramionami.

- Mam przez resztę życia chodzić pieszo?

- Będziesz mieć taki sam, ale z automatyczną skrzynią biegów. I paroma gadżetami, które twój brat kazał zamontować. Mogą ci się przydać, zanim nie doprowadzą ci ręki do porządku.

- Dobra - powiedział Johansson. Nigdy zbyt nie interesował się samochodami. A teraz jeszcze mniej niż

kiedykolwiek. Ciekawe, ile Bo za niego wybulił – pomyślał.

Rozdział 33

Środa, 21 lipca 2010 roku, po południu

- Ooch - Jarnebring jęknął przeciągle, gdy wyjeżdżali z parkingu. - Dwanaście cylindrów, czterysta pięćdziesiąt koni mechanicznych - wyjaśnił.

- Skoro tak mówisz - powiedział Johansson. - Idzie jak diabli, gdy się wdepnie - dodał. - Ciekawe, na co to komu w kraju, w którym maksymalna dopuszczalna prędkość wynosi sto dwadzieścia na godzinę?

- Jak chcesz, żebyśmy zrobili? - zapytał Jarnebring. - Prosto do domu czy najpierw rozejrzemy się po okolicy?

- Chcę przyłożyć ucho do szyny - powiedział Johansson. Najwyższy czas zobaczyć to na własne oczy - pomyślał.

- W takim razie może zaczniemy od mieszkania matki - zaproponował Jarnebring. - Dwie minuty stąd.

- Jedź do Äppelviken - powiedział Johansson. - Chcę zobaczyć dom, w którym mieszkała z ojcem. Solną znam - wyjaśnił. Poza tym to nie tam się stało - pomyślał. Dlaczego, tego jeszcze nie wiedział, jeszcze nie, ale miał przeczucie, wystarczająco silne jak na niego. Wcześniej to przeczucie zawsze wystarczało. W czasach, gdy był kimś innym niż teraz.

- Dobra - powiedział Jarnebring. Wyciągnął długie prawe ramię i przypiął go pasem, o którym Johansson zapomniał, choć na wyświetlaczu migają i piszczały kontrolki.

- Dziękuję - powiedział Johansson. - Nie ma pośpiechu - dodał na wszelki wypadek.

Spokojna jazda, bez pośpiechu, bez stresu. Wyjazd z Karolinska, potem na lewo wzdłuż cmentarza, na pierwszym rondzie w lewo na Solnavägen, na prawo przy pierwszym zjeździe na E4 w kierunku południowym, a potem znów na prawo na Brommę i Äppelviken. Po dwunastu minutach Jarnebring zatrzymał się na skrzyżowaniu Äppelviksgatan z Majblommestigen.

- Świadcowi wydawało się, że to gdzieś tutaj widział tego czerwonego golfa - powiedział Jarnebring i wskazał pierwszy dom po prawej. - Ta tutaj to Majblommestigen - objaśnił i pokazał swoją wielką dłoń na niewielką uliczkę. - Ma jakieś sto metrów, jest ślepa, kończy się zawrotką tam w górze. Ojciec, jego nowa dziewczyna i Yasmine mieszkali w domu na samym końcu, Majblommestigen 10, na prawo od miejsca, w którym teraz siedzimy. - Znów pokazał ręką.

- A samochód stał w miejscu, w którym stoimy teraz - powiedział Johansson. - Pod tym domem. Majblommestigen 2. Tutaj, na skrzyżowaniu?

- Jeśli wierzyć zeznaniom - powiedział Jarnebring. - Potem świadek zaczął się wycofywać, a na koniec nic już nie wiedział. My zresztą też nie.

Za mocno go przycisnęliście - pomyślał Johansson. Wystraszył się, kiedy dotarło do niego, co powiedział, a do jego drzwi zaczęły się dobijać tabuny dziennikarzy.

- Nie pomogły też te cholerne gryzipiórki, które nachodziły go w domu, bawiąc się w przesłuchania -

powiedział Jarnebring, jakby czytał w jego myślach.

- Wyobrażam sobie - powiedział Johansson, choć myślami był już gdzie indziej.

Drewniany dom zbudowany w czasach między pierwszą a drugą wojną światową, pomalowany na czerwono, żółto, białe i niebiesko, a w niektórych miejscach nawet na różowo, ale nie tak, żeby sąsiedzi musieli się skarżyć. Ciesielskie fantazje z tego czasu, ganki, werandy, altany i wykusze. Listwy, staranne wycięte wyłobienia. Prawdziwa uczta dla rzemieślników - murarzy, cieśli, malarzy i blacharzy, którzy wiedzieli dobrze, co robią, i dawali sobie czas na zrobienie tego porządnie. Bujne, cieniste ogrody z rabatkami, drzewami owocowymi i zadbanymi trawnikami. Codziennie grabione żwirowe ścieżki między furtką a drzwiami domu. Zadbaną okolicą, przebudowaną, rozbudowaną i pieczołowicie odrestaurowaną. Porządna, dobrze sytuowana klasa średnia, której w ostatnich latach przybyło wielu znacznie bogatszych sąsiadów. W tempie odpowiadającym wzrostowi cen ich własnych posiadłości.

Yasmine mieszkała w domu na końcu ulicy. Był nie największy, ale też nie najmniejszy w tej okolicy. Czerwony z białymi narożnikami, odświeżoną elewacją i śladami pozostawionymi przez malarzy na ścieżce przykrytej gdzieś plandeką.

- Nie wiesz, czy dalej tu mieszka? - zapytał Johansson. - Ta dziewczyna, z którą wtedy był jej ojciec.

- Nie - powiedział Jarnebring. - Słyszałem, że sprzedała dom i wyprowadziła się stąd już latem następnego roku.

Ojciec Yasmine zwał po miesiącu. To, co się stało, raczej im nie pomogło.

Dom, który obrósł w nowe wspomnienia - pomyślał Johansson. Wspomnienia sprawiające, że jego mieszkańcy nie mogli dłużej w nim zostać.

- Chcesz wyjść i się rozejrzeć? - zapytał Jarnebring.

- Nie. - Johansson pokręcił głową.

- Nie znam się jakoś szczególnie na dzieciobójcach, ale zobaczysz, zjem swój policyjny kask, jeśli to stało się tutaj - stwierdził Jarnebring, powoli kręcąc kierownicą. - Nie w tej okolicy.

- Jak nie tu, to gdzie?

- Moim zdaniem ktoś ją zgarnął, kiedy wracała do matki. Biedaczka była pewnie zmęczona i zdenerwowana. To mi nie wygląda na miejsce, w którym morduje się małe dziewczynki - powtórzył Jarnebring, gdy sunęli w dół ulicy.

- Czy możesz zatrzymać się tam na rogu? - zapytał Johansson.

- Jasne - powiedział Jarnebring.

Dom był znacznie większy niż wszystkie pozostałe na tej ulicy. Niebieski, z łamanym dachem pokrytym dachówką, miał wejście z nadwieszeniem wspartym na dwóch białych kolumnach i rozłożystymi kamiennymi schodami prowadzącymi do podwójnych drzwi. Duża szklana weranda wychodziła na ogród z tyłu. Już od dawna dom należał do nowego właściciela lub do nowych właścicieli. Johansson był pewien - i nie potrzebował nawet sprawdzać tego w rejestrze nieruchomości - że osoba, która tu mieszkała, wyprowadziła

się, kiedy tylko zrozumiała, co się stało.

Ciekawe, kiedy to do niej dotarło? - pomyślał. Może już jesienią tego samego roku? To będzie łatwo sprawdzić. Gdzie znalazła spinę Yasmine? Tego raczej nikt nie ustali po dwudziestu pięciu latach.

- Jeśli się zastanawiasz nad kupnem willi, mogę rozważyć kupno twojego mieszkania - powiedział Jarnebring. - Wiesz, skoro już mam twój samochód...

- Nie - powiedział Johansson. - Dobrze mi na Söder.

- A, czyli tylko ucho przykleiło ci się do szyny - uśmiechnął się Jarnebring.

- Nie - powiedział Johansson. - Pomyślałem, że może chciałbyś rzucić okiem na miejsce zbrodni - wyjaśnił, patrząc na duży niebieski dom.

III

Oko za oko, ząb za ząb, ręka za rękę...

Księga Wyjścia 21:24

Rozdział 34

Środa, 21 lipca 2010 roku, po południu

Jarnebring też tylko popatrzył. Najpierw w kierunku dużego domu po drugiej stronie ulicy, potem w kierunku Johanssona.

- Dlaczego sądzisz - zapytał - że to miejsce zbrodni?

- Poduszka. Otóż to. Poduszka i poszewka - odpowiedział Johansson. Wyglądał, jakby zapadł się w sobie. - To była moja pierwsza myśl.

- Poduszka? I poszewka?

- Tak, ale to nie wszystko. Spinka. Czerwony golf. Wydaje mi się, że stał zaparkowany właśnie tam. Cała oprawa, że tak powiem.

- Poduszka, poszewka, spinka, czerwony golf. Cała oprawa? - Powiniennem się cieszyć czy martwić? - pomyślał Jarnebring.

- No tak, ale to jeszcze nie wszystko. Choć reszta to raczej przeczucia. Choćby ta, co tu mieszkała.

Ta, co tu mieszkała? Teraz już naprawdę się martwię - pomyślał Jarnebring. Co za ona?

- Może mógłbyś mi coś wyjaśnić - poprosił.

- Jeszcze do tego wrócimy - powiedział Johansson. - Teraz chcę jechać do domu.

Nareszcie w domu - pomyślał, przekraczając próg mieszkania na Wollmar Yxkullsgatan. Co prawda, wspierał

się na swoim najbliższym przyjacielu, ale poza tym siedł o własnych siłach.

- Usiądźmy w moim gabinecie. Położę się na kanapie. Daj mi łaskę, to sobie poradzę.

- Żaden problem - zaproponował Jarnebring. - Jeśli chcesz...

- Zrób, jak powiedziałem - przerwał mu Johansson. - Podaj mi też szklanekę wody. Jak jesteś głodny, na pewno znajdziesz coś w lodówce. Pia zwykle pamięta o takich rzeczach. Mnie wystarczy szklanka wody.

Nareszcie w domu - pomyślał powtórnie, gdy z pewnym wysiłkiem usiadł na kanapie i położył nogi na siedzeniu, jak to miał w zwyczaju. Ta sama kanapa, ten sam róg tej samej dużej kanapy, w którym przez te lata spędził tysiące godzin, czytając, oglądając telewizję, przysypiając lub myśląc. Teraz w pokoju stało również duże łóżko, które Pia kupiła i postawiła pod krótszą ścianą. Łóżko najeżone elektroniką, którą miał zamiar przetestować przy najbliższej okazji.

Jarnebring przystawił sobie krzesło i usiadł naprzeciwko niego. Na stole postawił dużą butelkę wody mineralnej, miskę z owocami i dwie szklanki.

- Może jednak wolisz kanapkę? - zapytał Johansson.

- Nie jestem głodny. Tylko cholernie ciekawy.

- Spokojnie - powiedział Johansson. - Wszystko w swoim czasie. Zastanawiam się tylko, od czego powinienem zacząć.

- Proponuję, żebyś zrobił to w takiej kolejności, żeby nawet prosty glina się połapał.

- Nie ma sprawy. Pamiętasz to pierze i te dwa białe

włókna, które lekarz medycyny sądowej znalazł w przełyku i między zębami tej biednej dziewczynki? Twierdził, że mogła zostać zaduszona poduszką w białej poszewce.

- Też jestem tego zdania. Wszyscy w to wierzyli. Nawet ten tłuścioch przyjął to do wiadomości.

- Sęk w tym, że to nie była jakaś tam zwykła poduszka. Ani też zwykła poszewka. W środku był puch edredonowy, a poszewka była z lnu.

- Chwila - powiedział Jarnebring i na wszelki wypadek uniósł prawą rękę. - Moja żona i ja mamy w domu mnóstwo poduszek z pierzem, a przecież mieszkamy w zwykłym szeregowcu. Nawet na działce mamy poduszki z puchem. W naszym jeszcze bardziej prymitywnym domku letniskowym. Zresztą wiesz. Byłeś u nas. W naszej norze w mieście i w domku na wsi.

- Wiem. Ale ja nie mówię o jakiś zwykłych poduszkach z pierzem albo jakiejś zwykłej poszewce z bawełny.

- No nie, mówisz o...

- Gdybyś chociaż przez chwilę mógł siedzieć cicho i mi nie przerywać, wytłumaczyłbym ci różnicę między zwykłą poduszką z pierza w zwykłej białej poszewce z bawełny a poduszką, której użył sprawca.

- Słucham - powiedział Jarnebring. Odchylił się na oparcie krzesła i splótł dłonie na swoim płaskim brzuchu.

W zasadzie było to bardzo proste, przynajmniej zdaniem Johanssona. Większość tak zwanych puchowych poduszek składa się głównie z piór. Piór i niewielkiej ilości puchu ptactwa domowego, zwykle kaczek i gęsi. Najwięksi

producenci piór i puchu do wypełniania poduszek i kołder pochodzą z Azji, a krajem, który eksportuje najwięcej tego surowca, są Chiny. Z kolei zwykle poszewki, z wyjątkiem tych najtańszych, szyje się z bawełny.

- Chcesz mi powiedzieć, że to była bardzo rzadka poduszka? - stwierdził Jarnebring lekko ironicznie.

- Wiesz, ile by dzisiaj kosztowała? Poduszka z wypełnieniem z puchu edredonowego z poszewką z najlepszej jakości lnu?

- Nie mam pojęcia.

- Dwadzieścia, trzydzieści tysięcy koron, może więcej. Gdybyś chciał do tego dobrać kołdrę, musiałbyś dorzucić jeszcze stówkę. Znaczący sto tysięcy koron. O ile w ogóle udałooby ci się coś takiego znaleźć.

- Słyszę, co do mnie mówisz. Tylko kto, kurwa, dałby stówę za poduszkę i kołdrę?

- Nie jakiś tam zwykły dzieciobójca. Nie jakiś tam John Ingvar Löfgren, Anders Eklund czy Ulf Olsson. Nikt w tym typie. Nawet nie morderca Yasmine, ten czuły i wrażliwy pedofil, o którym majaczył profesor Sjöberg.

- Nie nadążam - westchnął Jarnebring. - Musisz mi wyjaśnić.

- To nie była jego poduszka - powiedział Johansson.

Jarnebring zastanawiał się nad tym blisko minutę. Potem skinął w stronę Johanssona, poprawił się na krześle, przechylił do przodu i pokiwał głową.

- Słucham.

- Margaretha Sagerlied. Coś ci to mówi?

- Nie bardzo. Kto to jest?

- Masz ją w swoim dochodzeniu. Wdowa, lat siedemdziesiąt jeden w czasie, gdy popełniono zbrodnię, dawna śpiewaczka operowa, elegancka dama, że tak powiem, zmarła w wieku osiemdziesięciu dziewięciu lat. Z tego co wiem, miała o dwadzieścia lat starszego małżonka, zmarł w osiemdziesiątym. Z tego co wiem, dobrze jej się powodziło. To przy jej domu się zatrzymaliśmy. Kiedy zamordowano Yasmine, mieszkała na Majblommestigen 2, ale nie było jej wtedy w domu. Wyjechała kilka dni wcześniej i wróciła jakiś tydzień później. Dostyc szybko została skreślona. Wiadomo, Bäckström.

- Teraz już rozumiem - powiedział Jarnebring z wyraźną ulgą.

- Całe szczęście.

- Jej małżonek odpada. Za stary. Zresztą nie żył. A dzieci i wnuki?

- Tu jest problem. Zdaje się, że żadne z nich ich nie miało.

- Nawet we wsi, jak to się kiedyś mówiło?

- Nie. Nie znajduję takich. Zresztą mam neodparte wrażenie, że nie mogło tu być mowy o dzieciach spoza małżeństwa. Ani z jej, ani z jego strony. Musi to być jakiś młodszy znajomy mężczyzna. Ktoś, kogo przeoczyliśmy.

- No, nie wiem. Nie wiem, czy powinieneś czepiać się zeznań tego skołowanego świadka, któremu się zdawało, że widział czerwonego golfa. Zresztą potem ze wszystkiego się wycofał.

- Jasne - powiedział Johansson, wzruszając ramionami.

Żyjemy w wolnym kraju – pomyślał.

– Ale ta poduszka mnie przekonała – ciągnął Jarnebring. – W okolicy mieszkało sporo dzianych ludzi. Wielu z nich miało synów w odpowiednim wieku. Rozumiem twój tok myślenia. Dobre rodziny, malowani chłopcy. Bardzo możliwe, że kogoś przeoczyliśmy

– Możesz sobie ich darować. Czerwony golf stał tam, gdzie powiedział świadek. To w domu tej kobiety popełniono zbrodnię. Możesz mi podać tamtą siatkę? – dodał, pokazując palcem. – Tę z rzeczami ze szpitala. Są tam twoje skoroszyty.

– Jasne. Ale nie znajdziesz w nich tego, co przeoczyliśmy.

– No nie – powiedział Johansson. – Przeoczyliście coś innego. I to chciałem ci pokazać. – Coś, co się przeoczyło, raczej nie trafia do skoroszytów – pomyślał.

Po dłuższej chwili znalazł foliową torebkę z czerwoną spinką. Wyłowił ją lewą ręką i podał Jarnebringowi.

– Poznajesz? – powiedział Johansson.

Oczy Jarnebringa się zmieniły, gdy ostrożnie podniósł torebkę. Stały się zmrużone, pełne uwagi.

– Tak – powiedział. – Teraz już naprawdę nadążam i teraz się, kurwa, tłumacz.

Rozdział 35

Środa, 21 lipca 2010 roku, po południu

Johansson pokręcił głową.

- Później do tego wrócimy.

- Dlaczego nie teraz? Przez tę spinkę mieliśmy same problemy. Masę problemów.

- Później do tego wrócimy. Dlaczego mieliście przez nią problemy? Przecież jej nie znaleźliście.

- W tym rzecz. Yasmine miała długie czarne włosy. Sięgały kilka decymetrów poniżej ramion i zwykle je upinała spinką albo gumką. Miała zresztą mnóstwo różnych spinek. Gdy chciała wyglądać szczególnie ładnie, matka pomagała jej się uczesać. Na jednym ze zdjęć, które widziałem, Yasmine miała fryzurę Farah Diby. To ta panna, która była żoną szacha Iranu, wiesz.

A ta niby co ma z tym wspólnego? Żona szacha Iranu, Rezy Pahlawiego - pomyślał Johansson. Tyle akurat pamiętam. - Dawaj dalej - powiedział.

- Sundman, ten, wiesz, co mieszkał po sąsiedzku, sporządził pierwszy opis Yasmine. Jeszcze tego samego wieczoru, kiedy zaginęła. Maryam mu pomogła. Zgodnie z tym opisem Yasmine miała włosy spięte czerwoną spinką z plastiku w kształcie takiej małpki...

- Monchichi. Małpki Monchichi.

- Właśnie - powiedział Jarnebring i wyjął protokół ze

spisem ubrań i innych rzeczy osobistych Yasmine. - Na Sundmanie można polegać. Gdy już znaleźliśmy ciało, większość zgadzała się w stu procentach. Jak pamiętasz, sprawca spakował jej ubrania i rzeczy osobno. Leżały w podwójnych plastikowych workach jakieś sto metrów od ciała.

- Pamiętam.

- Niczego nie brakowało. Znaleźliśmy dwa pierścionki i zegarek. Kartę miejską, wszystko. Wszystko, z wyjątkiem tej spinki, którą, jak się zdawało matce i koledze Sundmanowi, Yasmine miała we włosach.

- Jak była ubrana?

- Białe skórzane mokasyny, wtedy mówiło się na nie „indiańskie”. W tamtych czasach nosiły je wszystkie dziewczynki. Białe skarpetki, białe majtki. Jasnoniebieskie džinsy, różowy T-shirt (to w niego się przebrała, gdy matka załapała jej koszulkę colą), mały plecak Adidasa, również różowy. Przewiązana w pasie cienka niebieska kurtka z Fjällräven, zegarek, dwa pierścionki, karta miejska. W plecaku miała trochę rzeczy. Jakieś pismo, paczkę gumy do żucia, tabletki na gardło, portfel, też różowy, skórzany. Maryam powiedziała na którymś przesłuchaniu, że czerwony i różowy to były ulubione kolory jej córki. Tak mi się przynajmniej wydaje.

- Wszystko się zgadzało?

- *Yes*. Wszystko, z wyjątkiem tej spinki.

- Jak to sobie tłumaczyliście?

- Pierwsza myśl była taka, że zapomniała o niej, tak jak

o rzemyku z kluczami, gdy przebierała się w różowy T-shirt. Przecież niczego innego nie brakowało. Dlaczego sprawca miałby zachować spinkę? Zwykle w tego rodzaju sprawach brakuje majtek. Właściwie wszyscy uważali, że zapomniała o spince. Tak jak zapomniała o rzemyku z kluczami. Bäckström się tego uczeplił. Nie rozumiał, w czym problem. No więc nigdy nie uzupełnił tego opisu.

- Aha - powiedział Johansson. - To dlaczego spinki nie było w łazience? Przecież klucze były.

- Właśnie. Poza tym kolega Sundman stanowczo twierdził, że miała spięte włosy, gdy minęła go, wbiegając do metra.

- Miała spinkę - powiedział Johansson. - To ta, którą trzymasz w dłoni. - Już ją przecież oddałem Yasmine - pomyślał, wracając na moment do tamtego snu.

- Słyszę, co do mnie mówisz - powiedział Jarnebring. - Jestem nawet skłonny ci uwierzyć. Co mnie cholernie martwi. Jakim sposobem znalazłeś ją po dwudziestu pięciu latach? Bo chyba jej nie ukrywałeś przez cały ten czas, aż naszły cię wyrzuty sumienia, kiedy zrobił ci się ten badziew w głowie?

- Nie masz się czego obawiać - powiedział Johansson. - Dostałem ją wczoraj. - To chyba było wczoraj - pomyślał.

- Dostałeś ją wczoraj? Od kogo?

- Od anonimowego informatora - powiedział Johansson. - Nie masz się czego obawiać. Nie od tego nieznanego mordercy.

- W takim razie kim on jest?

- Na razie to anonimowy informator. Takich informatorów

traktuję tak samo jak ty, więc przestań jęczeć. Oddawaj spinkę.

Jarnebring wzruszył ramionami i podał spinkę z wyraźną niechęcią.

- Wybacz, Lars - powiedział. - Popraw mnie, jeśli się mylę. Robi ci się skrzep w mózgu. Trafiasz na salę w Karolinska, a po czternastu dniach zjawia się informator i przekazuje ci spinkę, którą nosiła pewna dziewczynka, gdy została zamordowana dwadzieścia pięć lat temu.

- Coś w ten deseń - powiedział Johansson. Jeszcze mi podziękowała, gdy jej oddałem - pomyślał.

- Skoro spinkę dostałeś dopiero wczoraj, ciekaw jestem, dlaczego od tygodnia gadasz o tej sprawie.

- To wcale nie takie dziwne - powiedział Johansson. - Informator potrzebował czasu, żeby ją znaleźć. Nie wiedział nawet, czego szuka. - Jarnebring nie jest sobą. Jakby stracił ostrość widzenia - pomyślał.

- Nie zgadzam się z tobą. To najdziwniejsza historia, jaką kiedykolwiek od ciebie słyszałem. Rozumiem, że masz coś na swoją obronę.

- Mam - powiedział Johansson. I trudno o coś lepszego - pomyślał.

- Niby co?

- Boską opatrność - powiedział Johansson.

Rozdział 36

Środa, 21 lipca 2010 roku, po południu

Zanim się rozstali, zamknęli kwestie praktyczne. Najpierw Johansson przepisał umowę leasingową audi na Jarnebringa. Nie czuł się z tym dobrze.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł? - zapytał. - Bierzesz na siebie spore obciążenie miesięcznie.

- Spokojnie - beztrąsko rzucił Jarnebring. - Twój brat obiecał, że będę mógł go wykupić.

- Zapytam z ciekawości. Ile sobie za niego policzył?

- Dwie stówki - powiedział Jarnebring.

- No proszę - powiedział Johansson. To nie w stylu Everta. Ciekawe, może jemu też coś wyskoczyło w głowie - pomyślał.

- Powiedział, że powierzy mi część obowiązków szofera, załatwianie jakichś prostszych spraw dla starego znajomego. Czy nie po to są emeryci?

- Brzmi nieźle - powiedział Johansson, bo myślami był już gdzie indziej. - Może w takim razie podjechałbyś do Hermana i zapytał, czy mógłbym rzucić okiem na to, co ma na temat śpiewaczki operowej w twoim dochodzeniu.

- Margarethy Sagerlied.

- Właśnie. Tak się nazywała. I jeszcze wszystko, co macie z obchodu.

- To było w czerwcu i lipcu osiemdziesiątego piątego. Byliśmy tam jeszcze w sierpniu, a potem jesienią, gdy ludzie

wrócili z wakacji. Tony papieru. Jasne, załatwię to.

- O czymś jeszcze zapomniałem.

- Ten czerwony golf, którego tak się uczepliłeś. Mamy cały karton wydruków z rejestru samochodów i dodatkowe informacje na temat tych właścicieli golfów, którzy się trochę wyróżniali. Wcześniej karani mieszkający w okolicy.

- To też - przytaknął Johansson.

- Będiesz to mieć jutro. Coś jeszcze mogę dla ciebie zrobić?

- Idź już sobie. Chcę się zdrzemnąć.

- Czy to na pewno dobry pomysł? Miałem zamiar zaczekać do powrotu Pii. Mogę usiąść gdzie indziej, jeśli chcesz.

- Dobra już, dobra - powiedział Johansson. Nagle poczuł, jak ogarnia go zmęczenie. Nie dam rady - pomyślał. Muszę się zdrzemnąć. Ból głowy wbijał się już w jego skronie.

- Usiądę w kuchni. Zawołaj, gdybyś czegoś potrzebował.

- Coś sobie właśnie pomyślałem. Myślisz, że można rozwiązać sprawę zabójstwa sprzed dwudziestu pięciu lat, jeżeli się jest przykutym do kanapy?

- Pojedziemy czasem w teren. Możesz wziąć ze sobą kanapę. Niech cię o to głowa nie boli.

- Uhum - powiedział Johansson. Powinienem dać radę - pomyślał. Starszy brat Sherlocka Holmesa na pewno dałby radę. Jak on się nazywał?

I zasnął.

Rozdział 37

Środa, 21 lipca 2010 roku, po południu

Obudziły go zapachy. Zapachy jedzenia, które dla niego przygotowywała, a potem jej dłoń, która ostrożnie dotknęła jego policzków i skroni. Która sprawiła, że ustąpił ból głowy.

- Jarnebring - powiedział Johansson. - Jest jeszcze?

- Możesz być spokojny - powiedziała Pia. - Wyrzuciłam go półtorej godziny temu. Zrobiłam ci coś do jedzenia - przysunęła bliżej tacę, którą postawiła na stole obok kanapy.

Wreszcie w domu, wreszcie sensowne jedzenie. Być może nie do końca po jego myśli, ale mimo wszystko rodem ze świata lepszego niż ten, w którym znajdowała się szpitalna kuchnia. Lekko podgrzana sałatka z dzikim ryżem i podsmażonym łososiem, odpowiednio różowym w środku. Może odrobinę za dużo sałaty jak na jego gust, ale między liśćmi znalazł szparagi i grzyby. Bez piwa, wina ani małej popitki, ma się rozumieć, ale zimna woda mineralna też była w porządku. I jeszcze prawdziwa kawa. Podwójne espresso, a obok ciepłe mleko.

Żyjesz - pomyślał Lars Martin Johansson. Przestań jęczeć.

- Za dobra jesteś dla mnie - powiedział Johansson. - Gdybyś była bohaterką współczesnej powieści, recenzentki rozerwałyby cię na strzępy za zdradę kobiecej sprawy.

- A gdyby było na odwrót? Gdybym to ja zachorowała? -

Teraz cię poznaję – pomyślała.

- Pewnie byłoby tak samo źle.

- Na dobre i na złe – powiedziała Pia, unosząc szklanekę do toastu.

- *For better or for worse* – przytaknął Johansson.

- Masz siłę porozmawiać o kilku praktycznych sprawach?

- zapytała Pia, gdy skończył jeść.

Johansson kiwnął głową. Poczł nagły niepokój, którego pochodzenia nie rozumiał. Jest, jak jest. Co się stało, to się nie odstanie. Co ma być, to będzie i nie ma na to rady.

Zdaniem Ulriki Stenholm najlepiej dla wszystkich, w tym dla jej pacjenta i męża Pii Johansson, byłoby, gdyby Lars Martin Johansson został przeniesiony do jakiegoś miejsca specjalizującego się w opiece nad rekonwalescentami i rehabilitacji pacjentów po udarze.

- Wykluczone – powiedziała Pia i pokręciła głową. - Nigdy się na to nie zgodzi.

- Może spróbowałabyś go przekonać? Chodzi najwyżej o miesiąc.

- Nie zamierzam nawet próbować – powiedziała. Kurwa, o czym ta kobieta gada? – pomyślała.

- W takim razie najeździecie się w tę i z powrotem – powiedziała Ulrika Stenholm. - Poza tym ktoś powinien być przy nim przez cały czas. Przysługują mu dojazdy, ale wątpię, czy opieka domowa dysponuje taką ilością czasu. Zwłaszcza latem, w czasie urlopów.

- Powiedz mi, kiedy i z kim ma się spotykać, a resztą się zajmę – powiedziała Pia.

- No tak, jest też opieka prywatna - powiedziała Ulrika Stenholm. - Niestety, w tej chwili tak to właśnie wygląda. Nie gniewaj się na mnie, Pia, ale nie mam zbyt wiele do zaoferowania.

- Nie gniewam się - powiedziała Pia. - Wkurza mnie tylko, że proponujesz, żebyśmy wsadziły go do jakiegoś domu opieki. Od dwóch tygodni jest twoim pacjentem. Najwyraźniej ani przez chwilę nie pomyślałaś, jakim jest człowiekiem.

- Przepraszam - powiedziała Ulrika Stenholm. - Nie chciałam sprawić ci przykrości.

- Nie jest mi ani trochę przykro - powiedziała Pia Johansson. - Daj mi jego rozpisę z nazwiskami tych, z którymi ma się spotykać, a resztą się zajmę.

Gdy Pia rozmawiała z mężem, nie wspomniała ani słowem o tej części narady z jego osobistym lekarzem.

- Rozmawiałam z Ulriką Stenholm. Prosiła, żeby ci przekazać, że jeśli chcesz, możesz nadal być jej pacjentem. Jeśli nie, mogę znaleźć kogoś innego. Sophiahemmet ma wielu świetnych lekarzy. Korzystamy z ich usług w banku.

- A to czemu? - zdziwił się Johansson. - A co jest nie tak ze Stenholm? - Poza tym mam z nią sprawę do załatwienia - pomyślał.

- W takim razie masz u niej wizytę w poniedziałek.

- W porządku - powiedział Johansson. Ciekawe, o co się poprztykały - pomyślał.

- Poza tym potrzebna ci będzie pomoc w ciągu dnia - powiedziała Pia. - Tym już się zajęłam. W sytuacjach takich

jak twoja pracownicy mojego banku korzystają z usług prywatnej opieki domowej.

- Dobrze wiedzieć. Że tak dbacie o swoje kasjerki.

- No tak. Wiesz co? - Pochyliła się do przodu i wzięła go za rękę.

- Nie. A co?

- Zaczynasz mówić jak mój mąż.

- Zobaczysz, po takiej luksusowej kuracji dla liczykrupów będę od niego dużo lepszy.

- Rozmawiałam z dziewczyną, która będzie do ciebie przychodzić. Ma na imię Matilda, ale mówią na nią Tilda. Przyjdzie jutro, poczekam na nią.

- Aha. Coś z nią nie tak?

- Nie, w porządku. Dwadzieścia trzy lata, ładna, z pozytywną energią. Skończyła szkołę pielęgniarstwa. Zrobiła kurs na osobistego asystenta.

- Daruj sobie. Co z nią nie tak?

- No dobra, wygląda jak dzisiejsza młodzież.

- Co znaczy: „wygląda”?

- Ma ręce w tatuażach, i w ogóle.

- Co: „w ogóle”?

- I kolczyki w uszach, no i w ogóle.

- Kurwa. Że też dzisiejsza młodzież musi bazgrać sobie po skórze w ten sposób. Za moich czasów tatuaże nosili tylko chuligani i marynarze. I jeszcze ten duński król, nie pamiętam, jak się nazywał.

- Poza tym wydaje się bardzo miła...

Johansson wyglądał, jakby przestał słuchać.

- Gdyby nasza mała Alicia pokazała nam się kiedyś zrobiona na arras i chciała sobie wbić w głowę karnisz, ostro bym zaprotestował.

- Taka jest dzisiaj młodzież - powiedziała Pia, próbując zmienić temat, bo była w saunie z najstarszą wnuczką Johanssona i najwyraźniej wiedziała o niej więcej, niż wiedział jej dziadek. - Jest coś jeszcze...

- Tak.

- Co wy tam knujecie z Bo? Jakaś stara sprawa?

- Tak. Sprawa zabójstwa sprzed lat. nierozwiązana. Jedna z tych, o których policjanci, przynajmniej niektórzy, nie potrafią zapomnieć.

- Nieźle - powiedziała Pia i wyglądała, jakby naprawdę to miała na myśli. - Możesz zdradzić jakieś szczegóły? To któraś z twoich dawnych spraw?

- Nie. W żadnym wypadku. Moje sprawy odkładam dopiero wtedy, gdy je rozwiążę.

- Przepraszam. Jesteś zmęczony, pewnie chciałbyś pospać.

- Nie. Chcę zrobić jazdę próbną swoim nowym łóżkiem.

Potem Johansson zasnął. Przywołał go do siebie Hypnos. Uśmiechnął się przyjaźnie. Wsunął zieloną makówkę w jego zdrową dłoń, ostrożnie otoczył go ramieniem i poprowadził w ciemność.

Rozdział 38

Czwartek, 22 lipca 2010 roku

Pierwszy raz od dawna Johansson przespał przepisowe osiem godzin. Nie był jednak z tego powodu rześki i wypoczęty, tylko zmęczony i przygaszony. Obudził się z bólem głowy i oprócz tych wszystkich tabletek, które regularnie połykał, zaaplikował sobie jeszcze jedną.

Fatalnie wyglądasz, Lars - pomyślał, oglądając swoje odbicie w lustrze. Nieogolony, zapuszczony obwieś, i to dosłownie. Nawet nie miał siły myśleć o tym, żeby zrobić coś z zarostem.

Potem przyszedł Jarnebring. Chwilę po ósmej rano wniósł trzy wielkie kartony wypchane po brzegi papierami i postawił je na podłodze w gabinecie Johanssona.

- Z pozdrowieniami od Hermana. Dał mi tu dla ciebie jakiś wniosek do podpisania. Sprawa jest, co prawda, zamknięta i przedawniona, ale wciąż obejmuje ją tajemnica zawodowa, więc musisz mieć pozwolenie na wgląd w dokumentację.

- Dobra - powiedział Lars Martin. - Masz długopis? - Lewą ręką - pomyślał. Dlaczego to takie trudne? Tyle już razy się w życiu podpisywałem, że i lewą ręką powinienem dać sobie radę.

- Elegancko - powiedział Jarnebring, biorąc kartkę. - Lars Martin Johansson, lat cztery, jeśli oceniamy na podstawie charakteru pisma. Przyjmij moje gratulacje. Jesteś w tej

chwili badaczem policyjnym.

- Badaczem policyjnym?

- Herman jest zdania, że tak jest najszybciej - powiedział Jarnebring. - W zasadzie każdy, kto chciałby z jakiegoś powodu zaspokoić swoją ciekawość, może ubiegać się o pozwolenie na takie badania. Wystarczyło, że Herman zadzwonił do tego szurniętego profesora z zarządu policji, wiesz, tego, co siedzi zwykle w „Poszukiwany, poszukiwana” i gada od rzeczy - od razu poparł twój wniosek. To właśnie ten wniosek trzymam w ręku, jeśli jesteś ciekaw. Masz pozdrowienia od profesora. Kazał ci przekazać, żebyś się niepotrzebnie nie zamartwiał. Sam miał już zatory i wylewy krwi do mózgu. I jeszcze kilka zawałów.

- To on jeszcze żyje? - zapytał Johansson. Prawdziwa skamielina - pomyślał.

- Żwawy jak płotka. Zaciął się na ostatniej zwrotce. Według Hermmana profesor powiedział, że najwyższy czas, żeby ktoś wytopił tłuszcz z tego sukinsyna.

- Z kogo? Z kogo wytopił tłuszcz?

- Z tego, co wykończył Yasmine.

- Aha, tak powiedział.

- Tak. Tak się podobno wyraził, przynajmniej tak twierdzi kolega Hermansson. Wiesz, muszę już lecieć. Pamiętaj, to zalenie w domu u córki. Będę musiał zerwać podłogę, żeby wszystko porządnie wyschło i nie zaczęło pleśnieć.

- Papiery.

- Cholerny bałagan. Teraz nie zawracaj sobie tym głowy. Usiądziemy do nich, jak wrócę.

Potem przyszła Matilda, jego nowa asystentka. Opis Pii miał najwyraźniej charakter upiększający, bo odkryte ramiona Matildy były aż czarne od czegoś, co wyglądało jak wijące się węże. Bardzo możliwe, że właśnie dlatego Pia nawet nie zająknęła się na temat tych wszystkich kolczyków, które Matilda miała na twarzy: jednego w lewym skrzydełku nosa, dwóch w dolnej wardze i po trzy w każdym uchu.

Ciekawe, jak długo moja droga żona chciała to przede mną ukryć - pomyślał Johansson. Bez wątpienia jednak Matilda sprawia wrażenie wesołej i energicznej.

- Okej - powiedziała Pia. - Zostawiam cię, Tilda. W razie czego masz mój numer.

- Luz - powiedziała Matilda. - Jak na rybach - zapewniła.

Zabrzmiało tak jak wtedy, gdy dzieci były małe i wychodziliśmy na przyjęcie - pomyślał Johansson. Pamiętaj, żeby zostawić numer opiekunce.

Potem zjadł śniadanie, siedząc na kanapie w gabinecie. Jogurt, müsli i świeże owoce, kawa i woda. Nie było się do czego przyczepić. Obsługa też bez zarzutu. Matilda zaproponowała nawet, że zawiąże mu na szyi serwetkę. Oczywiście odmówił. Zawiązał serwetkę sam, chociaż upuścił ją przy tym dwa razy.

- Chciałam jeszcze zapytać, czy masz jakieś szczególne potrzeby? - Jego osobista asystentka spojrzała na niego zaciekawiona.

- Szczególne potrzeby? - wymamrotał Johansson. O czym ona, kurwa, mówi? Szczególne potrzeby? - zastanowił się chwilę.

- No wiesz, spacer, jakieś konkretne jedzenie, na które masz ochotę. Może chcesz, żebyśmy pojechali gdzieś samochodem. Poszli do kina. *You name it*. - Teraz skinęła w jego stronę niemal wyzywająco.

- Najbardziej cenię sobie spokój i ciszę. Potrzebuję też samotności.

- Usiądę w kuchni z książką. Spoko. Zawołaj, jakby co.

Johansson położył się na kanapie, patrzył w sufit. Nie miał nawet siły myśleć o kartonach z papierami.

Mimo wszystko sprawia wrażenie dobrze wychowanej - pomyślał Johansson. Rzeczywiście, ładna dziewczyna. Tylko czemu, na Boga, tak się oszpeciła? Co, nie ma rodziców, którzy mogliby jej przemówić do rozumu?

Zasnął. Obudziło go ostrożne dotknięcie w ramię.

- Wyskakuj - powiedziała Matilda. - Za dwie godziny mamy być u rehabilitantki.

- Za dwie godziny? Potrzebuję najwyżej piętnastu minut, żeby się ubrać. Ile czasu potrzebujemy na dojazd? Dwadzieścia minut.

- Pomyślałam, że cię trochę odpicuję przed wyjazdem. Dasz radę usiąść na tamtym krześle? - pokazała krzesło z podłokietnikami, które postawiła metr od kanapy.

- Tak - powiedział Johansson. Co jest? - pomyślał. Jeden metr. Uważa, że mam paraliż całego ciała, czy co?

Podniósł się, usiadł na krześle. I już.

Matilda podłożyła mu pod głowę poduszkę, owinęła jego twarz ogrzanym ręcznikiem. Ból głowy minął, jakby jej długie szczupłe palce nacisnęły jakiś guzik.

- Posiedź tak teraz przez dwie minuty, a ja przyniosę maszynkę do golenia i trochę piany.

Potem zgoiła mu zarost. Ostrożnie, bez jednego zadrażnienia. Wytarła pianę drugim ręcznikiem, który zmoczyła w ciepłej wodzie. Wklepała mu ostrożnie w policzki i brodę płyn po goleniu z jego szafki w łazience. Podsunęła lusterko.

- Przyznasz, że jest różnica.

- Tak. - Doznanie bliskie seksualnego, a wszystko przez te cholerne leki na ciśnienie - pomyślał. - Dziękuję, Matildo - powiedział.

- Spoko - powiedziała. - Wiem, że po udarze mówi się dziwne rzeczy. Spoko. Moi przyjaciele mówią na mnie Tilda, jeśli cię to interesuje.

- Dziękuję, Tildo - powiedział Johansson. Co ja, kurwa, wygaduję - pomyślał.

Rozdział 39

Czwartek, 22 lipca 2010 roku, po południu

Jarnebring przyjechał po lunchu, tak jak obiecał. Matilda podała im kawę, wodę i owoce. Zamknęła drzwi, żeby mieli spokój. Zniknęła gdzieś w ciszy wypełniającej to ogromne mieszkanie.

- Miła dziewczyna - powiedział Jarnebring z uznaniem. - Wydaje się całkiem przytomna.

- No tak. Pomimo tych tatuaży i kolczyków. Na co to komu?

- Teraz wszyscy takie mają. - Jarnebring wzruszył ramionami. - Dorośli, dzieci. Chociażby moja żona. Ma dwa.

- Nie zauważyłem.

- Od czego chcesz zacząć? - zapytał Jarnebring, podchodząc do kartonów. - Twoje szczęście, kurwa, że ich nie zauważyłeś.

- Mówiłeś, że to niezły burdel - westchnął Johansson.

- Mało powiedziane. Ale coś tam jeszcze pamiętam. W każdym razie mogę ci opowiedzieć, co w nich jest.

- Zaczynaj od obchodu - powiedział Johansson. Już nie bolała go głowa. Naszło go natomiast to dziwne poczucie nieobecności, które mu się ostatnio zdarzało. Jakby był w drodze w jakieś inne miejsce. - Zaczynaj od obchodu - powtórzył. Weź się w garść. Jesteś świeżo ogolony, przed chwilą byłeś na treningu, pokonałeś swoje *plateau*,

rehabilitantka cię pochwaliła, siedzisz sobie ze swoim najbliższym przyjacielem. Czego ci brakuje? Przecież żyjesz – pomyślał.

W skrócie wygląda to tak. Obchód w ramach prowadzonego dochodzenia w sprawie zabójstwa Yasmine Ermegan był całkowitą porażką. Gdy wreszcie zaczęli, minął jakiś tydzień od zniknięcia dziewczynki i zdaniem Jarnebringa to cud, że jemu i kolegom udało się znaleźć świadka, który potrafił zlokalizować ją w terenie. Co więcej, na ulicy, na której mieszkała z ojcem.

W ciągu tygodnia była ładna pogoda, w wiadomościach obiecali, że w weekend będzie równie ładnie. Zaczęły się wakacje, czas urlopów, a okoliczna dobrze sytuowana klasa średnia nie narzekała na brak domów na wsi ani zaproszeń do domów znajomych. Zgodnie ze sporządzonym raportem tylko jeden na pięciu mieszkańców był w domu w piątek wieczorem czternastego czerwca, gdy zniknęła Yasmine. Zostali jedynie starsi ludzie, którzy zdążyli się już położyć albo skryli się przed upałem w chłodnych wnętrzach. Czytali, słuchali radia i płyt, oglądali telewizję... Nie widzieli ani nie słyszeli, co się działo za ścianami ich domów.

- Nie muszę ci tego mówić, Lars, ale z punktu widzenia prowadzących obchód trudno o gorszy czas na zniknięcie. Piątek wieczór, szwedzkie lato, wakacje, urlopy. Prawdziwy koszmar dla policjanta chodzącego od drzwi do drzwi.

- Słyszę, co mówisz – powiedział Johansson i skinął głową. Ciekawe, co robił tam wtedy sprawca – pomyślał. Późny piątkowy wieczór, lato. Ładna pogoda. Co go tam

przywiodło? Mieszkał raczej gdzie indziej. Dlaczego nie był w centrum, dlaczego nie jeździł czerwonym golfem, rozglądając się za małymi dziewczynkami, które bawiły się i biegały w swoich krótkich spódniczkach? Nie, o tej porze dziewczynki siedziały już raczej w domach...

- Udało mi się znaleźć nasze notatki do raportu z obchodu - powiedział Jarnebring. - Lista osób, które tam mieszkały, gdy to się stało. W większości mieszkania prywatne, żadnych biur, to zawsze jakieś pocieszenie. Ale przesłuchania leżą nie po kolei.

- Jeśli mamy listę, jakoś to będzie - powiedział Johansson. Pewnie Bäckström maczał w tym swoje tłuste paluchy - pomyślał.

- Gorzej jest z listą golfów - powiedział Jarnebring. - Nie mogę znaleźć zestawienia. Nie ma kopii papierowej po tej awarii systemu, którą mieli. Pewnie coś było, ale na dysku. Samochody ujęte w rejestrze karnym znajdziemy pewnie w karcie. Jeśli nie, to przepadło.

Pewnie trafiły do kosza Bäckströma - pomyślał Johansson. - Bierz, co ci dają - powiedział. - Równie dobrze sami możemy zrobić listę.

- Jasne. Nie ma sprawy. Ale, jak już mówiłem, ja w to nie wierzę. Nawet jeśli odmawiasz słuchania tym uchem.

- Margaretha Sagerlied. Znalazłeś jej przesłuchanie? - Czasem mam wrażenie, że to Bo zrobił się skrzep w mózgu - pomyślał.

- Yes - powiedział Jarnebring. - Razy dwa. Pierwsze zostało przeprowadzone drugiego lipca, czyli dwa i pół

tygodnia po zniknięciu Yasmine. Staruszka wyjechała jak wszyscy inni. Po jakimś miesiącu uzupełnione o drugie przesłuchanie, w piątek dziewiątego sierpnia.

- Słucham - powiedział Johansson.

- Udało mi się je wygrzebać spośród tych wszystkich śmieci - powiedział Jarnebring. - Włożyłem je do koszulki z raportem. Chcesz poczytać? - Uniósł niebieską koszulkę.

- Opowiedz.

- Oba przesłuchania prowadziła ta sama koleżanka, Carina Tell. Zabójczo piękna, ze dwadzieścia lat młodsza ode mnie. Dopiero co skończyła szkołę. Delegowana z prewencji w Solnej. Jeździła radiowozem. Bystra, nie powiem. Naprawdę przytomna. Gdybyś widział, jakie zderzaki...

- Przejdź do rzeczy. Co powiedziała ta staruszka? Ta, no, Sagerlied.

- Nie było jej wtedy w domu. Wyjechała kilka dni przed zniknięciem Yasmine. Wróciła jakieś mniej więcej dwa tygodnie po zabójstwie.

- Gdzie była?

- W domku letnim na obrzeżach Vaxholm. Na Rindö. Prawdziwa stara kupiecka willa, którą odziedziczyła po swoim mężu. Pojechała tam z przyjaciółką, dawniej też śpiewaczką operową.

- Przesłuchaliście i tę przyjaciółkę?

- Za kogo mnie masz? Ich wersje zgadzają się co do przecinka. Ta przyjaciółka była jeszcze starsza. Blżej osiemdziesiątki, jeśli dobrze pamiętam. I dla odmiany w swoim czasie bardzo znana.

- Okej. Co powiedziała? Co powiedziała Margaretha Sagerlied? - No tak - pomyślał. Musiała mieć powody, żeby się spotykać z kimś o osiem lat starszym.

- Najważniejsze wydają się cztery rzeczy. Po pierwsze, że nie miała nic do wniesienia do sprawy. Nie było jej przecież, gdy to się zdarzyło.

- Po drugie?

- Po drugie, że знаła Yasmine. Mała Yasmine kilka razy była u niej w domu. Zdaniem Sagerlied śliczna, miła i dobrze wychowana dziewczynka. Zdarzyło im się razem grać na fortepianie i śpiewać. Naturalnie całe zdarzenie wytrąciło ją z równowagi. Była jednak przekonana, że to nie mogło się stać w jej okolicy. Przecież mieszkali tam porządni, wykształceni ludzie.

- A po trzecie? - wtrącił Johansson. Nie w jej okolicy - pomyślał. To się jej nie mieściło w głowie.

- Znajomi mężczyźni.

- I co?

- Nie było takich. Żadnych dzieci, żadnych wnuków ani innych takich. Ani jej, ani jej męża. Żadnych młodszych znajomych. Starzy przyjaciele i przyjaciółki w jej wieku. Pochodzący z tego samego środowiska. Starzy śpiewacy i śpiewaczki, ludzie teatru i opery, starzy aktorzy, gwiazdy z jej czasów, jeśli tak można to ująć.

- Do diabła - powiedział Johansson. - Widziałeś przecież jej chałupę? Musiała mieć przynajmniej sprzątaczkę. - Która po niej zmywała - pomyślał. W zniszczonych czerwonych rękawicach, bo jej pracodawczyni z pewnością skąpiła na

takie rzeczy.

- Koleżanka Tell zadała to pytanie. Bystra dziewczyna, już mówiłem. Staruszka twierdziła, że sprząta sama. Do wielkiego sprzątanego przed świętami zatrudniała firmę sprzątającą. To samo wiosną, gdy trzeba było umyć wszystkie okna i odświeżyć całość przed latem.

- Bzdura - parsknął Johansson. - Nie przychodzili do niej żadni fachowcy?

- Od wielu lat już nie. Ostatnim razem, gdy jeszcze żył jej mąż, wymienili ryny i rury spustowe. Założyli miedziane, bo stare przerdzewiały. Musiało ich to nieźle trzepnąć po kieszeni. Wczoraj zadzwoniłem do Cariny. Zdaje się, że sporo tam było między wierszami. Kasa i znani ludzie. Staruszka ledwo dostała pytanie o to, co robiła w domku letnim, a już zaczęła opisywać, że miał piętnaście pokoi i dwie przeszklone werandy i że jej teść tyle a tyle za niego zapłacił.

- A opieka domowa? - Jasne - pomyślał Johansson. Właśnie taka była.

- Nie miała zaufania. Nie wyobrażała sobie, żeby ktoś z opieki przychodził do niej do domu. Nie po tym, jak przeczytała o tym Indianinie, co zadusił staruszkę, którą się opiekował. Jego sprawa została wznowiona, może pamiętasz.

- No a po czwarte? - zapytał Johansson. - O co chodziło? - Pamiętam go - pomyślał.

- Ten czerwony golf, który podobno stał przed jej domem.

- Co miała do powiedzenia na jego temat?

- Nic. Nie miała ani samochodu, ani prawa jazdy. Nikt z jej znajomych nie miał czerwonego golfa. Nawet nie

wiedziała, co to za samochód.

Niedobrze – pomyślał Johansson. Bardzo niedobrze. Tego, co za rogiem, też nie widzę, już nie. – Ta koleżanka...

– Nina. Carina, Carina Tell.

– Właśnie, ona – powiedział Johansson. – Dalej u nas pracuje?

– No nie – powiedział Jarnebring. – Skończyła kilka lat temu. Teraz jest trenerką personalną. Nieźle jej się wiedzie. Prowadzi wykłady, ma dwie siłownie, osobistych trenerów dla pół tuzina miliarderów i jeszcze uczy zdrowego stylu życia takich tłustych, nadzianych dziadów jak ty. Napisała nawet kilka książek na ten temat.

– Skąd o tym wiesz?

– Znamy się – powiedział Jarnebring. – Zadzwoń do niej. Przecież już ci mówiłem.

– Co znaczy: „znamy się”?

– Zwyczajnie. To było przecież dwadzieścia pięć lat temu, zanim poznałem swoją żonę.

– Mógłbyś poprosić tę Carinę, żeby do mnie zadzwoniła?

– Pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Że nie wygadasz Pii.

– Dobra – obiecał Johansson. Niby po co miałbym to robić?
– pomyślał. – Jeszcze jedno – powiedział. – Zostało jeszcze jedno.

– No?

– Drugie przesłuchanie. To, które Tell przeprowadziła pięć tygodni później. Co w nim jest?

- Nic - podsumował Jarnebring.

- Nic?

- Nic. To Margaretha Sagerlied zadzwoniła do Cariny. Była ciekawa, jak rozwija się dochodzenie, czy coś znaleźliśmy. Wiesz, nic nowego. Staruszki, które otarły się o coś strasznego i które potem wiszą na linii. Przesłuchanie zostało przeprowadzone przez telefon. Nie było powodu, żeby jechać do niej do domu. Przeczytaj sam, jeśli mi nie wierzysz. Masz jeszcze jakieś pytania?

- Jestem zmęczony. Muszę się zdrzemnąć.

- Wszystko w porządku? - zapytał Jarnebring. Znow jest taki - pomyślał. Jakby był nieobecny.

- Jasne. Muszę się tylko na chwilę położyć.

- Uważaj na siebie, Lars. Widzimy się jutro. O tej samej porze, w tym samym miejscu. Stary dobry skład z centralnej dochodzeniówki. Pamiętasz? Dziesięć lat na tym samym przednim siedzeniu w beżowym starym volvo.

Pochylił się nad nim. Otoczył go ramieniem, uścisnął.

- Obiecuj, że będziesz na siebie uważać.

- Obiecuję - powiedział Johansson.

Pięć tygodni później dzwoni, żeby zapytać, jak rozwija się dochodzenie - pomyślał Johansson, patrząc na drzwi, które właśnie zamknął za sobą jego najbliższy przyjaciel. Cicho, żeby mu nie przeszkodzić, bo wydawało mu się, że zasypia.

Co takiego się stało w ciągu tych pięciu tygodni? - pomyślał. Co sprawiło, że nagle dotarło do niej, jak to mogło być. Ktoś, kogo znała, ale o kim nigdy nie pomyślała. Nie w ten sposób. Ktoś, kto jeździł czerwonym golfem. A może

chodziło o czerwoną spinę z plastiku? Czerwoną Monchichi,
którą znalazła pod łóżkiem w swojej sypialni?

Zasnął.

Rozdział 40

Piątek, 23 lipca 2010 roku

Kolejny dzień w jego nowym życiu. Śniadanie, rehabilitantka, Matilda, która osiągała sukces za sukcesem, i to pomimo wszystkich tych kolczyków i tatuaży.

- Co chcesz teraz zrobić? - zapytała, gdy byli w drodze do domu z Karolinska.

- Spotkam się z Jarnebringiem.

- Przyjdzie dopiero za kilka godzin. Daruj sobie. Co chciałbyś zrobić, gdyby to od ciebie zależało?

- Skoro tak, to chciałbym popływać.

- Popływać - powtórzyła Matilda i popatrzyła na jego zwisające bezwładnie prawe ramię. - Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

- Ty - powiedział Johansson. - Pokonałbym cię o pół basenu nawet ze związanymi z tyłu rękoma.

- No dobra. - Matilda uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

Najbliżej mieli do Eriksdalsbadet albo do Forsgrénska badet przy Medborgarplatsen i właśnie to drugie miejsce zaproponowała Matilda. Johansson chciał jechać do Sturebadet w centrum i tam pojechali.

Do basenu musiał zejść po schodkach, o nurkowaniu nie było mowy, nie z prawym ramieniem, które łopotało bez kontroli. Żadnego kraula z wyciąganiem rąk do przodu,

żadnego motylka. Za to pływanie na plecach z intensywną pracą nóg i z pomocą jednego ramienia. Tak dobrze nie czułem się od tamtego wieczoru, gdy wysiadłem z samochodu przed budką z najlepszymi na świecie kiełbaskami, żeby zakupić cygańską *wurst* z kiszoną kapustą i musztardą z Dijon.

- Gdzie nauczyłeś się tak pływać? - zapytała Matilda w drodze na Söder. - Światowa liga.

- Mój najstarszy brat wrzucał mnie do rzeki, gdy byłem mały. Nie miałem wyboru.

- Ile miałeś lat? - Spojrzała na niego zdziwiona.

- Jakiś rok, coś koło tego.

- I nie bałem się, że utoniesz?

- Skąd - powiedział Johansson. Nie znasz mojego brata - pomyślał.

Potem zrobiła mu lunch. Może nie była to klasa Pii (wciąż trochę za dużo warzyw), ale jeśli się wzięło pod uwagę jej wygląd, należało go uznać za prawdziwy cud.

- Dobrze. - Johansson z uznaniem pokiwał głową. - Gdzie się nauczyłaś tak gotować?

- Brat wrzucał mnie do rzeki, gdy byłem mała - powiedziała Matilda. - Nie miałam wyboru.

Potem zadzwonił Jarnebring i poprosił o wychodne. Okazało się, że zalanie w kuchni jego córki miało nieoczekiwane następstwa.

- Poszło aż do piwnicy - powiedział Jarnebring. - Przykro mi, ale...

- Nie ma sprawy. Do poniedziałku.

- Na pewno?
- Na pewno. Daj znać, jakbyś chciał namiar na prawdziwego hydraulika.
- Nie stać mnie. Właśnie zatankowałem samochód, który od ciebie kupiłem. A ty co będziesz robić?
- Położę się na kanapie i poczytam sobie dawne protokoły przesłuchań.

Ze względów praktycznych w pierwszej kolejności zajął się przesłuchaniem Margarethy Sagerlied, które Jarnebring już dla niego przygotował. Nie miał zamiaru sam grzebać w kartonach.

Pierwsze przesłuchanie, które koleżanka Tell przeprowadziła z Margarethą Sagerlied, było datowane na wtorek, drugiego lipca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego, osiemnaście dni po zniknięciu Yasmine. Rozpoczęło się o 14.15 i zakończyło o 17.05. Trwało blisko trzy godziny. Jak na przesłuchanie w ramach obchodu było to niezwykle. Zbyt często zadowalano się tymi pięcioma minutami, których było trzeba, żeby zadzwonić do drzwi i spytać tego, kto otworzył - dobrze, jeśli w ogóle otworzył - „czy coś widział lub słyszał”. Zwykle nikt niczego nie widział ani nie słyszał i pięć minut z powodzeniem wystarczało, by to ustalić. Ale nie tym razem. Carina Tell była dokładna i systematyczna, a Margaretha Sagerlied wylewna i otwarta. Nagrane na taśmę, streszczone, wydrukowane, przeczytane i zaakceptowane przez Margarethę Sagerlied. Zapis przesłuchania zajął blisko dziesięć stron.

Właściwie nie znalazł w nim niczego, o czym nie

wspomniałby Jarnebring. Najwyżej jakiś szczegół. Jak to, że Margaretha Sagerlied miała dwa koty. Zabrała je oczywiście ze sobą na wieś. Albo że nikt z sąsiadów nie miał kluczy do jej domu. Strzegła swojej prywatności. Nikogo nie było w domu pod jej nieobecność, spotykała się tylko z rówieśnikami, którzy wywodzili się z tego samego środowiska co ona. Znała ich wszystkich od wielu, wielu lat.

Czytając, czuł wzbierającą irytację. Nie potrafił tego nazwać, ale coś mu przeszkadzało. Może miała jakiegoś kochanka lub przynajmniej adoratora, o którym milczała jak zaklęta? Kłamała czy po prostu nie rozumiała, kogo szukamy? Młody mężczyzna. Zwykły, normalny młody mężczyzna, przynajmniej taki się jej wydawał. Którego zna, któremu ufa, bo jest nie tylko normalny, lecz także wykształcony, taktowny, uprzejmy i kurtuazyjny. W żadnym wypadku nie przypomina potwora, który zgwałcił i zamordował małą Yasmine.

Ledwo Johansson odłożył papiery, gdy na jego komórkę zadzwoniła Carina Tell.

- Carina Tell - powiedziała. - Rozmawiałam z twoim przyjacielem, Bo Jarnebringiem. Rozumiem, że chciałeś ze mną porozmawiać.

- Zgadza się. Może dałabyś radę wpaść?

- Mogę być u ciebie za pół godziny. Jestem na siłowni, wezmę tylko szybki prysznic.

- Świetnie. W takim razie dam ci...

- Mam twój adres i kod do drzwi - przerwała. - Będę za pół godziny.

Bystra kobieta - pomyślał. I punktualna - dodał, gdy pół godziny później zadzwonił dzwonek.

Rozdział 41

Piątek, 23 lipca 2010 roku, po południu

- Siadaj - powiedział Johansson i machnął ręką w stronę najbliższego krzesła. - Wybacz, że nie wstanę, ale ostatnio jestem w kiepskiej kondycji. - Ładna kobieta - pomyślał. Prawie tak samo ładna jak Pia. - Napijesz się czegoś? - zapytał.

- Dziękuję, nie trzeba. Rozumiem, że chcesz porozmawiać o zabójstwie Yasmine. Że interesuje cię zwłaszcza ta stara śpiewaczka operowa, którą przesłuchiwałam podczas obchodu okolicy.

- Zgadza się. Przeczytałem oba twoje przesłuchania.

- Mam pytanie. Wiem, kim jesteś, ale nie do końca rozumiem, dlaczego interesuje cię ta sprawa. Możesz mi powiedzieć?

- Mam przeczucia. Lepiej ty mi powiedz. Pamiętasz ją? Nigdy jej nie spotkałem, rozumiesz.

- Tak, pamiętam. Dosyć zarozumiała, delikatnie mówiąc. Chętnie i długo opowiadała o sobie samej, o swojej karierze śpiewaczki operowej, o tych wszystkich ludziach i znanych osobistościach, w których towarzystwie się obracała. Wydawała się jednak głęboko poruszona tym, co stało się Yasmine. Gdy o niej mówiła, miała łzy w oczach. Nazwała ją uroczą dziewczynką. Yasmine przychodziła do niej czasem do domu, bawiła się u niej. Grały razem na fortepianie

i śpiewały.

- Jak mieszkała? Powiedz, jak wyglądał jej dom. Pamiętasz?

- Duża willa. Meble, dywany i kryształowe żyrandole. Obrazy i fotografie, bibeloty, wazony z kwiatami, kwiaty w doniczkach. Siedziałyśmy w salonie. Wszędzie mnóstwo drobiazgów. Co najmniej dziesięć wielkich fotografii w srebrnych ramach przedstawiających ją samą w różnych rolach scenicznych. I małe zdjęcie zmarłego męża. Musiał się zadowolić czarną drewnianą ramką. Stało na półce nad kominkiem. Nie miał lekko, biedaczysko. Trzymała dwa duże koty. Takie długowłose stworzenia. Nigdy nie lubiłam kotów.

- Koty zabrała ze sobą na wieś?

- Tak - Carina Tell przytaknęła. - Oczywiście, że zadałam jej to pytanie, i jestem niemal pewna, że mówiła prawdę. Koty zabrała na wieś.

- Nie miała sprzątaczkę? Kogoś, kto by doglądał dom?

- Nie, ja też się tego uczepliłam. W tej kwestii była bardzo stanowcza. Sama sprzątała po sobie. Przed świętami i na wiosnę wynajmowała firmę sprzątającą na wielkie sprzątanie, mycie okien i tak dalej.

- A ogród? Kto zajmował się jej ogrodem? Tymi cholernymi kwiatami i roślinami? Kto to podlewał?

- Ona. Nic nie wskazywało na to, że było inaczej. Miała sporo drzew owocowych i rabatki. Interesowała się ogrodnictwem.

- Miała sprzątaczkę - powiedział Johansson. Trudno mu było ukryć irytację. - Margaretha Sagerlied nie była z tych,

co sami po sobie sprzątają łajno - pomyślał. Jak można być tak głupim?

- Skąd wiesz?

- Z tego, co mówisz. Nie wierzę, że była z tych, co po sobie sprzątają, piorą, zmywają i co tam jeszcze.

- Dlaczego nie? Zdrowa, energiczna, pełna życia. Wydawała się znacznie młodsza, niż była w rzeczywistości.

- Słyszę, co mówisz - powiedział Johansson. - Wyjechała na jakieś czternaście dni. Niemal przez wszystkie te dni było ciepło i słonecznie. Ktoś musiał podlewać jej rośliny. O tych wszystkich trawnikach i rabatkach nie wspominając.

- Nie pamiętam, żebyśmy akurat o tym rozmawiały. Ale skoro tak mówisz...

- Może ktoś pracował u niej na czarno? Może dlatego nie chciała nic powiedzieć?

- Nigdy ją o to nie zapytałam. O to, czy korzystała z nielegalnej siły roboczej. Głupio z mojej strony. Miałam dwadzieścia trzy lata, od roku pracowałam w policji. Przesłuchiwałam elegancką starszą panią koło siedemdziesiątki.

Rzeczywiście głupio, że tego nie zrobiłaś - pomyślał Johansson. Cholernie głupio. - Zapytam z ciekawości - powiedział na głos. - To drugie przesłuchanie, które przeprowadziłaś przez telefon...

- Nie wiem, czy można to nazwać przesłuchaniem. Ona sama do mnie zadzwoniła. Chciała o coś spytać. Pamiętam, że zapytałam ją, czy coś sobie przypomniała. Czy chciała coś dodać. Ale nie. Chciała spytać, jak nam szło. Sporządziłam

z tego tylko notatkę.

- Nie odniosłaś wrażenia, że węższy?

- Nie, w żadnym wypadku. Starsze panie tak mają, zwykły niepokój, ciekawość. Pamiętam, że zapytała, czy znaleźliśmy ten samochód, którego szukaliśmy. Tego czerwonego golfa.

- Co jej powiedziałaś?

- Powiedziałam, że już się nim nie zajmujemy. Że świadek zmienił zeznanie. Że golf nas nie interesuje. Ona nie miała ani prawa jazdy, ani samochodu. Nie wiedziała nic o samochodach. Ledwo odróżniała volvo od saaba.

- Jak sobie z tym poradziłaś?

- Byłam wtedy młoda i ambitna, więc na pierwszą rozmowę wzięłam zdjęcie czerwonego golfa.

- I?

- Nie, nigdy nie widziała takiego samochodu. W jej kręgach nie jeździło się takimi samochodami. Podkreśliła to stanowczo. Mercedesy, jaguary, bmw, bardzo proszę. Jej mąż cenił sobie amerykańskie marki. Tak to ujęła. Przed śmiercią miał oczywiście starego lincolna. Chyba poczuła się urażona. Jak mogłam pomyśleć, że ktoś z jej znajomych jeździł takim złomem? Tak to określiła, gdy pierwszy raz pokazałam jej zdjęcie golfa. Nikt z jej znajomych nie wsiadłby do takiego złomu. Ona tym bardziej nie.

- Przesłuchiwałaś ją w jej domu?

- Na początku siedziałyśmy w salonie, jak już mówiłam, a na koniec pokazała mi resztę domu.

- Nie odmówiłaś?

- Oczywiście, że nie. Za kogo mnie masz?

- Opowiedz. Jak wyglądał?

- Za dużo mebli, to już mówiłam. Wszędzie coś stało. Część rzeczy była ładna: antyki, dywany, kryształowe żyrandole i pewnie sporo drogich obrazów. Ale w tym nadmiarze nie było ich, że tak powiem, widać.

- Salon znajdował się na dole, na parterze?

- Tak. Niech pomyślę, może sobie przypomnę. Najpierw duży hol. Potem na lewo kuchnia i spiżarnia. Na prawo biblioteka. Jej mąż miał tam swój gabinet - tak powiedziała.

- Co jeszcze?

- Naprzeciwko znajdował się salon z oszkloną werandą, która wychodziła na ogród. To tam ją przesłuchiwałam. Na lewo była jadalnia. Całkiem ładny dom, naprawdę spory. Dziś pewnie kosztuje majątek.

- A na piętrze?

- Najpierw hol. Nad salonem znajdował się duży pokój, który służył jej za studio muzyczne. Stał tam między innymi ogromny fortepian. Pamiętam, jak pomyślałam, że niełatwo go było wtargać po tych wszystkich schodach. Za ścianą była jej sypialnia z osobną garderobą, *dressing-room* i duża łazienka. Najwyraźniej mieli z mężem osobne sypialnie. Sypialnia i łazienka męża, on też miał osobną łazienkę, chociaż jej była co najmniej dwa razy większa, wychodziły na ulicę. Był jeszcze rodzaj szwalni i kilka mniejszych sypialni. Łącznie osiem, dziesięć pokoi w całym domu. A, za kuchnią był też pokój dla służby. Od wielu lat stał jednak pusty. Za życia męża Sagerlied mieszkała w nim gosposia, ale odeszła rok po jego śmierci.

- Piwnica?

- Tak. Zejście z kuchni. Ale tam nie poszliśmy. Właścicielka zdążyła się tylko pochwalić, że tam trzyma wszystkie butelki z winem.

- A poddasze?

- Tam też nie byłam.

- No nic - powiedział Johansson. Za dużo mebli - pomyślał. Wszędzie coś stało. Wino w piwnicy, Bóg wie, co na strychu. Wiele miejsc, w których można by coś wywęszyć, naturalnie pod warunkiem że miało się odpowiedni nastrój.

- Teraz już musisz mi powiedzieć - stwierdziła Carina Tell.

- Dlaczego tak bardzo interesują cię Margaretha Sagerlied i jej dom?

- Wydaje mi się, że to tam się stało. Że to tam została zamordowana Yasmine.

- Z całym szacunkiem. Naprawdę trudno mi w to uwierzyć. Jak możesz w to wierzyć?

- Przeczucie.

- Okej. Skoro tak, to ona, znaczy Margaretha Sagerlied, nie miała o tym pojęcia. Jestem przekonana. Na tysiąc procent.

- Zgadzam się z tobą. Z pewnością nie miała o tym pojęcia. - Dopiero potem zrozumiała, co się stało - pomyślał. I jej świat legł w gruzach.

- Nie przypominasz sobie nic więcej w kontekście dochodzenia?

- Prawdę mówiąc, dosyć często o nim myślę. Z różnych powodów. Jeden z klientów mojej siłowni mieszkał w tej

samej dzielnicy co Yasmine i Margaretha Sagerlied, gdy to się stało. Widuję go kilka razy w tygodniu.

- Co to za jeden?

- Emerytowany wojskowy. Na koniec dali mu chyba stopień generała. Po osiemdziesiątce. Chociaż nie wygląda nawet na sześćdziesiąt. Energiczny, wysportowany, trzeźwy umysł. - Z jakiegoś powodu Carina Tell uśmiechnęła się do Johanssona

- Jak się nazywa? - zapytał Johansson. Założę się, że jakoś oryginalnie, to byłoby w stylu tych z siłowni - pomyślał.

- Axel Linderoth. Pewnie znajdziesz go w książce telefonicznej, a jak nie, załatwię ci jego numer. Wydaje mi się, że w momencie przejścia na emeryturę był generałem-porucznikiem w Sztabie Obrony. Proszę, oto moja wizytówka, skoro już tu jestem. - Wstała i położyła wizytówkę na stole.

- Dziękuję.

- Odezwij się. Pomogę ci zrzucić ten tłuszcz z brzucha, który niepotrzebnie nosisz.

- Jakie to miłe z twojej strony, Carino. Miło, że mi to proponujesz, obiecuję, że zastanowię się nad tym dokładnie i w pozytywnym duchu. - Masz szczęście, że nie byłem wtedy twoim szefem - pomyślał.

- Świetnie. Pozdrów żonę.

- Znasz Pię?

- Ona też u mnie ćwiczy. Jak wszyscy rozsądni ludzie, którzy dbają o swoje zdrowie - powiedziała. Potem skinęła głową, uśmiechnęła się i zamknęła za sobą drzwi do jego gabinetu.

A ja tu leżę - pomyślał Johansson. Samotny, tusty, powalony. Ledwo mam siłę obrócić się na własnej kanapie. Ale już bez bólu głowy, bez niepokoju. Z dobrym oddechem. Więc niedługo cię dorwę. Niedługo cię dorwę. Na przekór tym wszystkim, którzy twierdzą, że nie istniejesz.

Rozdział 42

Piątek, 23 lipca 2010 roku, po południu

Johansson był zmęczony, ale nie mógł spać. Leżał na kanapie, przewracał się z boku na bok, wymachiwał zdrową ręką, ale spokój mu nie wrócił. Bez spokoju potrzebnego do zaśnięcia nie miał większego wyboru.

- Matilda! - wrzasnął. - Do kurwy nędzy!

Wbiegła natychmiast, widocznie czuwała za drzwiami gabinetu. Johansson od razu poczuł się lepiej.

- Czy coś się stało? - zapytała.

- Nic, kurwa. Jest jak w bajce. Zwykły alarm ćwiczebny.

- Aha. I?

- Skoro już tu jesteś, może mogłabyś znaleźć jeden numer telefonu. - Wskazał palcem wizytówkę, którą Carina Tell położyła na stoliku.

- Jest tutaj. Carina Tell, jej numer to...

- Na odwrocie.

- Axel Linderoth?

- Właśnie tak - powiedział Johansson z nagłą czułością w głosie. - Zdolna dziewczyna. - On mieszka w Brommie. Emerytowany wojskowy. - Co znaczy „zdolna dziewczyna” - pomyślał. Dlaczego to powiedziałem?

- Okej, szefie. Coś jeszcze?

- Potrójne espresso. Najmocniejsze z mocnych. Bez mleka.

- *Coming right up* - powiedziała Matilda i zniknęła za

drzwiami.

„Szefie” - pomyślał. Dlaczego nazywa mnie szefem? Chyba nie jest policjantką?

- Chcesz, żebym wybrała numer za ciebie? - Matilda spojrzała na niego z niewinną miną.

- Proszę bardzo. - A masz! - pomyślał.

- Sam wybierz. Ważne, żebyś ćwiczył motorykę.

Potem po prostu wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

- Zawołaj, jak będziesz czegoś potrzebować, szefie.

Bystra dziewczyna - pomyślał Johansson. Nie siedzi, jak ją posadzą. Będę musiał z nią pomówić o tych tatużach.

Potem Johansson wybrał numer Linderotha, zastanawiając się jednocześnie, co powie. Kilka niewinnych kłamstw - pomyślał. Skoro był generałem w Sztapie Obrony, na pewno nie będzie mieć mi tego za złe.

Generał odebrał już po pierwszym sygnale.

- Linderoth - powiedział głosem odpowiednim dla emerytowanego generała.

- Johansson - powiedział Johansson. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, ale dzwonię z pewnym pytaniem. Zastanawiam się...

- Wiem, czego chcesz - przerwał Linderoth. - Dzwoniła do mnie Carina Tell, mój osobisty trener.

Nie ceni sobie dłuższych wywodów - pomyślał Johansson.

- Jeśli ci się spieszy, to mamy problem techniczny - powiedział generał Linderoth. - Jutro rano jadę do Skanii. Chciałem grać przez tydzień w golfa.

- Mogę być u ciebie za pół godziny.

- Zgoda.

- Matilda! - wrzasnął Johansson, gdy tylko odłożył słuchawkę.

Może od razu ją spytam - pomyślał Johansson, gdy wsiedli do samochodu i pojechali w kierunku Äppelvikén w Brommie.

- Mam do ciebie pytanie - powiedział Johansson.

- Śmiało, szefie.

- Dlaczego nazywasz mnie szefem?

- Słyszałam w pracy, że byłeś supergliną. Szefem Säpo i jeszcze tego, no, Komendy Głównej. Zanim skończyłeś.

- Ach, tak. To słyszałaś.

- No tak, z początku myślałam, że jesteś jak reszta naszych klientów. Kiedy zobaczyłam, jak mieszkasz.

- Jaka reszta?

- No, te liczykrupy. Taki wybraniec losu, co spadł, pomimo że miał spadochron. Ale spoko, jeśli chcesz, mogę mówić do ciebie „dyrektorze”.

- Szef jest w porządku - powiedział Johansson. Ma polot - pomyślał. A tatuaże da się pewnie usunąć.

- Umowa stoi, szefie.

- Äppelviksgatan - przypomniał Johansson.

- Wiem. Wpisałam adres do naszego GPS-a.

Johansson tylko kiwnął głową. Co taka jak ona robi z takimi jak ja? - pomyślał. Dopada mnie melancholia. Przyjemne uczucie melancholii, które rozchodzi się po ciele. Jeździć też potrafiła, spokojnie, ale dynamicznie. Prawie jak jego najbliższy przyjaciel, gdy był w odpowiednim nastroju.

- Lepiej będzie, jeśli zostanę w samochodzie - powiedziała

Matilda.

Zatrzymali się właśnie przed żółtą drewnianą willą.

- Dlaczego?

- Emerytowany wojskowy.

Johansson zrozumiał. Przewidujący też jesteśmy -
pomyślał.

- Proszę - powiedziała, wkładając mu do kieszeni
marynarki dyktafon.

- Żebyś nie musiał robić notatek. Już włączyłam. Bateria
powinna wystarczyć na dobę. Jeśli nie chcesz mu go
pokazywać, niech zostanie w kieszeni. Da radę.

- Dziękuję. Dziękuję, Matildo. Miło z twojej strony.

Rozdział 43

Piątek, 23 lipca 2010 roku, po południu

- Kawa, sok, woda? - zaproponował Axel Linderoth. Pokazał kolejno na metalowy termos, dzbanek z czerwonym sokiem i butelkę ramlösy w największym rozmiarze. Postawił je na stoliku ogrodowym obok dwóch szklanek i dwóch kubków z białej porcelany z emblematem Sztabu Obrony.

- Wystarczy woda - powiedział Johansson. Ten człowiek nie potrzebuje munduru - pomyślał. Szczupły, wysportowany, opalony na złoto, w białych bawełnianych spodniach i czerwonej koszulce polo z krótkim rękawem. Wyglądał tak, jakby nie przekroczył sześćdziesiątki nawet o jeden dzień. Wysportowany sześćdziesięciolatek.

- Wprowadziliśmy się tu z żoną w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim, od pięciu lat jestem wdowcem. Jak widzisz, wciąż tu mieszkam. Nasi trzej synowie wyprowadzili się już dawno temu. Dziś to dorośli mężczyźni. Najstarszy ma czterdzieści jeden, środkowy czterdzieści, a najmłodszy trzydzieści dziewięć lat.

- Z marszu - powiedział Johansson. Szesnaście, piętnaście i czternaście lat w chwili zaginięcia Yasmine - pomyślał.

- To prawda. Byłem tuż przed czterdziestką, gdy urodził się pierwszy z nich. Moja żona była, co prawda, osiem lat młodsza ode mnie, ale szybka ekspansja była konieczna, jeśli ród Linderothów miał się rozwijać.

- Byłeś tutaj, gdy to się stało? To znaczy gdy zniknęła mała Yasmine w czerwcu osiemdziesiątego piątego?

- Byłem na Bliskim Wschodzie. Dowódca w siłach ONZ, Strefa Gazy. Nie miałem więc przyjemności spotkać się z twoimi kolegami. Mojej żonie i naszym synom nie poszło już tak łatwo.

- Byli w domu?

- Nie. Nie byli, ale twoi koledzy potrzebowali dużo czasu, żeby to zrozumieć.

- Niestety, tak wygląda rutynowe postępowanie w tego rodzaju przypadkach. Niezbędna rutyna - podkreślił Johansson.

- Najwyraźniej - skrzywił się generał. - W weekend przed tym zdarzeniem moja żona pojechała z synami do Skanii, żeby odwiedzić swoich rodziców. Babcię i dziadka chłopców. Wrócili kilka dni po domniemanym zaginięciu tamtej dziewczynki. Mieli bilety lotnicze, licznych świadków w Skanii. Może powinienem zaznaczyć, że świadkami byli nie tylko moi teściowie. Nie na wiele to się jednak zdało. Jeden z twoich kolegów okazał się wyjątkowo uparty i głupi. Taki mały grubas. Moja żona zadzwoniła do mnie z płaczem do Gazy. Wściekłem się i zadzwoniłem do ówczesnego komendanta. Porządny chłop, poznaliśmy się, gdy pracował w Säpo. Wytargał drania za uszy. Zamienił z nim słowo. Moja żona i synowie mieli wreszcie spokój. To, co się stało, wystarczało. Straszna historia. Chociaż trzeba być policjantem, żeby pomyśleć, że to mogło wydarzyć się tutaj.

Zawsze ten Bäckström - pomyślał Johansson.

- Nie sądzisz, że to mogło stać się tutaj?

- Wykluczone. Jak się ma oczy na właściwym miejscu, to się widzi. Nie ta okolica, nie ci ludzie. Zresztą w domach zostali tylko emeryci. - Może jeszcze wody?

- Poproszę.

- Pamiętam, że przez długi czas maglowany był temat jakiegoś małego czerwonego samochodu, który podobno stał tutaj tego wieczoru. Tam na rogu, przy wjeździe na Majblommestigen. Sto metrów w dół ulicy, licząc od miejsca, w którym teraz siedzimy - wyjaśnił. - Podobno stał przed domem Johana Nilssona.

- Johana Nilssona? Gdzieś już słyszałem to nazwisko.

- Dom, w którym mieszkał Johan Nilsson. Nilsson nie żył, gdy to się stało. Ale w domu mieszkała jego najdroższa małżonka.

- Margaretha Sagerlied.

- We własnej osobie - stwierdził generał. - Z domu Svensson, Margaretha Svensson. O tym akurat wołała nie wspominać. Poza tym bardzo lubiła mówić.

- Jaka była?

- Nadęta, gderliwa, zapatrzona w siebie do granic wytrzymałości. Za to jej mąż to był równy chłop. Zdarzało nam się zjeść raki i wypić grog. Mógłby być moim ojcem, ale nie miałem z tym problemu. Zdolny biznesmen. Handlował mięsem i wędlinami, handel hurtowy w Årsta i Enskede. Był też właścicielem kilku sklepów spożywczych w mieście. Jego żonie, śpiewaczce operowej, raczej niczego nie brakowało.

- Jeżeli dobrze zrozumiałem, późno się pobrali.

- To prawda, Johan opowiadał mi o tym. O tych wszystkich latach, które spędził na podchodach i zalotach, zanim w końcu powiedziała „tak”. I o tych wszystkich latach, których potrzebował, żeby zrozumieć, że może powinien był poświęcić ten czas na coś innego.

- Czy był zgorzkniały? - Co to ma do rzeczy - pomyślał Johansson.

- Nie, w żadnym wypadku. Był dobrym człowiekiem, miłym i uprzejmym, do tego hojnym. Ale po kilku szklaneczkach grogu i gdy rozmawialiśmy w cztery oczy, pozwalał sobie na chwilę szczerości.

- Nie miał wcześniejszych związków? To znaczy dzieci z poprzednich związków.

- Nie. Często o tym wspominał. Brakowało mu tego. Pamiętam, że bardzo podobali mu się moi chłopcy. Ale nie mogło mu być lekko, nie z taką żoną - westchnął generał. - Ten czerwony samochód, golf, jak mówiła moja żona. Wydaje mi się, że nie powinieneś się tym sugerować.

- Tak ci się wydaje. A dlaczego nie?

- Nie, jeśli weźmiemy pod uwagę tego, kto twierdził, że go widział. Dzielnicowy mąciwoda. Nadgorliwy człowieczek, który wtrącał się we wszystko co się dało, a co z powodzeniem mógłby sobie darować. Prawdziwy *busybody*.

- W co? W co się wtrącał?

- We wszystko. W sprawy wspólnoty mieszkańców i rady rodziców. Chciał nam tu zorganizować straż sąsiedzką, opiekę nad starszymi, lokalne imprezy, spotkania wigilijne. Transport na pasterkę dla tych, którzy chcieli wypić o jeden

kieliszek za dużo, czyli dla wszystkich, jeśli mam być szczery. Łaził tu wieczorami z wielką czarną bestią, której raczej nie nazwałbyś psem. Niski, szczupły mężczyzna. Można było pomyśleć, że to pies wyszedł z nim na spacer.

- Pamiętasz, czym się zajmował?

- Był prawnikiem. Wydaje mi się, że pracował w Najwyższej Izbie Kontroli. Z pewnością nie miał nudnego życia.

- Żyje?

- Nie, umarł. Kilka lat po tej historii z dziewczynką. Na serce, jeżeli dobrze pamiętam. Tak to zwykle bywa, gdy człowiek bez przerwy zamartwia się o wszystkich i o wszystko.

- A więc Johan Nilsson nie miał dzieci z poprzednich związków? - Opuść sobie - pomyślał Johansson. Zdarzało ci się już nie mieć racji.

- Nie.

- A jego żona? Czy miała wielu znajomych po śmierci męża?

- Tak bym tego nie określił. Kilkoro starsuszków z tego środowiska, w którym zawsze się obracała. Przedstawiciele świata kultury, jak to się mówi. Przez większość czasu była sama. Nie była szczególnie lubianą sąsiadką. Kończyło się na „dzień dobry”.

- To wielki dom i ogród. Ktoś chyba jej pomagał?

- Za życia jej męża, za czasów Johana, mieszkała z nimi gospodyni. Wydawali często przyjęcia i zatrudniali dodatkową obsługę. Kilka razy dostaliśmy z żoną

zaproszenie, choć dzieliła nas spora różnica wieku. Ale gospodyni odeszła z pracy zaraz po śmierci Johana. Chyba wyprowadziła się jeszcze przed pogrzebem. Dlaczego – można się tylko domyślać.

- A tobie jak się wydaje?

- Margaretha Sagerlied była trudna. Nie należała do szczególnie miłych osób.

- Chcesz powiedzieć, że później robiła wszystko sama?

- W żadnym wypadku. Od razu postarała się o nową pomoc do wszystkiego. Zmieniały się przynajmniej raz do roku. Aż znalazła Erikę. Erikę Brännström.

- Erikę Brännström?

- Świetna osoba, dobra i cierpliwa. Z Norrlandu, wy tam jesteście zrobieni z twardego drewna. Pracowała u Sagerlied do dnia, w którym ta się stąd wyprowadziła. Margaretha Sagerlied sprzedała dom chyba na wiosnę, w rok po śmierci tej dziewczynki. Wiosną osiemdziesiątego szóstego. Jestem prawie pewien. Objąłem dowództwo w Strefie Gazy późną jesienią, a kiedy wróciłem do domu na święta, dom był już wystawiony na sprzedaż. Poszliśmy z żoną go obejrzeć, ale już wtedy był za drogi dla człowieka w mundurze. Margaretha Sagerlied wyprowadziła się oczywiście do miasta. Kupiła jakieś mieszkanie na Östermalm, dom stał pusty

- W trakcie przesłuchania, które przeprowadziła nasza wspólna znajoma, Carina Tell, Margaretha Sagerlied zaprzeczyła zdecydowanie temu, że kogoś zatrudniała. Zajmowała się wszystkim sama, tak twierdzi. Dlaczego? -

Skoro chciała uchodzić za elegantkę – pomyślał Johansson.

- Podejrzewam, że Erika pracowała na czarno.

- Dlaczego tak myślisz?

- Tak było, gdy przychodziła sprzątać u nas.

- Powiedziałaś: „Erika Brännström”?

- Erika Brännström. Jej mąż znalazł sobie chyba jakąś nową. Została z dwiema córeczkami. Miała wtedy jakieś trzydzieści pięć lat. Teraz ma pewnie około sześćdziesiątki. Mieszkała z córkami w Lilla Essingen.

- Nie wiesz, czy żyje? - Dwie córeczki - pomyślał.

- Wiem, że żyje. Rozmawiałem z nią w zeszłym tygodniu. Spotkałem ją w tramwaju z Alvik. Jechała odwiedzić jakąś przyjaciółkę w Nockeby.

- Nie znasz przypadkiem jej numeru telefonu?

- Owszem. Zapytałem ją, czy nie miałyby nic przeciwko temu, żeby czasem zadbać o porządek u takiego starego dziadka jak ja.

- Nie miała?

- Nie. Nie miała. Dam ci jej numer telefonu. Zapisałem w notesie. Leży w holu.

Tu się wymyka. A jedynym wytłumaczeniem jest to, że jest za późno – pomyślał Johansson. Erika Brännström, która przez kilka lat sprzątała u Margarethy Sagerlied i miała dwie córeczki. Ciekawe z kim. Z mężczyzną, który podobno ją zostawił. Kim był?

Rozdział 44

Piątek, 23 lipca 2010 roku, po południu

Wreszcie w domu. Mimo wszystko nie ma jak w domu. Tak jest zawsze, a zwłaszcza teraz.

Poszło jak po maśle - pomyślał Johansson.

Dłoń zaciśnięta na lasce z gumową stopką. Matilda, która przytrzymała mu drzwi i delikatnie uścisnęła jego chore ramię. Gdy tylko przeszedł przez próg swojego domu, doznał olśnienia. Fenomenalny pomysł.

- Alf Hult - powiedział Johansson i skinął w stronę Matildy. - Alf Hult - powtórzył.

- Alf Hult?

- Otóż to. Alf Hult.

Rozdział 45

Piątek, 23 lipca 2010, wieczorem

Nie tylko jego dochodzenie posuwało się do przodu. Z każdym dniem poprawiało się również jego zdrowie. Bez wielkich zwycięstw, krok po kroku w kierunku życia, jakim żył kiedyś. Ale to, co działo się w jego głowie, było bardziej skomplikowane. Działo się bez przerwy, bez ustalonej struktury, bez porządku. Podobnie było z bólem, który dręczył go w zasadzie codziennie. Po kolei – myślał wtedy. Spokojnie.

Był piękny wieczór. Udało mu się namówić Pię, żeby zjedli w altanie, jak to mieli w zwyczaju w piękne letnie wieczory, gdy zostawali w mieście. Po schodach wszedł sam. Bez laski, która tylko płątałaby się mu między nogami, o własnych siłach. Lewa dłoń na poręczy, żeby nie upaść. Pia szła z tyłu, choć powtarzał, że nie ma takiej potrzeby.

- Jeżeli upadnę na tyłek, połamię ci ręce i nogi - powiedział Johansson. Uparła się - pomyślał.

- Wraca do siebie - zauważyła Pia. - Narowisty jak stary koń.

Gdy po jedzeniu wypili kawę, opowiedział jej o swoim doskonałym pomysle, na który wpadł kilka godzin wcześniej.

- Zaprosiłem jutro Alfa na lunch.

- Alfa?

- Alfa Hulda.
- Twojego szwagra?
- Tak.
- Anna też przyjdzie? - zapytała Pia, nie potrafiąc ukryć zdziwienia.
- Anna? Jaka Anna?
- Twoja siostra. Twoja najmłodsza siostra.
- Przecież wiem. Nie przyjdzie. Tylko Alf i ja.
- Aha. Myślałam, że ledwo potrafisz wysiedzieć z nim w jednym pokoju - powiedziała Pia, która zachowała żywe wspomnienie niektórych spotkań rodzinnych Johanssonów.
- Teraz przesadziłaś. Alf ma swoje dobre strony. Pod pewnymi względami jest wyjątkową osobą.
- Być może wcześniej umknęło to mojej uwadze - powiedziała Pia. - Że tak lubisz Alfa - wyjaśniła. - Pozwól, że zapytam. Dlaczego nagle chcesz się z nim spotkać?
- Zatrudniłem go - powiedział Johansson. Najlepszy pomysł, jaki miałem od dnia, w którym zjechałem do Güntersa i tak uratowałem sobie życie - pomyślał.

Rozdział 46

Sobota, 24 lipca 2010 roku, przed południem

Alf Hult był emerytowanym rewidentem. Żonaty z siostrą Johanssona Anną. Najmłodszą z gromady dzieci mamy Elny i taty Everta, pisklątkiem pięć lat młodszym od następnego w kolejności, Larsa Martina Johanssona, byłego szefa Komendy Głównej Policji.

Całe życie zawodowe Alf Hult pracował w urzędzie skarbowym w Solnej. Blisko czterdzieści lat, od dyplomu aż do emerytury. Miał na koncie sukcesy, nie bez powodu wywoływał strach wszystkich osób fizycznych i prawnych, które były jego „przedmiotem rewizji”.

Evert, najstarszy brat Larsa Martina, nie znosił Alfa organicznie. Zdaniem Everta Alf Hult stanowił zagrożenie dla każdego przejawu działalności gospodarczej i życia ludzkiego w ogóle. Evert nie potrzebował się napić, żeby głośno o tym mówić.

Alf Hult nie był z tych, co się przejmują. Wysoki, szczupły, łysiejący, z orlim nosem, wysportowany. Lekko pochylony do przodu po tym jak przez kilkadziesiąt lat pochylał się nad próbami uniknięcia społecznych powinności i obywatelskich zobowiązań, podejmowanych przez „przedmioty rewizji”. Nie należał do bojaźliwych. Przy okazji pięćdziesiątych urodzin żony, na które w imię podtrzymania dobrych relacji rodzinnych przyszedł także Evert, Alf udzielił szwagrowi

wyważonej reprimendy przy kawie i koniaku.

- Bratu może się zdaje, że mam długi nos, ale dotychczas nikomu nie udało się za niego pociągnąć.

Po przejściu na emeryturę Alf Hult oddał się badaniom genealogicznym. Z tą samą pasją, wnikliwością i dokładnością, z tym samym obiektywizmem, z jakimi wcześniej oddawał się rachunkowości. Ponieważ tym, co należało do niego, zajmował się równie dokładnie, jak tym, co należało do innych, od kilku lat prowadził dobrze prosperującą jednoosobową firmę zajmującą się poszukiwaniem krewnych. Naturalnie prześwietlił również liczną rodzinę swojej ukochanej żony. Zrobił to w charakterystyczny dla siebie sposób, nie pomijając nawet drobnych historycznych niedociągnięć, czym oczywiście ściągnął na siebie gniew obu patriarchów rodu, ojca Everta i jego najstarszego syna Everta. Nawiasem mówiąc, tego drugiego nazywano „Małym Evertem” do dnia osiągnięcia przez niego pełnoletniości. W tym dniu jego ojciec po raz pierwszy zwerbalizował to, co było nieuniknione.

- Chciałbym, żebyście od dziś nie nazywali mojego pierworodnego „Małym Evertem” - powiedział Wielki Evert.

- Od dziś jest nas dwóch Evertów. To on przejmie po mnie dziedzictwo.

- Będziesz, Alfie, moim Sherlockiem, a ja będę Mycroftem - pomyślał Lars Martin Johansson, gdy w jego głowie zrodził się ten doskonały plan. - Mycroft Holmes, starszy brat Sherlocka Holmesa, który potrafił rozwikłać najbardziej skomplikowane zagadki kryminalne, nie ruszając się ze

swojego wygodnego fotela. Skoro on sam, Lars Martin, większość czasu spędzał, leżąc na kanapie w swoim gabinecie, mieli z Mycroftem wiele wspólnego.

Jego własny Sherlock siedział teraz po jego prawej ręce: były rewident, Alf Hult. Twarz o ostrych rysach, lekko pochylona sylwetka. Żeby nie męczyć niepotrzebnie swojego szwagra, sam przysunął bliżej kanapy krzesło z podłokietnikami. Teraz słucha uważnie, zwarty i gotowy, *toujours*, zawsze przygotowany na starcie z podstępami i fałszerstwami.

- Margaretha Sagerlied i jej mąż, Johan Nilsson - powiedział Alf Hult, patrząc w swoje notatki.

- I stara sprzątaczką Sagerliedów, Erika Brännström - powiedział Johansson.

- Czy ja wiem, czy stara? Jeśli twoje informacje się zgadzają, powinna być sporo młodsza od ciebie i ode mnie.

- Przewidujesz problemy? Mam tylko numer osobisty Sagerlied. W wypadku Eriki Brännström imię i nazwisko oraz numer telefonu, który ci podałem.

- Najmniejszych. Co chcesz wiedzieć?

- Wszystko.

- Wszystko - powtórzył jego szwagier. - W takim razie może powinienem cię ostrzec, że taka sprawa może cię wpędzić w koszty.

- Cena nie gra roli. - Johansson machnął ręką. Jeśli chodzi o stan majątkowy, był w swojej licznej rodzinie na drugim miejscu.

- Chcesz to mieć w ciągu tygodnia?

- Nie inaczej. Masz więc czas na wypalenie swoich trzech fajek. - Pewnie Mycroft palił cygara - pomyślał.

- Nigdy nie przepadałem za Conanem Doyle'em - stwierdził Alf Hult. - Jak na mój gust za duży z niego romantyk.

Rozdział 47

Poniedziałek, 26 lipca 2010 roku

Poniedziałek. Kolejny tydzień i jeszcze jeden dzień życia, które o mały włos się nie skończyło. Śniadanie, rehabilitantka, wizyta kontrolna u Ulriki Stenholm, lat czterdzieści cztery, bez śladu zmarszczki na gładkiej białej szyi. Neurolog, córka pastora. Naprawdę podobna do wiewiórki, gdy przechyla swoją jasną, krótko ostrzyżoną głowę.

- Co słyhać?

- Do przodu - powiedział Johansson. Chrzanić wieczny ból głowy, ucisk w piersiach i maczugę, która zwisała na miejscu ramienia. Przestań jęczeć - pomyślał.

- Ja również mam takie wrażenie - zgodziła się. - To znaczy, że idzie do przodu. Rehabilitantka bardzo cię chwali. Słyszałam też od Pii, że w domu wszystko działa.

- A tobie jak idzie? - zapytał Johansson. Co Pia może o tym wiedzieć - pomyślał w nagłym przypływie goryczy.

- Zero. - Ulrika Stenholm pokręciła głową. - Przejrzałam wszystkie papiery ojca. Wszystkie torby i kartony. Możesz być pewien, że zrobiłam to bardzo dokładnie. Nie znalazłam nic poza spinką i kopertą, w której leżała.

- Musiałaś coś jeszcze znaleźć - upierał się Johansson.

- Nic na temat Yasmine. Kilka starych programów z występów Margarethy Sagerlied w Bromma Kyrka, kilka

zaproszeń dla moich rodziców na kolacje wydawane przez nią za życia jej męża, kilka starych zdjęć, które zostały pewnie zrobione wtedy, gdy rodzice byli u nich z wizytą. Na jednym ze zdjęć Margaretha śpiewa w kościele. Musiało to być podczas którejś z mszy bożonarodzeniowych w latach siedemdziesiątych. Wszystko jest w tej kopercie - powiedziała, podając mu brązową kopertę.

- To wszystko?

- To wszystko. A ty? Jak ci idzie?

- Dobrze. Niedługo go dorwę. - Dlaczego to powiedziałem? - pomyślał.

- Wiesz, kto to? Możesz powiedzieć, kto to jest? - Ulrika Stenholm nie potrafiła ukryć zdziwienia.

- Obiecuję, że dowiesz się jako pierwsza - powiedział Johansson. Czemu tak powiedziałem? - pomyślał.

- Obiecujesz?

- Obiecuję. - Najpierw jednak muszę zajrzeć za jeszcze jeden róg - pomyślał.

- Czuję się jak jakiś cholerny zdrajca - usłyszał trzy godziny później od swojego najbliższego przyjaciela.

- Słucham - powiedział Lars Martin Johansson, bo zdążył się już domyślić, o co chodzi.

Była to jedna z tych wszystkich historii małżeńskich z wpisanymi w nią nieoczekiwanymi komplikacjami. Wszystko zaczęło się od nowego samochodu Jarnebringa. Mniejsza o to, że kupił go za pół ceny. Mieli teraz ważniejsze wydatki, przynajmniej zdaniem żony Jarnebringa. Jak to bywa u par w średnim wieku, które muszą żyć z policyjnej

pensji żony i emerytury męża.

- I co zrobiłeś? - zapytał Johansson, choć już znał odpowiedź.

- Ustąpiłem - powiedział Jarnebring. - Wykupiła dla nas last minute do Tajlandii, zatkało mnie. Wakacje we dwoje, żeby mogła się zastanowić, czy jeszcze chce ze mną być. Co prawda, tylko tygodniowe, ale zawsze.

- W samym środku szwedzkiego lata - stwierdził Johansson i nagle naszała go wesołość, która ostatnio regularnie zamieniała się miejscami z bólem głowy, uciskiem w piersiach, złością i chwilami przygnębienia. Sprzedaj samochód - pomyślał.

- Baby - powiedział Jarnebring.

- Będzie dobrze - pocieszył go Johansson. Nie powiem nic Evertowi - pomyślał.

- Rozmawiałem już z twoim bratem - powiedział Jarnebring, jakby czytał w jego myślach.

- Co powiedział?

- Żebym się nie dał ciągać babie za nos. A potem polecił mi kilka dobrych miejsc w Tajlandii.

Cały Evert - pomyślał Johansson.

Tuż po wyjściu Jarnebringa zjawiała się Matilda. Podawała mu duży kubek herbaty i nawet niezłą kanapkę: żytni chleb, sałata, pomidory pokryte hojną warstwą szynki parmeńskiej. To wywołało u niego kolejne wyrzuty sumienia.

- Nie usługiwano mi tak nawet wtedy, kiedy byłem małym chłopcem i leżałem w domu chory - powiedział Johansson. - Przestań jęczeć - pomyślał.

- *Company policy* - powiedziała Matilda i skinęła w stronę kartonów z papierami stojących na podłodze obok kanapy. - Pracujesz nad jakąś dawną sprawą? Wiesz, jakie to ważne, żebyś odpoczywał i się nie stresował? Musisz nauczyć się odpoczywać.

- Czy ja wiem, czy sprawa? Stare, niewyjaśnione morderstwo.

- Morderstwo? Ale super!

- Nie bądź dziecinna. Nie ma w tym nic, co mogłoby być super. To raczej smutne i żałosne. I do tego okropne.

- Jak chcesz, mogę ci pomóc.

- Nie sądzę.

- Dlaczego nie?

- Dochodzenie jest objęte tajemnicą po to, żeby wszystkie takie małe wścibinosy jak ty nie grzebały w tym na własną rękę.

- O to się możesz nie martwić. Ja nie plotkuję.

- No dobra - powiedział Johansson, któremu nagle przyszła do głowy myśl. - Dajesz sobie radę w internecie? - „Nie plotkuję” - pomyślał.

- Może nie jak ta Lisbeth Salander, ale tak, daję sobie radę.

Jaka znowu Lisbeth Salander? - pomyślał Johansson.

- W takim razie może mogłabyś zebrać to, co znajdziesz na temat kogoś, kto nazywa się Joseph Simon. Joseph pisany przez „ph”, reszta zgodnie z wymową.

- Jasne, że mogę. Będziesz wiedzieć o nim wszystko. To on jest tym łajdakiem?

- Nie. Jest lekarzem, rocznik pięćdziesiąty pierwszy. Przyjechał do Szwecji jako uchodźca polityczny z Iranu w siedemdziesiątym dziewiątym. Opuścił Szwecję i przeprowadził się do Stanów w dziewięćdziesiątym roku. Słyszałem, że jest cholernie bogaty, podobno pracuje w branży farmaceutycznej.

- Dlaczego cię interesuje? Skoro to nie on jest tym łajdakiem, znaczy się?

- Chcę wiedzieć, jak poradził sobie ze swoim smutkiem - powiedział Johansson.

Pia wraca z pracy do domu.

- Jak się czujesz? - pyta.

- Dobrze - odpowiada Johansson i robi radosną minę, chociaż boli go głowa i dusi go w piersiach. Chociaż zaledwie przed kwadransiem wziął kolejną białą tabletkę, którą miał brać tylko w ostateczności. A wziął ją, ponieważ znów obezwładnił go taki lęk, jakby był bezbronnym dzieckiem, a jego jedyną ochroną była nieobecność, którą mogła mu dać tylko mała biała tabletkę.

- Jak pączek w maśle - kłamie Johansson. - Usiądź tu. Jak ci minął dzień w twoim banku, kochanie? - Dlaczego tak powiedziałem? - pomyślał. Dlaczego nie zapytałem po prostu, jak minął jej dzień w pracy?

Wieczorem zadzwonił szwagier. Powiedział, że praca przebiega w oczekiwanym tempie i że na razie nie natknął się na problemy nie do pokonania.

- Można powiedzieć, że mam wszystko na temat Eriki

Brännström i jej dwóch córek.

- Znalazłeś ich ojca?

- Tak. Mają tego samego ojca. Nazywa się Tommy Högberg, urodzony w pięćdziesiątym szóstym. Młodszy o trzy lata od Eriki Brännström, urodzonej w pięćdziesiątym trzecim. Karolina, starsza córka, urodziła się w siedemdziesiątym piątym, a Jessica, młodsza, w siedemdziesiątym dziewiątym. Erika nigdy nie wyszła za mąż za Tommy'ego Högberga, ale mieszkali razem, a on uznał obie córki. Wysłać ci to faksem czy mailem?

- Faksem. Żebym nie musiał się męczyć z tymi małymi guziczkami komputera - wyjaśnił. Uznał obie córki - pomyślał.

- Patrzę na deklarowane przychody Högberga i myślę, że musi być z niego niezły obibok. Może ze swoimi dawnymi kolegami powinieneś się przyjrzeć, czy nie działał na twoim terenie? Tak mi to pachnie.

- Powiadasz - rzekł Johansson. Ciekawe, czy Tommy Högberg ma na sumieniu coś jeszcze? - pomyślał.

Potem zakończył rozmowę i ledwo odłożył telefon, już spał.

Rozdział 48

Wtorek, 27 lipca 2010 roku, przed południem

Od rana jak zwykle spędzał czas, próbując wrócić do zdrowia. Po przyjeździe od rehabilitantki Matilda zaproponowała spacer po dzielnicy.

- Przecież dziś już trenowałem - poskarżył się Johansson.
- Dalej. Treningu nigdy za dużo.

Posłuchał, choć niechętnie. Był za bardzo zmęczony, żeby protestować. Gdy po spacerze stanęli pod drzwiami wejściowymi, Johansson miał twarz zlaną potem, choć przeszedł zaledwie kilometr i zajęło mu to całe dwadzieścia minut. Serce mu waliło, ból promieniował na twarz i czoło. Matilda popatrzyła na niego ukradkiem, gdy stali w windzie. Szybkie, niespokojne spojrzenie.

- Połóż się na chwilę na kanapie, zrobię nam lunch - powiedziała. - Przytrzymała mu drzwi i chwyciła delikatnie za jego bezwładne ramię, gdy przechodził przez próg.

Masz za swoje - pomyślał Johansson, gdy układała mu za plecami poduszki. Teraz lepiej. Teraz lepiej, wreszcie mogę się położyć.

- Nie mam zamiaru cię wykończyć. Ale kiedyś musisz zacząć się ruszać. Tak jest wygodnie?

- Przestań się ze mną pieścić. Lepiej zrób mi coś do jedzenia. I podaj mi te kartki z faksu.

Erika Brännström urodziła się w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim w okolicy Härnösand. W wieku dwudziestu lat przeprowadziła się do Sztokholmu i rozpoczęła pracę jako pielęgniarka osób starszych w szpitalu w Huddinge. Poznała tam o trzy lata młodszego od siebie Tommy'ego Högberga, który mieszkał w Sztokholmie od urodzenia, chodził do zawodówki z programem mechanika maszyn i pracował jako mechanik samochodowy.

Zamieszkali razem w Flemingsberg. Mieli dwójkę dzieci: Karolinę, urodzoną w siedemdziesiątym piątym, i Jessicę, urodzoną w siedemdziesiątym dziewiątym. Cztery lata po narodzinach młodszej córki, w osiemdziesiątym trzecim, Erika i Tommy się rozstali. Tommy został w Huddinge i jeszcze w tym samym roku jego nowa dziewczyna, rocznik sześćdziesiąty czwarty, urodziła mu syna. Ona również pracowała w szpitalu w Huddinge – jako opiekunka starszych osób. Erika zabrała córki i przeprowadziła się do Lilla Essingen. Zaczęła pracować na pół etatu w szpitalu Świętego Jerzego, a w ewidencji ludności nie było nic, co świadczyłoby o tym, że wyszła ponownie za mąż.

Pół etatu w Świętym Jerzym – pomyślał Johansson. Jest rok osiemdziesiąty trzeci, przeprowadziła się do miasta z dwiema dziewczynkami. Prawdopodobnie właśnie wtedy zaczyna sprzątać u Margarethy Sagerlied. Jej chłop znalazł sobie nową pannę. Pewnie dla Eriki liczył się każdy zarobiony grosz.

Jego szwagier ze skarbówki śledził mężczyznę, który był ojcem jej dzieci, za pomocą ewidencji ludności

i deklarowanej wysokości przychodów. Dwa lata po tym, jak urodziło mu się czwarte dziecko, w osiemdziesiątym piątym, znów zamieszkał sam. Nowy adres w Huddinge. Ten sam pracodawca, ale przychody Tommy'ego maleją, w miarę jak rosną świadczenia, które dostaje z ubezpieczalni.

Pewnie się rozpił - pomyślał Johansson. Wiem to z praktyki zawodowej. Konkubina wyrzuca go z domu. Co robi? Odnajduje Erikę? Czy jest aż tak źle, że znajduje ją w domu u jej nowej pracodawczyni w ogromnej, pięknej willi w Brommie?

Rok później musiało zdarzyć się coś poważnego. Jego przychody zmniejszyły się o połowę. Tym razem już żadnych świadczeń społecznych. Doczytawszy do tego miejsca, Johansson wziął komórkę i wybrał numer swojego dawnego kolegi, inspektora Hermanssona z Komendy Wojewódzkiej w Sztokholmie.

- Johansson - powiedział.

- Cześć, szefie, cześć, Lars. Mam nadzieję, że wszystko w porządku?

- Jak w bajce - skłamał Johansson.

- Mogę ci w czymś pomóc?

- Chciałbym, żebyś mi kogoś znalazł. Nazywa się Högberg, Tommy Rickard, urodzony w pięćdziesiątym szóstym...

- Chwila, tylko usiądę do peceta. No już, słucham.

- Högberg, Tommy Rickard, urodzony w pięćdziesiątym szóstym, zero dwa szesnaście, zero pięć trzy dziewięć. Ostatni znany adres...

- Mam - przerwał mu Hermansson. - Mieszka we Flempan. Diagonalvägen 14, Flemingsberg.

- Dawaj.

- Trochę smakołyków, głównie drobnica. Zdaje się, że ma problemy z procentami. Pierwszy raz notowany za jazdę po pijaku w osiemdziesiątym szóstym, ostatni - w dwa tysiące szóstym. Plus kierowanie samochodem bez prawa jazdy. Prawo jazdy stracił już w dziewięćdziesiątym szóstym.

- Potem nic? To znaczy po dwa tysiące szóstym.

- Nic. Pewnie się zapaścił, biedaczyna. Alkohol wykańcza człowieka. Po pięćdziesiątce przeszedł na emeryturę, w dwa tysiące szóstym.

- Nic większego?

- Nie bardzo. Ma sześciomiesięczny wyrok za dużą kradzież z osiemdziesiątego szóstego, ale większość to drobnica. Trzy jazdy po pijaku, kilka nielegalnych, próba wyłudzenia świadczeń, umorzone. Napad na funkcjonariusza. Też umorzone. Pewnie wywalili go z baru. To wszystko.

- To wszystko?

- A teraz ładnie mi wszystko opowiesz.

- Jest w bazie DNA?

- Nie. Ale pobrano od niego odciski palców i tak dalej. Po tej kradzieży z osiemdziesiątego siódmego. A ja jestem, jak już mówiłem, cholernie ciekaw.

- Jeszcze do tego wrócimy. Sprawdź, co ci się uda wyciągnąć. Zdzwonimy się.

Potem pomimo protestów Hermanssona zakończył rozmowę. Bez większych problemów podniósł się z kanapy i ruszył

w stronę kuchni, żeby sprawdzić, co się stało się z obiecany lunchem. Matilda rozmawiała przez telefon. Nie słyszała, że wszedł. Była zdenerwowana. Johansson zatrzymał się i zaczął podsłuchiwać. Kolejne zboczenie zawodowe.

- No tak, ale to już nie mój problem. Mówiłaś, że oddasz najpóźniej w czwartek. To okropne z twojej strony. Nie mam z czego zapłacić za mieszkanie. Żebyś wiedziała.

Przyjaciółka albo najlepsza koleżanka - pomyślał. Potem odchrząknął, nie za głośno. Matilda ściszyła głos. Obróciła się plecami do drzwi.

- Żebyś wiedziała - powtórzyła. Rozłączyła się i schowała telefon do kieszeni. - Przepraszam - powiedziała do Johanssona. - Jedzenie zaraz będzie gotowe.

- Twoja przyjaciółka?

- Moja walnięta matka. Jest niepoważna. Doprowadza mnie do szału.

- Uważaj - powiedział Johansson. - To może być niebezpieczne dla mojego zdrowia. Głodny jestem. Co będzie?

- Gotowany kurczak z kuskusem i sałatką. Polałam ją odrobiną zdrowego dressingu. Liczę na to, że go docenisz. I niespodzianka. Chcesz zjeść tutaj czy przynieść ci na tacy do gabinetu?

- Tutaj. Od teraz będziemy jeść na górze. - Niespodzianka - pomyślał.

Rozdział 49

Wtorek, 27 lipca 2010 roku, po południu

Matilda rozmawiała z Pią, Pia rozmawiała z kardiologiem i oto stała przed nim niespodzianka. Kieliszek czerwonego bordeaux. Johansson ostrożnie obwąchał kieliszek. Tak to pachnie, gdy nie wypilo się nawet kropli od miesiąca – pomyślał. Wziął łyk i poczuł ten sam spokój, który mogły mu dać tylko małe białe tabletki. Tym razem pojawił się od razu, nie musiał na niego czekać.

- Najwyżej dwa kieliszki – powiedziała Matilda. – W tej kwestii nie ma dyskusji. Dwa kieliszki jest *okay*, trzy kieliszki jest *no-no*.

- Trzeba będzie znaleźć większy kieliszek – powiedział Johansson i uniósł kieliszek do toastu. – Całkiem z innej beczki. Gdzie ty właściwie mieszkasz?

- Hägersten. Dwa pokoje z kuchnią. Wynajem. Bez chłopaka. Dlaczego pytasz?

- Zaraz do tego przejdę. Ile cię to kosztuje? Dwa tysiące miesięcznie?

- Nie żartuj. Tyle to może kosztuje w Laponii. Ja bułę sześć tysięcy miesięcznie. A ty?

- To własnościowe.

- Domyśliłam się. – Matilda wywróciła oczami. – Coś tam wiem. Ile kosztuje miesięcznie?

- Właściwie nic. Jako wspólnota mamy sporo lokali

usługowych, na których wynajmie zarabiamy. Członkowie wspólnoty nie muszą nic płacić.

- Kto mówił, że życie jest sprawiedliwe? - westchnęła Matilda.

- A ile zarabiasz?

- Trzyście miesięcznie, po odliczeniu podatku. A ty? Chyba że to tajemnica?

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Pia się tym zajmuje.

- Dlaczego o tym rozmawiamy?

- Usłyszałem niechcący fragment twojej rozmowy - przyznał się Johansson.

- Nieładnie podsłuchiwać.

- Wiem. Stare przyzwyczajenie zawodowe.

- Rozumiem, ja też lubię podsłuchiwać.

- Co to ja chciałem powiedzieć? - zastanowił się Johansson. Co to ja chciałem powiedzieć? - pomyślał.

- Wynajem, moje zarobki, to, że lubisz podsłuchiwać.

- Właśnie. Dwudziestego piątego dostałaś pensję, to przedwczoraj. Pożyczyłaś pieniądze matce, która obiecała, że zwróci możliwie najszybciej, żebyś do końca lipca mogła zapłacić za mieszkanie. To znaczy za kilka dni. Ale nie zwróci. A tobie nie starczy na czynsz. Pozwól, że zapytam z ciekawości. Ile jej pożyczyłaś?

- Wystarczająco dużo, żeby nie mieć na czynsz.

- To się często zdarza? Że pożyczka od ciebie pieniądze i nie oddaje w terminie.

- Daj już spokój. To ciebie nie dotyczy.

- Rozumiem, że to zdarzyło się już wcześniej - powiedział

Johansson. Stanowczo za często - pomyślał.

- Możesz sobie rozumieć, co chcesz, i tak to ciebie nie dotyczy.

- Chyba że będzie mieć wpływ na moje zdrowie. Daj znać, jak będziesz potrzebować pożyczki. - Co za matka? - pomyślał.

- Jeśli pożyczę od ciebie pieniądze, wywalą mnie z roboty. Zresztą ja nie chcę pożyczać od ciebie pieniędzy, zapamiętaj to sobie.

- Daj znać, jak zmienisz zdanie.

Gdy skończył jeść, zebrał językiem ostatnie drogocenne krople z drugiego przysługującego mu kieliszka i poprosił Matildę, żeby przyniosła mu kawę. Potem poszedł prosto do swojej kryjówki, z pewnym trudem wyjął apteczkę, a z niej sześć tysięcy koron. Banknoty zwinął w rulon i włożył do kurtki Matildy, zawieszanej na haczyku w garderobie.

- Gdzie zniknąłeś? - zapytała Matilda, gdy weszła z tacą do gabinetu.

- W kiblu. Pewnie przez to wino.

- Pewnie tak. Powiedz stop - dodała, wlewając ciepłe mleko do jego filiżanki z kawą.

- Stop - powiedział Johansson. - A teraz wybacz, muszę do kogoś zadzwonić.

Zadzwoił do Eriki Brännström. Wyjątkowo nieskorej do rozmowy Eriki Brännström. Najpierw wytłumaczył jej, kim jest i o czym chce rozmawiać: o zabójstwie Yasmine, dziewięcioletniej sąsiadki Margarethy Sagerlied sprzed

dwudziestu pięciu lat. Od razu mu przerwała.

- Wiem dobrze, kim jesteś. Axel, Axel Linderoth dzwonił i powiedział, że na pewno się odezwiesz. Widziałam cię w telewizji wiele lat temu. Wiem dobrze, kim jesteś, nie rozumiem tylko, dlaczego chcesz ze mną rozmawiać.

- O Yasmine, tak jak mówiłem - powtórzył Johansson. - Jesteś jedyną osobą, którą znalazłem, a która ją spotkała.

- A jej rodzice?

- Nieosiągalni. Wyjechali ze Szwecji ponad dwadzieścia lat temu.

- Dobrze, ale nadal nie rozumiem. Spotkałam ją najwyżej dziesięć, dwadzieścia razy, co najmniej dwadzieścia pięć lat temu.

- Masz dwie córki, które wtedy były w tym samym wieku co Yasmine. Wydaje mi się, że byłoby dobrze porozmawiać - powiedział Johansson. Z tą różnicą, że twoje dziewczynki żyją - pomyślał Johansson. Dorosłe kobiety po trzydziestce...

- Zarezerwowałam pralnię na popołudnie - nie ustępowała.

- To żaden problem. Chętnie wpadnę do ciebie. Może być za godzinę?

- Zadzwoń wcześniej - powiedziała. - Zadzwonisz?

Nareszcie - pomyślał, gdy skończył rozmowę. Że też tak trudno pomóc policji.

- Matilda! - wrzasnął.

- Szefie - powiedziała Matilda, która chyba stała przyklejona do drzwi.

- Rozgrzej silniki batmobila - powiedział Johansson. -

Jedziemy w teren. - To musi być tamto wino - pomyślał. Ani śladu bólu głowy, ucisku w piersiach, nawet zdenerwowania. Tylko stanowczość i spokój. Jak u człowieka, który bierze, co mu dają, nienawidzi zbiegów okoliczności i nigdy nie komplikuje spraw bez potrzeby.

Rozdział 50

Wtorek, 27 lipca 2010 roku, po południu

Essinge Brogata, budynek z lat trzydziestych, winda, małe dwupokojowe mieszkanie na ostatnim piętrze. Dwa pokoje z kuchnią i niewielką wnęką sypialnianą obok kuchni. Pewnie to tutaj spała Erika, a jej córki dzieliły mniejszy z dwóch pokoi. To samo mieszkanie, do którego wprowadziła się blisko trzydzieści lat temu i w którym dorastały jej córki. Mieszkały z matką, aż któregoś dnia wyprowadziły się i zaczęły żyć własnym życiem. Nie potrzebował pytać. Na podstawie urządzenia wnętrza i tego wszystkiego, czym były przesiąknięte podłoga, sufit i ściany, zrozumiał, że spędziła tutaj ostatnie dwadzieścia siedem lat swojego życia. Oszczędnego, pracowitego życia, schludnego i starannie wysprzątanego, w którym brakowało miejsca na rozrzutność.

Cała ona. Wysportowana, prężna, o żywych oczach. Silne, spalone słońcem dłonie. Dłonie pracującej kobiety. Kiedyś pewnie była ładna. Chodziła zdecydowanym krokiem, z głową pełną marzeń o przyszłości. Widział to w jej uśmiechu i w oczach. Nadal dobrze wygląda – pomyślał Johansson, którego nagle ukłuło sumienie, choć nie był pewny dlaczego. Zrobiła kawę. Nawet nie zapytała, czy nie wolałby herbaty. Tacy jesteśmy, prawdziwi norrlandczycy – pomyślał Johansson i coś poruszyło jego pokaleczone serce.

- Cukier i mleko?

O to jednak zapytała - pomyślał Johansson. - Wystarczy czarna - odpowiedział.

- O czym chcesz rozmawiać?

- Zacznijmy od początku. Od dnia, w którym rozpoczęłaś pracę u Margarethy Sagerlied.

Wiosna osiemdziesiątego trzeciego. Mąż odszedł do młodszej, koleżanki z pracy w szpitalu w Huddinge. Młodsza o jedenaście lat od Eriki, sama jeszcze dziecko i z dzieckiem w drodze. Erika wszystkiego się domyśliła, nie potrzebowała go nawet pytać. Wysłuchiwać tych wszystkich kłamstw, być świadkiem napadów złości i wyrzutów sumienia.

Szef Eriki z Huddinge pomógł jej ogarnąć wszystkie przyziemne sprawy. Ordynator, miłośnik opery. Bogaty nawet nie dzięki swojej wysokiej pensji - jak wszyscy ci, co urodzili się w czepku. Załatwił jej też mieszkanie w Lilla Essingen. Budynek należał do jego dobrego znajomego. Nie musiała płacić czynszu, tylko raz w tygodniu sprzątała klatkę i czasem zmieniała żarówkę. Pracę w Świętym Jerzym załatwił jej w ciągu jednego dnia. Wystarczył telefon do kolegi. Podobnie pracę u Margarethy Sagerlied, bliskiej przyjaciółki jego i żony.

- Pewnie się zastanawiasz, czy coś mnie z nim łączyło.

- Nie. A łączyło?

- Nie. Był po prostu dobrym człowiekiem. Dzięki takim jak on można wytrzymać z resztą facetów. Zresztą był ode mnie dwa razy starszy.

Jakby to miało jakieś znaczenie - pomyślał Johansson, który miał o dwadzieścia lat młodszą żonę.

- Co robiłaś u tej Sagerliedowej? - zapytał Johansson. Między nami norrlandczykami - pomyślał.

- Sprzątałam, zmywałam, prałam, zajmowałam się domem i ogrodem. Robiłam zakupy. Pomagałam, gdy przyjmowała gości.

- Jaka była? Jaka była z niej chlebodawczyni, chciałem powiedzieć.

- Nie była skąpa - powiedziała Erika Brännström. - Naprawdę nie skąpa, choć mocno zapatrzona w siebie. Gdybym tylko potrafiła wysiedzieć, słuchając tych wszystkich historii, pewnie mogłabym być jej damą do towarzystwa i nie musiałabym pracować ani sprzątać.

- Wymagająca?

- Trzeba z nią było po dobroci, przytaknąć, a potem i tak robić po swojemu.

- Złośliwa?

- W żadnym wypadku. Egocentryczna, ale nie złośliwa. Potrafiła być wymagająca, jeśli się ją źle podeszło. Była samotna i chciała uchodzić za lepszą, niż była w rzeczywistości. Nie miała dzieci. Często o tym mówiła. Że przez karierę nie mogła mieć dzieci. Że właśnie tego najbardziej żałowała. Że tak późno wyszła za mąż, i do tego za mężczyznę znacznie od niej starszego.

- A twoje dzieci? Spotkała je kiedyś?

- O tak, niejedną raz. Zawsze wtedy, gdy któraś z nich miała kaszel albo katar i nie mogła iść do przedszkola. Także w weekendy i wieczory, gdy w czymś jej pomagałam i nie było potrzeby wracać do domu. Masz dzieci?

- Tak - powiedział Johansson.

- No to wiesz, co znaczy mieć dzieci.

- Powiedzmy.

- Wierzę. - Erika Brännström słabo kolejny raz zamieszała kawę łyżeczką.

- Jak było, gdy miałaś ze sobą dzieci? To znaczy z Sagerliedową?

- Bardzo dobrze - powiedziała Erika. - Uwielbiały ciocię Margarethę. Grały na fortepianie, śpiewały, robiły przedstawienia i przebierały się, Bóg wie, co jeszcze. To ja musiałam skracać lejce. Rozpieszczała je. Zasypywała je zbyt drogimi prezentami. Ciągała je do galerii handlowych przed świętami, na urodziny i przy innych okazjach.

- A twój mąż? - zapytał Johansson. - Twój były mąż - poprawił się. - Spotkał Sagerlied? - Zrobiła się czujna - pomyślał.

- Nie, nigdy. Choć rozumiem, dlaczego pytasz.

- Jak to? Co takiego rozumiesz?

- Jesteś policjantem, pewnie wiesz już o nim wszystko. Bądźmy szczerzy, to z jego powodu tu siedzimy.

- Wcale nie. Zamierzałem właśnie spytać o Yasmine, ale ponieważ rozumiesz, dlaczego pytam o twój mąż, to może masz mi, mimo wszystko, coś do powiedzenia.

- Nie mam nic do ukrycia. Tommy był zwykłym nierobem. Za dużo pił. Pił już, gdy się poznaliśmy, a miał wtedy dopiero osiemnaście lat. Byłam dziewczyną ze wsi i pewnie łatwą zdobyczą, choć byłam od niego kilka lat starsza.

- Za dużo pił?

- Za dużo imprezował, za bardzo uganiał się za kobietami. Jestem pewna, że przez cały czas miał kogoś na boku. Zanim jego problem z alkoholem stał się poważny, zdążyłam odejść i zabrać dziewczynki.

- Nie próbował nigdy nawiązać kontaktu?

- Nie, przez pierwsze lata prawie się nie odzywał. Rozmawiałam z nim kilka razy przez telefon na temat alimentów, ale to nie miało sensu. Wzięłam adwokata, żeby dostać zaliczkę. Nie musiałam dzwonić i jęczeć do słuchawki, tak było nawet lepiej. Był nierobem, za dużo pił, już mówiłam, ale nie był złym człowiekiem. Oczywiście, słyszałam o tych nieprzyjemnych sprawach, w które był uwikłany. Wiem też, że przez jakiś czas siedział nawet w więzieniu. Jakaś kradzież w jego zakładzie pracy, w której brał udział.

- A córki? Nie chciał utrzymywać z nimi kontaktu?

- Gdy moja następczyni - tak ją w myślach nazywam - gdy moja następczyni wystawiła go za drzwi, zaczął się odzywać. Ale zawsze było coś nie tak. Cały czas coś obiecywał, ale nie potrafił dotrzymać obietnicy. Setki złamanych obietnic, rozlanych łez i smutne dziewczynki. Gdy podrosły, próbowały się z nim skontaktować. Z tego też nic nie wyszło. Wydaje mi się, że nie widziały go od dziesięciu lat. Tommy był dzieckiem. Dzieckiem, które piło. Nigdy nie dorósł.

- Kiedy widzieliście się po raz ostatni?

- Prywatnie spotkałam go raz od dnia, w którym go zostawiłam, w osiemdziesiątym trzecim. To było kilka lat po tym. Przyszedł do mnie do pracy. Potrzebował pieniędzy.

Pożyczyłam. Kilka stów. Oczywiście nigdy nie oddał.

- A poza tym? - zapytał Johansson. - U adwokata? W urzędzie pomocy społecznej? Musieliście przecież mieć jakiś kontakt.

- Może kilka razy przez te wszystkie lata, da się zliczyć na palcach jednej ręki. Sam na sam spotkałam go tylko raz. Wtedy, gdy przyszedł do mnie do pracy i chciał pożyczyć pieniądze. A ja, głupia, mu pożyczyłam.

- Aha - powiedział Johansson. Co za dupek - pomyślał.

- Domyślam się, do czego zmierzasz. Ale jeśli sądzisz, że Tommy mógł mieć coś wspólnego ze śmiercią Yasmine, to się mylisz. Tommy nie zrobiłby czegoś takiego. To prawda, Tommy lubił duże dziewczynki, kobiety, a one lubiły go aż za bardzo. Małe dziewczynki miały być miłe i nie przeszkadzać. Ledwo się zmuszał, by poczytać córkom bajki na dobranoc.

- Wierzę ci. Jeszcze jedno: w czerwcu osiemdziesiątego piątego, gdy została zamordowana Yasmine. Co wtedy robiłaś?

- Wtedy wreszcie udało mi się wyjechać na porządne wakacje. Po raz pierwszy od wielu lat. Margaretha miała wyjechać do domku letniego z przyjaciółką. Gdy tylko skończyła się szkoła starszej córki, zabrałam obie do swoich rodziców. Spędziłyśmy tam całe lato. Wróciłyśmy dopiero w połowie sierpnia, tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego. Jessica szła tamtej jesieni do pierwszej klasy.

- Moi koledzy nigdy z tobą nie rozmawiali?

- Nie, a po co? Wiem, że rozmawiali z Margarethą, bo mi o tym mówiła. Czemu mieliby rozmawiać ze mną?

- Ano właśnie - powiedział Johansson. - Yasmine - powiedział. - Opowiedz o niej.

Wiosną, kilka miesięcy po tym, jak Erika Brännström rozpoczęła pracę u Margarethy Sagerlied, Yasmine wprowadziła się do domu na końcu ulicy. Z ojcem i jego nową kobietą. Już wkrótce biegała po domu pracodawczyni Eriki, tak jakby była u siebie.

- Śliczna, naprawdę śliczna, czarująca dziewczynka, żywa, wesola, niezła zgrywuska. Trochę rozpieszczona. Między nią a Margarethą wybuchła miłość od pierwszego wejrzenia. Ojcu Yasmine też niczego nie brakowało, że tak powiem.

- Jaki był?

- Wysoki, silny, wysportowany. Ciemny. Bardzo przystojny. Do tego lekarz. Margaretha była nim oczarowana. Kilka razy zaprosiła jego i jego nową dziewczynę do siebie. Ona też była lekarzem. Pamiętam, że pierwszy raz zobaczyłam ich razem, tatę Yasmine i jego nową dziewczynę, na przyjęciu w domu u Margarethy. Pamiętam, że zaciekawilo mnie, ile potrwa ten związek.

- Naprawdę?

- On był jak magnes. Przyciągał kobiety niezależnie od wieku, każda chciała z nim chociaż porozmawiać.

- Był imigrantem z Iranu. To nie miało znaczenia?

- Nie, Margaretha naprawdę nie była taka. Wręcz przeciwnie. Jej przyjaciele też nie. Ojciec Yasmine wyglądał jak wyższy, młodszy i przystojniejszy wariant szacha. Która by nie chciała być jak Farah Diba? Ja bym w każdym razie nie odmówiła.

- Nie odmówiłabyś?

- Nie, ale ponieważ nigdy nie zapytał, to o tym zapomniałam. Raczej nie był z tych, co by się zadawali ze służbą. Zawsze czarujący i uprzejmy, ale takie jak ja raczej nie zaprzętały mu myśli.

- Yasmine знаła twoje dziewczynki?

- Prawdę mówiąc, nawet się nad tym zastanawiałam, kiedy zabito Yasmine. Nie, nigdy się nie spotkały. Może raz się widziały, ale nigdy się ze sobą nie bawiły. Jeśli wziąć pod uwagę to, co się stało, to nawet dobrze, tak wtedy myślałam. Nie musiałam odpowiadać na te wszystkie pytania, tak to określe.

- No tak, kurwa - powiedział Johansson. - Co za człowiek może zrobić coś takiego małej dziewczynce?

- Myślałam, że tacy jak ty to wiedzą - zdziwiła się Erika. - To nie na tym polega twoja praca?

- Zgadza się. Ale próbować kogoś takiego zrozumieć to inna bajka.

- Rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć. Dlatego nie zwracaj sobie głowy ojcem Karoliny i Jessiki.

Najwyraźniej już jesienią osiemdziesiątego piątego Margaretha Sagerlied postanowiła wyprowadzić się i sprzedać dom w Äppelviken.

- Wydaje mi się, że został sprzedany wiosną osiemdziesiątego szóstego - dopowiedział Johansson. - Jakies dziewięć miesięcy po morderstwie. Wiesz, dlaczego tak nagle zdecydowała się wyprowadzić? - Teraz znowu jest taka - pomyślał. Czujna. Na straży.

- Nie wiem, czy aż tak nagle. To było przecież prawie rok później.

- No tak. Ale takiej chałupy nie sprzedaje się z dnia na dzień. Poza tym wydaje mi się, że biuro nieruchomości przedstawiło ofertę już jesienią.

- Nie widzę w tym nic dziwnego. Margaretha od dawna powtarzała, że dom jest dla niej za duży, że się starzeje i że chce się przeprowadzić do miasta. Kupić małe mieszkanie na Östermalm, żeby mieć wszędzie blisko.

Za duży? Przecież ten dom był jej muzeum - pomyślał Johansson. Pomnikiem jej życia. Do diabła!

- Tak, od dłuższego czasu o tym mówiła. Tak było.

- A to, co się stało Yasmine? Nie sądzisz, że to miało jakiś wpływ? Przecież biegała tam jak u siebie. Nie mogły to być miłe wspomnienia. - Dlaczego mnie okłamujesz? - pomyślał.

- Nie - powiedziała stanowczo Erika Brännström. - Rozumiem, co masz na myśli, ale nigdy o tym nie wspominała.

- Pomagałaś jej przy przeprowadzce, jeśli dobrze zrozumiałem, sprzątałaś i tak dalej.

- Tak. Kupiła mieszkanie na Östermalm. Riddargatan. Pomogłam jej też przy wprowadzaniu się.

- A potem?

- To znaczy?

- Utrzymywałyście kontakt? Pewnie chciała, żebyś dalej jej pomagała?

- Nie. Przeprowadziła się do mniejszego mieszkania między innymi dlatego, że nie chciała sobie tym zawracać

głowy. Potem zachorowała. Rak. Chorowała długo, zanim umarła, zaczęła jakiś rok po przeprowadzce. Kilka razy rozmawialiśmy przez telefon, na tym koniec.

- Ona dzwoniła do ciebie czy ty do niej? - Dlaczego kłamiesz? - pomyślał. Kogo próbujesz chronić?

- Jedno i drugie. Ja dzwoniłam do niej, ona do mnie.

- Jeszcze jedno. Jej otoczenie. Zorientowałem się, że byli w nim głównie ludzie w jej wieku, z tego samego środowiska.

- Tak. Z wyjątkiem tego czy innego sąsiada, chociażby Axela z żoną czy ojca Yasmine i jego dziewczyny. Albo dzieci jej starych przyjaciół. Dorosłe, naturalnie, ale koło trzydziestki, czterdziestki. Ci byli najmłodsi.

- Zapytam tak - powiedział Johansson. - Czy miała jakiegoś bliskiego znajomego około trzydziestki? Kogoś, z kim się regularnie spotykała?

- Co chcesz przez to powiedzieć? Że łączyło ją coś z kimś młodszym?

- Nie, tego nie miałem na myśli. Kogoś, kogo dobrze znała, kto na przykład jej pomagał. Ktoś z rodziny, jakiś znajomy, syn któregoś z jej znajomych. - Dlaczego udajesz głupszą, niż jesteś? - pomyślał.

- Nie. Nie było nikogo takiego. Gdyby był, tobym wiedziała.

- Oczywiście. A twoje dziewczynki? Dobrze im się ułożyło.

- Tym razem to bardziej twierdzenie niż pytanie.

- Tak. Dobrze im się ułożyło. Wyszły za mąż, mają pracę i dzieci. Skąd wiesz? Mam dwóch normalnych i porządnych zięciów, jeśli to cię ciekawi.

- Wiadomo - powiedział Johansson. - Jak się ma żony, które miały taką matkę...

- Nie wiem. Nie zawsze było mi lekko.

- Wierzę. No tak. Czy jest jeszcze coś, o czym powinniśmy porozmawiać? Może coś sobie przypomniałaś? - Daję ci jeszcze jedną szansę - pomyślał Johansson. Wykorzystaj ją, do cholery, żebym nie musiał ci niepotrzebnie sprawić przykrości!

- Nie - powiedziała Erika Brännström. - Mam jeszcze sporo prania, lepiej, żebym już się tym zajęła.

Zaczekał, aż stanęli w małym przedpokoju. Gdy miała otworzyć mu drzwi, włożył rękę do kieszeni marynarki i wyjął torebkę ze spinką. Przysunął do Eriki. Próbował wcisnąć jej torebkę do ręki, ale mu się nie udało.

- Właśnie - powiedział Johansson. - Coś sobie przypomniałem. Nie wiesz przypadkiem, co to jest?

- Nie. Widzę, że to spinka, ale nie należała do moich córek.

- Jesteś pewna?

- Tak, całkowicie pewna. Nie chciałabym wyjść na upartą, ale...

- Zastanów się nad tym - powiedział Johansson. - Masz mój numer telefonu. Zastanów się nad tym. Zadzwoń, jeśli zmienisz zdanie.

Teraz się boi. Ma wystraszone oczy. Nie odcięła się, nie zezłościła. Tak by było, gdyby to, co właśnie powiedział, nie było prawdą, lecz niesprawiedliwym oskarżeniem. Ciekawe,

gdzie ją znalazłaś? – pomyślał Johansson, gdy zjeżdżał w dół windą. Musiało to być wtedy, gdy zauważyłaś, że brakuje prześcieradła i poszewki, może nawet poduszki. Gdzieś na początku jesieni osiemdziesiątego piątego, gdy robiłaś porządki po wakacjach.

Rozdział 51

Środa, 28 lipca 2010 roku

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy najbliższy przyjaciel Johanssona wciągał kąpielówki przed wieczorną kąpielą w Oceanie Indyjskim, on sam runął jak długi na podłogę swojego własnego gabinetu i o mało się nie zabił. Wcześniej jednak zdarzyło się kilka innych rzeczy...

Gdy Matilda przyszła z poranną kawą, poprosiła o rozmowę w cztery oczy.

- Jest coś, o czym muszę z tobą porozmawiać. Jeśli można.

- Wal - powiedział Johansson wesoło. Był przygotowany na to, co miało nadejść.

- Wczoraj wieczorem po przyjściu do domu znalazłam w kurtce sześć tysięcy. Nie wiesz, jak się tam znalazły?

- Nie. Nie wiem, o czym mówisz.

- Mówię poważnie. Nie wolno mi przyjmować pieniędzy od pacjentów. Żadnych podarunków ani pożyczek. Więc dlatego...

- Przestań mendzić. Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- W takim razie zostawmy to na później.

- Obawiam się, że nie zrobię się od tego mądrzejszy.

- Powiem o tym Pii, żebyś wiedział.

- Proszę cię bardzo - powiedział Johansson. - Chociaż obawiam się, że nie będzie wiedzieć więcej ode mnie. - Baby

- pomyślał.

- Teraz wybacz. Muszę mieć chwilę spokoju, zanim zaczniesz mnie wozić do tych wszystkich białych kitli.

- Właśnie, mamy wizytę u twojego kardiologa. Przed rehabilitantką.

Mojego kardiologa. Cóż za zaszczyt. Osobisty neurolog, osobisty kardiolog, osobista rehabilitantka, osobista niańka. A najbardziej ze wszystkich osobistych rzeczy brakuje mi życia osobistego - pomyślał.

Najpierw wizyta u kardiologa - niskiego, wysportowanego mężczyzny koło pięćdziesiątki z łysą głową i rozbieganymi brązowymi oczami. Takie same oczy miały wiewiórki, zanim nacisnął spust i zgasił światło w ich przekrzywionych ciekawsko główkach. Jego kardiolog był jednak tak uprzejmy, że swoją głowę trzymał cały czas prosto. Siedział i z uśmiechem osłuchiwał jego klatkę piersiową, płuca i serce, czytał wydruk EKG lub po prostu mu się przyglądał.

- Powiem tak. Przez całe życie byłem policjantem. Przyzwyczailem się do prostych komunikatów i męczy mnie gadanie twoje i twoich kolegów. Chcę wiedzieć, jak się czuję, a pytam dlatego, że moim zdaniem czuję się cholernie źle. Z natury nie jestem marudny. Więc mów wprost.

- Okej - powiedział jego osobisty kardiolog. - W ciągu lat twoje serce przyjęło sporo ciosów. Masz kiepskie wyniki. Najbardziej jednak martwi mnie twoje ciśnienie. Musimy je zbić. Za pomocą lekarstw, ale musisz też schudnąć, popracować nad kondycją i naprawdę zwolnić. Musisz przestać się stresować, zamartwiać, emocjonować.

Wyraziłem się dostatecznie jasno?

- Tak. Czy jest coś konkretnego, czym powinienem się zająć, tak na wszelki wypadek?

- Jeśli się mnie posłuchasz, możesz poczekać z pisaniem testamentu.

- W porządku - powiedział Johansson. Bierz, co ci dają - pomyślał. Polub to, co się lubi, gdy się nie ma wyboru.

Podobne pytanie zadał po treningu swojej osobistej rehabilitantce.

- Spójrz na to ramię - powiedział najpierw.

Wyciągnął je, otworzył i zacisnął pięść, wyprostował prawy palec wskazujący.

- Za miesiąc zaczyna się polowanie na łosie. Chodziłem na nie już jako mały chłopiec. Czy jeszcze kiedyś zapoluję z takim ramieniem? Czy utrzymam w nim strzelbę? Czy pociągnę za spust prawym palcem wskazującym? Ledwo czuję palce, nie potrafię nawet utrzymać gazety.

- Na to potrzeba czasu.

- Co to znaczy? Rok? Pięć lat? Nigdy?

- Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, ale już ci mówiłam, że nie możesz myśleć w ten sposób, bo wtedy...

- Dziękuję - przerwał jej Johansson. - Wiedz, że mam już dosyć wszystkich, którzy mówią mi, co mam myśleć. - I o czym nie myśleć - pomyślał.

Jaki sens ma życie, w którym liczy się już tylko dni do końca?

- pomyślał, kiedy wracał do domu. Co to za życie?

- Nie chciałabym być upierdliwa - odezwała się Matilda -

ale chodzi o te pieniądze.

- Fakt, jesteś cholernie upierdliwa. A ja cholernie źle się czuję, więc jeśli możesz, to się zamknij i zawieź mnie do domu. Jak nie potrafisz, to się zatrzymaj, a ja zadzwonię po taksówkę.

- Przepraszam. Przepraszam, nie chciałam.

Sprawiłem jej przykrość - myśli Johansson. Jaki sens ma życie, w którym już tylko liczy się dni do końca? Co to za życie?

- Będzie dobrze - odpowiada Matilda i poklepuje go po ramieniu. - Niedługo wszystko wróci do normy. Zobaczysz.

Lunch zjadł sam, polegając na kanapie. Nie miał nawet siły myśleć, że musiałby siedzieć przy jednym stole ze swoją osobistą niańką. Nawet wina odmówił.

Ból głowy, ucisk w piersiach. Nie dam rady - pomyślał Johansson i podniósł się z kanapy, żeby pójść do toalety po jeszcze jedną białą tabletkę, która mogła go stąd zabrać. Zrobił krok i nagle podłoga się zakołysała, nogi ugięły się pod nim, ściany zaczęły wirować. Zamachał ręką, bezskutecznie próbując złapać się czegoś, czego mógłby się przytrzymać, i runął na bok. Pociemniało mu przed oczami.

- Leż spokojnie - powiedziała Matilda, klęcząc przy nim.

Skąd ona się tu wzięła? - pomyślał.

- Słyszysz, co do ciebie mówię? Możesz ruszać nogami? Spróbuj poruszyć stopami. Zadzwonię po pomoc - powiedziała.

- Daj już, kurwa, spokój. Lepiej pomóż mi usiąść na kanapie.

- Musisz leżeć spokojnie - powiedziała Matilda. Przyłożyła lewą rękę do jego piersi, prawą wyjęła komórkę i wybrała numer. - Zadzwoń do Pii. Spokojnie.

- Daj, kurwa, spokój - powiedział Johansson, a potem po prostu odepchnął ją lewą ręką. - Jak do niej zadzwonisz, to cię zabiję.

Nie odezwała się, tylko pokręciła głową i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Potrzebował co najmniej pięciu minut, żeby wdrapać się na kanapę. Kanapę, która stała jakiś metr dalej. Gdy już na niej siedział, otworzyły się drzwi i do gabinetu wkroczył Evert.

- Byłem akurat na lunchu w Gondolen. Dzwoniła Pia. Co się tu, kurwa, dzieje? - zapytał Evert, który nie miał w zwyczaju liczyć się ze słowami, gdy się paliło.

- Nic się, kurwa, nie stało. Po prostu się przewróciłem.

- Nie pieprz głupot - powiedział Evert w chwili, gdy Matilda wchodziła do gabinetu.

- Wydaje mi się, że za szybko się podniósł. Spadło mu ciśnienie, zakręciło się w głowie i się potknął. To raczej nie był...

- A ty się zamknij i wyjdź, żebym mógł w spokoju porozmawiać z bratem - powiedział Evert i wskazał jej wyjście otwartą dłonią.

Gdy Evert wskazuje otwartą dłonią, nawet Fantomen¹ robi pod siebie - pomyślał Johansson i nagle zrobiło mu się dziwnie wesoło pomimo bólu w piersiach i w boku.

Evert usiadł na krześle obok kanapy.

- Wody? - zapytał.
- Raczej koniaku - powiedział Johansson. - Duży kieliszek.
- Jasne. Dostaniesz swój koniak. Ja muszę się napić whisky.

Potem siedzieli i rozmawiali. W spokoju, jak mężczyzna z mężczyzną, starszy brat z młodszym bratem. Evert sączył whisky, a Lars Martin koniak.

- Tak być nie może, chyba sam widzisz - powiedział Evert.
- No przecież - powiedział Johansson. - Sam na to wpadłem. Będę ci wdzięczny za wszelkie sugestie.
- Dostaniesz mojego parobka. Przyprawdę ci mojego parobka, to ci pomoże. Tego, co pracuje u nas w gospodarstwie.
- Parobka?
- No. Nie chcę, żebyś się zabił we własnym mieszkaniu.
- Czy coś z nim nie w porządku? - zdziwił się Johansson. - Z tym parobkiem?
- Wszystko z nim w porządku. Jest duży i silny, ma równo pod sufitem i robi, co mu się każe.
- Żadnych ukrytych wad?
- Nie. Czasem, gdy napijemy się razem bimbrow, gada coś o tym, że chciałby zostać policjantem, ale poza tym jest całkiem normalny.
- A co z tobą? - nie odpuszczał Johansson. - Nie będzie ci już potrzebny? - Do tych wszystkich koni i psów, na roli, w lesie i podczas polowań - pomyślał.
- Dam sobie radę - prychnął Evert. - Najpierw ciebie musimy doprowadzić do porządku.

- Jasne. To miłe z twojej strony.

- Przybij piątkę. Najwyższy czas, żebyś wziął się w garść.

Do polowania na łosie został już tylko miesiąc.

- No to za polowanie - powiedział Johansson. Skinął głową i uniósł szklankę do toastu.

Rozdział 52

Środa, 28 lipca 2010 roku, wieczorem

Kolacja z Pią. Zjedli ją w kuchni. Nie mogli usiąść w altanie, bo padało. Zresztą czuł się tak, że było mu wszystko jedno.

- Jak się czujesz? - zapytała Pia. - Śmiertelnie mnie wystraszyłeś, wiesz?

Dotknęła dłonią jego dłoni, leżącej nieruchomo na obrusie.

- Nieprawda - powiedział Johansson nagle wściekły z powodu tego, co usłyszał. - Mówiłem tej małej wytatuowanej pindzie, żeby do ciebie nie dzwoniła, ale widać to olała. Poprosiłem, żeby pomogła mi usiąść z powrotem na kanapie, ale to też, kurwa, olała.

- Chyba rozumiesz, że ma taki obowiązek. Że musi zadzwonić. To z troski.

- Nie, nie rozumiem. Słyszę, co mówisz, ale nie zgadzam się z tobą i mam już naprawdę dosyć wszystkich, którzy myślą i mówią za mnie. To dotyczy też ciebie.

- Jest ci ciężko - powiedziała Pia. - Rozumiem to, ale musisz zrozumieć, że próbujemy ci pomóc.

To bez sensu - pomyślał. Minęła mu złość. Wyparło ją zmęczenie.

- Rozmawiałam z twoim bratem. Uważam, że ma naprawdę dobry pomysł. To by mnie uspokoiło. Mam teraz więcej pracy, ludzie wracają z urlopów. Pomyślałam, że parobek na razie mógłby zająć pokój gościnny.

- Miło, że się zgadzacie.

- Nie wygłupiaj się, Lars. Rozmawiałam poza tym z lekarzem, który był tutaj, żeby cię zbadać. Żadnych złamań, ale masz zwichnięcie i porządny siniak. Musisz ostrożnie wstawać. Jeśli zbyt szybko się podniesiesz, może ci się zakręcić w głowie i upadniesz.

Ja chyba, kurwa, śnię - pomyślał Johansson. - Mam taką prośbę - powiedział. - Jestem cholernie zmęczony. Mogę się już położyć?

Wymuszony uśmiech. Jej dłoń się zatrzymała się. Ścisnęła jego dłoń.

- Oczywiście - przytaknęła Pia. - To chyba oczywiste. Pomogę ci.

- Nie. Ani mi się waż. Sam pójde i sam się położę. Odleję się, umyję zęby, wezmę te wszystkie cholerne tabletki, a potem walnę się do wyra. Sam umiem.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Odsunęła rękę.

Potem zrobił tak, jak powiedział. Na koniec wziął małą białą tabletkę i środek nasenny. Zasnął, gdy tylko przyłożył głowę do poduszki, chociaż bolał go bok i trudno mu było oddychać.

Rozdział 53

Czwartek, 29 lipca 2010 roku, przed południem

Johansson otworzył rano oczy i od razu postanowił, że zawalczy o swoje życie. Obudził się przed szóstą. Jak dawniej, to znaczy jak wtedy, kiedy jeszcze nie rzuciło nim o ziemię i nie posmakował swojej śmiertelności. Pokuśtykał do toalety, wziął prysznic, ogolił się, umył zęby, połknął lekarstwa, wypił dwie szklanki wody, włożył szlafrok, przyniósł gazetę, pokuśtykał z powrotem do gabinetu, położył się na kanapie i zabrał do czytania. Od razu rozbolała go głowa, rzucił więc gazetę i gdy weszła Pia, żeby zapytać, czy zje śniadanie, odmownie się skrzywił. Z zamkniętymi oczami. Nie mógł jej dać okazji do pogodzenia się. I Pia po prostu sobie poszła.

Musiał przysnąć, bo po jakimś czasie usłyszał najpierw, jak Pia rozmawia w holu z Matildą, a potem jak weszła do niego do pokoju i pochyliła się, przeciągając dłonią po jego lewym policzku. Mówiła szeptem.

- Uważaj na siebie, kochanie. Widzimy się wieczorem. - Bardziej wściekła niż zaniepokojona - pomyślał i znów zasnął.

Potem zobaczył stojącą obok kanapy Matildę. Uśmiechała się, jakby wczorajszego dnia w ogóle nie było.

- Wyskok, szefie. Jedziemy do rehabilitantki.

- Jacy my? Jak chcesz, to jedź. Ja dziękuję. Zapytaj, może będzie mieć pomysł na te twoje tatuaże. Słuchaj, a może na to też jest jakiś trening?

- Nie wygłupiaj się - powiedziała Matilda. Przechyliła nawet lekko głowę, jak to robiła jego osobista pani neurolog zawsze, gdy nie spełniał jej oczekiwań.

- Pomyślałem, że zrobię sobie spacer po Djurgården. Potem pójde do knajpy na lunch. Jak chcesz, możesz mnie podwieźć. Jak nie, mogę zadzwonić po taryfę.

- Okej. - Wzruszyła ramionami. - Zawiozę cię. Powiedz, jak będziesz gotów.

Johansson ubrał się z największą dbałością. Białe płócienne spodnie, niebieska płócienna koszula, żółta płócienna marynarka. Odpowiednio do nastroju i słońca, które świeciło za oknami. Nie spieszył się. Wyobrażał sobie, jak Matilda siedzi w salonie i zerka na zegarek i jak on przechodzi obok, w ogóle jej nie zauważając. Postanowił, że przesunie linię frontu jeszcze o kawałek. Chcieli dziecka, będą mieć dziecko - pomyślał.

- Bez pośpiechu - powiedział Johansson. - Muszę najpierw do kogoś zadzwonić.

Potem wziął komórkę i wybrał numer Hermanssona.

- Johansson - powiedział. - Chciałbym cię prosić o kilka rzeczy.

- Słucham, szefie - powiedział inspektor Hermansson. Odpowiedni ton głosu i trzech ostatnich lat jakby nie było.

- Jak ci idzie z Högbergiem?

- Poszukiwania zakrojone na szeroką skalę. Chłopaki z dochodzeniówki pstryknęli mu wieczorem kilka zdjęć. Chyba nie jest z nim najlepiej. Na zdjęciach wytacza się z jakiegoś lokalnego baru. Dosyć zapuszczony, jeśli można tak to nazwać.

- Można. Nie ma to jednak znaczenia, jeśli się weźmie pod uwagę ostatnie dwadzieścia pięć lat. Pytanie raczej, jak wyglądał w tym czasie. Prześlij mi te stare zdjęcia z zatrzymania.

- Oczywiście. Patrik chciał zawieźć ci je po robocie. Dyskrecja, wiesz. Lepiej, żeby to zostało w rodzinie.

- Jaka znowu dyskrecja?

- Sprawa jest przedawniona. Musimy być dyskretni, że tak powiem.

- Co to za bzdury? Wyślij kogoś, kto może dziabnąć sukinsyna. Jeśli jest tak, jak mówisz, pewnie leży teraz kompletnie pijany. Wystarczy zadzwonić do drzwi. Brakuje nam tylko DNA.

- Słyszę, co szef mówi. Pozwoli szef, że się zastanowię. Mówimy o sprawie, która uległa przedawnieniu. Nie chciałbym mieć rzecznika praw obywatelskich na karku.

- Dobra, zostaw. Zadzwonię do kogoś innego.

- Chwileczkę, szefie. Lars, do cholery, nie bądźmy tacy! W końcu znamy się nie od wczoraj.

- Czasem się o ciebie martwię, Hermanie. A jeśli to Högberg wykończył Yasmine? Chyba nie sądzisz, że była jego jedyną ofiarą?

- Nie. Słyszę, co mówisz. Dopilnuję, żeby pobrali od niego próbkę w trybie natychmiastowym, nieważne jak.

- Wyślij tam swojego zięcia. On zrobi to piorunem. Jak Högberg nie będzie chciał otworzyć ust, możecie mu wsadzić patyczek do nosa.

- Tak zrobimy.

- W porządku. Postaraj się też o priorytet w laboratorium.

- Zaczekaj. Rozmawiałem z nimi wczoraj przy okazji innej sprawy, mamy tu świeże dochodzenie w sprawie zabójstwa. Dwóch zastrzelonych Rosjan, których ciała ktoś porzucił przy Biskopsudden. W laboratorium powiedzieli, że najwcześniej za trzy tygodnie.

- Kto tam jest szefem?

- Kobieta. Ta, która była dyrektorem biura w zarządzie policji za twoich czasów.

- Dobra. Zadzwoń do niej i przekaz jej ode mnie pozdrowienia. Powiedz, że potrzebujesz tego natychmiast, najpóźniej w ciągu sześciu godzin od otrzymania próbki.

- Oczywiście. Dopilnuję, żeby to zostało zrobione.

- Doskonale - powiedział Johansson. - Czekam na twojego zięcia.

Włożył komórkę do kieszonki na piersi, wziął laskę z gumową stopką i pokuśtykał w kierunku holu. Matilda siedziała na krześle. Czekwała. Słaby uśmiech.

- Pierwszy dzień twojego nowego życia. Dokąd chcesz jechać?

- Prowadź samochód i nie gadaj, a ja już się postaram, żebyś miała wszystkie informacje na bieżąco - powiedział

Johansson. *Back on the road again* – pomyślał.

Gdy jechali, Johansson pokazywał drogę, wskazując lewą ręką; przejechali Slussen, potem Skeppsbron i Gamla Stan, minęli Grand Hotell i jechali wzdłuż Strandvägskajen. Zostawili za sobą ambasadę USA i Kaknästorget, a potem jechali dalej przez niewielki most przy Djurgårdsbrunnskanalen. Żółte słońce, niebieskie niebo. Lekkie białe chmury jak piórko z piersi kaczki w szacie godowej. Takie samo, jakie sprawdziło się przy duszeniu małej dziewczynki. Sztokholm w swojej najpiękniejszej odsłonie, zwrócony najlepszą stroną do oglądającego.

- Zatrzymaj się tutaj – polecił Johansson.

Tym razem bez żadnych ale. Matilda zatrzymała samochód bez słowa.

- Chciałbym wrócić spacerem do miasta – powiedział Johansson. – Spotkamy się przy tej gospodzie przy kolejce na północ od Skansenu. – Jak też się ona, kurwa, nazywała? – pomyślał. Zupełna pustka, choć przecież jadł tam co najmniej sto razy jeszcze w czasach, gdy jego życie było jak zwykle.

- Ulla Winbladh.

- Dokładnie tak. Widzimy się w Ulla Winbladh. Za godzinę.

Spojrzała na niego. Skinęła głową.

- Okej. Widzimy się w Ulla Winbladh – potwierdziła, a potem wsiadła do samochodu i odjechała.

Z początku było mu nawet wesoło, szedł spacerkiem wzdłuż kanału, nie pod górkę, sam, w swoim tempie. Po kwadransie

poczuł lekkie zmęczenie. Usiadł na ławeczce, otarł pot z czoła. Oddychał głęboko z zamkniętymi oczami – czuł, jak spada mu ciśnienie. Po chwili wstał, żeby iść dalej. Powoli, ostrożnie, żeby ciśnienie nadażyło i żeby się nie przewrócić.

Po kolejnym kwadransie był już prawie w połowie drogi. Lepiej mu się oddychało, mniej się pocił. Druga ławeczka, czas na odpoczynek. Brakowało mu tylko termosu z kawą i porządnej kanapki z grubymi plasterkami kiełbasy. I może jeszcze ostrego wrześniowego powietrza na policzkach i brodzie. Pniaka, na którym mógłby usiąść, widoku na górską rzekę tam, w domu, i głośnego ujadania psa, który właśnie wytropił łosia.

Larsie Martinie, ty żyjesz – pomyślał Johansson, gdy o wyznaczonej porze wszedł do gospody.

– Co powiesz na grillowanego łosia z podgrzaną sałatką? – odezwała się Matilda znad karty dań.

– Nie odmawiaj sobie – powiedział Johansson. – Ja wezmę pieczoną wołowinę z plackami ziemniaczanymi, zimne czeskie piwo i dużą wódkę.

Rozdział 54

Czwartek, 29 lipca 2010 roku, po południu

Po powrocie do domu położył się na kanapie w gabinecie i powiedział Matildzie, żeby przyniosła mu filiżankę kawy i butelkę wody mineralnej. Dawno już nie czuł się tak dobrze. Ani śladu bólu głowy czy ucisku w piersiach. Kuj żelazo, póki gorące – pomyślał i sięgnął po brązową kopertę, którą dostał kilka dni temu od Ulriki Stenholm. Odpowiednio cienka, w sam raz dla kogoś, komu powiedziano, żeby wrzucił na luz i się nie stresował.

Kilka programów koncertowych z występami Margarethy Sagerlied.

Koncert wigilijny w kościele w Brommie. Johansson ocenił repertuar jako standardowy, choć nie był w tym temacie znawcą.

Koncert w kościele w Spånga – repertuar wyraźnie bardziej urozmaicony.

Mozart w Drottningholmsoperan. Standardy – pomyślał Johansson – choć w życiu tam nie był.

Kilka fotografii, bardzo pomocnych dla takiego jak on również dlatego, że nagle pokazały mu twarze ludzi, z którymi nigdy się nie spotkał ani nie rozmawiał, których nigdy nie widział nawet na zdjęciu.

Zdjęcie portretowe z autografem Margarethy Sagerlied. Młoda i wyjątkowo piękna Margaretha Sagerlied. Z tysiąc

dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego, sądząc po stemplu zakładu fotograficznego na odwrocie. Jak znalazło się u ojca Ulriki Stenholm wiele lat później? Pewnie mu je podarowała. Lub raczej jemu i jego żonie – pomyślał Johansson. Półprofil na ciemnym tle, głowa odchyłona do tyłu, przymknięte powieki, lekko lekceważący uśmiech i dramaturgia, której pół wieku później już nikt nie tworzy. Carmen – pomyślał Johansson. Czy właśnie tak siebie widziała?

Kolejna fotografia. „Pierwsze raki u Margarethy i Johana, 1970”, przeczytał Johansson na odwrocie. „Gospodarz domu Johan, moja droga małżonka Louise, nasza czarująca gospodyni Margaretha i ja”, przeczytał pod spodem. Pisane pewnie ręką kaznodziei – pomyślał Johansson. Dwóch panów w smokingach u boku dwóch dam w sukniach koktajlowych, wszyscy w papierowych czapczkach, z płaskimi kieliszkami do szampana, weseli. Ciekawe, kto robił zdjęcie? – pomyślał Johansson. W sumie nieważne, bo nawet jeśli był to mężczyzna, piętnaście lat później i tak był za stary.

Z prawej strony zdjęcia mężczyzna około siedemdziesiątki, łysiejący, o pociemniałej twarzy, wielki i zwalisty, z wesołą miną. Obok niego kobieta, która wygląda na młodszą od niego o połowę i mogłaby być bliźniaczą siostrą osobistej neurolog Johanssona. Dalej – czarująca pani domu, wyglądająca nie na pięćdziesiąt sześć, które miała, gdy było robione zdjęcie, ale na czterdzieści sześć. O głowę wyższa od matki Ulriki Stenholm, uśmiecha się czarująco do obiektywu i unosi kieliszek, drugą ręką obejmując swojego kawalera. Ojciec pastor – pomyślał Johansson. Szczupły, łysiejący,

szczere, regularne rysy, przyjazny, trochę zawstydzony uśmiech. Zapewne mądry i dobry człowiek. Może zawstydziło go trochę to ramię obejmujące go w pasie – pomyślał Johansson i odłożył zdjęcie w tej samej chwili, w której zadzwoniła jego komórka.

- Johansson – powiedział. Odkąd przeszedł na emeryturę, odbierał telefon, przedstawiając się z nazwiska, zamiast burczeć coś do słuchawki.

- Cześć, Lars. Tu Alf. Mam nadzieję, że wszystko z tobą w porządku.

- Ach, ach i do piachu – powiedział Johansson, bo kto by się odważył okłamywać kogoś takiego jak Alf Hult. – Jak ci idzie z naszą śpiewaczką operową i tym starym rzeźnikiem, którego miała za męża?

- Ja właśnie w tej sprawie.

- Ty gadaj. Ja słucham.

Wedle wszystkich oficjalnych danych, jakie istniały na ten temat, oboje nie mieli dzieci. Alf Hult wyraził przekonanie, że sprawy miały się właśnie tak, a nie inaczej.

- Żadnych dzieci we wsi – powiedział Johansson.

- Nie wszystkie rodziny mogą sobie na to pozwolić – rzekł Alf Hult i dyskretnie zakasłał.

- A jacyś inni? Młodzi mężczyźni w odpowiednim wieku? Bratankowie, siostrzeńcy, dzieci kuzynostwa i Bóg wie kto jeszcze.

Takich też nie, przynajmniej nie zdaniem szwagra. Ani Johan Nilsson, ani Margaretha Sagerlied nie mieli rodzeństwa.

- Johan Nilsson handlował mięsem w trzecim pokoleniu. Urodził się w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym, zmarł w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym. Jego ojciec, kupiec Anders Gustaf Nilsson, urodził się w tysiąc osiemset siedemdziesiątym. Johan był jedynakiem. Anders Gustaf zmarł w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym. Dziadek Johana, sprzedawca bydła, Erik Johan Nilsson, urodzony w roku tysiąc osiemset czterdziestym ósmym, miał w domu prawdziwe przedszkole. Osiem sztuk, jeśli dobrze liczę, trzech chłopców i pięć dziewczynek. Ale nie wygląda mi na to, żeby któreś z nich miało potomstwo w odpowiednim wieku.

- A ona? A ta Sagerliedowa?

- W jej wypadku sytuacja jest prosta: była jedynaczką - stwierdził Alf Hult. - Z domu Svensson. Jej ojciec był kuźnikiem w Sztokholmie, matka prowadziła dom. Drobnomieszczaństwo, jak to się pewnie mówiło w tych czasach. Ryzykuję, że sprawię ci zawód, ale twierdzę, że i tutaj nie wygląda to obiecująco. Nie znajduję żadnego młodszego krewnego płci męskiej. Margaretha Sagerlied, z domu Margaretha Svensson, zmieniła nazwisko w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym. Dwa lata przed tym, jak została na stałe zatrudniona w operze sztokholmskiej.

- Bardzo stosownie.

- Racja - zgodził się z nim szwagier. - Gdybyś wiedział, ilu problemów takim jak ja mogą przysporzyć zmiany nazwisk. Mógłbym ci opowiedzieć historie z czasów, kiedy pracowałem w urzędzie skarbowym, od których włosy stają

dęba ludziom nawet tak doświadczonym jak ty.

- Nie wątpię - powiedział Johansson. I co teraz? - pomyślał.

- No i co teraz? - zapytał Alf Hult.

- Trzeba kopać głębiej - powiedział Johansson, bo właśnie podjął decyzję.

- Może to nie krewnego szukasz?

- Rzeczywiście, może tak być.

- Jeśli istnieje, na pewno go znajdziemy. O to nie musisz się martwić.

- Naturalnie - powiedział Johansson. Jeżeli istnieje - pomyślał, kończąc rozmowę. A może po prostu zrozumiałem wszystko na opak, bo zrobił mi się skrzep w głowie, mimo że to moje serce nawala?

Potem zasnął na kanapie. Gdy się obudził, Matilda pochylała się nad nim, dotykając ostrożnie jego ramienia.

- Masz gościa. Z policji. Mówi, że przyniósł dla ciebie masę papierów.

- A ma jakieś nazwisko?

- Nie dla mnie.

- To skąd wiesz, że nie kłamię? - powiedział Johansson. Patrik Åkesson - pomyślał. - Pe-dwa.

- Ma to wypisane na twarzy - powiedziała Matilda szyderczo. - Tak jak ty i ten twój przyjaciel, ten wielki, co wygląda jak wilk.

Nie wypisane na twarzy - pomyślał Johansson. Ma to w oczach. Jak wszyscy prawdziwi policjanci. Jak jego najbliższy przyjaciel, jak on sam, jak wszyscy jego dawni

koledzy, którzy byli jak on i Jarnebring. Ten przyjazny, wyczekujący wyraz twarzy, który mówił, że zginiesz, jeśli nie będziesz zachowywać się przyzwoicie. Założy ci kajdanki, powie ci, żebyś się przymknął, da ci kopa w tyłek. Lub zrobi coś jeszcze gorszego, tak na wszelki wypadek.

- Siadaj. Kazałem służącej przynieść nam kawę.

- Dobry pomysł.

- Opowiadaj, Pe-dwa. Oświeć starego człowieka. Znalazłeś coś na tego pijusa Högberga?

- Rano dzwonił teść, był w szale - powiedział Pe-dwa.

- Wierzę - powiedział Johansson.

- Tak więc Högberg, Tommy Rickard. Pobraliśmy już od niego próbkę - wyjaśnił. - Mieliśmy z kolegami po drodze.

- Co on na to? - zapytał Johansson.

- Nie miał uwag. Był wyjątkowo uległy. Wydawał się lekko zmęczony, wczorajszy wieczór pewnie trochę mu się przedłużył. Gdy wreszcie udało nam się przywrócić mu przytomność, nie było najmniejszego problemu. Teść mówił, że wyśle to od razu do laboratorium. Twierdzi, że dostaniemy odpowiedź najpóźniej jutro.

- Wierzę. Masz jego zdjęcie?

- Jasne - powiedział Pe-dwa. Przerzucił kartki i podał Johanssonowi zdjęcie z osiemdziesiątego siódmego, zrobione na komendzie w Sztokholmie podczas zatrzymania Tommy'ego Högberga, podejrzanego o udział w dużej kradzieży. *En face*, prawy i lewy profil. Pomimo okoliczności Högberg uśmiechał się do kamery.

Ciemne kręcone włosy, regularne rysy, białe zęby, szeroki

uśmiech. Tommy Högberg, łamacz kobiecych serc - pomyślał Johansson.

- Co szef o tym sądzi? To on?

- Wątpię. - Za delikatny, trochę za głupi, sądząc po oczach - pomyślał. - Zobaczymy - dodał. Już niedługo - pomyślał.

- Jeśli się okaże, że to on, chętnie po niego wrócę - powiedział Patrik Åkesson, a w jego oczach było coś, co nie wróżyło niczego dobrego Tommy'emu Högbergowi.

- Przedawnione - rzekł Johansson. - Nie będzie lekko - z jakiegoś powodu zabrzmiał dokładnie tak jak teść Pe-dwa, inspektor Hermansson z Wojewódzkiego Wydziału Kryminalnego w Sztokholmie.

- Coś jeszcze na pewno zmaistrował - powiedział Pe-dwa.

- Tacy rzadko się poddają. Na pewno coś znajdziemy. Wystarczy, że podniesiesz słuchawkę, a już po niego jadę. Powyrywam mu ręce i nogi, gdy tylko zacznie gadać od rzeczy.

No ładnie. Gdzie ja to już słyszałem? - pomyślał Johansson. - Masz mi coś do powiedzenia? - zapytał.

- Teść coś wspominał?

- Nie. Ale chętnie cię wysłucham.

- Nasza najmłodsza córka, Lovisa, chodziła do tego pieprzonego przedszkola w Tullingen. Mieszkaliśmy tam wtedy. Będzie cztery lata. Na pewno czytałeś o tym w gazetach. Wszystkie media o tym trąbiły, chociaż socjaliści próbowali wszystko uciszyć.

- Nie wiem, o co chodzi. Opowiadaj. - Ktoś mi wykasował

wszystko z głowy - pomyślał.

- Zatrudnili jakiegoś praktykanta, który kształcił się na przedszkolankę. Dopiero po kilku miesiącach odkryli, że zdarzało mu się... - Patrik Åkesson zamilkł, przełknął ślinę, pochylił się na krześle. Ręce miał opuszczone między nogami, składał i rozkładał dłonie.

- ...napastować dzieci - powiedział Johansson.

- Pokazywać im siusiaka i prosić, żeby mu go potrzymały. W tym czasie on je obmacywał. Wszystko działo się w przedszkolu. Korzystał z tego, że chodził z dziećmi do toalety. Reszta personelu nie miała pojęcia, co skurwysyn wyprawiał. Trwało to do dnia, w którym dyrektorka przyłapała go z opuszczonymi majtkami. Po trzech miesiącach, choć zaczął już pewnie pierwszego dnia. Co za ślepotą!

- Twoja córka?

- Nie. Nie Lovisa. Ten osobnik interesował się tylko chłopcami. Tak więc nie Lovisa. Nie w jego typie, na szczęście. Nie tym razem.

- Musiało być wam ciężko - powiedział Johansson. Musieliście przejść prawdziwe piekło - pomyślał.

- Tak. Niełatwo iść z czteroletnią dziewczynką do ginekologa. Nie wspominając już o tych wszystkich godzinach, które spędziła na rozmowach z kolejnymi psychologami. A ci tylko siedzieli i kiwali swoimi pustymi głowami.

- Zobaczymy. Jeśli to on, na pewno coś znajdziemy.

- Nawet jeśli nie znajdziemy, to nie zaszkodzi, jeśli i tak to zrobimy - powiedział Patrik Åkesson. - Nie będę już chyba

pić kawy. Szef wybaczy.

- Oczywiście. Uważaj na siebie. Jakby co, nie zrób tylko jakiejś głupoty.

- Obiecuję, szefie. Obiecuję. Ma szef na to moje słowo.

Wieczorem, po kolacji z Pią, gdy siedział sam ze swoimi myślami na kanapie w gabinecie, zadzwoniła komórka. Alf, stary myśliwy, Einstein wśród archiwistów, znalazł go - pomyślał.

- Johansson - powiedział.

- Herman - usłyszał. - Mam nadzieję, że cię nie obudziłem?

- Nie. Znalazłeś go? - Prawie Einstein - pomyślał.

- Niestety. Przed chwilą dzwonili z laboratorium. Tommy'ego Högberga nic nie łączy ze sprawą Yasmine. Z żadną inną też nie.

- Trudno - powiedział Johansson i z jakiegoś powodu zobaczył przed sobą Erikę Brännström.

- Jeszcze go dorwiesz.

- Tak - powiedział. Tak właśnie będzie - pomyślał. Ciekawe, czego się boi? Twarda kobieta z Norrlandu o dłoniach naznaczonych ciężką pracą. Dwie córki, którym powiodło się w życiu. Nie jak Yasmine, która byłaby teraz w ich wieku, gdyby dane jej było żyć, i której pewnie powiodłoby się jeszcze lepiej. Przynajmniej pod względem materialnym.

- Obiecuj, że się odezwiesz - powiedział Hermansson. - Że dowiem się jako pierwszy.

- Jasne. Jesteśmy w kontakcie - powiedział Johansson.

Gdy już go znajdę, nie powiem ani tobie, ani twojemu zięciowi – pomyślał, odkładając komórkę. Po kilku sekundach znów rozległ się dzwonek.

- Tak – odpowiedział Johansson. Następny, który chce wyrwać komuś ręce i nogi – pomyślał.

- Evert – zagrzemiał Evert. - Twój najstarszy brat, pamiętasz?

Czego chce? Swego czasu Evert wrywał pewnie całe tony rąk i nóg – pomyślał Johansson. W samym tylko Folkparken w Kramfors.

- Parobek będzie w sobotę – powiedział Evert. - Już to ustaliłem z Pią, więc się nie martw.

- To po co dzwonisz?

- Zapomniałem ci o czymś powiedzieć.

- No?

- Wiesz, ten parobek.

- No. - Wiedziałem, że coś tu nie gra – pomyślał. - Słucham – powiedział.

- Jest z Rosji.

- Jest z Rosji. A po szwedzku mówi? – Evert nasłał na mnie ruskiego czorta – pomyślał.

- No przecież. W końcu mieszka tu już, kurwa, od jakichś piętnastu lat.

- To ile on ma lat?

- Urodził się w osiemdziesiątym siódmym, przyjechał do Szwecji jako chłopiec. Miał chyba dziesięć lat. Wcześniej siedział w domu dziecka w Petersburgu, raczej nie było mu tam do śmiechu.

- Ale dajesz za niego głowę?

- Wiadomo. To dobry chłopak, w żadnym razie nie rozpieszczony, w odróżnieniu od moich własnych dzieciaków.

- Jakim jest człowiekiem? Gdybyś miał go opisać jako człowieka?

- Jak ja. Jest dobry. Jest jak ja.

- Ma jakieś imię? - zapytał Johansson. Będę mieć własnego Małego Everta - pomyślał. Musiał mi się tylko najpierw zrobić skrzep w mózgu.

- Maxim, Maxim Makarow. Jak ten hokeista, no wiesz. Ten wielki skurczybyk, który zrobił sobie z naszych chłopaków z Tre Kronor obstawę. Mówi o sobie Max albo Mackan.

- Siergiej - powiedział Johansson. - Ten hokeista. Nazywał się Siergiej Makarow.

- Kto wie, może to jego ojciec? - zaśmiał się Evert.

- Coś jeszcze?

- Nic. Czeka, jeszcze jedno. Przyjedzie twoim nowym samochodem. Takim samym, jaki miałeś wcześniej, ale z automatyczną skrzynią biegów.

- Dziękuję - powiedział Johansson. Jego osobisty Mały Evert, który zamieszka w domu jego i Pii. W domu, który jeszcze do niedawna był jego twierdzą. Co tu się, kurwa, wyprawia? - pomyślał.

Rozdział 55

Piątek, 30 lipca 2010 roku, przed południem

- Masz chwilę? - zapytała Matilda. - Chciałabym wyjaśnić jedną sprawę, zanim pojedziemy na rehabilitację.

- Jasne. - Johansson odłożył gazetę. Na jedno wyjdzie - pomyślał, bo gdy tylko zaczynał czytać, zaczynała go boleć głowa.

- Chodzi o tego Josepha Simona, którego prosiłeś, żebym wyszukała.

- I co, znalazłaś coś?

- Dużo. Bardzo dużo.

- Spróbuj podsumować.

- Jasne. Urodzony w pięćdziesiątym pierwszym w Teheranie. Przyjechał do Szwecji w charakterze uchodźcy w siedemdziesiątym dziewiątym razem z żoną i córeczką. Wtedy nazywał się jeszcze Josef Emergan. Z wykształcenia lekarz. Pracował jako naukowiec i lekarz w Karolinska Institutet w Solnej. Obywatel szwedzki od osiemdziesiątego piątego. Rozwiedziony w tym samym roku. Rok później zmienił nazwisko na Joseph Simon. Wyjechał ze Szwecji w dziewięćdziesiątym i zamieszkał w Stanach. Miał zieloną kartę, zanim wysiadł z samolotu. Został obywatelem amerykańskim już w dziewięćdziesiątym piątym, choć zwykle potrzeba na to więcej czasu. Zwłaszcza teraz, po jedenastym wrześniu. To wszystko już wiesz, prawda?

- Prawda. Zastanawiałem się raczej, co się stało potem. -
Głupia nie jest, choć wygląda, jak wygląda - pomyślał.

- Zaciekały mnie trzy sprawy.

- Słucham.

- Po pierwsze wydaje się nieprawdopodobnie bogaty.
I repeat - powiedziała. - Bogacz. Jest potęgą, prawdziwą potęgą w branży farmaceutycznej. Jest właścicielem mnóstwa firm farmaceutycznych lub kontroluje mnóstwo takich firm. Również kilku firm IT z tego sektora. Ostatnio sprzedał jedną z nich, która stworzyła jakieś oprogramowanie pozwalające ocalić życie mnóstwa zwierząt doświadczalnych. Myszy, szczurów, królików, szympansov, kotów i psów, *you name it*, które zabija się dla eksperymentów. Masz pojęcie, ile zwierząt laboratoryjnych umiera co roku przez firmy kosmetyczne?

- Nie. Ile?

- Kilkaset milionów według ich danych, ponad miliard zdaniem niezależnych źródeł. Ta firma, którą sprzedał, wymyśliła jakiś program komputerowy pozwalający ocalić blisko dwadzieścia procent wszystkich zwierząt laboratoryjnych. Nie dlatego, że króliki są słodkie czy coś w tym stylu, ale dlatego, że wykończenie takiego jednego Królika Oswalda² kosztuje ich jakąś stówę.

- Ile dostał za tę firmę?

- Jeden przecinek siedem miliarda dolarów. Blisko trzysta miliardów koron szwedzkich. Gdy zaczynał siedem lat temu, zainwestował zaledwie kilka milionów. Dolarów.

- Innymi słowy, wygląda na to, że zarobił sporo kasy.

- *You bet, Chief. He's made a fucking lot of it.* Jest też na liście. Zresztą od wielu lat.

- Jakiej liście?

- Pięciuset najbogatszych ludzi na świecie.

- Ile ma?

- W ubiegłym roku jego majątek szacowano na dwanaście do piętnastu miliardów. Dolarów oczywiście.

Padnij, Evert - pomyślał Johansson. Gdyby przyszło mu do głowy wymienić je na szwedzkie monety i dwudziestki, to nawet Sknerus McKwacz mógł pocałować się w tyłek w czasie kąpieli. - A po drugie? - zapytał.

- Po drugie wydaje się, że prowadzi rodzaj krucjaty przeciwko pedofilom i *child molesters*. Wiesz, co to znaczy, prawda? Nie wiem, jak to się mówi po szwedzku. Może „wyzyskiwacz dzieci”?

- Wiem. A ta jego kruczata? Jak to wygląda? Domyślam się, że nie biega i nie szatkuje ich mieczem? - W sumie niegłupi koncept - pomyślał. Wielki, śniady Pers ubrany w fez i z bułatem w ręku, który daje takim jak John Ingvar Löfgren, Ulf Olsson i Anders Eklund poczuć, jak smakuje zimna biblijna stal.

- Owszem. To prawie tak wygląda.

- Jak to?

- Na wszystkie możliwe sposoby - powiedziała Matilda. - Założył stowarzyszenie, już w dziewięćdziesiątym piątym, nazywa się Yasmine's Memorial Foundation. On i jego firma włożyli w nie od tego czasu setki milionów, oczywiście dolarów.

Odliczenie - pomyślał Johansson. Odliczenie dla niego i jego firmy. Jakie to miało znaczenie, skoro było również *good for business* dla kraju, w którym żył, a już z pewnością dla branży, w której działał? Jakie to miało znaczenie? Joseph Simon od dwudziestu pięciu lat żył sam z tym ogniem, który cały czas płonął w jego sercu i głowie i który mógł zalewać dowolną ilością paliwa. - Dla kogoś takiego jak on to drobniaki - powiedział. - Co konkretnie robią? W tym stowarzyszeniu?

- Głównie prowadzą kampanie. Kampanie przeciwko pedofilom i *child molesters*, dosłownie wszędzie. W telewizji, radiu, sieci, nawet w zwykłych papierowych książkach. Coś jak kampanie polityczne.

- Jak im idzie?

- Świetnie. W Stanach wszyscy skazani za wykorzystywanie seksualne dzieci są zobowiązani do przekazania policji swojego aktualnego adresu w razie przeprowadzki. Muszą podać, gdzie pracują i jaki mają numer telefonu, numer rejestracyjny samochodu, z kim mieszkają. Rodzina, dzieci, wszyscy inni, *you name it, whatever*. Dziś obowiązuje to praktycznie w całych Stanach. Nieważne, czy odsiedziałeś swoją karę i wyszedłeś z więzienia. Albo że miałeś piętnaście lat i zostałeś skazany za to, że byłeś z czternastolatką, a wsadził cię jej nawiedzony tatuś. Zresztą to dopiero początek, to tylko część tego pakietu.

- Jest coś jeszcze?

- Policja ma również prawo decydować, gdzie wolno ci być

i z kim. Nie możesz przebywać w pobliżu przedszkoli, świetlic, szkół, pływalni, ośrodków sportowych, do których mają wstęp dzieci i młodzież. Ani w żadnym innym miejscu, w którym mógłbyś ulec pokusie. Wystarczy, że zdarzy ci się przejechać obok szkoły, a już lądujesz za kratkami.

- A ta trzecia sprawa? Co to takiego? - chciał wiedzieć. Niedługo tu też tak będzie - pomyślał. Choć na razie jest tak tylko w sieci i w brukowcach. I zdaje się, że nikomu to nie przeszkadza.

- Nienawidzi Szwecji. Nie ma wywiadu, w którym nie obrzucałby Szwecji błotem. Nawet w takich, które dotyczą zupełnie czego innego, zwykle jego interesów. To bez znaczenia. Zawsze znajdzie okazję, żeby zrobić jeszcze jedną rundkę i jeszcze raz przywalić swojej dawnej ojczyźnie.

- Jest coś poza tym? - zapytał Johansson. Jak to możliwe, że takie wiadomości praktycznie do nas nie docierają? - pomyślał.

- Mam dla ciebie ze dwadzieścia stron.

- Z ciekawością przeczytam. Jak tylko ból głowy udzieli mi przepustki.

- Jest też cholernie przystojny

- Co to znaczy?

- Nieźle ciacho. Ma około sześćdziesiątki. Choć dałabym mu najwyżej pięćdziesiąt. Trochę jak twój przyjaciel. Z budowy. Nie w oczach.

- Nie w oczach.

- Nie jak wilk. To człowiek, który wie, co znaczy cierpieć. Nie taki, co tylko w życiu brał. Wielu dziewczynom to się

podoba. Kolesie, którzy poznali cierpienie, ale którzy się nie dają. Niepokonani, wiesz.

- No, ba - powiedział Johnsson, który miał skończone sześćdziesiąt siedem i nigdy nie wyglądał zbyt dobrze, a jednak mimo wszystko lepiej niż od niedawna, to znaczy od prawie miesiąca. - Jakież wnioski?

- Mam dwadzieścia trzy lata. Gdyby Joseph Simon poprosił, o ile jest taki, na jakiego wygląda, i taki, jaki wydaje się, że jest, kiedy się wypowiada, to nawet gdyby nie miał grosza przy duszy. *Wow!*

- Co? Co *wow*?

- Rzuciłabym się plackiem. Na plecy albo jak tam by sobie zażyczył.

- Powiadasz - rzekł Johansson. Może to tłumaczy te wszystkie tatuaże i kolczyki? - pomyślał.

- Tak. Tak bym zrobiła. A, i mam jeszcze pytanie.

- Tak, słucham - powiedział Johansson, choć już znał odpowiedź na jej pytanie.

- Ta, co leży w tych twoich kartonach, to jego córeczka Yasmine. Prawda?

- Tak. To jego córka Yasmine. To ona mieszka w pudłach, które stoją na podłodze w moim gabinecie. - A jedyne, co mi się do tej pory udało, to oddać jej spinkę - pomyślał.

- Powodzenia. Mam nadzieję, że dorwiesz tego, kto to zrobił. I że powiesz mi, gdy już będziesz wiedzieć, kim on jest.

- Dlaczego? - zapytał. Żebyś mogła mu wyrwać ręce i nogi albo wygotować z niego tłuszcz? - pomyślał.

- Żebym mogła wydłubać mu oczy. Wbić się w nie paznokciami i je wydłubać. Tak po prostu, plum, plum.

Rozdział 56

Piątek, 30 lipca 2010 roku, po południu

Gdy jechali do domu z rehabilitacji, Johansson zastanawiał się, czyja to właściwie była wina. Z czyjej winy zwykli, przyzwoici, a nawet prawi ludzie wychodzili z propozycją odebrania życia komuś, kogo nigdy nie spotkali, i to w sposób najokrutniejszy z możliwych.

Gdybym to ja dostał do poprowadzenia to dochodzenie, facet po miesiącu siedziałby za kratkami. Zabójstwa Yasmine nie dałoby się cofnąć, ale uniknęlibyśmy całej reszty – pomyślał Johansson. Morderca zostałby wymazany ze zbiorowej pamięci, podobnie jak John Ingvar Löfgren, Ulf Olsson i Anders Eklund. Żyłby tylko w głowach bliskich ofiar, tych, którzy za sprawą Löfgrena, Olssona i Eklunda umarli, choć może nie dosłownie. Tych, którzy żyli mimo wszystko z towarzyszącym im na każdym kroku cierpieniem. Nie jak my, stojący z boku, którzy mogli zapomnieć i pójść dalej. Ale sprawę dostał Evert Bäckström i wszystko skończyło się tak, jak zawsze się kończy, gdy Bäckström dostaje coś do zrobienia.

Ale to wina nie tylko Bäckströma – pomyślał jeszcze Johansson. Możliwe, że zawinił również ten głupi komendant. Ten, któremu się wydawało, że potrafi prowadzić dochodzenie, choć nie wiedział, jak wygląda zwykłe przesłuchanie, a tym bardziej, jak wyciągnąć z niego coś

cennego. Albo ten jego przyjaciel, wydawca, którego okradli i któremu nieźle się dostało, bo zaprosił do siebie nieodpowiedniego gościa. A ten gość skroił mu jego portfel i kieckę Rity Hayworth. Jakby tego było mało, przydzielono mu Everta Bäckströma, który miał dopilnować, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

Raczej nie jest to wina Ebbego Carlssona - dodał w myślach. Nie dziwi mnie, że wygadał się swojemu koledze, jeżeli wezmę pod uwagę tę niesprawiedliwość, jaką wyrządził mu Bäckström. Może było aż tak źle, że to w ogóle nie był błąd Everta Bäckströma. Albo gorzej, że winny był on sam, Lars Martin Johansson, bo nie udało mu się uchronić policji przed pracownikami takimi jak Evert Bäckström. Instytucji, w której piastował najwyższe funkcje przez ostatnie dwadzieścia lat.

- Jedno mnie zastanawia - powiedział Johansson i kiwnął do swojego szofera, Matildy.

- Słucham, szefie.

- To, co powiedziałaś. Że wydłubałabyś oczy temu, kto zamordował Yasmine. Naprawdę byś to zrobiła? - Dobrze się zastanów - pomyślał.

- Gdyby to była moja córka... - Matilda zawiesiła głos. - Gdyby tacy jak ty pozwolili mu się wymknąć?

- Tak.

- Wówczas bym to zrobiła.

- Słyszę, co mówisz.

- Rozumiem, dlaczego pytasz.

- Jak możesz to rozumieć?

- Bo wierzę, że go znajdziesz. Jestem o tym przekonana. Boisz się, że się dowiem, kto to był, i że jej ojciec da mi jakieś sto milionów za to, że mu powiem, jak on się nazywa i gdzie mieszka.

- A zrobiłabyś to? Konkurentów by ci nie zabrakło.

- Nie. Tu biegnie granica. Gdyby to była moja córka, to jasne. Przysięgam, rozerwałabym go na strzępy. Ale nie to drugie.

- Dlaczego nie?

- Są granice. Kto ma to wiedzieć, jak nie ty?

- Wiem. Granice, których nie wolno przekroczyć. Których nie dasz rady przekroczyć, bo wtedy będziesz jeszcze gorszy od tych wszystkich złych ludzi, którym nie potrafisz odebrać życia.

- Dopilnuj tylko, żeby dostał dożywocie. Wtedy nie będziesz się musiał martwić o takich jak ja.

Zaraz po powrocie Johansson zadzwonił do starego przyjaciela Everta. Był on też jego znajomym, chodzili razem na polowania. Wybitny dziennikarz gospodarczy. Od blisko czterdziestu lat obserwował świat biznesu i wiedział prawie wszystko o prawie wszystkich w tej sferze ludzkiej działalności, która znajdowała się w jego polu obserwacji, i nie bał się uszczypnąć, jeśli zaszła taka potrzeba.

- Dzwonię, bo chciałem cię o coś spytać - powiedział Johansson. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

- Dobrze cię słyszeć, Lars. Skąd. Ty nigdy nie przeszkadzasz. Co słychać?

- Jak w bajce - skłamał Johansson.

- Czyli widzimy się na polowaniu jak zawsze?
- Mam taką nadzieję. Tak jak mówiłem, zastanawiam się nad jedną rzeczą.
- Pytanie nic nie kosztuje.
- Joseph Simon. Znasz go?
- Tak, mógłbym nawet zaryzykować twierdzenie, że znam go lepiej niż wielu innych. Znałem go w czasach, gdy mieszkał w Szwecji. Zrobiłem reportaż o nim na początku lat osiemdziesiątych. On i jego stryj, profesor w Karolinska, prowadzili na boku prywatną firmę. Zajmowali się analizą próbek krwi, moczu, kału, wszystkiego tego, co wysyłali im z województwa. Będzie jakieś trzydzieści lat.
- Jak im szło?
- Doskonale. Dlatego się tym zainteresowałem i zrobiłem reportaż. Wartość zwykłego serdelka może być mierzona w złocie, jeśli komuś przyjdzie do głowy, że są w nim bakterie, których nie powinno tam być. Albo też coś innego, czego jest za dużo lub za mało. Wszystko jedno.
- Jak byś opisał Simona? Jednym zdaniem.
- Jednym zdaniem?
- Jednym zdaniem. Chyba to nie takie trudne. - W końcu jesteś dziennikarzem - pomyślał.
- Jednym zdaniem. Skoro tak, ująłbym to w ten sposób. Jeśli jest ktoś taki na tej ziemi, z kim nie chciałbym zadrzeć, ale tak na poważnie, i nie mówię teraz o biznesie, tylko o uczuciach i relacjach międzyludzkich, to tą osobą jest Joseph Simon. Za żadne skarby.
- Co by się wówczas stało?

- Wówczas by mnie zabił. Zakładam, że wiesz, co stało się jego córeczce Yasmine.

- Jasne. Ale chwila. Chcesz powiedzieć, że mógłby nawet targnąć się na życie kogoś takiego jak ja?

- Bo byłeś szefem Säpo i Komendy Głównej, chcesz powiedzieć?

- Tak.

- Gdyby się okazało, że byłeś zamieszany w zabójstwo jego córki, zrobiłby to bez mrugnięcia okiem. Gdybyś był prezydentem USA, podjąłby przynajmniej poważną próbę. Joseph to człowiek dysponujący nieograniczonymi środkami. Jeśli chcesz znać moje zdanie, niejedyn amerykański pedofil miał okazję boleśnie się o tym przekonać. Choć w życiu nie słyszał o Yasmine. Ani o jej ojcu.

- Powiadasz.

- Pochodziłem sobie ostatnio w sieci. Przy okazji tego, że zabójstwo Yasmine uległo przedawnieniu i w związku ze zniesieniem okresu przedawnienia morderstw. Nie wiem, czy czytałeś, ale w „Svenskan” była dyskusja, w której porównywano zabójstwo Olofa Palmego z zabójstwem Yasmine. Mówiono, że zabójstwo Palmego nigdy się nie przedawni, natomiast zabójstwo takiej dziewczynki jak Yasmine już się przedawniło tylko dlatego, że minęło się z nowym prawem o trzy tygodnie. Mimo że akurat w tej sprawie są zachowane ślady DNA, które mogłyby obciążyć sprawcę niezależnie od tego, jak wiele czasu upłynie od dnia popełnienia zbrodni do dnia jego zatrzymania. Chcę powiedzieć, że spokój zwykłych ludzi burzą przede

wszystkim zbrodnie na tle seksualnym, których ofiarami są dzieci. W końcu wszyscy jesteśmy rodzicami.

- Rozumiem, co chcesz powiedzieć. - Zlepek lęków każdego rodzica - pomyślał.

- Znalazłem sporo ciekawych informacji. Czy wiesz, ilu w zeszłym roku zginęło pedofilów?

- Nie.

- Około trzystu. Liczby pochodzą z FBI, jeśli jesteś ciekaw, więc raczej nie zostały wyssane z palca. Te zabójstwa dostały nawet własną nazwę w USA, *Pedophile-Victim-related Murders*. Ponad trzysta w ubiegłym roku. Wiesz, ile z nich do tej pory wyjaśniono? To znaczy postawiono zarzuty sprawcy?

- Nie.

- Trzy. Do tego w jednym przypadku sprawcę wypuszczono z uwagi na nieprzepisowe przeszukanie jego domu. Taki *hillbilly* z południowych stanów i ława przysięgłych zebrana z okolicy. Zgadnij, kto opłacił *million-dollar-lawyer* temu szajbusowi? Nie inaczej. Stowarzyszenie, które założył Joseph ku pamięci swojej córki.

Yasmine's Memorial Foundation - pomyślał Johansson.

- A drugi? Co się z nim stało?

- Z nim było dużo prościej. To on był ofiarą. Zemścił się. Dostał wyrok w zawieszeniu i opiekę na wolności. Odciął sprawcy - a teraz swojej ofierze - siusiaka i wetknął do gardła. To było w Nowym Jorku, a tam można mimo wszystko mieć pewne zaufanie do prawa.

- Trzeci przypadek?

- Oddział zamknięty. Ale ta sprawa została już zaskarżona i najpewniej trafi do wyższej instancji. Na razie oskarżonego wypuszczono za kaucją.

- Ale to nie Joseph biega ulicami i wymierza sprawiedliwość?

- Dlaczego, na Boga, miałyby to robić? W końcu płaci miliard rocznie, mówię o koronach szwedzkich, takim, którzy chętnie zrobiliby to za darmo. A nawet do tego dopłacili, gdyby tylko dostali nazwisko i adres sprawcy. Często są to osoby kiedyś molestowane.

- Powiadasz.

- Poza tym trafił na odpowiedni czas. Socjaldemokraci zrobili z tego duży temat przed jesiennymi wyborami. Że powinniśmy mieć takie samo prawo jak w Stanach, gdzie dane skazanych za przestępstwa na tle seksualnym i pedofilów są jawne. W Polsce to prawo weszło w życie w zeszłym roku. W kilku krajach unijnych, między innymi w Danii, pracuje się nad takimi przepisami.

- Słyszę, co mówisz - powiedział Johansson. I co ja teraz z tym zrobię? - pomyślał.

- Wybacz moje wścibstwo. Nie wyobrażam sobie, byś miał cokolwiek wspólnego z zabójstwem jego córeczki, a mimo to jestem ciekaw. Czy jest aż tak źle, że ty i twoi koledzy ukrywaliście, kto to zrobił? To znaczy, kto zgwałcił i udusił jego małą Yasmine?

- Nie. W żadnym wypadku. Po prostu ta sprawa trafiła do mnie w związku z tym, że uległa przedawnieniu.

- Dobrze to słyszeć. Dobrze to słyszeć. Joseph dałby sobie

uciąć prawą rękę, żeby się dowiedzieć, kto to zrobił. Gdybyś dał mu nazwisko, byłbyś tak bogaty jak twój brat. Gdyby jednak się dowiedział, że nie chciałeś mu go dać, zrobiłby dużo więcej.

- Chrzanić to. Widzimy się na polowaniu.

Mięczaki - pomyślał, kończąc rozmowę. Robią pod siebie przy byle okazji. Że co, zamordować prezydenta USA? Kurwa, za kogo oni się mają? Że mogą robić, co tylko chcą, bo akurat mają trochę pieniędzy? A mnie co się, kurwa, stało z głową? Nie mogę tak po prostu trzymać języka za zębami?

Rozdział 57

Piątek, 30 lipca 2010 roku, wieczorem

Johansson rozmawiał z Pią. Zadał jej proste pytanie. Zapytał jak mężczyzna kobietę, jak mąż młodszą o dwadzieścia lat żonę, jak kto woli.

- Zastanawiam się nad jedną rzeczą. Całkiem dużo się zastanawiam.

- W takim razie dobrze trafiłeś, Lars.

- Jak myślisz, ilu dorosłych mężczyzn mogłoby robić to z dzieckiem? Mam na myśli zwykłych, normalnych mężczyzn, takich jak ja, Evert lub twój ojciec i twoi bracia. Na dobrą sprawę kogokolwiek.

- Żaden. Żaden, jeśli mówimy o normalnych mężczyznach. Żaden normalny mężczyzna ani człowiek nie uprawia seksu z dzieckiem.

- Wierzę ci. I nie myślę tu o sobie. A gdyby tak wziąć wszystkich mężczyzn?

- Może jakiś procent. Jeden na stu, jeden na pięćdziesięciu, może jeden na czterdziestu. Pod warunkiem że mówimy o dzieciach. Nie o dwunastolatkach, nie o dziewczynkach, którym właśnie urosły piersi i włosy między nogami. Które zresztą łatwo ogolić, jeśli ktoś ma taką fantazję.

- Czyli ilu?

- Stanowczo zbyt wielu. Wejdz do sieci, jeśli mi nie

wierzysz. Te strony mają tygodniowo dziesiątki milionów odwiedzających. Odwiedzających, nie odwiedzin, bo wówczas mówimy o setkach milionów.

- Już to zrobiłem.

- Mam pytanie. Te pudła...

- Tak. Co z nimi?

- Są w nich materiały z dochodzenia w sprawie zabójstwa Yasmine Ermegan, prawda?

- Tak. Skąd wiesz? - Skąd wiesz, że mieszka tu Yasmine? - pomyślał.

- Zaglądałam przecież. Za kogo mnie masz?

- Aha. Zaglądałaś.

- Żeby ci to tylko nie skróciło życia.

- Co masz na myśli?

- Gdy go znajdziesz... Bo nie mam najmniejszych wątpliwości, że tak właśnie będzie. Nie rób tego za cenę kolejnego udaru albo zawału.

- Nie. Nie musisz się o to martwić.

- Co wtedy zrobisz? Gdy już go znajdziesz i nic mu nie będziesz mógł zrobić z powodu przedawnienia? Z powodu jakiegoś tam prawa, które jest tak popieprzone, że trzeba być prawnikiem, żeby wymyślić coś tak zajebiście głupiego. Tak nieskończenie durnego, że każdy myślący i czujący człowiek może tylko na to pokręcić głową. *Pardon my French.*

- Nie będę musiał nic robić. - Gdy go znajdę, będzie już za późno - pomyślał. Gdy go znajdę, inni zrobią to za mnie.

Rozdział 58

Sobota, 31 lipca 2010 roku, przed południem

- Lars! - zawołała Pia. - Ktoś dzwoni do drzwi. Dasz radę otworzyć?

- A to niby dlaczego? - odpowiedział Johansson z kanapy, na której leżał z poranną gazetą i choć raz bez bólu głowy.

- Jestem w toalecie! - krzyknęła Pia.

Nie sądziłem, że dyrektorki banków chodzą do kibla - pomyślał Johansson. Potem podniósł się nie bez wysiłku, wziął do ręki laskę z gumową stopką, pokuśtykał do drzwi i otworzył. Nawet nie spojrzał przez wizjer, bo z powodu okoliczności było mu wszystko jedno. W najgorszym razie przywali złodziejowi laską.

- Nazywam się Max - powiedział ktoś, kto stał za drzwiami. Maxim Makarow. Przysłał mnie twój brat.

Nowy Mały Evert - pomyślał Johansson. Skąd, do licha, Evert go wytrzasnął? Nie sądziłem, że jeszcze się takich robi.

- Wejdz, Max. Czuj się jak u siebie w domu - powiedział. Mój własny Mały Evert - pomyślał. Po sześćdziesięciu latach dostajesz twojego własnego Małego Everta, który na dodatek będzie mieszkać z tobą i twoją żoną.

- Wchodź, Max, no już, wchodź - powiedział Johansson, któremu zrobiło się dziwnie wesoło.

Wyglądało na to, że nowy lokator zrobił na Pii wrażenie. Na

lunch podała grillowany befsztyk. Johanssonowi wolno było zjeść jeden jedyny kawałek i tylko z sałatką. Max wciągnął trzy z górą smażonych ziemniaków hojnie okraszonych masłem czosnkowym domowej roboty. Johanssonowi przypadły w udziale dwa kieliszki czerwonego wina odmierzone mu co do centylitra przez Pię. Była to swego rodzaju rekompensata za to, czego nie mógł zjeść. Dwa kieliszki czerwonego wina i szklanka wody mineralnej w czasie, gdy Max wlał w siebie co najmniej litr świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego. Ogryzie mnie do kości – pomyślał Johansson.

- Lubisz zjeść.

- Bardzo dziękuję. Było supersmaczne. - Max popatrzył na Pię z wdzięcznością.

- Powiedz, gdybyś chciał więcej - rzucił Johansson.

- Dziękuję, ale...

- Jest jeszcze deser - przerwała Pia i rzuciła mężowi ostrzegawcze spojrzenie. - Zrobiłam sałatkę owocową.

Po lunchu Johansson położył się na kanapie, a Max pomagał Pii sprzątać. Ma dobry nie tylko apetyt, lecz także dowcip - pomyślał Johansson, gdy drugi raz w kuchni rozległ się śmiech Pii. I jeszcze porusza się bezszelestnie, skurczybyk - dodał w myślach, gdy Max nagle stanął w drzwiach. Był niski i szeroki jak drzwi do stodoły w gospodarstwie ojca Larsa, a poruszał się naprawdę bezdźwięcznie.

- Przepraszam, jeśli przeszkadzam, szefie - zagadnął Max.

- Mogę tak do szefa mówić?

- Jak najbardziej. A jak mówisz do mojego brata?

- Evert. Wszyscy tak mówią.
- A on jak do ciebie mówi?
- Max. Albo Mackan.
- A ja jak mam do ciebie mówić?
- Max jest w porządku. Albo Mackan. Jak szef woli.
- Ile masz wzrostu?
- Metr siedemdziesiąt cztery.
- A ile ważysz?
- Jakieś sto, sto pięć. To zależy, ile trenuję.
- A silny jesteś?
- Tak. W każdym razie nie spotkałem nikogo, kto byłby ode mnie silniejszy.
- Pytam dlatego, bo w ostatnich dniach lekko zakręciło mi się w głowie, zaliczyłem podłogę i nieźle się umordowałem, żeby wczłgać się z powrotem na kanapę. Ważę sto dwadzieścia kilo. - Jakieś sto dwadzieścia - pomyślał.
- Żaden problem. Sto dwadzieścia to żaden problem. Pomyślałem jednak, że na początek moglibyśmy wymienić tę laskę. Trudno utrzymać równowagę, jeśli szef trzyma ją w złej ręce.
- Tak mówisz?
- Jak szef wstanie, to pokażę.

Johansson zrobił, co mu kazano. Max wyjął calówkę z kieszeni i zmierzył odległość od jego prawej pachy do podłogi.

- Najlepsze byłyby kule. - Schował calówkę i kiwnął potwierdzająco głową.
- Problem w tym, że trudno mi je utrzymać. Kule, które

dali mi w szpitalu, są za krótkie, nie mam siły ich trzymać.

- To się da zrobić. Już ja się tym zajmę. I jeszcze jedno. Przywiozłem nowy samochód dla szefa. Jeśli szef nie ma nic przeciwko, pomyślałem, że moglibyśmy się kawałek przejechać.

- Pomyślałeś. - Dziwny chłopak - przyszło Johanssonowi do głowy. Jakiś taki pewny siebie.

Ten sam model, co jego poprzedni samochód, ten, który jego brat mniej lub bardziej przekazał w darze jego najbliższemu przyjacielowi, ale tym razem wyposażony w automatyczną skrzynię biegów i kilka elektronicznych gadżetów ułatwiających jazdę.

- Szef może otworzyć i zamknąć drzwi od strony kierowcy za pomocą pilota - powiedział Max i zademonstrował. - Tak samo odpiąć pas. Silnik włącza się automatycznie, wystarczy, że szef wciśnie guzik. Ten guzik. Automatyczna skrzynia biegów. Żadna sztuka prowadzić lewą ręką i prawą stopą.

- Doskonale - podsumował Johansson. Do tego samochód był czarny. Mężczyźni tacy jak on, tacy jak on sprzed udaru, jeździli czarnymi samochodami.

Gdy Johansson sunął ulicą, po prostu sunął bez konkretnego celu, ucisk w jego piersiach zelżał. Łatwiej mu też było oddychać. Po raz pierwszy od blisko miesiąca siedział za kierownicą. *Back on the road again* - pomyślał. O krok bliżej normalnego życia. Dwoma kieliszkami czerwonego wina, które wypił do lunchu, nawet przez chwilę nie zaprzętał sobie głowy.

Rozdział 59

Niedziela, 1 sierpnia 2010 roku

Gdy Johansson wszedł do kuchni w niedzielę rano, jego żona była zajęta pakowaniem kosza piknikowego.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Jedziemy na wieś. Nie było nas tam prawie miesiąc, mam masę rzeczy do zrobienia.

- Jacy my? Kto jedzie na wieś?

- Ty, ja i Max.

- Pod warunkiem że nie będę musiał sprzątać - powiedział Johansson. - Nie czuję się najlepiej, sama rozumiesz.

- Przecież nigdy nie sprzątałeś. Nie martw się.

Co ona mówi? - pomyślał. Przecież sprzątałem.

Gdy usiadł za kierownicą, Max i Pia spojrzeli po sobie, ale nie odezwali się ani słowem. Johansson też nic nie powiedział. Gdy tylko wyjechał na autostradę w kierunku Norrtälje, zjechał na bok i zatrzymał się na pustym przystanku autobusowym.

- Teraz niech kto inny poprowadzi. Ja mogę usiąść z tyłu. Chwilę się zdrzemnę.

Zamienił się miejscami z Pią i widocznie zasnął, bo gdy się obudził, stali już na podwórku przed ich domkiem letnim na Rådmansö.

- Jesteśmy na miejscu. Jak się czujesz? - Uśmiechnęła się

do niego, żeby nie zauważył niepokoju w jej oczach.

- W porządku. - Nie boli mnie już głowa - pomyślał. Drugi dzień bez bólu głowy to kolejny rekord. Ucisk w piersiach również zelżał. Ale był zmęczony, nawet bardziej zmęczony niż przed zaśnięciem. Zmęczony i przygnębiony, choć nie rozumiał dlaczego. Muszę się wziąć w garść! - Czuję się dobrze - zapewnił Pię. - Dawno już się tak nie czułem - dodał. - Tylko się przekąpię.

Również tym razem nie mieli żadnych uwag. Ani wtedy, gdy podreptał na pomost i, odbijając się z całej siły, jaką miał w nogach, skoczył na główkę prosto do wody. Z prawym ramieniem dyndającym bezwładnie, mimo że chwycił je mocno lewą ręką. Potem opadł powoli na dno. Opadał swobodnie, opanował nagły odruch, żeby wziąć głęboki oddech i wypuścić powietrze. Zamiast tego wstrzymał oddech najdłużej jak potrafił, aż do momentu gdy mógł się odbić od dna i wypłynąć na powierzchnię. Już lepiej - pomyślał, wciągając powietrze. Już lepiej.

Potem zjedli lunch. Max zaoferował się, że posprząta. Ani Pia, ani Lars nie protestowali. Pia rozłożyła się na leżaku z gazetą. Johansson usiadł na krześle obok niej i czytał papiery, które Pe-dwa, komisarz policji Patrik Åkesson ze sztokholmskiego wydziału prewencji, przywiózł, gdy odwiedził go ostatnio, i przy okazji opowiedział, co przytrafiło się jego córce w przedszkolu. Lub też co się nie przytrafiło, gdyby chcieć dostrzec pozytywne strony tej sprawy.

Na wierzchu sterty znalazł nową i rozszerzoną analizę DNA, którą zespół Archiwum X zamówił pół roku wcześniej, gdy zrobili ostatnie podejście do sprawy Yasmine, zanim uległo ono przedawnieniu. Przyszła pocztą służbową tego samego dnia, w którym kolejny nieznany sprawca albo i dwóch lub więcej jeszcze nieznanymi sprawców zamordowało nadgorliwego prokuratora w Huddinge. Strzelili mu prosto w głowę, gdy wyszedł z domu na poranny spacer z psem. Pozbawili ojca dwójkę małych dzieci i być może rozwiązali problem jego żonie, która od roku chciała się z nim rozwieść, bo stanowczo za dużo pracował i stanowczo za mało czasu poświęcał jej i dzieciom.

Po tym zdarzeniu kierownictwo policji na nowo rozdysponowało swoje siły. Komendant wojewódzki w Sztokholmie zwołała konferencję prasową, pojawiła się w radiu, telewizji oraz w innych mediach i to, co mówiła, akcentowała gestami otwartej dłoni. Wyjaśniła, że było to nie tylko bulwersujące zabójstwo zdolnego i sumiennego prokuratora, ojca dwójki małych dzieci. Był to również atak na całe państwo prawa, zaplanowany i przeprowadzony przez przedstawicieli świata przestępczego. Trzeba wykorzystać wszelkie dostępne zasoby, żeby wyjaśnić tę sprawę. Gdy to mówiła, ani przez chwilę nie pomyślała o dziewięcioletniej dziewczynce - zgwałconej, zamordowanej i wdeptanej w błoto w pobliżu zamku Skokloster w Upplandii dwadzieścia pięć lat wcześniej.

Dochodzenie w sprawie zabójstwa Yasmine lat dziewięć trzeba będzie „tymczasem odłożyć na półkę”. Taką

wiadomość otrzymał inspektor Kjell Hermansson z wojewódzkiego wydziału kryminalnego w Sztokholmie od swojego bezpośredniego przełożonego i po tygodniu wyniósł kartony dotyczące sprawy Yasmine do archiwum. Ten sam inspektor Hermansson, który był teściem komisarza policji Patrika Åkessona. Świat jest mały, a jeszcze mniejszy dla tych obywateli, którzy są policjantami.

Te same kartony, które stały tam nadal po przedawnieniu sprawy, i te same, w których przez dwadzieścia pięć lat spoczywała dziewięcioletnia Yasmine. Od dnia, w którym została zgwałcona i uduszona.

Aż pewnego dnia zjawił się Bo Jarnebring, dawny szef Kjella Hermanssona, i zapytał, czy może pożyczyć te kartony dla dobrego przyjaciela. I to nie byle jakiego przyjaciela.

- Lars Martin chciałby rzucić okiem na tę sprawę - wyjaśnił Jarnebring Hermanssonowi.

- Nożeż, kurwa - powiedział Hermansson, nie potrafiąc ukryć zdziwienia. Dlaczego nie odezwał się wcześniej? - pomyślał.

- Dlaczego nie odezwał się wcześniej? - powtórzył głośno.
- Teraz nie da się już nic zrobić.

- Wiesz przecież, co Lars Martin myśli o Archiwum X.

- No tak, dotarło do mnie.

Chociaż minęło prawie dziesięć lat, w jego pamięci zachowało się wyraźne wspomnienie masakry, jaką ówczesny szef Komendy Głównej Policji urządził jemu i jego kolegom na krajowym sympozjum dla policjantów zajmujących się rozwiązywaniem dawnych spraw.

- Widać musiał mu się zrobić w głowie skrzep, żeby wpadł na taki pomysł - powiedział Jarnebring ze śmiechem.

O tych rozmowach i przemyśleniach Lars Martin Johansson nie mógł naturalnie nic wiedzieć, kiedy siedział pogrążony w lekturze tego, co rzeczywiście stało się „ostatnim podejściem do sprawy Yasmine”. Pozbawione sensu, niemal spazmatyczne drgnięcie długiego ramienia prawa. Nowe i poszerzone badanie DNA, ściśle mówiąc, spermy, którą sprawca zostawił na ciele i ubraniach Yasmine ponad dwadzieścia pięć lat temu.

- Coś ciekawego? - zapytała Pia, odłożyła gazetę i spojrzała na męża, który, czytając, już drugi raz chrząknął.

- Tak sobie. Czytam wyniki badań DNA. Spermy, którą zabezpieczono w sprawie Yasmine. Tu jest napisane, że istnieje więcej niż dziewięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że sprawca jest pochodzenia nordyckiego, zapewne pochodzi ze Szwecji, nawet ze środkowej Szwecji. W czysto etnicznym rozumieniu nie ma domieszki obcego DNA. Niedługo będą w stanie przefaksować portret sukinsyna.

- To chyba interesujące.

- Nie dla mnie - powiedział Johansson i pokręcił głową. Takie rzeczy widzi nawet dziecko - pomyślał. Domyślał się tego na długo przed tym, zanim zrozumiał, gdzie było miejsce zbrodni.

- Co ty powiesz? - Teraz go poznaję - pomyślała.

- No tak - powiedział Johansson, bo był już myślami gdzie indziej. On porusza się zupełnie bezszelestnie - pomyślał.

- Opróżniłem lodówkę, wyniosłem śmieci, odkurzyłem i posprzątałem większość tego, co było do posprzątania - powiedział Max. - Zrobiłem też kawę.

W lewej ręce trzymał podłużną tacę z trzema szklankami, trzema kubkami do kawy, termosem z kawą, butelką wody mineralnej, dzbankiem z mlekiem i dużą miską owoców. Trzymał tacę za samą krawędź zaciśniętą między kciukiem a palcami lewej ręki. Jednocześnie przysunął do siebie stół. Prawą ręką, tym samym chwytem, bez najmniejszego drgnięcia.

Wierzę ci - pomyślał Johansson. Nie znasz nikogo, kto byłby silniejszy od ciebie.

- Poprowadzę - powiedział Johansson kilka godzin później, gdy wsiadali do samochodu.

Max i Pia nie odezwali się ani słowem, tylko kiwnęli głowami. Nawet nie spojrzeli na siebie ukradkiem.

Ostatnie lato - pomyślał Johansson, gdy jechał szeroką drogą w kierunku Norrtälje i Sztokholmu. Ostatnie lato. Ale najpierw zapoluję na łosie.

W nocy śnił. Śnił mu się Maxim Makarow, mały rosyjski uchodźca, który jako dziewięciolatek trafił do Szwecji z domu dziecka w Petersburgu i który nie znał nikogo, kto byłby silniejszy niż on. Śnił też o wrażliwym i wciąż pozbawionym twarzy pedofilu, który być może sprawił, że on i Max się spotkali.

- Pobudka, szefie - powiedział Max, dotykając ostrożnie ramienia Johanssona. - Co mam z nim zrobić, szefie?

Potem podał dzieciobójcę Johanssonowi leżącemu na boku

w swoim łóżku. Trzymał go w wyciągniętej ręce, zaciśniętego między kciukiem a palcami, jak zwykłą tacę z kawą, i nawet nie zadrżało mu ramię. Pedofil zwisał nieruchomo. Maxim Makarow miał jego życie w swojej lewej ręce, a on zwisał z zamkniętymi oczami i opadłą głową, jego ciało nie drgnęło ani odrobinę.

- Niech no pomyślę - powiedział Johansson. - Niech pomyślę. - Potem się obudził. Usiadł wyprostowany, serce waliło mu w piersiach jak młot.

Rozdział 60

Poniedziałek, 2 sierpnia 2010 roku

Nowy tydzień, nowy dzień. Kolejny dzień w nowym życiu Larsa Martina Johanssona, w jego życiu pacjenta. Żona poszła do pracy, gdy leżał w łóżku, przysypiając, zbyt zmęczony, żeby z nią porozmawiać, gdy nachyliła się nad nim i przeciągnęła palcami po jego czole.

Matilda podała śniadanie na tacy, którą postawiła na stoliku obok jego kanapy. Zdrowe śniadanie ze zsiadłym mlekiem, owocami i müsli, gotowanym jajkiem i filiżanką mocnej kawy - ukłon w stronę jego dawnego życia. Pod poranną gazetą znalazł kopertę z dwunastoma banknotami pięćsetkoronowymi.

Mam nadzieję, że kopnęła babę w tyłek i złamała czwarte przykazanie - pomyślał Johansson. Wspomnianą babą była matka Matildy, która potraktowała swoją córkę w sposób, w jaki nigdy nie potraktowałyby samej siebie.

- Zaczekaj, Matildo - powiedział Johansson, gdy dziewczyna weszła, by zabrać tacę. - Nie masz pojęcia, co to jest? - zapytał i pokazał kopertę.

- Zielonego - stwierdziła Matilda. - Sprawdź, czy nie zgubiłeś zęba.

- Zęba?

- Może odwiedziła cię wróżka zębuszka - powiedziała Matilda, chichocząc. - Dziękuję - dodała, zamykając drzwi.

Dwoje zatrudnionych i już problemy kadrowe - pomyślał Lars Martin Johansson, który jeszcze do niedawna miał pod sobą tysiąc policjantów. Mieli jechać do rehabilitantki. Johansson zajął miejsce za kierownicą, lecz gdy Matilda chciała usiąść obok niego, Max pokręcił głową.

- Do tyłu - powiedział, pokazując kciukiem na tylne siedzenie.

- A to niby czemu? - zbuntowała się Matilda. - Co to, męska ławka?

- Bardzo proszę, siedź sobie z przodu - powiedział Max. - Pod jednym warunkiem.

- Niby jakim?

- Że masz zrobiony kurs na instruktora jazdy.

- Taki jak ty.

- Ale ja jestem silniejszy.

- Przestańcie się kłócić, dzieci - powiedział Johansson, który już dawno tak dobrze się nie czuł. Na tylnym siedzeniu siedziała wróżka zębuzka. Odrobinę skwaszona, ale wkrótce jej przejdzie. A na siedzeniu obok rosyjski chłopiec z domu dziecka, który nigdy nie spotkał kogoś, kto byłby równie silny jak on.

Na rehabilitacji poszło tak sobie. Bez porażek, ale i bez postępów. Mimo to dobry humor nie opuszczał Johanssona.

- Jedziemy na lunch - zadysponował. - Zadzwoń do Ulli Winbladh i sprawdź, czy mogą nam zrobić gołąbki w sosie śmietanowym z młodymi ziemniaczkami i smażonymi borówkami. - Popatrzył na Matildę w lusterku.

- Bez wątpienia - powiedziała Matilda, wywracając

oczami.

- Dobra - powiedział Johansson. Dziewczyna nie jest głupia, chociaż tak się oszpeciła - pomyślał.

- Ten śmietanowy sos to może nie najlepszy pomysł - zauważył Max i poprawił się w fotelu.

- Posłuchaj uważnie, Max - powiedział Johansson. Jednocześnie zmienił pas, nie używając migacza i nie zwracając najmniejszej uwagi na jadącą za nim taksówkę. Taksówka natychmiast zamigła światłami i obtrąbiła go z pasją.

- Posłuchaj uważnie - powtórzył. - Prawdziwy mężczyzna ma tylko jednego szefa, a jeśli ten mówi „sos śmietanowy”, to znaczy sos śmietanowy. - Niezależnie od tego, co nagadała ci moja żona - pomyślał.

- Zrozumiałem, szefie.

- Pokaż tamtemu, gdzie jego miejsce - powiedział Johansson i wskazał na taksówkę, która teraz zrównała się z nimi, a jej kierowca gestykulował zawzięcie.

- Zrozumiałem, szefie - powiedział Max. Opuścił szybę i pokazał zaciśniętą pięść wymachującemu taksówkarzowi.

- Zdolny chłopak - stwierdził Johansson, gdy zobaczył, jak taksówka przyhamowuje i chowa się za nimi. Już bez migania światłami, trąbienia i nerwowej gestykulacji. Jak przed czterdziestu laty, gdy jeździł ze swoim najbliższym przyjacielem - piraci drogowi rozbijający się po ulicach - a świat leżał u ich stóp. Nie było mu tak dobrze od dnia, w którym zatrzymał się przed budką z najlepszymi w mieście kiełbaskami i zagadał do Pe-dwa i jego kolegów z grupy

szybkiego reagowania.

Po powrocie do domu Johansson położył się na kanapie i uciął sobie małą poobiednią drzemkę. Obudził się, gdy do pokoju weszła Matilda. Przyszła sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku.

- Obudziłeś się.

- Yes. - Nie pogardzę filiżanką kawy - pomyślał.

- Dostałeś list - powiedziała Matilda, podając mu białą kopertę.

- Ach tak. To od wróżki zębuszki?

- Nie. Ale wygląda trochę tajemniczo.

- Co znaczy „tajemniczo”?

- Przyszedł dwie godziny temu. Nie ma znaczka. Żadnego nadawcy. Tylko twoje nazwisko, Lars Johansson. Ktoś musiał go wrzucić do skrzynki.

- No to otwórz - powiedział Johansson i pomachał władczo bezwładną prawą ręką.

- Naprawdę tajemniczo - powtórzyła Matilda i pokazała mu złożoną na pół kartkę formatu A4.

- Co jest na niej napisane?

- Nazwisko. Staffan Leander. Samo nazwisko. Nic więcej. Staffan Leander.

- Staffan Leander.

- Sam zobacz.

- Kiedy byliśmy ostatnio w Lilla Essingen?

- W zeszłym tygodniu. We wtorek. Prawie tydzień temu.

Erika Brännström - pomyślał Johansson. Nagle zobaczył ją, jak siedzi przed nim na krześle ze splecionymi na

kolanach dłońmi i przygląda mu się uważnie. Ręce
naznaczone ciężką pracą. Erika, matka dwóch córek w wieku
Yasmine.

Rozdział 61

Poniedziałek, 2 sierpnia 2010 roku, po południu

Ot taki sobie pomysł, zagubiona myśl, coś przecież jednak musiał robić. Z trudem przyciągnął bliżej kanapy karton wypełniony setkami wydruków z rejestru samochodów. Wziął kilka pierwszych z wierzchu. Przewertował, odłożył i wyciągnął nowy plik ze spodu kartonu. Bez ładu i składu, groch z kapustą – pomyślał i te również odłożył. Tak to właśnie jest, gdy każdy kolega osobno szuka czegoś, o czym ponad dwadzieścia pięć lat temu tylko on pomyślał, nie zostawiając żadnego indeksu, który mógłby go teraz poprowadzić.

Max – pomyślał Johansson. Wziął komórkę i zadzwonił. Nie miał zamiaru go wołać. A tym bardziej prosić Matildę, która siedziała pewnie pod jego drzwiami i szpiegowała. Cholera wie, co przeszła z taką matką. Żadnego plum, plum, nie ma mowy o wydłubywaniu oczu parą długich czerwonych paznokci.

- Max, czy możesz tu przyjść?
- Jestem w kuchni, szefie.
- Pospiesz się.

Najwyżej dwadzieścia metrów, ale mimo to dziesięć sekund. Że też to, kurwa, musi tyle trwać – pomyślał Johansson.

- Co mogę dla szefa zrobić?

- Usiądź.
- Słucham, szefie.
- Proste pytanie, Max. Potrafisz trzymać język za zębami?
- Tak. W każdym razie nie znam nikogo, kto byłby w tym lepszy.
- Ani słowa. Nawet Evertowi. Zrozumiano?
- Tak.
- W tym kartonie, o tam, leży sterta wydruków z rejestru samochodów. Właściciele czerwonych golfów sprzed dwudziestu pięciu lat. Dokładnie z czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego. Czy mógłbyś sprawdzić, czy jest wśród nich człowiek o nazwisku Staffan Leander?
- Ile tego jest?
- Setki. Może tysiące. Cała masa - powiedział Johansson. Skąd mam, kurwa, wiedzieć - pomyślał.
- Nie ma listy?
- *Nope* - powiedział Johansson. - Jakiś kretyn pewnie ją wywalił. Pewnie ze dwadzieścia pięć lat temu.
- Rozumiem. Czy mogę je wziąć do swojego pokoju?
- Jasne. Pod jednym warunkiem. Że...
- Wiem.

Wrócił po godzinie.

- I jak? Znalazłeś coś? - Głupie pytanie - pomyślał, bo odpowiedź widział już w oczach Maxa.
- Nie znalazłem Staffana Leandera. Ani żadnego innego Leandera.
- Jesteś pewien?

- Na sto procent. Było tam jakieś tysiąc siedemset zarejestrowanych pojazdów, jeśli szef jest ciekaw. Golfy z roczników od osiemdziesiątego drugiego do osiemdziesiątego szóstego. Ten model został wypuszczony już w czerwcu osiemdziesiątego piątego. Znalazłem mnóstwo właścicieli o imieniu Staffan, ale nikogo o nazwisku Leander. Blisko połowa to samochody firmowe, wynajęte albo leasingowane. Szef jest pewien, że ten Leander nie jeździł właśnie takim?

- Nie - powiedział Johansson. Bardzo możliwe, że tak właśnie było. W najgorszym razie wszystko zrozumiałem na opak - pomyślał.

Rozdział 62

Wtorek, 3 sierpnia 2010 roku

Rano dostał nowe kule. Sięgały od jego prawej pachy aż do podłogi. Przedłużenie ramienia z kolbą, które wspomagało jego słabą prawą nogę, z podpórką obejmującą pachę i stabilizującą ramię. Te kule mógł trzymać bez najmniejszego wysiłku.

- Zrobiłeś je sam?

- Kontakty - powiedział Max. - Grałem w hokeja. Sam z takimi paradowałem.

- Dziękuję.

Potem do Johanssona zadzwonił na komórkę szwagier.

- Wydaje mi się, że coś znalazłem.

- Wydaje ci się. Opowiadaj.

- Wolałbym raczej wpaść, to trochę skomplikowane.

Oczywiście pod warunkiem że nie jesteś zajęty.

- Ja nigdy nie jestem zajęty. Mogę cię zaprosić na lunch.

- Widzimy się za godzinę. Za kwadrans mam autobus - powiedział Alf, który mieszkał w Täby i który, jak twierdził Evert, nawet na własny ślub nie pojechałby taksówką.

Pół godziny później do drzwi zapukała Matilda.

- Taaa - powiedział Johansson, który leżał na kanapie, czytając wydane pośmiertnie opowiadania Salinger, jakie kilka tygodni wcześniej ukazało się po angielsku. Cytowany

na okładce dodatek literacki do „New York Timesa” nazwał je „poruszającym rozrachunkiem ze wszystkimi - izmami, które nie tylko uśmierciły amerykański sen, lecz także przemieniły tę zrozumiałą prywatną neurozę w narodową traumę”.

Tak wam się dostało, że zabrakło wam głosu i nie mogliście się odszczeknąć - pomyślał.

- Rehabilitacja - przypomniała Matilda, pokazując na zegarek.

- Niestety, odwołana - zdecydował Johansson i machnął zniecierpliwiony książką. - Spodziewam się ważnego gościa. Mojego szwagra.

- Zjecie lunch?

- Naturalnie? On chyba woli ryby. Jest z tych ostrożnych. Leć do Söderhallarna i zobacz, czy znajdziesz tam jakiegoś świeżego łososia.

Matilda kiwnęła głową i zniknęła, a Johanssonowi przyszedł do głowy kolejny pomysł. Świeży śledź, smażone filety ze śledzia w musztardzie, z ziemniaczanym purée, odrobiną chrzaniu i zimnym czeskim piwem.

- Albo świeżego śledzia! - krzyknął za Matildą. Ciekawe, czy usłyszała - pomyślał, gdy trzasnęły drzwi wyjściowe.

Co za nudziarz z tego Alfa - pomyślał Johansson pół godziny później. Najpierw jego szwagier uparł się, żeby podać mu rękę na powitanie, choć Johansson leżał na kanapie i wystarczyłoby mu skiniecie głową. Potem ustawił między nimi stół, poprawił krzesło, na którym siedział, i ze zniszczonej brązowej aktówki wyjął cienki plik kartek.

- Mówiłeś, że coś znalazłeś - powiedział Johansson. Ciekawe, czy się ze mną droczy - pomyślał. Próbuje podtrzymać napięcie, żeby wypisać mi potem słony rachunek.

- Tak. - Alf odchrząknął ostrożnie. - Jest w tym ziarnko prawdy. Znalazłem nieznaną siostrę przyrodnią Johana Nilssona. Wiesz, męża Margarethy Sagerlied.

- Jak się nazywa?

- Nazywa się Vera Nilsson, urodzona dwudziestego pierwszego października tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego. Zmarła dziesiątego marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego. Nie znalazłem jej wcześniej dlatego, że jej pokrewieństwo z Johanem Nilssonem nie wynika ze spisu ludności. Według tego spisu jej ojciec jest nieznanany. „Ojciec nieznanany” to klasyczny zapis w naszej ewidencji ludności. - Alf Hult wyglądał na przejętego.

- To skąd wiesz, że byli rodzeństwem? - Dwadzieścia sześć lat młodsza od swojego przyrodniego brata, Johana - pomyślał.

- Wynika to z testamentu, który Johan Nilsson spisał w listopadzie tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego - powiedział Alf Hult. - Zaledwie kilka miesięcy po śmierci swojego ojca. Kupiec Anders Gustaf Nilsson umiera piętnastego września tamtego roku. Johan spisuje testament dokładnie dwa miesiące później, piętnastego listopada pięćdziesiątego dziewiątego. Został on zarejestrowany w Sądzie Rejonowym w Sztokholmie.

- Tak mówisz?

- Można więc przypuszczać, że Anders Gustaf opowiedział Johanowi o jego siostrze dopiero na łożu śmierci.

- Lepiej późno niż wcale - powiedział Johansson. - Jesteś pewien?

- Całkowicie - powiedział Hult. - W testamencie z listopada pięćdziesiątego dziewiątego Johan Nilsson przekazuje pokaźną część majątku swojej, cytuję: „ukochanej przyrodniej siostrze, Verze Nilsson”. Koniec cytatu.

- Pokażną część - powtórzył Johansson.

- Około jednej dziesiątej zgromadzonego przez siebie majątku. Wedle szacunku, który zrobiłem, ta jedna dziesiąta odpowiada mniej więcej połowie tego, co Johan Nilsson odziedziczył po swoim ojcu, Andersie Gustafie. Anders Gustaf nie zostawił testamentu. Był wdowcem i cały majątek odziedziczył po nim jego jedyny syn i spadkobierca Johan.

- O jakich sumach tu mówimy? Ile dał tej przyrodniej siostrze?

- Około trzystu tysięcy koron. W tamtych nominałach. Krótko mówiąc, dużo pieniędzy. Kilka dzisiejszych milionów po zapłaceniu podatku od spadku, który w tamtych czasach był spory. Dał również kilka innych wartościowych drobiazgów. Między innymi bardzo cenny obraz Leandera Engströma *Wędrowny myśliwy*. Z tysiąc dziewięćset siedemnastego. Sprzedany ostatnio na wiosennej aukcji u Bukowskiego w dwa tysiące trzecim. Poszedł za trzy i pół miliona. W testamencie został wyceniony na piętnaście tysięcy.

- Leander Engström - powtórzył Johansson. Jeszcze jeden

Leander, tym razem to jednak imię - pomyślał. Zmarły w latach dwudziestych. W salonie Larsa wisiał krajobraz górski jego autorstwa.

- Vera Nilsson to interesująca postać - zauważył Alf.

- To znaczy?

- Między innymi była krewną ojca jej i Johana, Andersa Gustafa.

- Daleko od szosy.

- Czy ja wiem? - odchrząknął Alf. - Rodzina Nilssonów wywodzi się ze Sztokholmu i okolic, tu może nie było jak w północnym Ångermanlandzie. - No nic - poprawił się i odchrząknął ponownie. - Jesienią tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego, piątego października sześćdziesiątego roku, Vera Nilsson rodzi syna. W wieku trzydziestu dziewięciu lat, dosyć późno jak na te czasy. Również w tym wypadku ojciec dziecka nie jest znany. Historia lubi się powtarzać. W lipcu tego samego roku Johan Nilsson wypłacił siostrze zawczasu spadek odpowiadający sumie, którą rok wcześniej zapisał jej w testamencie. Być może dlatego, że w sierpniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego, to znaczy miesiąc później, wstępuje w związek małżeński z Margarethą Sagerlied i tuż przed tym spisuje nowy testament, który zastępuje ten z listopada pięćdziesiątego dziewiątego. Najpierw wypłaca więc siostrze część spadku po ojcu. Potem spisuje nowy testament, w którym przekazuje cały majątek swojej nowej żonie. W tym testamencie nie ma ani słowa o jego przyrodniej siostrze. Żeni się z Margarethą Sagerlied i gdy dwadzieścia lat później umiera, jest ona jego jedyną

spadkobierczynią.

- A ten syn? - zapytał Johansson. - Nieślubny syn Very Nilsson. Jak on się nazywa? - Wiedziałem - pomyślał.

- Staffan Leander Nilsson - powiedział Alf Hult. - Leander to jego drugie imię. Można się zastanawiać, skąd akurat takie. Urodzony piątego października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego. Mam tu w papierach jego PESEL.

- Żyje? - zapytał Johansson. Staffan Leander Nilsson - pomyślał.

- Tak, żyje. Samotny, bez dzieci. Jego ostatni adres to Frösunda w Solnej, bulwar Gustawa III, numer dwadzieścia. Od urodzenia do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego mieszka na Birger Jarlsgatan numer sto cztery, ten sam adres co matka, Vera Nilsson. To wielkie osiedle spółdzielcze pomiędzy Birger Jarlsgatan a Valhallavägen, może znasz. W maju osiemdziesiątego szóstego wyjeżdża z kraju i wraca dopiero jesienią dziewięćdziesiątego ósmego. Dwanaście i pół roku później.

- Za granicę - powiedział Johansson. - Co znaczy „za granicę”?

- Prawdopodobnie do Tajlandii - powiedział Alf. - Chociaż nie wiem, gdzie dokładnie. Jeszcze to sprawdzam. Przemawia za tym fakt, że wyjeżdżając, zostawił zaległość podatkową na kilkaset tysięcy. Podatek od spadku między innymi. Ten dług ulega zresztą przedawnieniu po dziesięciu latach. Nilsson ma więc powody, żeby się trzymać z daleka, jeśli można tak to powiedzieć.

- Jak pewny jesteś tej Tajlandii?

- Dosyć. Wydaje się, że Nilsson był współwłaścicielem jakiegoś projektu hotelowego w Pattaya w Tajlandii.

Tajlandia - pomyślał Lars Martin Johansson. W latach osiemdziesiątych to musiał być raj dla takich jak on. Zresztą pewnie jest nadal.

- Podsumuję - powiedział Alf. - Matka umiera dziesiątego marca osiemdziesiątego szóstego. Dwa miesiące później Nilsson wyjeżdża z kraju. Zwija cały majątek po matce, której jest jedynym spadkobiercą. Wygląda na to, że nie zostawiła testamentu. Jej majątek oszacowano na niecały milion, choć jeśli chcesz znać moje zdanie, było tego dwa razy więcej. Do Szwecji Nilsson wraca dwanaście i pół roku później.

- No więc tak. Ten Staffan Leander Nilsson...

- Tak?

- Chcę wiedzieć wszystko na jego temat. Absolutnie wszystko.

- Zajmę się tym.

- Wybaczysz na chwilę?

- Oczywiście - powiedział Alf.

Johansson chwycił swoje nowe kule. Bez najmniejszego problemu dotarł na korytarz i dalej do pokoju gościnnego, gdzie jego osobisty Mały Evert siedział przed komputerem ze słuchawkami na uszach i majstrował przy czymś, co podejrzenie przypominało wyjątkowo brutalną grę.

- Szefie - powiedział Max, zdjął słuchawki i wstał.

- Czy możesz jeszcze raz zajrzeć do kartonu? Sprawdź, czy znajdziesz jakiegoś Staffana Nilssona albo Staffana

Leandera Nilssona, urodzonego piątego października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego.

- Sekundę - powiedział Max. Wyciągnął swoje długie ramię i wyłowił cienki plik spiętych spinaczem wydruków z rejestru. - Jeszcze sekundę - powiedział, kartkując plik.

- Zebrałem wszystkich, którzy nazywali się Staffan coś tam - wytłumaczył Max. - Będzie jakichś trzydziestu.

- Sprytnie - powiedział Johansson. Chłopak nie jest głupi - pomyślał.

- Jest - powiedział Max, podając wyciąg. - Staffan Nilsson, urodzony piątego października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego. Mieszkał wówczas na Birger Jarlsgatan, numer sto cztery, tu, w Sztokholmie. Piątego czerwca osiemdziesiątego piątego został zarejestrowany jako właściciel nowego golfa GTI rocznik osiemdziesiąt sześć. Koloru czerwonego. Kupiony bezpośrednio u dystrybutora, w Volkswagencie.

- Powiadasz - rzekł Johansson. - Powiadasz - powtórzył, biorąc do ręki wyciąg z rejestru.

Poczekaj, sukinsynu - myśli były szef Komendy Głównej Policji, Lars Martin Johansson, który wcześniej nauczył się nienawidzić przypadków. Jeden raz to za mało, ale dwa razy to o dwa za dużo. Teraz cię dorwę - myśli - i chociaż powiedział sobie, że musi zachować spokój, gdyby się okazało, że jest tak, jak przez cały czas przeczuwał, że jest, poczuł nagłą i nieokiełznaną nienawiść.

- Wszystko w porządku, szefie?

- W porządku. Wszystko w porządku. - I co teraz? -

pomyślał.

IV

Oko za oko, ząb za ząb, rękę za rękę, nogę za nogę...

Księga Wyjścia 21:24

Rozdział 63

Środa, 4 sierpnia 2010 roku, przed południem

Przede wszystkim rutynowe czynności. W dni, w które jego ciało nie dręczyło go bardziej niż zwykle, jadł śniadanie w kuchni, ale tego poranka musiała mu wystarczyć kanapa w gabinecie. Obudził się z bólem głowy. Zaraz potem coś ścisnęło mu piersi, ogarnął go lęk i musiał ratować się kolejną białą tabletką. Pewnie przysnął, bo w ciemnościach gabinetu stanął nagle przed nim Hypnos z przekrzywioną głową, ze zmierzwionymi jasnymi włosami jak u dziecka i z łagodnym uśmiechem wyciągnął w jego stronę zieloną makówkę.

Po półgodzinie poczuł się lepiej. Wyjął laptop, rozłożył go na kolanach i postanowił, że ułoży plan dalszych działań. Gdy był jeszcze w sile wieku, wykorzystywał w tym celu małe karteczki, które przyklejał do biurka, teraz jednak nie było takiej możliwości.

Gdy byłeś w sile wieku, potrafiłeś pisać na tych małych karteczkach – pomyślał Johansson. W tej chwili nie potrafił czytelnie pisać nawet prawą ręką. Mógł nią jedynie podtrzymywać komputer, wystukując tekst palcami lewej ręki.

- „Kroki” - napisał Johansson na górze ekranu. W nowej linijce: „Dalsze zbieranie informacji na temat Staffana Leandera Nilssona, urodzonego 5 października 1960 roku”.

Kolejna linijka: „Opracować skróconą biografię Staffana Leandera Nilssona”. W tym momencie do pokoju weszła Matilda i spojrzała z wyrzutem na zegarek.

- Rehabilitacja. Wyskakuj.

- Daj mi pięć minut.

W następnej linijce napisał: „Zasoby ludzkie - jeden plus cztery”. Ja sam, mój najbliższy przyjaciel, Bo Jarnebring, szwagier, Alf Hult, Matilda i Max. Ale nikt więcej, żadnych dawnych kolegów, jak chociażby inspektora Hermanssona i jego zięcia, którym trudno było utrzymać emocje na wodzy.

Kierowałem już gorszymi zespołami dochodzeniowymi - pomyślał Johansson. Wyłączył komputer, postawił go na stole i wstał z kanapy.

Gdy wracali z rehabilitacji, Max zaproponował coś ciekawego.

- Zastanawiałem się nad tym polowaniem na łosie... To znaczy, o ile szef ma czas.

- Mam czas - powiedział Johansson. Na co innego miałbym mieć czas? - pomyślał. Poza grzebaniem w przedawnionym zabójstwie, faszzerowaniem się lekami i liczeniem dni, które zostały do końca tego, co jeszcze przed miesiącem było godnym i całkiem przyzwoitym życiem.

- Rozmawiałem z rusznikarzem - powiedział Max. - Wyjaśniłem mu, jak to jest z prawą ręką szefa. Da szef radę repetować?

- Tak - powiedział Johansson, bo przez ostatni tydzień ćwiczył to po kryjomu.

- A więc problem stanowi palec spustowy?

- Tak - przyznał Johansson. - Nie mam w nim zbyt dużo uczucia.

- Rusznikarz mówi, że da się to załatwić. Już raz robił coś takiego dla jednego ze swoich klientów. Przytrafiło mu się to samo co szefowi, ale rusznikarz zrobił tak, że facet mógł naciskać spust palcem wskazującym lewej ręki dzięki zamontowaniu drugiego cyngla na łożu strzelby.

- Tak mówisz? - zastanowił się Johansson.

- Jeśli tylko szef da radę mierzyć, trzymając kolbę na ramieniu prawą ręką, wszystko powinno zadziałać.

- No to na co, kurwa, jeszcze czekamy? - Nareszcie. To już mi coś przypomina - pomyślał. W każdym razie przypomina życie, którym żyłem do tej pory.

Rozdział 64

Środa, 4 sierpnia 2010 roku, po południu

Alf zadzwonił na telefon Johanssona przed lunchem, a godzinę później do jego drzwi.

- Opowiadaj - zachęcił Johansson, gdy szwagier wreszcie usiadł i wyjął kolejny stos papierów ze swojej zniszczonej brązowej teczki.

- Trochę tego, trochę owego - zaczął Alf, prychnąwszy cienkimi wargami. - Pamiętasz ten obraz, o którym ci opowiadałem? *Wędrowny myśliwy* Leandera Engströma. Ten, który Vera dostała od swojego przyrodniego brata Johana, a który on z kolei prawdopodobnie odziedziczył po ich wspólnym ojcu, Andersie Gustafie Nilssonie.

- Jasne. Co z nim?

- Został sprzedany na wiosennej aukcji u Bukowskiego już w maju osiemdziesiątego szóstego. Za niecały milion po odliczeniu prowizji. Sprzedającym był Staffan Nilsson. Było to jeszcze przed zaewidencjonowaniem spadku, jeśli jesteś ciekaw.

- Leją na takie sprawy - powiedział Johansson. Akwizytorzy sztuki! - pomyślał.

- Prawda - zgodził się Alf. - O handlu dziełami sztuki mógłbym bratu niejedno opowiedzieć, gdyby miał brat siłę słuchać. Mam tu ze sobą jego zdjęcie. Piękny obraz - powiedział, podając Johanssonowi duże kolorowe zdjęcie.

Myśliwy, który najwidoczniej zatrzymał się na odpoczynek nad jeziorem, gdy uwiecznił go pędzel Leandera Engströma. Krajobraz górski w czerwieniach i błękitach, zieleniach i szarościach, które rozlewały się w tle, przezroczyste powietrze, oddające zimno jesieni, która o tej porze była tylko zapowiedzią zimy. Dubeltówkę oparł o kamień. Łup: kilka kaczek i zająca, przewiesił przez gałąź. Rozpalił ognisko i usiadł przy nim z książką.

Wędrowny myśliwy, trudno o lepszy opis - pomyślał Johansson.

- Milion za obraz - stwierdził były urzędnik skarbowy, Alf Hult. - Jego matka miała również dwa tytuły prawa własności do nieruchomości na Birger Jarlsgatan, które sprzedał mniej więcej w tym samym czasie co obraz. Wygląda na to, że na podstawie jakiegoś upoważnienia spisane go zaledwie tydzień przed jej śmiercią. Bardzo dziwna historia - powiedział Alf Hult.

- To ile za to wszystko dostał?

- Szacuję, że parę milionów. Milion za obraz, siedemset tysięcy za udziały, kolejnych kilkaset tysięcy na kontach bankowych, obligacje i inne drobiazgi, które, zdaje się, sprzedał w tym samym czasie.

- Sprzedaje wszystko jak leci - podsumował Johansson. - Zanim jeszcze mamusia wystygła.

- Tak. Całkiem niezłe podsumowanie.

- Potem olał podatki i dał nogę do Tajlandii, gdzie kupił hotel - powiedział Johansson i nagle przypomniał mu się jego najstarszy brat.

- Tak - westchnął Alf. - Tak było. Ale z tym ostatnim jeszcze się wstrzymaj. Czekam wciąż na informacje na temat projektu hotelowego, w którym uczestniczył.

- Co jeszcze robił? Zanim wyjechał do Tajlandii.

- Wszystko, co robią młodzi mężczyźni, przynajmniej część z nich. Wygląda na to, że był z niego niezły obibok. Znalazłem co najmniej kilka podrobionych zaświadczeń.

- Znalazłeś - powtórzył Johansson. Wreszcie zaczyna się w coś układać - pomyślał.

- Szukając pracy na początku lat osiemdziesiątych (jeszcze do tego wrócę), Nilsson podaje, że w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym rzekomo zdał maturę. W Norra Real w Sztokholmie. Potem podobno studiował ekonomię na uniwersytecie. W Uppsali, a jakże. Czterdzieści punktów z zarządzania, dwadzieścia z ekonomii politycznej, dwadzieścia ze statystyki, propedeutyka prawa. Łącznie dziewięćdziesiąt punktów i mniej więcej trzy czwarte stopnia magisterskiego.

- Ale to nieprawda?

- Nieprawda. Owszem, chodził do Norra Real, ale rzucił szkołę już po trzech semestrach. Na uniwersytecie w Uppsali nie ma go nawet na listach studentów.

- Niezłe ziółko. Gdzie był na służbie?

- Zwolniony na podstawie zaświadczenia lekarskiego. Skolioza, widać miał poważne problemy z kręgosłupem.

- Masz coś jeszcze? - Z wyjątkiem tego, kiedy zgwałcił Yasmine, bo to już wiem - pomyślał.

- Znalazłem jeszcze pewną fundację. Założyła ją

Margaretha Sagerlied kilka lat po śmierci swojego męża, Johana Nilssona.

- Jak się nazywa?

- Fundacja Margarethy Sagerlied na rzecz sztuki operowej.

Nie inaczej - pomyślał Johansson. - Opowiadaj - powiedział.

Rozdział 65

Środa, 4 sierpnia 2010 roku, po południu

Po śmierci Johana Nilssona wdowa po nim przeznaczyła pięć milionów ze swojego okazałego spadku na założenie fundacji wspierającej sztukę operową. Fundacja przyznawała stypendia na kształcenie i podróże studyjne dla młodych śpiewaków i muzyków, dofinansowywała koncerty i przyznawała coroczną nagrodę na sumę dwudziestu tysięcy koron - nagrodę Margarethy Sagerlied dla „Najbardziej obiecującego młodego sopranu roku”. Fundacja rozpoczęła działalność w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim. Jej przewodniczącym został szanowany adwokat ze Sztokholmu, miłośnik opery, a sprawami finansowymi zajmował się departament do spraw fundacji w banku SEB.

- Widać Sagerlied była współczesną Jenny Lind³ - powiedział Johansson, usiadł wygodnie na kanapie i splótł dłonie na brzuchu; od razu zrobiło mu się lepiej.

- Możliwe - potwierdził jego szwagier. - Całe szczęście nie trwało to zbyt długo, że tak się wyrażę.

- Dlaczego? W tych czasach pięć milionów to było mnóstwo pieniędzy.

- Nie tu uwierało - powiedział Alf Hult. - Niestety, Margaretha Sagerlied zatrudniła swojego jedyne i najbliższego krewnego, który miał się zająć sprawami bieżącymi. Mówię tu o Staffanie Nilssonie. Przez niego już po

kilku latach fundacja musiała się związać z powodu bardzo różnych, mówiąc delikatnie, inicjatyw, do których ją angażował.

- Jak to możliwe? Wydawało mi się, że takie organizacje są skrupulatnie sprawdzane?

- Zwykle tak. Głównie dlatego, że fundacje są uprzywilejowane podatkowo, co wiąże się z ryzykiem nadużyć. Gdy Margaretha Sagerlied zatrudniła swojego bliskiego krewnego, przewodniczący fundacji zwrócił jej na to uwagę, że może to zostać potraktowane jako sposób na zapewnienie mu przywilejów podatkowych. Między innymi dlatego przewodniczący domagał się od niego CV. Żeby w ten sposób Staffan udowodnił, że ma odpowiednie kwalifikacje i nie jest jedynie bliskim krewnym Margarethy Sagerlied, któremu ta chciała zapewnić jakieś przywileje.

- Ale Staffan wymyślił swoje kwalifikacje?

- Tak - na tyle, na ile mogłem go sprawdzić. Jeśli mu wierzyć, był wyjątkowo pracowity, bo pracował w każde wakacje od czasów gimnazjum. Jak to było naprawdę, nie wnikałem z powodów czysto technicznych. Mam to jego CV, jeśli jesteś zainteresowany. - Alf pokazał kartkę w foliowej koszulce.

- Połóż na stosie. Pewnie jedno wielkie kłamstwo od góry do dołu.

- Z początku fundacja działała jak trzeba, to znaczy zgodnie ze statutem i regulaminem. Nagroda Margarethy Sagerlied była przyznawana w ciągu pierwszych trzech lat, ostatni raz w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym.

Przyznawane były również stypendia i dofinansowania na łączną sumę około stu tysięcy koron rocznie. Jeżeli policzymy wszystkie koszty, wynagrodzenie dla zarządu, pensję Staffana Nilssona i czynsz za niewielki lokal na Linnégatan na Östermalm, który służył za biuro, otrzymamy roczne wydatki rzędu trzystu tysięcy koron.

- Sześć procent kapitału. Sporo moim zdaniem.

- Mieli wysoki zwrot z kapitału w ciągu pierwszego roku.

Faktycznie, tamtego roku mieli zysk rzędu stu tysięcy koron.

- Ale potem się zjechało.

- Już w osiemdziesiątym czwartym, jeśli chcesz znać moje zdanie. Niestety, próbują to łączyć ryzykownymi inwestycjami w różne instrumenty finansowe i pewnie w tym momencie zaczyna słabnąć kontrola. Zarówno wewnątrz fundacji, jak i w banku, który przecież odpowiadał za tę sferę.

- Ile trafiło do kieszeni młodego Nilssona?

- Nie tak dużo, przynajmniej na tyle, na ile potrafię to ocenić. Głównie były to chybione inwestycje. Mniejsza z tym. Żeby nie przedłużać: przeprowadzono dodatkową kontrolę w połowie osiemdziesiątego szóstego. Wynikło z niej, że zużyto już ponad połowę kapitału fundacji. Do tego czasu Nilsson zdążył złożyć wypowiedzenie i przenieść się w nieznane miejsce.

- Co było potem? - Sporo się wydarzyło na początku osiemdziesiątego szóstego - pomyślał Johansson.

- Od tego czasu działalność fundacji zaczyna zamierać. Jej bieżący kapitał wynosi kilka milionów. Suma ta się nie zmienia od śmierci Margarethy Sagerlied. Fundacja wciąż

przyznaje stypendia i dofinansowania oraz nagrodę, którą ustanowiła Margaretha Sagerlied, ale mówimy tu o mniej niż stu tysiącach łącznie każdego roku. Od wielu lat kapitał zmniejsza się stopniowo o kilka procent rocznie.

- Nie próbowała tego jakoś ratować? - zapytał Johansson.

- Kiedy żegnała się ze światem.

- W chwili śmierci Margaretha Sagerlied była wciąż bardzo zamożną osobą. Był rok osiemdziesiąty dziewiąty, spadek wynosił około dziesięciu milionów koron po odprowadzeniu podatku. Fundacja nie dostała ani korony.

- Do kogo w takim razie trafiły pieniądze?

- Margaretha Sagerlied sporządziła nowy testament w październiku osiemdziesiątego szóstego. Cztery miesiące po tym, jak w fundacji zrobiono kontrolę, która ujawniła trudną sytuację finansową. Większość pieniędzy Sagerlied przekazała na cele charytatywne, dla organizacji, które zajmują się dziećmi i młodzieżą. Organizacjom kościelnym, towarzystwu przyjaciół dzieci, Czerwonemu Krzyżowi.

- A Nilsson?

- Nie dostał nawet korony. W testamencie wspomniana została natomiast jej dawna gosposia. Erika Brännström, pewnie pamiętasz. Dostaje pięćset tysięcy koron. Z testamentu wynika, że suma ta ma być przeznaczona na pokrycie kosztów studiów obu jej córek.

- Rozumiem - powiedział Johansson. Pieniądze jako pokuta za przewinienia drugiego człowieka - pomyślał Johansson. W najgorszym razie w zamian za milczenie. Przed śmiercią musiała przejść przez niezłe piekło.

- Erika Brännström - powtórzył Alf Hult. - Jeśli chcesz, mogę oczywiście znaleźć coś więcej na jej temat. Żyje, jej córki też, już to sprawdziłem. Ma jakieś sześćdziesiąt, córki jakieś trzydzieści. Te dane już zresztą dostałeś.

- Nie - powiedział Johansson. - Zostaw ją. - W tym, co chcę o niej wiedzieć, i tak mi nie pomożesz - pomyślał.

- Coś jeszcze?

- Owszem. Chodzi o matkę Staffana Nilssona, Verę Nilsson.

- Co z nią?

- Pamiętasz, opowiadałem ci już, że zmarła dziesiątego marca osiemdziesiątego szóstego. Nie zostawiła testamentu, co z punktu widzenia prawa nie było aż tak ciekawe, ponieważ jedynym spadkobiercą i tak był jej syn. Interesujące są natomiast okoliczności jej śmierci. Zwłaszcza dla kogoś takiego jak ty. Kogoś z twoim zapleczem zawodowym.

- Tak mówisz? - zastanowił się głośno Johansson. *Now we are talking* - pomyślał.

Rozdział 66

Środa, 4 sierpnia 2010 roku, po południu

Vera Nilsson, lat sześćdziesiąt pięć, została znaleziona martwa w swoim mieszkaniu na Birger Jarlsgatan 104 w Sztokholmie jedenastego marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego w godzinach przedpołudniowych. Osobą, która ją znalazła, był jej syn Staffan, zajmujący mniejsze mieszkanie w tym samym budynku.

Vera Nilsson leżała na kanapie w salonie. Miała na sobie majtki, stanik, szlafrok i kapcie. Na stoliku wały się: pusta butelka po whisky, pół tuzina pustych puszek po piwie, siedemsetpięćdziesiątka wódki opróżniona mniej więcej do połowy, pusta butelka po wodzie mineralnej, pusta butelka po napoju gazowanym i wysoka szklanka z resztką wódki zmieszanej z grappo. W łazience znaleziono puste opakowanie, w którym znajdowały się silne środki nasenne i puste opakowanie po środkach uspokajających. Listu pożegnalnego ani żadnej wiadomości o podobnej treści nie znaleziono.

Łóżko w sypialni stało nietknięte, jakby świeżo posłane. Reszta niewielkiego mieszkania składającego się z dwóch pokoi z kuchnią robiła wrażenie zabałaganionego i – delikatnie mówiąc – nieposprzątanego. Pootwierane szuflady z wyrzuconą na podłogę zawartością, dwie szafy z wysypującymi się ubraniami, spiżarnia i szuflady w kuchni,

w których ktoś najwyraźniej grzebał, przewracając produkty spożywcze i sprzęty kuchenne.

Jako że okoliczności śmierci Very Nilsson były co najmniej zagadkowe, jej ciało poddano obdukcji, a wydział kryminalny w Sztokholmie wysłał techników do przeszukania jej mieszkania. W zgłoszeniu wpisano powód: „podejrzana śmierć w domu”.

Jak wynikało z obdukcji i badań chemicznych, Vera Nilsson zmarła w wyniku zatrucia spowodowanego połknięciem dużych ilości środków nasennych i uspokajających zmieszanych z alkoholem. Stopień stężenia alkoholu w jej krwi sięgał trzech promili, w moczu był nieznacznie niższy. Ponieważ nic nie wskazywało na długotrwałe nadużywanie alkoholu, były to wyjątkowo wysokie liczby jak na kobietę w jej wieku i w jej stanie fizycznym.

Lekarz medycyny sądowej spędził nad tym trochę czasu i gdy mniej więcej po miesiącu wydał oświadczenie, już w pierwszych liniijkach zaznaczył, że nie może wykluczyć popełnienia przestępstwa, ale że bardziej wygląda mu to na samobójstwo. Tak brzmiał również jego wniosek końcowy. Vera Nilsson odebrała sobie życie. To, że mogła zostać otruta, wydało mu się dalece nieprawdopodobne. Tabletki, które połknęła, miały zbyt wyrazisty smak, żeby dało się go ukryć za pomocą wódki, piwa albo słodkich napojów. To, że ktoś mógł ją zmusić do ich połknięcia, również wydało mu się mało prawdopodobne. Na jej ciele nie znalazł żadnych obrażeń, które mogłyby świadczyć o tym, że doświadczyła

przemocy lub chociaż fizycznego przymusu.

W osobnym komentarzu do protokołu obdukcyjnego lekarz wspomniał o zastanawiających sprawach. Podczas obdukcji ujawniły się okoliczności, które przemawiały za tym, że Vera Nilsson leżała w swoim mieszkaniu ponad dobę, zanim została znaleziona.

Ponieważ jej syn, który znalazł ją około jedenastej przed południem jedenastego marca, twierdził, że rozmawiał z nią przez telefon około siódmej wieczorem dziesiątego marca, nawet tutaj postawiono znak zapytania. Lekarz sądowy nie mógł w tej sytuacji wykluczyć, że Vera Nilsson zmarła wieczorem dziesiątego marca, choć przeczyły temu różne ustalenia z obdukcji.

- Zaczekaj, Alf - poprosił Johansson, gdy szwagier skończył opowiadać.

- Choć raz złożyło się tak szczęśliwie, że mam znajomego w zakładzie pogrzebowym, który zajmował się pochówkiem Very Nilsson. Obaj należymy do tego samego stowarzyszenia genealogicznego - wyjaśnił Alf. - Siedzimy razem w zarządzie. Jego firma zajęła się również wszystkimi kwestiami technicznymi związanymi ze śmiercią Very Nilsson. Nie tylko sprawami spadkowymi i pogrzebem, lecz także sprzątnięciem jej mieszkania i skontaktowaniem syna z firmą aukcyjną, która zajęła się sprzedażą dobytku. Protokół z obdukcji znaleziono w czasie sprzątnięcia mieszkania.

- Aha - powiedział Johansson. - Tylko dlaczego go przetrzymano? - Pewnie wysłano go synowi po zakończeniu

dochodzenia w sprawie śmierci – pomyślał.

- Mój kolega znał Verę Nilsson – powiedział Alf i odchrząknął ostrożnie. – Nie wiem, czy o tym wspomniałem, ale pracowała jako kierowniczką sali w restauracji niedaleko swojego mieszkania. Mój znajomy chodził tam na lunchy i kolacje, właśnie tak się poznali. Wydało mu się dziwne, że Vera mogłaby odebrać sobie życie. Zapamiętał ją jako wesołą i pełną optymizmu osobę, dlatego zrobił kopię. Oryginał, jak się domyślam, oddał synowi razem z innymi papierami znalezionymi podczas sprzątania.

- Mimo to twój znajomy nie skontaktował się z policją?

- Nie. Nie skontaktował. Policja uznała to już najwyraźniej za samobójstwo. Nie zrobił tego ze względu na syna. Sam wiesz, przecież to w jego interesie działał jako przedsiębiorca pogrzebowy.

- A protokół z dochodzenia? Znalazł go? Moi koledzy musieli go przecież sporządzić.

- Nic z tych rzeczy. Pomyślałem jednak, że ty powinienes go znaleźć. Nie są to informacje, na które zwykle trafiam, przekopując się przez sprawy genealogiczne. Jeśli raport się zachował, znajdziesz go pewnie w archiwum centralnym w Sztokholmie, tak myślę.

- Na pewno – powiedział Johansson. Albo w jakimś kartonie w piwnicy na komendzie – pomyślał.

- Jeśli to ci na coś potrzebne, kopię protokołu z obdukcji znajdziesz tutaj – powiedział Alf Hult i zastukał chudym palcem wskazującym w plik papierów, który położył na stoliku przy kanapie Johanssona.

- Jakoś to będzie - powiedział Johansson. Jakoś to będzie - pomyślał.

Rozdział 67

Środa, 4 sierpnia 2010 roku, wieczorem

Wieczorem Johansson zamówił włoskie jedzenie z pobliskiej restauracji. Pia była na służbowej kolacji. Pierwszy raz od jego powrotu do domu zostawiła go wieczorem samego. Musiał niemal wypchnąć ją za drzwi, żeby sobie poszła.

- Jesteś pewien, że sobie poradzisz? - zapytała, gdy wreszcie stała w holu ubrana w płaszcz.

- Do cholery, skarbie - zniecierpliwził się Johansson. - Boisz się, że Max mnie okradnie?

Potem zjadł kolację ze swoim osobistym Małym Evertem. Bitki cielęce i makaron z razowej mąki, który nie był nawet w połowie tak smaczny jak ten, do którego przywykł. Do popicia woda mineralna. Max nakrywał do stołu, a Johansson siedział na krześle, przeglądając gazetę i obserwując jego krzątanie.

- Napiłbym się czerwonego wina - westchnął Johansson, odłożył gazetę i pokazał głową na barek z winem. - Otwórz jakieś włoskie. Z czarną etykietą - dodał na wypadek, gdyby Maxowi brakowało wiedzy w tej delikatnej materii.

- Jasne, szefie - powiedział Max.

Gdy zjedli, Max usiadł w salonie i włączył telewizor, żeby obejrzeć mecz piłki nożnej. Liga hiszpańska. Johansson położył się na kanapie z zamiarem dokończenia otwartej

butelki.

Nie widzę przeszkód, powiedział ślepy koń - pomyślał Johansson, biorąc do ręki plik kartek, które zostawił mu szwagier.

Najpierw przeczytał protokół z obdukcji. Wskazywał w zasadzie jednoznacznie na samobójstwo. Jedyne, czego obducent nie był pewien, to czas zgonu Very Nilsson.

Nic dziwnego - pomyślał Johansson. Ten łachudra potrzebował doby, żeby przeszukać mieszkanie i sprawdzić, czy nie zostawiła po sobie jakichś papierów lub notatek, które mogłyby mu tylko niepotrzebnie skomplikować życie.

Potem przypomniał o sobie ból głowy, jego wierny towarzysz. Johansson zajął się więc biernym przeglądaniem inwentarza spadku i wyciągów z rejestru ludności. Między nimi znalazł CV napisane przez Staffana Nilssona w czasie, gdy ubiegał się on o pracę na stanowisku człowieka do wszystkiego w fundacji Margarethy Sagerlied. Do napisania CV zmusili go formalista adwokat i przewodniczący fundacji.

Na samej górze data sporządzenia dokumentu: „Sztokholm, 15 kwietnia 1983”. Dalej nagłówek: „Curriculum vitae Staffana Leandera Nilssona, urodzonego 5 października 1960”. Brakowało jednak pełnego numeru PESEL, co uzasadniało wątpliwości Alfa dotyczące wiarygodności tego dokumentu.

Na dole strony oświadczenie podpisane własnoręcznie przez Staffana Nilssona: „Niżej podpisany, Staffan Nilsson, poświadczam w imię honoru zgodność powyższych danych z prawdą”. I podpis, wyjątkowo zamaszysty jak na

dwudziestotrzyletniego mężczyznę. Dodatkowo zakończony zawijasem, który raczej nie świadczył o nadmiernej skromności autora.

Między nagłówkiem a podpisem mieściła się skrócona wersja życia Staffana Nilssona. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym rozpoczął naukę w pierwszej klasie szkoły podstawowej Engelbrektsskolan na Valhallavägen w Sztokholmie. Dziewięć lat później, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym, zakończył wstępny etap edukacji. Jeszcze tej samej jesieni rozpoczął naukę w liceum Norra Real na Roslagsgatan w Sztokholmie. Zarówno pierwsza, jak i druga szkoła znajdowały się w pobliżu Birger Jarlsgatan, czyli miejsca, gdzie mieszkał z matką.

Liceum o profilu ekonomicznym było trzyletnie i wiosną tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego młody Nilsson rzekomo zdał maturę. Jesienią tego samego roku rozpoczął studia na wydziale ekonomicznym uniwersytetu w Uppsali. Po dwóch latach zrobił roczną „przerwę na praktyki zawodowe”. Był stażystą w siedzibie głównej Ericssona w Sztokholmie. Praktyki zakończył jesienią tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego, po czym wziął „urlop dziekański na naukę języka”. Czas urlopu spędził „w Anglii i we Francji”. W styczniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego wrócił do Szwecji z zamiarem „ukończenia ekonomii na uniwersytecie w Uppsali”. Tyle w kwestiach formalnych „poświadczonych w imię honoru”.

W drugiej części dokumentu Staffan Nilsson wymienił wykonywane prace wakacyjne i miejsca, w których pracował,

jednocześnie się ucząc.

W wieku szesnastu lat został po raz pierwszy zatrudniony podczas wakacji jako „pomocnik kuchenny” w Strand Hotell w Sztokholmie. Latem następnego roku jako „kelner” w hotelu Mornington. Przez następne dwa lata wracał w to samo miejsce w charakterze „zastępcy portiera”. Jesienią tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego ukończył kurs na prawo jazdy, w wakacje tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego i osiemdziesiątego pierwszego pracował jako „asystent dyrektora naczelnego i zastępca szefa restauracji” w restauracji przy zamku i muzeum Skokloster na obrzeżach Sigtuny.

Oczywiście – pomyślał były szef Komendy Głównej Policji, Lars Martin Johansson, odkładając życiorys podpisany własnoręcznie przez Staffana Nilssona na dwa lata i dwa miesiące przed tym, jak ciało zgwałconej Yasmine Ermegan zostało znalezione w sitowiu na brzegu jeziora, zaledwie kilka kilometrów od jego dawnego miejsca pracy.

Rozdział 68

Czwartek, 5 sierpnia 2010 roku, po południu

Kolejny dzień w nowym życiu Larsa Martina Johanssona. Najpierw duża szklanka wody, żeby popić lekarstwa, od których obecnie uzależnione było jego życie, a które z trudem wydobył lewą ręką z czerwonej apteczki. Potem prysznic i pożywne śniadanie złożone z jogurtu, owoców i müsli.

Później, leżąc na kanapie w swoim gabinecie, przeczytał poranną prasę i nawet nie rozboleła go głowa, chociaż przebrnął przez wiadomości, dodatek ekonomiczny i kulturalny. Dumny z siebie rzucił się na sudoku, które w poprzednim życiu stanowiło jego codzienny rytuał. Po dwóch minutach ból głowy wrócił.

Odrzucił na bok gazetę, ułożył się wygodnie na plecach i spróbował wejrzeć w głąb siebie, żeby odzyskać spokój. – Oddychaj głęboko, spróbuj o niczym nie myśleć, postaraj się zastosować do porad z książeczki o medytacji i wewnętrznym spokoju, którą dostałeś od swojej najstarszej wnuczki – powtarzał sobie. Jak, u licha, można się zmusić, żeby o niczym nie myśleć? – pomyślał. Przecież jedno przeczy drugiemu.

– Masz gościa – powiedziała Matilda. – Twój przyjaciel. No wiesz, ten samiec alfa.

Poprzedniego wieczoru Jarnebring wrócił ze swoich tajskich wakacji we dwoje. Szczupły, wysportowany i opalony Jarnebring o wilczym spojrzeniu i bez najmniejszego śladu dwudziestogodzinnego lotu na twarzy.

- Rozmawiałem przed chwilą z parobkiem, którego podesłał ci Evert - powiedział Jarnebring i kiwnął głową w stronę zamkniętych drzwi. - Rozumiem, że jest porządniejszy, niż na to wygląda.

- Wyjątkowy młody człowiek - powiedział Johansson. - Miły, grzeczny, niegłupi i robi to, co mu każę. - Nie to co wy - pomyślał.

- Jak ci idzie? - zapytał Jarnebring.

- Jak mi idzie?

- Z Yasmine.

- Doskonale. Znalazłem sprawcę, tak jak obiecałem. Żyje. Zostały już w zasadzie same formalności.

- Ponieważ ty to mówisz, wierzę - powiedział Jarnebring. - Dawaj.

- Nazywa się Staffan Leander Nilsson, urodzony piątego października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku. Samotny, bez dzieci, mieszka w Frösunda w Solnej. Nie wiem, czym się zajmuje, ale mój nos mi podpowiada, że skacze z kwiatka na kwiatek. Mieszane interesy, można powiedzieć.

- Przestań się ze mną drażnić, Lars. Wiesz dobrze, co chcę usłyszeć. Jak go znalazłeś?

- Dzięki wewnętrznemu dochodzeniu - powiedział Johansson. - Nie było to aż takie trudne. Wczoraj wieczorem

przed zaśnięciem pomyślałem, że mógłby go znaleźć nawet ten patafian, Evert Bäckström, gdyby dostał taką wskazówkę, jaką ja dostałem trzy tygodnie temu.

- Do diabła, Lars! - powiedział Jarnebring. - Waż słowa. Przecież ja też brałem udział w tym dochodzeniu!

- Gdybyś się dowiedział tego co ja, jestem pewien, że potrzebowałbyś na to najwyżej dwóch, trzech dni - powiedział Johansson.

- Co teraz robimy?

- Dobre pytanie - powiedział Johansson. - Miałem zamiar przyjrzeć się bliżej temu sukinsynowi. Pobrać jego DNA, co jest czystą formalnością, bo wiem, że to on. Co potem? Dobre pytanie. Sprawa uległa przecież przedawnieniu i jeśli dobrze zrozumiałem, oczekuje się od nas, że zapomnimy o istnieniu tego człowieka.

- Cholera, Lars. Nie mówisz chyba serio?

- Nie - powiedział Johansson. Przyjdzie czas, przyjdzie rada - pomyślał.

- No to co robimy?

- Upewnimy się, czy to rzeczywiście on. Nawet mnie zdarzały się błędy - powiedział Johansson. Choć tym razem raczej nie mam takiego szczęścia - pomyślał.

- Wybacz, jeśli się powtarzam. Co robimy?

- Pomyślałem, że zaczniemy od wyciągnięcia starego dochodzenia w sprawie śmierci matki Staffana Nilssona.

- Porozmawiam z Hermanem - powiedział Jarnebring. - Na pewno...

- Żadnych rozmów z Hermanem - przerwał Johansson. -

Od tej chwili rozmawiamy tylko ze sobą. Ty i ja, nikt poza tym, a już na pewno nie nasi dawni koledzy.

- Rozumiem, co masz na myśli - powiedział Jarnebring. - Słyszałeś, co przytrafiło się wnuczce Hermana?

- Tak - powiedział Johansson. - Opowiedział mi o tym jej ojciec, Pe-dwa. - Ten sam Patrik Åkesson, który prawdopodobnie ocalił mi życie - pomyślał. - Nie obawiaj się - dodał. - W życiu nie pozwolę, żeby skurwysyn nam się wymknął. Prawnicy i inne pięknoduchy mogą sobie te przedawnienia wsadzić w tyłek.

- W porządku - powiedział Jarnebring. - Daj mi imię mamuśki Nilssona, a ja już zajmę się resztą.

- Masz wszystko w tej niebieskiej koszulce - powiedział Johansson i pokazał na stolik przy kanapie. - Ponieważ mam do ciebie bezgraniczne zaufanie, napisałem nawet, jak według mnie do tego doszło.

- Zapytam z ciekawości. Kim był twój informator?

- Wszystko, tylko nie mój informator - powiedział Johansson stanowczo. Muszą być jakieś granice - pomyślał.

Rozdział 69

Piątek, 6 sierpnia 2010 roku

Gdy Johansson siedział w kuchni, jedząc lunch, zadzwonił Jarnebring.

- Jak jest? - zapytał.

- Jak w bajce - powiedział Johansson, chociaż bolała go głowa, a ucisk w piersiach uniemożliwiał zrobienie głębszego oddechu. - Siedzę tu sobie i jem smażonego śledzia. Smażonego śledzia ze świeżymi ziemniakami. - Ciesz się z tego, co masz - pomyślał.

- Nie musisz mi zostawiać - powiedział Jarnebring, nałogowy mięsożerca. - Znalazłem to dochodzenie.

- Szybko ci poszło - powiedział Johansson, nie kryjąc zdziwienia.

- Głupi ma szczęście. Widzimy się za pół godziny.

Gdy Jarnebring wszedł do gabinetu, Johansson leżał jak zwykle na kanapie. Jarnebring zamknął drzwi, usiadł i położył koszulkę z papierami na stoliku.

- Dochodzenie w sprawie śmierci Nilsson, Very Sofii, urodzonej w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym - powiedział Jarnebring. - Przeprowadzone przez ten sam wydział do spraw zabójstw w Sztokholmie. Według zgłoszenia niewyjaśnione okoliczności.

- Skąd je masz? - powiedział Johansson, któremu akcja

Jarnebringa wydała się podejrzenie szybka. Umówili się przecież, że nie będą wciągać do poszukiwań żadnych kolegów.

- Już ci mówiłem, głupi ma szczęście. Pamiętasz Lingrena, tego starego lekarza medycyny sądowej? Wysoki, szczupły, mówił szeptem, nigdy nie patrzył ludziom w oczy. Kompletny szajbus, jeśli mam być szczery.

- Nie. Tego akurat nie pamiętam - powiedział Johansson. To przecież sami wariaci - pomyślał.

- Przypomniało mi się, że napisał dysertację na temat samobójstw. Łaził za mną, gdy nad nią pracował; był ciekaw, czy nie miałbym dla niego jakiś interesujących przypadków.

- I? Do rzeczy.

- Okazało się, że sprawa Very Nilsson była częścią jego dysertacji. Znalazł ją w jednym z kartonów, które miał w pracy.

- Doskonale. No i co myślisz o śmierci pani Nilsson?

- Samobójstwo. Skorzystałem z okazji i przeczytałem papiery w obecności znawcy tematu. Poszliśmy z Lindgrenem na kawę. Jego zdaniem to najczystsza odmiana samobójstwa, mimo że ta kobieta nie zostawiła po sobie żadnego listu. Duże ilości środków nasennych i alkoholu. Serce nie wytrzymało. Uszkodzenie narządów wewnętrznych i tak dalej. Sam sprawdź - powiedział Jarnebring, podając mu dokumenty.

- Łeb mi pęka. Ale chętnie posłucham - powiedział Johansson. Na pewno zostawiła list - pomyślał. Na którym jej syn położył łapę.

- Znajduje ją jej synek, nasz Staffan Leander Nilsson. Zostaje przesłuchany w trakcie sporządzania zgłoszenia. Bardzo skrótowo, przez pierwszy patrol, który przyjechał na miejsce. Twierdzi, że kilkakrotnie próbował się dodzwonić do matki, dzwonił nawet do drzwi. Zero reakcji. Wtedy się zaniepokoił. Mówi, że w zasadzie byli w stałym kontakcie i że mieszkali w tym samym budynku. Oczywiście ma klucze do jej mieszkania. Otwiera i wchodzi do środka. Znajduje ją nieżywą na kanapie. Natychmiast dzwoni na policję.

- To jedyny raz, kiedy był przesłuchiwany? - zapytał Johansson. Porażające - pomyślał.

- Nie - powiedział Jarnebring. - Tydzień później, gdy technicy zdążyli już zrobić swoje, został wezwany na przesłuchanie w wydziale zabójstw. Chodziło o zebranie dalszych informacji. Uwagę techników zwrócił stan mieszkania, które wyglądało, jakby ktoś je przeszukiwał. Nie trafili na nic naprawdę dziwnego, ale mimo wszystko to ich zastanowiło.

- I co mały Staffan miał na ten temat do powiedzenia?

- W czasie przesłuchania mówi, że w ciągu ostatniego roku jego matka była poważnie przygnębiona. Mogło to mieć związek z tym, że od kilku miesięcy nie pracowała. Zaczęła ostro pić. Zdaniem syna w tygodniu zdarzały jej się kilkudniowe ciągi, kilka razy straciła panowanie nad sobą.

- Wyobrażam sobie - powiedział Johansson.

- No tak - zgodził się Jarnebring. - Jeśli uświadomiła sobie, że małą Yasmine zgwałcił i zamordował jej ukochany synek, raczej nie było jej do śmiechu.

- Raczej nie. Kto z wydziału zabójstw prowadził dochodzenie?

- Kolega Alm - powiedział Jarnebring i uśmiechnął się szeroko. - W wydziale znany jako Zakuty Łeb. Tak w ogóle postępowanie umorzył jego szef, Zapity Łeb, czyli stary inspektor Fylking. Na pewno go pamiętasz. Zdaniem Fylkinga nie było przestępstwa, a że i tak mieli pełne ręce roboty w związku z zabójstwem naszego ukochanego premiera, nikt zbytnio nie protestował. Jak już mówiłem, w tej kwestii się z nim zgadzam.

- To wszystko? - zapytał Johansson i zamachał odruchowo kartkami.

- Na policję zgłosiła się dawna przyjaciółka i koleżanka z pracy Vera Nilsson. Jakiś tydzień po tym, jak ta rzekomo odebrała sobie życie. Nie mogła uwierzyć, że Vera Nilsson mogłaby popełnić samobójstwo. Temu, że zapijała się do nieprzytomności, też jakoś nie dawała wiary. Jej zdaniem Vera zawsze uważała z alkoholem. Nie była może abstynentką, ale umiała zachować umiar. Ta przyjaciółka wspominała ją jako wesołą i otwartą osobę, niemal idealną koleżankę z pracy.

- Czy kontaktowały się ze sobą, zanim Vera Nilsson odebrała sobie życie?

- Wielokrotnie. Naturalnie w pracy, ale również prywatnie. Alm drążył ten temat i wtedy ta przyjaciółka opowiedziała mu, że przez ostatnie miesiące Vera Nilsson sprawiała wrażenie jakby bardziej zatroskanej. Nawet ją o to zapytała, ale nie dostała żadnej odpowiedzi. Przyjaciółka

mówi na przesłuchaniu, że musiało to mieć coś wspólnego z synem Very. Jej zdaniem od początku był łobuzem i darmozjadem. Źródłem wiecznych zmartwień dla swojej matki. Przyjaciółka zeznała, że ostatni raz kontaktowała się z Verą Nillson telefonicznie, na kilka tygodni przed jej śmiercią.

- Aha - westchnął Johansson.

- To co teraz robimy? - zapytał Jarnebring.

- Muszę się zastanowić.

- Lars, do jasnej cholery! Ogarnij się.

- Masz jakąś lepszą propozycję?

- Co powiesz na to, żebyśmy uderzyli prosto z mostu? Zdobędziemy DNA tego sukinsyna, a jak będzie zgodność, przestaniemy czytać.

- Słyszę, co mówisz - powiedział Johansson. - Daj mi weekend na zastanowienie.

- Jasne - powiedział Jarnebring. - Zadzwoń, gdybyś się rozmyślił. Przejedziemy się, poszlifujemy asfalt, przytkniemy ucho do starej szyny.

Muszę się zastanowić - pomyślał Johansson. - Ciekawe jak, skoro głowa pęka mi już przy pierwszej próbie - dodał.

Rozdział 70

Sobota, 7 sierpnia 2010 roku

Po śniadaniu Pia pojechała na wieś zbierać grzyby ze swoją najlepszą przyjaciółką.

- Tylko za bardzo nie rozrabiajcie, chłopcy - powiedziała, pocałowała męża w usta i po matczynemu uściśnęła Maxa.

- Obiecujemy - powiedział Johansson, bo już widział przed sobą porządny długi lunch w starym stylu w towarzystwie swojego osobistego parobka. Może powinienem zadzwonić po Jarnebringa? - pomyślał.

Jarnebringowi pomysł przypadł do gustu. Tak bardzo, że zgodził się, żeby Max przyjechał po niego. Dwie godziny później siedzieli już w samochodzie i jechali do miejsca, które Johansson nazywał swoim „wiejskim sanatorium”, a które, jak się miło składało, znajdowało się na Djurgården w Sztokholmie.

- Dobrze wyglądasz, Lars - powiedział Jarnebring i poklepał Johanssona po przyjacielsku w ramię.

- Wiem - powiedział Johansson. Gadanie - pomyślał.

Johansson zamówił przystawkę, danie główne i deser. Przede wszystkim po to, żeby się podrażnić ze swoimi towarzyszami. Max wprawdzie poruszył się niespokojnie, miał jednak tyle wyczucia, żeby niczego nie powiedzieć. Ale najbliższy przyjaciel Johanssona nic sobie nie robił z tego typu

konwenansów.

- Czasem wydaje mi się, że chcesz się zabić - powiedział Jarnebring, patrząc na talerzyki z przystawką Johanssona.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Johansson z niewinną miną, zajęty rozsmarowywaniem sosu na toście z lekko solonym łososiem.

- Nie chodzi mi o łososa, tylko o ten majonez. Dla ciebie to pocałunek śmierci. Straciłeś, kurwa, pamięć, Lars? Ledwo miesiąc temu o mało co nie zwinąłeś się na tamten świat, bo ciągle tylko zresz i nie chcesz się ruszać.

- Jakiś miesiąc temu nikt mnie nie pytał, jak się czuję, i nie komentował tego, co jem - powiedział Johansson. - Teraz wszyscy mówią tylko o tym. Jakbym był dzieckiem.

A potem odgryzł duży kawałek tostu z łososiem, wytarł sos z kącika ust palcem wskazującym i na wszelki wypadek oblizał palec, zanim wypił pół kieliszka wódki i popił łykiem piwa.

- Na czym to skończyliśmy? - zapytał Johansson. - A tak - przypomniał sobie i podniósł dłoń, zanim Jarnebring zdążył cokolwiek powiedzieć. - Jeśli nie potrafią panowie traktować mnie jak dorosłego obywatela, to proponuję, żeby panowie zabrali swoje cholerne sałatki i grillowany befsztyk i przenieśli się do innego stolika, żebym mógł zjeść w spokoju.

Max jadł w skupieniu sałatkę, w odpowiedzi kiwnął tylko głową. Jarnebring wzruszył ramionami i najwyraźniej postanowił zmienić temat.

- Słuchaj, Max - powiedział Jarnebring. - Evert opowiadał

mi, że chciałbyś zostać policjantem. Ile masz lat?

- Dwadzieścia trzy.

- W takim razie najwyższy czas. Lars i ja mieliśmy po dwadzieścia jeden lat, kiedy zaczynaliśmy szkołę policyjną.

- Nie mam liceum - powiedział Max. - Rzuciłem szkołę po dziewięciu klasach.

- Dasz radę - powiedział Jarnebring, który sam został przyjęty dzięki wynikom sportowym i mimo kiepskich ocen ze szkoły ludowej, którą ukończył po ośmiu latach, by już nigdy nie powrócić do uczenia się czystej teorii.

- Może - powiedział Max. - Nie w tym rzecz.

- Wiem, co masz na myśli - powiedział Jarnebring. - Ja też przywaliłem niejednemu draniowi po gębie. Zdarzało mi się to nawet częściej niż potem, gdy już byłem policjantem.

- Nie siedziałeś w poprawczaku - powiedział Max.

- Może nie - powiedział Jarnebring. - Ale jak mało kto potrafię odróżnić dobrego człowieka od złego. Ty jesteś dobry, Max. Tylko to się liczy.

- Co ty pieprzysz? - przerwał Johansson. - Tym światem rządzą głównie dranie. Opowiedz, Max. Opowiedz mi o sobie to, co najważniejsze, tak jak ty to widzisz. Kim jest Max? Opowiedz mi.

- Od czego mam zacząć? - zapytał Max. Słaby uśmiech, teraz już spokojniejszy, umięśnione ręce leżące na blacie stołu.

- Od początku - powiedział Johansson. - A ty, Bo, stul pysk.

- Okej - powiedział Max i się uśmiechnął. - Nazywam się

Maxim Makarow i nie jestem spokrewniony z wielkim Siergiejem.

Maksim Makarow urodził się w Leningradzie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym, w tym samym Leningradzie, któremu cztery lata później przywrócono jego historyczną nazwę z czasów carskiej Rosji - Petersburg. Wtedy pisał jeszcze swoje imię przez „k”, nie przez „x”.

- Matka była lekarką, ojciec kierowcą i ochroniarzem jednego z lokalnych partyjniaków. Zarabiał cztery, pięć razy więcej od matki. W tamtych czasach lekarze w Związku Radzieckim mieli jedne z najniższych pensji. Pewnie wciąż tak jest. No, chyba że należałeś do partii i udało ci się przejąć jakiś szpital po tym, jak wywalczyliśmy sobie wolność.

- Sam widzisz - powiedział Jarnebring. - Nie szkoła najważniejsza.

- Siedź cicho, Bo - powiedział Johansson. - Mów dalej, słucham - skinął Maxowi.

Rodzice Maxa rozstali się wraz z jego przyjściem na świat. Gdy miał dwa lata, a imperium sowieckie trzęsło się w posadach, jesienią tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego jego matka wymknęła się przez jedno z pęknięć w murze i popłynęła na konferencję dla lekarzy w Tallinie. Gdy tylko zeszła na ląd, jej estońscy przyjaciele pomogli jej przedostać się do Finlandii. Tam przejęli ją jacyś ludzie. Z ich pomocą dostała się na prom do Szwecji. Dwa dni po opuszczeniu Leningradu wystąpiła o azyl polityczny

w Szwecji. Synka zostawiła u babci i dziadka.

- No więc zostałem u babci i dziadka - powiedział Max.

- A twój ojciec? - zapytał Jarnebring, ignorując ostrzegawcze spojrzenie Johanssona.

- Skąd - powiedział Max i pokręcił głową. - Spotkałem go najwyżej dziesięć razy. Nawet nie pamiętam jego twarzy. Zresztą zginął, gdy miałem cztery lata. Pojechał odebrać szefa z jego domu i gdy wychodzili, dostali po kulce. Tata, jego szef i szofer. W tym czasie w Leningradzie toczyła się prawdziwa wojna. Towarzysz Kałasznikow, cała ta kasa, którą partyjniacy chcieli zgarnąć dla siebie.

- Nie było ci lekko - powiedział Jarnebring, mimo że jego najbliższy przyjaciel wyglądał, jakby miał głośno jęknąć.

- Dla mnie bez różnicy - powiedział Max. - Niespecjalnie mnie to obchodziło. W końcu nawet się nie znaliśmy. Chyba nawet mi się podobało, że mam ojca, który zginął od kuli. Babcia była dobra. Dziadek też. Ale potem się pogorszyło i wcale nie było dobrze.

- Co się stało? - zapytał Johansson.

- Najpierw zmarł dziadek. Miał już swoje lata, brał udział w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej i przeszedł na emeryturę, zanim się urodziłem. Dostał zawału serca i po prostu zmarł. Miałem wtedy pięć lat. Rok później, w dzień moich szóstych urodzin, pamiętam dokładnie, zmarła babcia. Też na zawał serca. Przewróciła się w kuchni, gdy szła z moim tortem urodzinowym. Trafiłem na cztery lata do domu dziecka. Gdy miałem dziesięć lat, przyjechałem do Szwecji.

- Jak tam było? - zapytał Jarnebring. - W domu dziecka,

znaczy się.

- Staram się o tym nie myśleć - powiedział Max. Jego oczy się zwęziły, a wielkie pięści zacisnęły. - Ani ty, ani ja nie chcemy o tym słuchać.

- A twoja matka? - zapytał Johansson, zmieniając nieco wątek. - Dlaczego nie ściągnęła cię wcześniej do Szwecji? Jeśli dobrze zrozumiałem, mieszkała tu od kilku lat. Musiała przecież mieć prawo pobytu i pracę.

- Tak - powiedział Max i kiwnął głową. - Z początku świetnie jej szło. Dostała prawo pobytu i pracę. Pracowała jako lekarz w szpitalu w Sundsvall, i to już po jakimś roku. Potem poznała nowego kolesia, Szweda, i urodziła mu dzieci. Mam dwójkę przyrodniego rodzeństwa, dziewiętnastoletniego brata i osiemnastoletnią siostrę. Dobrze im się życie ułożyło. Brat studiuje na uniwersytecie techniki komputerowe, a siostra chodzi do ostatniej klasy liceum.

- Proste pytanie i wybaczyć, jeśli się powtarzam - powiedział Johansson. - A twoja matka? Dlaczego nie ściągnęła cię wcześniej do Szwecji?

- Widać nie miała ochoty - powiedział Max, wzruszając ramionami. - Nowe życie, nowy facet, nowe dzieci. O tym też wolałbym nie rozmawiać. Poza tym nie robiło mi to większej różnicy, nie na początku. Było mi dobrze, mieszkałem u babci i dziadka.

- Zmieńmy temat - powiedział Johansson.

- Wszystko jej się posypało - powiedział Max głosem pozbawionym emocji, jakby stwierdzał zupełnie obojętny

fakt. - Zaczęła chlać, koleś dał nogę i zabrał ze sobą moje przyrodnie rodzeństwo. Za chłanie wylali ją ze szpitala. Kradła też lekarstwa. Pewnie sprzedawała. Na mieście. Narkomanom. Najpierw trafiła do psychiatryka, potem do jakiegoś ośrodka resocjalizacji i wtedy sobie o mnie przypomniała.

- Popraw mnie, jeśli się mylę - powiedział Johansson - ale to jej terapeuta wpadł na pomysł, żeby cię tu ściągnąć. W ramach terapii mamusi, że tak powiem.

- Tak - powiedział Max i uśmiechnął się do Johanssona. - Szef ma całkowitą rację, sam bym tego lepiej nie ujął. Minął rok i mogłem się przeprowadzić do matki, której nie widziałem od ośmiu lat. Miała już wtedy mieszkanie i nową pracę. Pracowała jako asystentka w domu opieki, tym samym, w którym się leczyła. Prowadziła mnóstwo kursów i wykładów. Związała się z psychologiem, przyjechali po mnie razem do domu dziecka. Nie mówiłem ani słowa po szwedzku, wiadomo, a matka nie chciała mówić ze mną po rosyjsku.

- Przyjechałeś i znów się zjechało - stwierdził Johansson. Ciekawa kobieta - pomyślał.

- Dziesięcioletni Rusek, który trafia do szkoły podstawowej w Sundsvall. Gdy miałem czternaście lat, wyglądałem tak jak teraz. Wreszcie byłem u siebie.

- A mama i jej nowy facet? Jak im się ułożyło?

- Matka dała przedstawienie powtórkowe. Najpierw...

- Kumam - przerwał Johansson. - A co się stało z tobą?

- Najpierw trafiłem do rodziny zastępczej. Mieszkałem

tam do ukończenia piętnastego roku życia. Timrå, na północ od Sundsvall. Mili ludzie, to nie ich wina, że wylądowałem w poprawczaku. Byłem naprawdę nieznośny. Gdy po raz ostatni uciekłem z poprawczaka, a mieszkałem tam z przerwami do osiemnastego roku życia, mój opiekun załatwił mi pracę. W firmie budowlanej Everta w Sundsvall. Zajmowałem się głównie remontem jego chałup. Od tego czasu pracowałem już tylko dla niego. Przez ostatni rok w jego gospodarstwie.

- Co powiedział mój brat - zapytał Johansson - kiedy spotkaliście się po raz pierwszy? - Głupie pytanie - pomyślał.

- Akurat to zapamiętałem - powiedział z uśmiechem Max.
- Pamiętam dokładnie, co takiego powiedział. Powiedział, że jeśli nie przestanę podskakiwać i nie zacznę się zachowywać jak zwykli, porządni ludzie, to osobiście dopilnuje, żebym zatęsknił do tego cholernego domu dziecka w tej cholernej Rosji, do tych wszystkich cholernych Ruskich.

- W stylu Everta - potwierdził Johansson.

- Evertowi się nie podskakuje - powiedział Max i uśmiechnął się porozumiewawczo. - Nie znam lepszego człowieka. O szefie też dobrze mówi.

- Z tego samego powodu, dla którego zawsze mówi dobrze o tobie, Max - powiedział Johansson z powagą. - No, Bo - powiedział Johansson, kiwając do swojego najlepszego przyjaciela. - Chciałbyś o coś jeszcze zapytać?

- A twoja matka, Max? Jak jej się ułożyło?

- Nie żyje - powiedział Max. Wzruszył ramionami. - Zmarła siedem lat temu. Rak wątroby. Miałem szesnaście

lat. Trochę to dziwne, ale ledwo ją pamiętam. Ojca zresztą też, choć to akurat zrozumiałe, w końcu miałem cztery lata, prawie go nie znałem.

Musiałeś poczuć ulgę – pomyślał Johansson.

- Słuchaj, Bo – powiedział Johansson. – Ta mała blond kelnereczka, ta, za którą wodzisz wzrokiem od pięciu minut...

- Co z nią?

- Zamachaj na nią, jeśli możesz. Chciałbym się napić czerwonego wina do pulpecików – powiedział Johansson.

- Nad jednym się zastanawiam, szefie – powiedział Max, gdy po kilku godzinach odwieźli Jarnebringa i kierowali się na Söder.

- Słucham – powiedział Johansson.

- To z policją. To, że mógłbym szukać pracy w policji. Czy to jest w ogóle realne? Przyjmą takiego jak ja?

- Nie – powiedział Johansson. – Jeśli będzie to dla ciebie jakieś pocieszenie, to nie masz czego żałować.

- Tak właśnie myślałem – powiedział Max.

Po powrocie do domu Johansson położył się na kanapie i w zasadzie od razu zasnął. Obudził się, gdy Max dotknął ostrożnie jego ramienia.

- Tak – powiedział Johansson.

- Dzwoniła żona szefa – powiedział Max. – Pytała, jak się szef czuje i czy może zostać z koleżanką na noc na wsi.

- Co powiedziałaś?

- Że jest jak w bajce – powiedział Max. – Że szef się dobrze czuje, że wszyscy się dobrze czują.

- I słusznie - powiedział Johansson.

Potem pewnie zasnął. Tym razem nic mu się nie śniło. Obudził się, gdy za oknem zaczęło świtać. Z bolącą głową, bo zapomniał wziąć lekarstw. Wyszedł do łazienki. Ochlapał się zimną wodą. Połknął kilka tabletek więcej, na wszelki wypadek. Potem wrócił do łóżka i znów zasnął.

Rozdział 71

Niedziela, 8 sierpnia 2010 roku

Niedziela była złym dniem. Nie stała się lepsza, gdy zrozumiał, że miało to związek z wczorajszym lunchem. Pocieszał się, że Pia wróci dopiero po południu, zdąży więc doprowadzić się do porządku. Zadzwoił do niej na komórkę. Nie żeby za nią tęsknił, chciał raczej uspokoić wyrzuty sumienia. Miała wesoły głos. W lesie był prawdziwy wysyp grzybów, szkoda nie skorzystać z takiej okazji.

Ucisk w piersiach, trudności z oddychaniem, poza tym ból głowy, który nie chciał odpuścić. Z początku próbował uciec w codzienną rutynę. Wziął tabletki, potem prysznic, ogolił się. Poszedł do kuchni, żeby zrobić śniadanie. Max wszedł i zastał go stojącego przy kuchence. Spojrzał na niego ukradkiem. Nie potrafił ukryć niepokoju.

- Jak jest, szefie?

- Bywało lepiej. Ale się wyprostuje. A ty jak?

- Okej - powiedział Max. - Raz na wozie, raz pod wozem. Spoko. Szef usiądzie, ja zrobię żarcie - powiedział.

Max przejął obowiązki gospodarza, a Johansson poszedł po linii najmniejszego oporu. Poczłapał do łazienki, połknął kolejną białą tabletkę i jeszcze jedną od bólu głowy, z tych najsilniejszych. Położył się na kanapie w gabinecie i zaczął, aż Max przyniesie mu śniadanie.

Wypił kawę, wodę mineralną, świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy i dużą szklankę jogurtu. Ból minął, jego piersi, serce i płuca ogarnął spokój, wrócił mu oddech.

- Co tam, szefie? - zagadnął Max, gdy nagle stanął w drzwiach gabinetu i wskazał na tacę z resztkami jedzenia.

- Przestań się ze mną pieścić, Max - warknął Johansson. - Podaj mi lepiej książkę, tę, co tam leży - powiedział, pokazując palcem. - Tę cienką w niebieskiej okładce.

- Po niemiecku - zdziwił się Max. - Szef czyta po niemiecku?

- Tak - powiedział Johansson. - Nauczyłem się, gdy byłem sporo starszy od ciebie.

- Ja już prawie nie pamiętam rosyjskiego - powiedział Max.

- Mam ją też po szwedzku, gdybyś był zainteresowany. *Der Richter und sein Henker. Sędzia i jego kat.* Friedrich Dürrenmatt, jej autor, pochodził ze Szwajcarii, był pisarzem i malarzem. Zmarł dwadzieścia lat temu. Świetny pisarz, dobry malarz - powiedział Johansson, który lubił mieć porządek w ludziach, również w tych, których nigdy nie spotkał.

- Nie czytam za dużo książek - powiedział Max. - Zwykle siedzę przed komputerem.

- Czytanie nie boli - powiedział Johansson. - Jeśli książka jest kiepska, szybko się zorientujesz, a wtedy zostaje rzut do kosza. Jeśli jest dobra, daje ci do myślenia, a jeśli jest naprawdę dobra, możesz dzięki niej stać się lepszym człowiekiem. Tę tutaj czytałem już wiele razy.

- Chyba rozumiem - powiedział Max. - *Sędzia i jego kat.*
O czym to jest? Szef powie, gdybym miał coś zrobić.

- Zrobić co? - zdziwił się Johansson.

- Z tym pieprzonym pederastą. Tym Nilssonem, który zabił tę dziewczynkę.

- Nie - powiedział Johansson. - Sam się tym zajmę. - Czyli że się domyśliłeś - pomyślał.

W odpowiedzi Max wzruszył tylko ramionami. Potem zacisnął palce lewej ręki na tacy, skinął głową i zniknął. Bezszelestnie mimo swojego wielkiego ciała. Zamknął drzwi do gabinetu Johanssona i zostawił go sam na sam z jego myślami.

Nie - pomyślał Johansson, gdy godzinę później odłożył książkę. Nawet gdybym leżał na łożu śmierci. Ból minął. Jestem tylko zmęczony. I zasnął. Zastanawiam się, co takiego spotkało go w tym domu dziecka - pomyślał, zanim zasnął.

Gdy się obudził, obok niego siedziała Pia.

- Trochę się wystraszyłam - powiedziała. - Wiesz, jak długo spałeś?

- Tak - powiedział Johansson. Muszę do kibla - pomyślał. Ucisk pęcherza był nie do zniesienia, nawet dla prawdziwego mężczyzny.

- Chcesz zjeść spóźniony o trzy godziny lunch? - zapytała Pia i zaczęła się podnosić.

- Muszę do kibla - powiedział Johansson. - Siadaj - dodał.
- Chcę z tobą o czymś porozmawiać.

O nic nie spytała. Kiwnęła tylko głową i usiadła.

Mądra kobieta, choć raz robi to, co mówię - pomyślał

Johansson.

- Słucham - powiedziała Pia, gdy tylko wrócił.

- Znalazłem go - powiedział Johansson i z jakiegoś powodu popatrzył na kartony, które stały na podłodze.

- Żyje? - zapytała.

- Tak - powiedział Johansson. - Żyje i nie wydaje mi się, żeby szczególnie cierpiał z powodu tego, co zrobił Yasmine.

- Chryste, przecież to straszne! Nie rozumiem. Co za człowiek może zrobić coś takiego i mimo to umieć spojrzeć sobie w oczy?

- Masz rację - powiedział Johansson. - To niezbyt budująca historia.

- Czy poza tobą jest jeszcze ktoś - zapytała Pia - kto wie?

- Powiedziałem Bo - odpowiedział Johansson. A najsilniejszy chłopiec z domu dziecka doszedł do tego samodzielnie - pomyślał Johansson. Matilda może też. Jego dawni koledzy prędzej czy później też się pewnie domyślą, gdy tylko dotrze do nich, że ugrzązł w tych starych kartonach.

- Co masz zamiar zrobić?

- Właściwie nie wiem, dlatego proszę o radę swoją ukochaną żonę - powiedział Johansson z uśmiechem. Dlaczego tak powiedziałem? - pomyślał. Żeby to wykreślić, spróbować oswoić to, z czym nie da się żyć?

- Chyba nie możesz tego tak po prostu zostawić? To byłoby straszne. To nie byłbyś ty, Lars.

- W sensie prawnym nie mogę nawet kiwnąć palcem. Od jakiegoś miesiąca on jest wolny jak ptak. Zabójstwo Yasmine

uległo przedawnieniu dwudziestego pierwszego czerwca. Właśnie w tym dniu dwadzieścia pięć lat temu znaleziono jej ciało. Cała nadzieja w tym, że zmaistrował coś, co jeszcze nie uległo przedawnieniu i za co mogę go zapuszkować. Szczerze mówiąc, raczej wątpię w to, że coś takiego się znajdzie.

- A gdybyś wyszedł z tym do mediów...

- Jeśli zwrócę się do mediów, to on już nie żyje. Pewnie nawet nie zdąży pozwać mnie do sądu, zanim zabije go jakiś szajbus. Wróg publiczny - powiedział Johansson skrzywiony.

- Wiesz, kim jest jej ojciec? - zapytała Pia. - Ojciec Yasmine.

- Tak - zdziwił się Johansson. - Nie wiedziałem, że ty wiesz.

- Tak, wiem. Każdy, kto ma do czynienia z pieniędzmi, wie, kim jest Joseph Simon. Gdy zrozumiałam, czym się zajmujesz, weszłam do sieci, żeby sobie odświeżyć pamięć. Przerazająca historia.

- Mały Ciekawski George, mój własny Ciekawski George⁴ - powiedział Johansson. Mówiąc to, czuł, że dobrze jest załagodzić sprawę.

- Co chcesz teraz zrobić?

- Nie wiem - powiedział Johansson. - Nie wiem. Nie chcę mieć krwi tego sukinsyna na rękach, zwyczajnie nie mam siły ubabrać się w ten sposób.

- Jeśli jest coś, w czym mogłabym pomóc...

- Obawiam się, że nie ma. Muszę pomyśleć - powiedział Johansson i pokręcił głową.

- Żeby tylko ciebie to nie wykończyło.

- Nie - powiedział Johansson. - Jak by to wyglądało? -
Otoczył ją ramieniem i przytulił. Prawym ramieniem, które pomimo bólu w piersiach i głowie z każdym dniem było sprawniejsze. Przyjdzie czas, przyjdzie rada - pomyślał.

Rozdział 72

Poniedziałek, 9 sierpnia 2010 roku, przed południem

Poniedziałkowy poranek. Wyspana Matilda, która weszła do jego gabinetu, zanim skończył jeść śniadanie.

- Ten Joseph Simon - powiedziała. - Ten, którego szef chciał, żebym wygooglowała.

- Tak - powiedział Johansson. - Co z nim? - „Wygooglowała” - pomyślał.

- Miał wtedy żonę, mamę Yasmine. Nazywała się Maryam Ermegan. Też pochodziła z Iranu. Rozwiedli się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym, rok po zabiciu Yasmine.

- Wiem - powiedział Johansson. - Co z nią?

- Ją też wygooglowałam. W weekend nie miałam nic lepszego do roboty.

- Opowiadaj - powiedział Johansson.

Kilka lat po zabiciu córki Maryam Ermegan przeszła na islam. Pisała liczne artykuły do szwedzkich gazet, w których broniła statusu kobiety w islamie. Zestawiała go z liberalnym zachodnim sposobem postrzegania kobiet, jego praktycznym podejściem do uczuciowej i seksualnej wolności oraz uwolnienia się kobiet od mężczyzny i rodziny. Twierdziła, że chodzi nie o równouprawnienie kobiet i mężczyzn, lecz o uczynienie z kobiet łatwiejszej zdobyczy dla zachodnich

mężczyzn. Całej tej męskiej wspólnoty, której nie spajają wiara, moralność, historia ani więzi społeczne. Za każdym razem Maryam przypominała o historii swojej córki, która nigdy nie wydarzyłaby się w jej dawnej ojczyźnie, Iranie.

Jesienią tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku, czyli dziesięć lat po śmierci córki, Maryam Ermegan wzięła udział w transmitowanej na żywo debacie telewizyjnej, w której dyskutowano o pozycji kobiet w islamie, ucisku kobiet, noszeniu chust, obrzezaniu kobiet, zabójstwach honorowych i podobnych sprawach. Maryam wywołała skandal już w trakcie transmisji, a po wyłączeniu kamer próbowała wytargać za włosy kobietę prowadzącą program, chrześcijankę. Zapewniła tym sobie miejsce na pierwszych stronach popołudniówek przez kilka kolejnych dni.

- Kompletnie oszalała. Byłam pewna, że mnie zabije - opowiedziała zszokowana prowadząca reporterowi z „Expressen”.

Miesiąc później Maryam opuściła swoją przybraną ojczyznę i wróciła do Iranu. Pół roku później redakcja „Dagens Nyheter” wysłała tam reportera i fotografa z zadaniem zrobienia reportażu o niej i jej nowym życiu. Nigdy nie udało im się z nią skontaktować, zwyczajnie zniknęła bez śladu i o tym był artykuł. Czy Maryam ukrywała się z własnej woli, czy raczej pozbył się jej nieprzejednany totalitarny reżim?

Szwedzkiemu MSZ ani ambasadzie Szwecji w Iranie nie udało się rzucić światła na tę sprawę. Ponieważ przed

wyjazdem ze Szwecji Maryam Ermegan zrezygnowała z obywatelstwa szwedzkiego, urzędnicy MSZ w Sztokholmie rozłożyli ręce. Z ich punktu widzenia Maryam Ermegan była „zamkniętą sprawą poza szwedzką jurysdykcją”. Ambasador w Teheranie nie udzielał komentarzy na jej temat. Z oczywistych względów, jako że sprawa Maryam Ermegan „z powodu jej obywatelstwa była wewnętrzną sprawą Iranu i władz irańskich”.

- Myślisz, że ją zamordowali? - zapytała Matilda z zaciekawieniem. - No, ci ajatollahowie?

- Nie wiem - odpowiedział Johansson. Jakie to ma znaczenie - pomyślał - skoro życie Maryam i tak skończyło się rankiem dwudziestego drugiego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego, gdy do jej drzwi zapukali policjanci z Solnej, żeby przekazać, że znaleziono jej córkę. Że córka nie żyje i prawdopodobnie została zamordowana. Dalszych szczegółów jej oszczędzono. Brukowce nie były tak delikatne.

- Nie wiesz - powtórzyła Matilda. - Co znaczy, że nie wiesz? Nie obchodzi cię, czy co?

- Obchodzi - powiedział Johansson. - Obchodzi jak najbardziej. Najbardziej jednak obchodzi mnie to, co było przedtem. Prawo Maryam Ermegan do godnego życia. - Nie czynić jej tego, czego ona nie czyniłaby innym - pomyślał. - Wszystkiego tego, przed czym tacy jak on mieli za zadanie ją chronić. Lub przynajmniej oddać jej sprawiedliwość, gdy im się nie udało.

- Rozumiem, co masz na myśli - powiedziała Matilda. - To

mnie po prostu przerasta. Jak tak teraz pomyślę, naprawdę mogłabym zabić tego skurwysyna.

- Pozwól, że zapytam - powiedział Johansson. - Przytrafiło ci się coś, gdy dorastałaś? Zrobili ci coś jacyś koledzy albo jacyś mężczyźni? Próbowali cię wykorzystać, złamać lub jeszcze gorzej? - Znów to samo - pomyślał.

- Jak chyba każdej dziewczynie - powiedziała Matilda. Wyraźnie zdziwiona. - Może nie każdej, ale prawie każdej - dodała. - W każdym razie takiej jak ja.

- Opowiedz - powiedział Johansson. Dobrze, że Pia tego nie słyszy - pomyślał.

- Wiele lat temu, gdy byłam małą, poszłam na imprezę ze znajomymi. Był tam taki jeden chłopak. Chodził ze mną do klasy, zwykły kolega, nic nas nie łączyło. Kompletnie ześwirował, zaciągnął mnie do pokoju i spuścił mi się do ust. Powiedział, że jeśli go nie posłucham, to mnie zabije.

- I posłuchałaś - powiedział Johansson.

- Tak - odpowiedziała Matilda, wzruszając ramionami. - Byłam prawie tak samo napruta jak on. Był ode mnie dwa razy silniejszy.

- Co potem zrobiłaś?

- Nic - powiedziała Matilda. - Uważasz, że co powinnam była zrobić? Donieść na policję i zrobić z siebie szkolną *drama queen*? Nie miałam ojca. Ani starszego brata, który mógłby mu przywalić.

- Ale to był ten jedyny raz?

- Jaja sobie ze mnie robisz, co?

- Nie. Słucham.

- Za każdym razem, gdy chłopak nie daje ci spokoju, a ty nie masz już siły i wolisz zacisnąć zęby, byleby przestał cię męczyć. Wiesz, o czym mówię?

- Nie - powiedział Johansson. - Naprawdę nie. - Chyba nie - pomyślał.

- Wierzę ci - powiedziała Matilda. - Wyglądasz na takiego, który po prostu dostaje, co chce. Który nie musi o nic prosić. Powinieneś się z tego cholernie cieszyć. Wiedz, że to nie takie oczywiste. Chętnie poznałabym twoją matkę.

- Była bardzo dobrą kobietą - powiedział Johansson. Elna była dobrym człowiekiem - pomyślał. - Pozwoliła mi decydować o moim życiu. Była zawsze obok, ale nigdy się nie wtrącała. Czasem tylko w podbramkowych sytuacjach, gdy jeszcze byłem dzieckiem, ale poza tym nigdy.

- Nie musisz mi mówić - powiedziała Matilda. - Widać to po tobie. Twoja matka zrobiłaby dla ciebie wszystko, ale nie zrobiła z ciebie przy okazji maminsynka. Weźmy inny przykład. Twój najbliższy przyjaciel. On też nie musiał o nic zabiegać. Jego problem polegał raczej na tym, żeby opędzić się od dziewczyn.

- Słyszę, co mówisz - powiedział Johansson. - Ale to, co przytrafiło się Yasmine... Coś takiego nigdy ci się nie zdarzyło, tak?

- Zboczeńcy - powiedziała Matilda i wzruszyła ramionami.
- Ilu tylko chcesz. Kolesie, którzy ocierają się o ciebie w metrze, zasmarkańcy, którzy stoją na przystanku, dłubią w nosie i walą konia. Pierwszy raz w przedszkolu, gdy miałam pięć lat. Niezły cyrk. Panie przedszkolanki, rodzice,

gliny, wszyscy święci. Myślałam, że to się nigdy nie skończy. Dla mnie i dla mojej koleżanki było to strasznie obrzydliwe. I okropnie ekscytujące.

- Aha - wymamrotał Johansson. - Co mam teraz, kurwa, powiedzieć?

- To z Yasmine - powiedziała Matilda. - O ile to zostanie między nami...

- Wszystko zostanie między nami - powiedział Johansson. - O to się nie musisz martwić.

- W porządku - powiedziała Matilda. - Wierzę ci. Moja matka zawsze była lekko szurnięta, ciągle nowi kolesie, no wiesz. Dorastałam w rodzinie, która składała się ze mnie, mamy, siostry trzy lata starszej ode mnie i wszystkich tych kolesi, którzy ciągle wprowadzali się i wyprowadzali.

- Lekko nie było - powiedział Johansson. Nic dziwnego, że tak wygląda - pomyślał.

- Czy ja wiem? - zadumała się Matilda. - Wszyscy byli w miarę w porządku, matce to pasowało. Szalała z miłości, a gdy się skończyło, szalała ze smutku. Potem bardzo szybko zjawiał się nowy koles. Tylko raz kompletnie jej odbiło, kiedy okazało się, że jeden z nich sypia z moją siostrą.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Jakieś dziesięć, siostra trzynaście. To było latem. Nie miałyśmy szkoły, matka pracowała jako piguła, a jej nowy koles był bez pracy i mieszkał z nami.

- Piguła? - zdziwił się Johansson.

- Pielęgniarka - wyjaśniła Matilda. - Ciągłe dyżury i tak dalej. W każdym razie tego lata koles matki zaczął sypiać

z moją siostrą. Miała trzynaście lat, on jakieś trzydzieści. Miałyśmy wspólny pokój, więc co było robić, musiałam udawać, że śpię.

- Trzynaście lat - powiedział Johansson. Seks z nieletnią - pomyślał. Co to miało do rzeczy?

- Tak, chociaż miała włosy między nogami i cycki. Prawdziwe *boobies*, serio, chociaż miała dopiero trzynaście lat. Może trudno w to uwierzyć, jak się patrzy na mnie. Była po uszy zakochana w tym koleśku. Mnie nigdy nie dotknął. Siostra by mnie zabiła. Raz ściągnął ze mnie kołdrę i się na mnie gapił, ale tylko raz. Powiedział, że najpierw muszę trochę podrosnąć. Myślę, że był całkiem porządny, wiesz, w środku. Nie brutalny ani nic w tym stylu. Sporo pił, czasem coś wypalił, ale nie był brutalny.

- Więc co się stało? - zapytał Johansson. Ciekawe, co u Pii w banku - pomyślał.

- Matka przyłapała ich na gorącym uczynku. Naprawdę gorącym, no wiesz. Wpadła w szal, gorzej niż w cyrku. Wyrzuciła koleśka, wściekła się na niego, wyrzuciła jego rzeczy przez balkon. Wściekła się na siostrę. Na mnie też. Że o niczym jej nie powiedziałam.

- Zgłosiła go? - zapytał Johansson.

- Nie - powiedziała Matilda i pokręciła głową. - Wykupiła *last minute*. Pojechałyśmy do Grecji. Matka spotkała nowego koleśka. Siostra też. I znów były kumpelkami. Wystarczył tydzień. Jeśli chodzi o to, są dosyć podobne, to znaczy w kwestii facetów.

- A ty co robiłaś? Tego lata w Grecji.

- W sumie nie pamiętam - powiedziała Matilda. -
W każdym razie żadnych koleś. Byłam jeszcze mała.
Skakałam głównie do basenu razem z innymi dzieciakami.

- To się często zdarza? To znaczy wśród młodych ludzi
w twoim pokoleniu?

- Halo, szefie. Pobudka! Dzieciaki z blokowisk, pokolenie
lat osiemdziesiątych... Że co - szczęśliwa rodzinka? W moim
gimnazjum tylko trzy osoby z całej klasy mieszkały
z obojgiem rodziców. A było nas ponad trzydzieścioro.
Dwupoziomowe mieszkanie w środku miasta i forsy jak lodu?
Szef i ja jesteśmy z różnych planet.

- Słyszę, co mówisz - powiedział Johansson i z jakiegoś
powodu pomyślał o swoich dzieciach i wnukach. Przyszło mu
do głowy, że to ich nie dotyczy. Że oni są z tej samej planety
co on.

Rozdział 73

Poniedziałek, 9 sierpnia 2010 roku, po południu

Wieczorem zjawił się Jarnebring, żeby zdać raport z tego, co udało mu się do tej pory ustalić. Zaczął od przekazania Johanssonowi pliku świeżo zrobionych zdjęć Staffana Leandera Nilssona.

- Skąd je masz? - zapytał Johansson podejrzliwie.

- Nie martw się - powiedział Jarnebring i uśmiechnął się szeroko. - Sam je zrobiłem. Miałem chwilę, żeby przyjrzeć się draniowi. Mieszka naprzeciwko pizzerii. Wygląda na to, że jest tam stałym klientem. Gadałem chwilę z właścicielem. Mały Nilsson zwykle je tam kilka razy w tygodniu.

- Gadałeś chwilę z właścicielem. Tak po prostu - powiedział Johansson, przeglądając zdjęcia. Wygląda zupełnie normalnie - pomyślał. Nawet miło. Całkiem młodo jak na pięćdziesiąt lat, które skończy jesienią. Wzrost nieco poniżej średniej, dobra waga: ani za chudy, ani za gruby, krótko ścięte ciemnoblond włosy, lekko posiwiałe na skroniach, regularne rysy. Dobrze ubrany, ale bez szaleństw: džinsy, czerwona koszulka polo, niebieska letnia marynarka. A czego się spodziewałeś? - zapytał sam siebie. Czarnej peleryny i wystających kłów?

- Tak po prostu - powtórzył Jarnebring. - Jeszcze wiem, co robię, jeśli o to ci chodzi. Właścicielem jest Turek. Miły, porządny człowiek. Gdy Nilsson wyszedł, zajrzałem do

środku. Pomyślałem, że spróbuję podebrać szklanę, z której pił, ale już ją sprzątnęli. Nie wygląda, żeby palił albo żeby zażywał snus⁵. Może minąć trochę czasu, zanim dwóm emerytom uda się zdobyć jego DNA. Skorzystałem więc z okazji i zamieniłem słowo z właścicielem pizzerii. Wypiłem jedno piwko. Rzuciłem uwagę, że chyba znam skądś tego człowieka, który właśnie wyszedł. Że to chyba mój dawny kolega z pracy w przedsiębiorstwie przewozowym. Za kogo mnie masz, Lars - powiedział Jarnebring.

- I co powiedział ten Turek? - zapytał Johansson. To do ciebie podobne - pomyślał.

- Całkiem sporo. Że koleś nazywa się Staffan Nilsson. Że jest stałym gościem. Dobry chłopak, spokojny i ułożony. Że chyba pomyliłem się z tym przedsiębiorstwem przewozowym. Jego zdaniem Nilsson pracuje jako agent nieruchomości. Mieszkania pod wynajem, domy, hotele w Tajlandii. Prowadzi też jakiś biznes turystyczny w Åre. Ma kontakty, pomógł młodszemu bratu Turka załatwić wynajem w Solnej. Nie za darmo, jeżeli dobrze zrozumiałem, ale też nie za jakąś złojecką cenę. Krótko mówiąc, równy chłop.

- Zwyczajny uczciwy Szwed - podsumował Johansson. Nie śliniące się duże dziecko, nie pomyłony dogmatyk ze skłonnością do przemocy i dziwnymi skłonnościami seksualnymi, nawet nie gruby, łysy i ograniczony kierowca tira mówiący w dialekcie z Dalarna - pomyślał.

- Właśnie tak - powiedział Jarnebring. - Zwyczajny Svensson w średnim wieku.

- Co jeszcze masz? - dociekał Johansson.

- Trochę tego jest - powiedział Jarnebring i podał mu plik znacznie grubszy niż ten ze zdjęciami.

- Poprosiłeś Gunsan, żeby przeprowadziła rozpoznanie drania - powiedział Johansson z pretensją. - Myślałem, że coś ustaliliśmy: nie będziemy w to wciągać dawnych kolegów.

Gunsan, od trzydziestu lat w korpusie służby cywilnej w policji sztokholmskiej, poświęciła znaczną część swojego życia zawodowego na pomaganie najbliższemu przyjacielowi Johanssona w prowadzeniu wewnętrznych dochodzeń, których ten unikał jak mógł. Pewnie równie długo się w nim podkochiwała.

- Gunsan się nie liczy - powiedział Jarnebring. - Ona milczy, kurwa, jak Wielki Mur Chiński. Bez jednej rysy, bez jednej poluzowanej cegły.

- Rozumiem, że nigdy nie byłeś w Chinach - podsumował Johansson. - Co w takim razie mówi Gunsan? - zapytał.

- Sam przeczytaj - powiedział Jarnebring.

- Łeb mi pęka - powiedział Johansson i odłożył skoroszyt.
- Lepiej opowiedz.

Gunsan zrobiła to, co zwykle robiła w podobnych sytuacjach. Wprowadziła Staffana Leandera Nilssona do wszystkich baz, które mogły mieć na jego temat coś do powiedzenia. Od urodzenia do dnia, w którym spotkał Jarnebringa po raz pierwszy, nie wiedząc nawet, kogo minął, gdy wychodził z pizzerii.

- Zacznijmy od końca - powiedział Jarnebring. - Od czasu powstania tej dzielnicy, czyli od piętnastu lat, mieszka pod

tym adresem. Pewnie sprowadził się tam zaraz po powrocie z Tajlandii. Mieszkanie własnościowe, on jest właścicielem. Nie ma ani kobiety, ani dzieci. Ma za to paszport, prawo jazdy i samochód. Małe kilkuletnie renault. Podobno przyjazne dla środowiska. Już nie czerwony golf.

- Siedział za coś? - zapytał Johansson.

- Nie był nigdy skazany ani oskarżony. Ale jest kilkakrotnie notowany. Sprawy zostały umorzone.

- Co to takiego?

- Pachnie mi tu niezłym cwaniactwem - powiedział Jarnebring. - Od końca lat osiemdziesiątych ciągnie się za nim dawne podejrzenie o oszustwo podatkowe, poważne oszustwo. Umorzone kilka lat później, przestępstwa nie udowodniono. To pewnie w tym czasie uwił sobie gniazdko w Tajlandii, a chłopcom od walki z przestępczością gospodarczą nie chciało się za nim ganiać. Za takie coś nie dostałby nakazu opuszczenia terytorium kraju, nawet gdybyś wiedział, gdzie mieszka, i wystarczyłoby, żeby twoi zagraniczni koledzy po niego podjechali.

- Wiem - powiedział Johansson. - Jest coś jeszcze?

- Kilka kolejnych podejrzeń o popełnienie oszustwa. Jedno z nich dotyczy jakiegoś mieszkania, które sprzedał na czarno, ale którego nigdy nie przekazał. Również wycofane. Poza tym ktoś włożył pieniądze w jakąś inwestycję hotelarską i poczuł się wystawiony do wiatru, ale również tę sprawę zamknięto. Nie wiadomo dlaczego.

- To wszystko?

- Nie - powiedział Jarnebring. - Jest jeszcze jedno

zgłoszenie i dopiero teraz robi się ciekawie.

- Co takiego?

- Sześć lat temu, w dwa tysiące czwartym, koledzy od pornografii dziecięcej Komendy Głównej zrobili obławę w sieci. Wpadło wielu pedofilów. Takich, co to siedzą w domach, ściągają dziecięcą pornografię i zaczepiają dzieci. Był wśród nich Staffan Leander Nilsson.

- Co ty powiesz? - powiedział Johansson. - Jaki był efekt dochodzenia?

- Główny oskarżony trafił na kilka lat za kratki. Prawie wszyscy wpadli. Ale nie mały Nilsson. Prokurator wycofał akt oskarżenia przeciwko niemu.

- Dlaczego? Kupił od niego na czarno mieszkanie?

- Kupił raczej jego historyjkę - powiedział Jarnebring. - Nie kupili jej jednak nasi koledzy. Uprzedzę twoje pytanie: Nie, nie rozmawiałem z żadnym z nich. Czytałem materiały z postępowania przygotowawczego i zapis przesłuchań Nilssona. Był przesłuchiwany cztery razy, nie ma zmiłuj, ostatni raz w towarzystwie prokuratora. Po tym przesłuchaniu oczyszczono go z zarzutów, ale nie ma wątpliwości, co nasi chłopcy myśleli na ten temat. Żaden prawdziwy policjant by tego nie zrobił.

- O co w niej biega? W tej historyjce.

- Nilsson twierdzi, że wynajmował pokój jakiemuś imigrantowi z Maroka. Podobno nazywał się Ali Hussein. Spotkali się w barze gejowskim na Starym Mieście.

- W barze gejowskim? Przecież Nilsson nie jest gejem. Chciał, żeby w to uwierzyli? Że jest gejem?

- Rzeczywiście, padło pytanie o to, czy jest homoseksualistą.

- I co on na to?

- Że nie rozumie, co to ma wspólnego z dochodzeniem. Że jego orientacja seksualna jest jego prywatną sprawą.

- Jasne - parsknął Johansson. Mówił coś jeszcze?

- Twierdził, że Hussein korzystał z jego komputera, żeby surfować po stronach z pornografią, oczywiście bez jego wiedzy. Podobno hasło dostępu miał zapisane na kartce, która leżała na biurku. Jest rozżalony i wściekły na pana Husseina. Jest głęboko poruszony. Uważa, że to coś okropnego.

- Wiadomo - powiedział Johansson. - Co na to Ali?

- Niestety, Ali nie został przesłuchany, bo nie udało się go znaleźć. Według Nilssona mogło to mieć coś wspólnego z tym, że Ali przebywał w Szwecji nielegalnie. Nilsson nabrał podejrzeń po kilku miesiącach znajomości. A gdy zapytał o to Alego wprost, ten szybciotko się wyprowadził. Spakował manatki i zniknął w ciągu jednego dnia.

- Do jasnej cholery! - powiedział Johansson. - Co za prokurator kupił taką historyjkę?

- Nilsson pokazał im umowę najmu. Podpisaną przez wynajmującego Staffana Nilssona i najemcę Alego Husseina. Standardowa umowa, z której wynikało, że wynajmował pokój w swoim czteropokojowym mieszkaniu z kuchnią na sześć miesięcy. Ali rzekomo dał nogę po trzech miesiącach, w dodatku nie zapłacił.

- Jakie zdjęcia miał niby ściągać ten Ali?

- Głównie dziewczynek. Czasem jakiegoś chłopca, ale tylko wtedy, gdy chłopiec był niezbędny dla akcji. Tematem są dziewczynki. Małe dziewczynki zmuszane przemocą do seksu, które znalazł na stronach „Dziewczynki z zakładu wychowawczego”, „Surowy nauczyciel”, „Obóz dziecięcy”, „Dzieci na sprzedaż”, „Mała żydowska dziewczynka opowiada”. Przystępne do bólu. Zarówno jako pornografia dziecięca, jak i w ogóle ostra pornografia. Cała ta ohyda, wiesz.

- Słyszę, co mówisz - powiedział Johansson. Tacy jak on uprawiają seks z małymi dziewczynkami. To dlatego Nilsson sugeruje, że jest pedziem. Żeby pokazać, że to, co ma w komputerze, to nie jego bajka - pomyślał.

- Co o tym myślisz? - zapytał Jarnebring.

- To co ty - powiedział Johansson.

- Heteroseksualny pedofil. Sadysta. Podnieca go seks z dziewczynkami. Wcześniej lubi spuścić im lanie.

- I prokurator umorzył coś takiego? - zastanowił się Johansson. Gdzie się podział czuły pedofil? - pomyślał.

- Yes - powiedział Jarnebring i się skrzywił. - Może to z powodu nicków, których Ali Hussein używał w sieci? „Władca Hussein”, „Master Ali”, „The Arabian Slaveowner”. Harem jako motyw przewodni. Mocny argument za istnieniem Alego Husseina.

- Do diabła - powiedział Johansson. - A koledzy pukali do sąsiadów? Rozmawiali z nimi? Znaleźli kogoś, kto widział Husseina? Kogoś poza samym Nilssonem, kto mógłby poświadczyć, że Hussein istnieje?

- Nie - powiedział Jarnebring. - Widać o tym nie pomyśleli. Pewnie nie mieli czasu. Wtedy nie groził za to wysoki wyrok. Typowe przestępstwo podlegające grzywnie.

- Masz coś jeszcze? - zapytał Johansson.

- Jak już mówiłem, pachnie mi tu oszustwem. Dyrektor Staffan Leander Nilsson jest właścicielem trzech małych spółek. Pierwsza to Staffan Leander Holding Spółka Akcyjna. Ta z kolei widnieje jako właściciel Leander Thai Invest SA i Staffan Nilsson Nieruchomości i Hotele SA.

- Czy obracają jakimiś pieniędzmi?

- Gunsan twierdzi, że nie. Żadne poważne sumy, głównie powietrze. Twojemu bratu Evertowi raczej nie pociekłaby na to ślinka. Wszystkie spółki Nilssona są zarejestrowane na jego adres. Oprócz Nilssona, który prowadzi jednoosobową działalność gospodarczą, w zarządach spółek pojawiają się jeszcze dwie osoby. Zdaniem Gunsan to pewnie księgowi. Wszystko to budzi wątpliwości, ale raczej nie jest nielegalne.

- A czy on sam ma jakieś pieniądze? Ile ten sukinsyn zarabia?

- Mniej niż ty, Lars. Znacznie mniej. - Jarnebring uśmiechnął się szeroko. - Nie masz się o co martwić. W porównaniu z tobą to biedak, a na biurku twojego brata jest mniejszy niż pyłek kurzu. Kilkaset tysięcy rocznie, jeśli wierzyć jego deklaracjom podatkowym. Część tych pieniędzy pochodzi zresztą z ubezpieczenia emerytalnego, które jego mamusia podpisała przed pięćdziesięcioma laty. Syn jest jedynym beneficjentem.

Bo jej brat rzeźnik nie żyje - pomyślał Johansson. Vera

Nilsson, porządna, pracowita, uczciwa. Dobra matka, która ma syna dzieciobójcę.

- Ziarnko do ziarnka i po latach uzbierała się ładna sumka. Dostaje jakieś pięćdziesiąt tysięcy rocznie z samego ubezpieczenia. Aż do śmierci, jeśli dobrze zrozumiałem.

- Zaczekaj - przerwał Johansson. - Takie pieniądze są wypłacane dopiero, kiedy przekroczysz pięćdziesiąt pięć lat?

- Mnie nie pytaj - powiedział Jarnebring. - Może wypłacają mu je dlatego, że w ubiegłym roku przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Uraz kręgow szyjnych. Został uderzony w tył głowy na rondzie przy Gullmarsplan. Ubezpieczyciel sprawcy musiał hojnie sypnąć groszem.

- To wszystko? - zapytał Johansson. Uraz kręgow szyjnych, skolioza... Nilsson nie miał lekko - pomyślał. Ciekawe, ile pieniędzy udało mu się wycisnąć.

- Z grubsza tak. Jeśli o czymś zapomniałem, znajdziesz to w teczce od Gunsan.

- Słyszę, co mówisz - powiedział Johansson. - Pedofil, sadysta, zabójca dzieci, wciąż aktywny. - Skoro przez całe życie zabiłem na polowaniach setki niewinnych zwierząt, to może trochę więcej krwi na rękach nie zrobi większej różnicy - pomyślał.

- Znowu tak wygląda - pomyślał Jarnebring - jakby był nieobecny.

- Co powiesz, Lars? - zapytał Jarnebring. - Może skoczmy wieczorem obwąchać sukinsyna?

- Tak - powiedział Johansson. Najpierw mu się przyjrzę - pomyślał. Najpierw mu się przyjrzę, a potem z nim

porozmawiam. I wtedy będę musiał coś zrobić.

Rozdział 74

Poniedziałek, 9 sierpnia 2010 roku, wieczorem

Gdy Pia wróciła z pracy do domu, jej mąż, jego najbliższy przyjaciel oraz ich nowy pomocnik stali w holu gotowi do drogi.

- Chłopcy jadą na miasto - stwierdziła Pia. - Pamiętajcie, żeby wziąć chlebaki i termosy. Macie coś ciepłego? Jest trzynaście stopni. Nie chcę, żeby Lars się przeziębził.

- Uważaj na siebie, kochanie - powiedział Johansson. - Nic się nie martw.

Jarnebring zaczął wydawać rozkazy już na ulicy, jeszcze zanim wsiedli do samochodu.

- Max, prowadzisz - powiedział. - Ty, Lars, usiądziesz z przodu, a ja z tyłu, żebym mógł swobodnie pstrykać zdjęcia. Jakies pytania?

- Żadnych pytań - powiedział Max.

- Żadnych pytań - powtórzył Johansson.

- Miejsca przydzielone - powiedział Jarnebring z ponurą miną. - No to po garach - dodał na wszelki wypadek.

- Jaki masz plan? - zapytał Johansson. Ciekawe, czy dostanę kanapkę - pomyślał. Powoli robię się głodny.

- Może zaczniemy jak zwykle - powiedział Jarnebring zadowolony. - Podzwonimy sobie do sukinsyna.

- Ty czy ja? - zapytał Johansson. Nie będzie kanapki -

pomyślał.

- Może zrobimy ten numer z koleśm ze Skåne - powiedział Jarnebring. - Słyszales, jak robię koleśia ze Skåne?

Do znudzenia i we wszystkich możliwych odślonach - pomyślał Johansson. - Pierwszy raz jakieś czterdzieści lat temu - powiedział. - Zdaje mi się, że jesienią siedemdziesiątego piątego, kiedy pracowaliśmy nad domowymi prostytutkami.

- Jeśli nie masz specjalnych życzeń, pomyślałem o Larrym z Ängelholm, tym niezdecydowanym, no wiesz.

- Liczyłem na Börjega - powiedział Johansson. - Börjega z Kristianstad. Tego nadętego choleryka.

- Nie ma co straszyć sukinsyna.

Jarnebring pokręcił głową, wziął komórkę i wybrał numer do mieszkania Staffana Leandera Nilssona na bulwar Gustawa III w Frösunda. Staffan Nilsson odebrał po trzecim sygnale. Potem zaczęła się zakręcona rozmowa trwająca dwie minuty, którą Nilsson ze spokojem zakończył, odkładając słuchawkę.

- Nilsson - powiedział Staffan Nilsson poprawnym głosem.

- Ej, cześć, Staffan - odpowiedział Jarnebring gardłowym głosem. - Dzwoni Larry. Co u ciebie, Staffan? W porządku, mam nadzieję.

- Przepraszam - powiedział Nilsson. - Nie usłyszałem nazwiska - głos poprawny, wyczekujący.

- Larry, Larry Jönsson. Spotkaliśmy się w Związku Rolników w Ängelholm, pamiętasz? Obiecałem, że się

odezwę, gdy będę w okolicy. Właśnie przyjechaliśmy z żoną do Sztokholmu. Pomyślałem...

- Obawiam się, że to pomyłka - powiedział Nilsson zmęczonym głosem. - To nie ten numer.

- Nie ten numer? A to nie Staffan Nilsson z Solnej? Co pracuje w Bilia? Bilia w Haga Norra, to chyba tam, nie? Larry, Larry Jönsson. Spotkaliśmy się u mnie wiosną...

- Pomyłka - powtórzył Staffan Nilsson. - Nazywam się Staffan Leander Nilsson. Obawiam się, że nigdy się nie spotkaliśmy. - Nilsson, jeśli sądzić po tonie jego głosu, zdążył uznać Larry'ego Jönssona za przygłupa.

- A to ci heca! - powiedział Larry. - Ty, ale...

- Wybacz - przerwał Staffan Nilsson. - Trochę się spieszę. Idę na kolację ze znajomym, rozumiesz. - I odłożył słuchawkę.

- Ładnie - powiedział Max i uśmiechnął się zachwycony.

- Larry to klasyk - powiedział Jarnebring. - Gdy z Larsem rozpracowywaliśmy te prostytutki w latach siedemdziesiątych, dzwonił do dziewczyn, wypytywał o ceny i dostępne usługi.

- I co, działało? - Max z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Widać i tym razem - powiedział Jarnebring, pokazując palcem Staffana Nilssona, który właśnie wyszedł z drzwi swojego domu.

- Nie kłamał - stwierdził Jarnebring, gdy pół minuty później Nilsson wszedł do restauracji, przywitał się z właścicielem i usiadł na krześle przy barze.

- Przynajmniej nie tym razem - powiedział Johansson. -

Ale znajomego jeszcze nie widać.

- Co robimy? - zapytał Max, wyłączając silnik.

- Czekamy - powiedział Jarnebring. - W czasie śledztwa głównie się siedzi i czeka.

Jak na polowaniu - pomyślał Johansson. Na polowaniu też się głównie czeka. Czekają, aż zdarzy się to, co prawie nigdy się nie zdarza.

- Jak na polowaniu - powiedział Max.

O kurwa - pomyślał Johansson. Tego Max raczej nie nauczył się w domu dziecka.

- Czyli że wiesz - powiedział. - Evert cię nauczył?

- Mam to we krwi - powiedział Max i wzruszył ramionami.

- Chociaż Evert często mnie zabiera, gadamy o łosiach, zajęcach i takich tam pardwach.

Słysząc - pomyślał Johansson.

- Dobry jesteś? To znaczy w polowaniu.

- W każdym razie nie spotkałem nikogo, kto byłby ode mnie lepszy - powiedział Max i ponownie wzruszył ramionami. Siedział lekko odchyłony do tyłu, z wielkimi dłońmi opartymi o kolana.

W samochodzie czekali blisko półtorej godziny. Znieruchomiały Max wpatrywał się w mężczyznę siedzącego pięćdziesiąt metrów przed nimi za barem pizzerii. Przez cały ten czas nie odezwał się ani słowem. Zagadywany ledwo odpowiadał. Jego głęboko osadzone szare oczy przysłonięte krawędziami oczodołów przypominały wąskie otwory strzelnicze. Ani jednego mrugnięcia, najmniejszej zmiany na skupionej twarzy, gdy tak obserwował zwierzynę.

Staffan Nilsson coraz częściej zerkał na zegarek. Po pięciu minutach zadzwonił z komórki, pół minuty później włożył ją z powrotem do kieszeni i dopił kieliszek czerwonego wina. Dostał drugi kieliszek, a po pięciu minutach kolejny raz wybrał numer. Tym razem najwyraźniej zostawił wiadomość. Schował telefon. Wydawał się spięty. Niespokojny, zniecierpliwiony. Wstał, powiedział coś do mężczyzny za barem, wypił drugi kieliszek, wziął trzeci i kartę dań, a potem usiadł przy niewielkim stoliku w rogu, skąd miał dobry widok na wejście do restauracji.

- Czujny z niego skurczybyk - stwierdził Johansson. Też bym wybrał ten stolik - pomyślał.

- Coś się widać stało z jego znajomym - stwierdził Jarnebring.

- Można prosić kanapkę? - poprosił Johansson. - I kawę - dodał.

- *Coming right up*, szefie - powiedział Jarnebring z tą wesołością w głosie, która kiedyś zawsze się pojawiała, gdy byli w terenie. - Co myślisz, Lars? Może wejdę do środka i spróbuję podebrać mu kieliszek?

- Zostaw - powiedział Johansson. - W środku jest tylko pięciu klientów. Zaczekajmy chociaż, aż się trochę zapełni.

Potem Nilsson dostał zamówione danie razem z czwartym kieliszkiem czerwonego wina. Jedząc, zadzwonił jeszcze dwa razy, najwyraźniej bez skutku. Po półgodzinie zamachał ręką na kelnera, który zabrał talerz i pusty kieliszek, a po chwili wrócił z filiżanką kawy i piątym kieliszkiem.

- Sukinsyn nie wylewa za kołnierz - stwierdził Johansson

z wyrzutem, odwijając folię z trzeciej kanapki.

- Zazdrościsz mi, Lars - powiedział Jarnebring, który nawet nie tknął prowiantu. - Następnym razem poprosz Maxa, żeby ci przygotował trzydaniowy posiłek. Kieliszeczek wódki, szklanekę zimnego pilznera i trochę dobrego czerwonego wina, czy co tam pijesz.

- Chyba czas się ruszyć - powiedział Johansson. - Wygląda na to, że Nilsson zbiera się do wyjścia.

Nilsson podniósł się, wziął filiżankę i pusty kieliszek, podszedł do baru. Odstawił naczynia i wyjął portfel, żeby zapłacić.

- Zmieniam pozycję - poinformował Max, włączył silnik i podjechał sto metrów dalej. Zatrzymał się w chwili, gdy Nilsson wyszedł z knajpy i skierował się w stronę swojego domu.

- Ciekawe, co się stało z jego znajomym? - zapytał Johansson i zabrzmiało to tak, jakby myślał na głos.

- Pewnie mama zabroniła jej wyjść - powiedział Jarnebring. - W końcu jest ósma wieczorem. O tej porze dziewczynki powinny już spać.

Pięć metrów od wejścia do budynku Nilsson stanął. Spojrzał na zegarek. Minął wejście. Przyspieszył.

- Ciekawe, co teraz wymyśli - zdziwił się Jarnebring.

- Parkowanie według daty - wyjaśnił Johansson, który w odróżnieniu od swojego najbliższego przyjaciela przez całe dorosłe życie mieszkał w centrum i nieraz miał okazję przekonać się, co to znaczy. - Wydaje mi się, że idzie

przestawić samochód. Zanim wróci do komputera, żeby sobie posurfować po stronach pornograficznych na konto nowego najemcy.

Dwie minuty później Nilsson zaparkował samochód po drugiej stronie ulicy, wysiadł i szybko zniknął w budynku.

- Do kurwy nędzy! - syknął Jarnebring. - Gdybyśmy byli na służbie, zatrzymalibyśmy sukinsyna, kazali mu dmuchnąć w balonik, sporządzili notatkę, zachowali rurkę i byłoby po krzyku.

- To się da załatwić inaczej - powiedział Max.

- Tylko spokój - powiedział Johansson. - Ten typek raczej nam nie ucieknie. - Nie wiem, czy to był dobry pomysł, żeby ciągnąć ze sobą Maxa - pomyślał.

- Co robimy? - zapytał Jarnebring. - Przerywamy, czy jak?

- Jeśli panowie zamierzają siedzieć w okopie przez pół nocy, to proszę bardzo. Osobiście zamierzałem jechać do domu, zjeść omlet z szynką i wypić dwa kieliszki czerwonego wina.

- Brzmi nieźle - powiedział Max i kiwnął głową.

- No to siup - powiedział Jarnebring. - Kierunek dom. Zjemy coś i pogadamy, co dalej. A mały Nilsson będzie sobie w tym czasie walić konia przed komputerem.

Ciekawe, na kogo Nilsson czekał tym razem - pomyślał Johansson przed zaśnięciem.

Rozdział 75

Wtorek, 10 sierpnia 2010 roku

Higiena osobista, śniadanie, a potem jak co dzień rehabilitacja. Akurat w ten wtorek dodatkowo wizyta u osobistego kardiologa. EKG, ultrasonografia, pomiar ciśnienia, a na koniec zmartwiony kardiolog kręcący głową.

- Ponieważ chciałeś, żebym wyrażał się jasno, powiem, że miałem pacjentów, z którymi było lepiej niż z tobą - stwierdził doktor i pokiwał przyjaźnie głową.

- Wierzę - powiedział Johansson. - Ale byli też tacy, z którymi było gorzej, prawda?

- Problem w tym, że większość z nich już nie żyje - odpowiedział doktor. - Przytyłeś dwa kilo od ostatniej wizyty. Rozumiem, że masz w nosie moje porady żywieniowe i to, co ci powiedziałem o ruszaniu się. Ciśnienie krwi jest jeszcze gorsze niż ostatnim razem. Tak złe, że muszę ci zwiększyć dawkę leków na jego obniżenie. Wiedz, że to rozwiązanie na krótką metę. Zdrowe jedzenie, ruch, zero stresu. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

- Mnie nie pytaj, to ty jesteś lekarzem - powiedział Johansson.

- Odniosłem inne wrażenie. Co to za problem, żeby posłuchać moich zaleceń?

- Co to za życie, w którym tylko liczy się dni do końca? - zapytał Johansson i wstał.

Pojechali z Maxem na Söder. Chłopak przyglądał mu się ukradkiem i nie odezwał się ani słowem, aż zaparkował przed budynkiem na Wollmar Yxkullsgatan.

- Jak się szef czuje? - zapytał Max.

- Dobrze, Max - odpowiedział Johansson. - A ty?

- Coś mi mówi, że lepiej niż szef - powiedział Max.

- Gadanie - mruknął Johansson. Uśmiechnął się i poklepał Maxa po ramieniu. - Daj znać, gdybyś chciał się posiłować.

Max się nie uśmiechnął. Spojrzał tylko i pokręcił powoli głową.

- Szef powie, gdybym miał coś zrobić.

- Miło z twojej strony.

- Wiem, jak to jest, gdy ktoś zjada człowieka od środka - powiedział Max.

Po lunchu Johansson wyciągnął się na kanapie w gabinecie. Matilda ułożyła mu poduszki za głową. Przyniosła dużą butelkę wody mineralnej w pojemniku z lodem. Spojrzała na niego, przechylając głowę.

- Zawołaj, gdybyś czegoś potrzebował - powiedziała.

- Przestań się ze mną pieścić - mruknął Johansson.

Potem zasnął. Gdy się obudził, Pia siedziała obok i wodziła palcami po jego policzkach i czole.

- Co powiedział lekarz? - zapytała.

- Bajka - powiedział Johansson. - Jest jak w bajce.

- Mówisz serio? - Pia uśmiechnęła się słabo.

- Nie przyszłoby mi do głowy cię okłamywać - skłamał Johansson i bez większego wysiłku usiadł na kanapie. Prawe

ramię - pomyślał. Przynajmniej z prawym ramieniem było coraz lepiej. Pewnie tęskni za polowaniem na łosie, jak jego pan.

- Masz siłę rozmawiać?

- Jasne - powiedział Johansson. Pod warunkiem że nie będziemy rozmawiać o mnie - pomyślał.

- Myślałam o tym, o czym rozmawialiśmy przedwczoraj. O człowieku, który zamordował Yasmine - powiedziała Pia.

- Co z nim?

- Nie o nim teraz mowa. Gdyby to było któreś z twoich dzieci lub wnuków. Co byś wtedy zrobił?

- Zabiłbym go - powiedział Johansson. - W zgodzie ze Starym Testamentem. Oko za oko, ząb za ząb. - Odliczałbym ciosy - pomyślał.

- Gdy rozmawialiśmy o tym ostatnio, odniosłam inne wrażenie. Miałam nadzieję...

- To dlatego, że nie rozmawialiśmy o mnie - przerwał jej Johansson. - Dla mnie nienawiść to kwestia dystansu. Gdy odległość maleje, sytuacja się zmienia. Gdyby ktoś skrzywdził ciebie, moje dzieci lub moje wnuki, to gdybym nie miał innego wyjścia... Czy potrafiłbym wówczas zabić? Oczywiście.

- Ze względu na mnie... - zaczęła Pia.

- Ze względu na ciebie? Co masz na myśli?

- Mam nadzieję, że ze względu na mnie wybierzesz inne rozwiązanie.

- Nie bój się - powiedział Johansson i wziął ją za rękę. - Obiecuję, że pomyślę dwa razy, zanim cokolwiek zrobię.

- Nie możesz tego po prostu zostawić? Boję się o twoje zdrowie.

- Wykluczone - powiedział Johansson. - Co by to było, gdyby ktoś taki jak ja zostawił coś takiego? Do czego by to doprowadziło? Ani ty, ani ja nie chcielibyśmy żyć w takim świecie.

Rozdział 76

Środa, 11 sierpnia 2010 roku

Alf zadzwonił jeszcze przed śniadaniem i zapytał Johanssona, czy może zaprosić go na lunch. No to ładnie, kurwa - pomyślał Johansson. Ciekawe, na ile wystawi mi fakturę.

- Udało mi się dotrzeć do pewnych informacji, które, jak sądzę, mogą się bratu wydać interesujące - powiedział Alf. - Chodzi o pierwszy pobyt Staffana Nilssona w Tajlandii. Pod koniec lat osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych.

- Powiadasz - rzekł Johansson. Ciekawe - pomyślał.

- Okazało się, że jeden z moich starych znajomych zna dobrze Nilssona. Jesteśmy braćmi zakonnymi, on też jest członkiem Wielkiego Zgromadzenia. Pod koniec lat osiemdziesiątych wszedł w ten sam co Nilsson projekt hotelarski, choć to bardzo poważny człowiek. Trochę starszy od brata i ode mnie. Mieszkał w Tajlandii przez wiele lat, zwykle kilka lat z rzędu. Po tsunami prawie wszystko sprzedał, zostawił sobie chyba tylko jakieś mieszkanie na wynajem. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałem zaproponować, żebyś się z nim spotkał. Pomyślałem, że byłoby dobrze, gdybyś wszystkiego dowiedział się u źródła.

- Jasne - powiedział Johansson. - Co mu powiedziałaś o tym, dlaczego interesuję się Nilssonem?

- Powiedziałem, że Nilsson zwrócił się do ciebie

z pytaniem, czy chciałbyś zainwestować w jego nowy projekt w Tajlandii. Że poprosiłeś mnie, żebym sprawdził, jaką jest osobą i potencjalnym partnerem biznesowym. Dyskrecja gwarantowana, że tak się wyrażę - zaznaczył Alf i odchrząknął ostrożnie.

- Doskonale - powiedział Johansson. - Gdzie i kiedy?

- Skoro tak, proponuję Zgromadzenie - powiedział Alf. - Dziś koło pierwszej, wtedy nie będzie ścisku, będziemy mieli chwilę spokoju.

Gdy Johansson punkt pierwsza wszedł do jadalni Wielkiego Zgromadzenia na Blasieholmen, nie było wątpliwości, że ścisku już nie ma. W rogu wielkiej sali siedział jakiś dziadek w garniturze z kamizelką. Dłubał w śledziu, czytając „Dagens Industri” i dopijając coś, co z początku było pewnie jednym głębszym. W przeciwległym rogu sali siedzieli towarzysze lunchu Johanssona, szwagier Alf i starszy od niego o kilka lat mężczyzna z wyglądu zaskakująco do niego podobny: wysoki, szczupły, lekko przygarbiony, łysiejący, z ładną opalenizną. W niebieskiej marynarce z naszywką KSSS⁶, szarych płóciennych spodniach i wypolerowanych brązowych butach. Poza nimi nie było nikogo, jeśli nie liczyć kelnera, który wyczekująco stał pod drzwiami do kuchni.

- Cieszę się, że wreszcie mogę cię poznać, Larsie Martinie - powiedział nowy informator Johanssona z uśmiechem w oczach i na ustach. Błysnął równymi białymi zębami i wyciągnął do niego zylastą, spaloną słońcem dłoń. - Chrześniaczka mojej siostry jest policjantką, związała się z jednym z twoich dawnych współpracowników. Dużo o tobie

słyszałem przez te wszystkie lata. Mam na imię Carl, moi przyjaciele mówią do mnie Calle, Calle przez „c”. Jest mi niezmiernie miło, że mogłem przyjąć twoje zaproszenie na lunch.

„Przyjąć twoje zaproszenie na lunch” - pomyślał Johansson. Wszystko jasne. Spojrzał z ukosa na Alfa, który wyglądał, jakby myślami był zupełnie gdzie indziej.

- Dziękuję, Calle - powiedział Lars Martin Johansson i przyjaźnie poklepał swojego nowego przyjaciela po ramieniu, ponieważ wciąż nie mógł podawać na przywitanie prawej dłoni. (Jego skrupulatny szwagier na pewno zdążył już opowiedzieć, co się stało). - Moi przyjaciele mówią na mnie Lars - powiedział. Nazwij mnie Lasse, to cię zabiję - pomyślał.

Usiadł z trudem na krześle i odstawił kule. - Twoja chrześnica, jak się nazywa twoja chrześnica? - zapytał. Kątem oka zobaczył, jak kelner podrywa się z miejsca, żeby mu pomóc.

- To twoja młodsza koleżanka - powiedział Calle. - Susanne Söderhjelm. Pracowała dla ciebie w czasie, gdy byłeś szefem Komendy Głównej. Związała się z jednym z twoich najbliższych współpracowników, komisarzem Wiklanderem. Może słyszałeś?

Czyli że wreszcie się zdecydowali. Najwyższy czas - pomyślał Johansson. Jaki ten świat mały. Muszę zadzwonić do Wiklandera. Nie mieliśmy zbyt często kontaktu, odkąd odszedłem.

- Dwoje świetnych ludzi - stwierdził Johansson. -

Wyjątkowo kompetentni - podkreślił. Już wystarczy - pomyślał.

- Jak się ma takiego przełożonego... - powiedział Calle z uśmiechem. - Zamówiliśmy sobie z Alfem po zimnym piwku, w końcu wciąż jest lato. Ale jeśli brat ma ochotę na coś innego, to śmiało. Zastanawiałem się, czy nie wziąć sobie małego drinka. Na lunch akurat.

- Brzmi nieźle - powiedział Johansson i skinął na kelnera, który był na tyle taktowny, że nie podniósł z ziemi jego kuli.

- Dopiero zabrzmiał - powiedział Calle. - W takim razie poproszę o jeszcze jedno zimne piwo i dwa naprawdę zimne drinki według mojego własnego przepisu - zwrócił się do kelnera. - I nie przesadz z martini. Wystarczy, że machniesz w powietrzu butelką.

- Oczywiście, dyrektorze Blomquist - powiedział kelner i lekko się uklonił. - A panowie dadzą mi znać, gdy będą już gotowi zamówić coś do jedzenia.

- Kalle Blomkvist⁷ - pomyślał Johansson. - Co prawda, przez „c” i jeszcze „q” i „u”. Niezależnie od wszystkiego, było to nazwisko, które zobowiązywało, bo zaważyło na jego życiowych wyborach jeszcze w czasach, gdy w rodzinnym gospodarstwie w północnym Ådalen biegał w krótkich spodenkach, wciąż objając sobie kolana.

Pół godziny później, gdy wychylili po kieliszku dry martini, a przed sobą mieli talerze ze śledziem, nowy brat Johanssona przeszedł w końcu do rzeczy.

- Twój szwagier Alf wspominał, że zwrócił się do ciebie Staffan Nilsson - powiedział Calle. - Jakaś inwestycja

budowlana w Tajlandii. Chce, żebyś w to wszedł.

- Nigdy go nie spotkałem - powiedział Johansson i pokręcił głową, posypując jednocześnie szczypiorkiem matiasa podanego z młodymi ziemniaczkami, tłustego i połyskującego.

- Wysłał mi stos materiałów - ciągnął dalej. - Mój brat Evert poprosił mnie, żebym na to spojrział. Jestem w zarządzie rodzinnej spółki budowlanej, a brat nie miał na to czasu. Chodzi tu o mieszkania na wynajem i domy na własność lub współwłasność, hotele, restauracje. Obsługa i co tam jeszcze. W Khao Lak w Tajlandii. Nawet nie wiem, gdzie to. Łącznie na sumę kilkuset milionów, przy czym nasz udział miałby wynosić dziesięć procent - powiedział Johansson bez zająknięcia, ponieważ po rehabilitacji spędził pół godziny na czytaniu papierów od Gunsan.

- Na miejscu twojego brata byłbym bardzo ostrożny z tym człowiekiem - powiedział imiennik mistrza detektywów. Żeby nie było wątpliwości, pokręcił do tego głową i ostrzegawczo uniósł widelec.

- Powiadasz - rzekł Johansson. - No to dawaj - powiedział. Świadek to ktoś, kto ma coś do powiedzenia, a ten robi to z klasą - pomyślał.

Przestroga. Nie dlatego, że Calle znał projekt, do którego współfinansowania zachęcano Johanssona i jego brata. Sprzedał swoje udziały w Tajlandii tuż po tsunami. Teraz jeździł tam tylko jako turysta z żoną, dziećmi i wnukami. Miał nawet dom na północ od Khao Lak, należący do całej jego rodziny. Fantastyczny kraj, fantastyczny klimat, niemniej

fantastyczni ludzie. A mimo to – przestroga. Staffan Nilsson *vel* Staffan Leander Nilsson *vel* Staffan Leander nie był człowiekiem, z którym robiło się interesy.

- Powiadasz – zastanowił się Johansson. – Na czym polega problem? Mógłbyś go opisać? Jak już mówiłem, nigdy nie spotkałem tego Nilssona, nawet nie rozmawiałem z nim przez telefon.

- Leniwy, niekompetentny drań. Takich jak on nie dotyka się nawet cęgami.

- Powiadasz – powtórzył Johansson.

W połowie lat osiemdziesiątych dyrektor Carl Blomquist zainwestował sporą część tego, co zarobił na szwedzkiej giełdzie, w udziały w projekcie hotelarskim na wschodnim wybrzeżu Tajlandii. W zatoce niedaleko Koh Samui, wówczas jeszcze niezagospodarowanej, dziewiczej i pięknej w sposób, jaki Szwedowi trudno sobie nawet wyobrazić. Był to projekt nowatorski choćby dlatego, że skierowany do rodzin z dziećmi. Przystawicielei klasy średniej w średnim wieku, którzy potrzebowali słońca i ciepła, spokoju i ciszy, przyprawionego z wyczuciem dobrego jedzenia z nutą egzotyki. I może jednego albo dwóch drinków z parasolką wypitych w towarzystwie żony. W tym czasie opiekunki i animatorzy mieliby doglądać ich potomstwa.

- Nie tłumy awanturujących się dwudziestolatków, nie dyskoteki i bary z prostytutkami, nie to wszystko, co niestety nadal kojarzy się z turystyką w Tajlandii – powiedział Carl Blomquist, polewając brązowym sosem podany mu właśnie Biff Rydberg⁸.

- W którym momencie do projektu włączył się Staffan Nilsson? - zapytał Johansson, podejrzliwie dłubiący w befsztyku z chrzanem. Po bliższej analizie doszedł do wniosku, że powinien być go sobie darować.

- Ja i mój wspólnik szukaliśmy współinwestorów. Nie chcieliśmy prowadzić tego sami. Z pomocą przyszedł nam bank. To oni, w tym czasie miałem jeszcze konto w SEB, podesłali nam młodego Nilssona. Mówię „młodego Nilssona”, ponieważ był jakieś dwadzieścia lat młodszy ode mnie i mojego wspólnika. Jeszcze przed trzydziestką, o ile dobrze pamiętam.

- Czarujący, miły. Miał pieniądze. Wszedł z paroma milionami, które odziedziczył po matce. Daliśmy się nabrać i pozwoliliśmy mu wejść na pokład - westchnął Calle Blomquist.

- Smutne - przytaknął Johansson.

- Niestety, popełniliśmy jeszcze większy błąd.

- Ach tak - powiedział Johansson, starając się, by nie zabrzmiało to zbyt natarczywie.

- Jeszcze zanim w to wszedł, powiedział nam, że chce się przeprowadzić do Tajlandii, opuścić Szwecję na zawsze. W końcu było to w tym samym roku, w którym zginął Palme, wczesnym latem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego. Nie trzeba było być zwolennikiem opozycji, żeby sądzić, że Szwecja schodzi na psy. Nilsson nie był więc w swoich planach odosobniony. Chciał przeprowadzić się do Tajlandii, wykupić udziały w jakimś biznesie z branży hotelarsko-restauracyjnej lub rozpocząć prowadzenie takiego

biznesu. Osiąść w nowym kraju i tam zadbać o swoją przyszłość. Brzmiało to całkiem sympatycznie, co do tego byliśmy ze współnikiem zgodni. Tym bardziej że Nilsson, bo to akurat sprawdziliśmy, miał wysokie kwalifikacje w tej dziedzinie. Już od szkoły podstawowej pracował w tym biznesie podczas wakacji. Na długo przed rozpoczęciem studiów ekonomicznych na uniwersytecie w Uppsali. Ze specjalizacją z hotelarstwa. Wydaje mi się, że właśnie tak to określił.

- Więc go zatrudniliście - powiedział Johansson. - Żeby się wszystkim zajął. - Toście nieźle sprawdzili tego mitomana - pomyślał.

- Mieliśmy ze współnikiem tu na miejscu mnóstwo roboty. Zatrudniliśmy kompetentnych lokalnych pracowników. Przez tajskiego współpracownika, którego przyjęliśmy na stanowisko dyrektora do spraw kadrowych. Jednocześnie wydawało nam się, że byłoby dobrze mieć na miejscu Szweda. Coś jak przedłużone ramię, szwedzki łącznik. Tym oto sposobem młody Nilsson został wicedyrektorem odpowiedzialnym za sprawy finansowe.

- I się zjechało - powiedział Johansson, odsuwając na brzeg talerza poszarzały befsztyk. Odbiję sobie przy deserze - pomyślał.

- Ale nie od razu. Na ekonomii Nilsson nie znał się wcale. Akurat na to wpadliśmy dosyć szybko.

- Kradł - stwierdził Johansson.

- Tak, chociaż to nas akurat bardzo nie zdziwiło. Nie w tej branży. Nie kradł bardziej niż inni. Było coś gorszego. Kiedy

się zorientowaliśmy, że nie panuje nad finansami, usunęliśmy go ze stanowiska i pozwoliliśmy mu zająć się prowadzeniem hotelu i restauracji. Przede wszystkim w zakresie obsługi naszej grupy docelowej, to znaczy rodzin z dziećmi.

- I co się stało? - zapytał Johansson, choć znał już odpowiedź.

- Z początku szło całkiem nieźle. Organizował liczne zajęcia dla dzieci: gimnastyka wodna, wycieczki, wyprawy na wyspy w poszukiwaniu skarbów, teatrzyki, kursy tajskiego tańca, co tylko chcesz. - Carl Blomquist pokręcił głową.

- To w czym problem?

Dyrektor Carl Blomquist, imiennik mistrza detektywów, jeśli nie czepiać się pisowni, dodał sobie animuszu porządkiem łykiem wina, zanim wydusił z siebie to, na co jego nowy znajomy tylko czekał.

- To był taki zwykły chłopak, młody, sympatyczny, przystojny. Wydawał się całkowicie normalny, pod każdym względem. Marzenie teściowej, wierz mi. Gdy usłyszałem, że nasi goście się skarżą, że dobiera się do ich dzieci, właściwie do małych dziewczynek, bo chłopcy go nie interesowali, myślałem, że spadnę z krzesła.

- Co za historia! - zawołał Johansson. - Co z tym zrobiłeś?

- To, co się robi w takich sytuacjach. Wyciszyłem sprawę i posprzątałem. Niestety, trochę mnie to kosztowało, ale nie miałem wyboru. Zatrudniliśmy nawet dodatkowych ochroniarzy, żeby mieć pewność, że Nilsson nie pojawi się w pobliżu ośrodka.

- Nigdy nie trafił za kratki? Policja nie wpadła na to, co

robił?

- Tajlandia w tamtych czasach - powiedział Carl Blomquist i pokręcił głową. - Miliony staruchów, którzy przyjeżdżali co roku z zachodniej Europy, żeby zabawić się z małymi dziewczynkami. Nilsson różnił się od nich jedynie wiekiem. Był o połowę od nich młodszy. Chryste, Lars! W tamtych czasach, nie wiem jak to jest teraz, nawet nie mam siły o tym myśleć, biedni rolnicy z północnej Tajlandii sprzedawali swoje dzieci. Sprzedawali swoje własne dzieci taniej, niż u nas sprzedawało się szczeniaki. Dzieci trafiały do burdeli i barów z prostytutkami w Bangkoku i innych miastach. Posada służącej albo kogoś z personelu hotelowego należała do rzadkości. Jak duży kawałek tego tortu dostawała lokalna policja, nie chcę dociekać. Policja w Tajlandii to nie ty i twoi koledzy.

- Wiesz może, co Nilsson robił po tym, jak go wylałeś?

- No cóż, coś słyszałem. Było tam sporo Szwedów, więc się gadało. Między innymi o Staffanie Nilssonie. Najpierw wykupił udziały w kilku barach z prostytutkami w Phuket. Małe dziewczynki. Pewnie na to wydał pieniądze, z których nas okradł. Wydaje mi się, że te bary były głównym źródłem jego dochodu. Miał też jeszcze jakiś sklep z pamiątkami. Oczywiście też w Phuket.

- Dalej prowadzi ten biznes? - zapytał Johansson.

- Ostatnie, co słyszałem, to to, że poróżnił się ze swoimi tajskimi wspólnikami i wrócił do Szwecji. W zasadzie został do tego zmuszony, jeżeli dobrze zrozumiałem. Boże, to musiało być ponad dziesięć lat temu! Gdy Alf opowiedział, że

Nilsson dalej prowadzi jakieś projekty w Tajlandii, bardzo się zdziwiłem. Myślałem, że się definitywnie wycofał.

- Należy ci się podziękowanie - powiedział Johansson. Najwyższy czas pójść do kibla i wyłączyć dyktafon, zanim zaczniesz mi piszczeć w kieszonce - pomyślał.

- Drobiazg - powiedział Carl, unosząc kieliszek. - Rozumiem, że ta rozmowa zostanie między nami.

- Oczywiście - powiedział Johansson. - Dyskrecja gwarantowana - powiedział, unosząc kieliszek.

Rozdział 77

Czwartek, 12 sierpnia 2010 roku

Po południu miał wizytę kontrolną u doktor Ulriki Stenholm. Gdy już pouciskała i opukała jego kończyny, przekazał jej wieści od rehabilitantki, która była z niego zadowolona, i od kardiologa, który już tak zadowolony nie był.

- Niestety, ja również nie jestem zbyt zadowolona - powiedziała Ulrika Stenholm z zatroskaną miną, przechylając lekko jasną głowę. - Twoje wyniki mogłyby być znacznie lepsze. Jak ty się właściwie czujesz, Lars?

- Mnie się nie pytaj, to ty jesteś lekarzem. A ty jak się czujesz?

- Jestem oczywiście ciekawa, jak ci idzie z tą drugą sprawą - powiedziała, zginając swoją długą, szczupłą szyję. - To znaczy z Yasmine.

- Wyśmienicie - powiedział Johansson. - Znalazłem go.

- Co powiedziałaś? Żartujesz sobie?

- O takich rzeczach się nie żartuje - powiedział Johansson.

- Kto to jest? Żyje?

- Tylko mu pozazdrościć, jeśli chcesz znać moje zdanie - powiedział Johansson.

- Przyznam, że lekko mnie zszokowałaś - powiedziała.

- Rzeczywiście, wyglądasz na poruszoną - powiedział Johansson. Nie zaciekawioną, bardziej wystraszoną - pomyślał. - Dobrze mieć to już z głowy - powiedział, żeby

zakończyć temat.

- Czegoś tu jednak nie rozumiem. Przecież dwadzieścia pięć lat temu pracowali nad tym twoi koledzy. Wielu policjantów przez wiele lat. Bez powodzenia. A ty po miesiącu, bo przecież nie minęło więcej czasu, od kiedy ci o tym powiedziałam, przychodzisz i mówisz, że znalazłeś mordercę. Dwadzieścia pięć lat od zdarzenia!

- Częściowo to twoja zasługa - powiedział Johansson. - Należą ci się za to podziękowania. - Na szczęście to nie mały Bäckström trafił na twój oddział - pomyślał. O ile to w ogóle możliwe, żeby taki wrzód na tyłku dostał udaru mózgu.

- Powiedz, kto to - poprosiła Ulrika Stenholm. - To przecież straszna historia.

- I tu się sprawa komplikuje - powiedział Johansson. - Sprawa uległa przedawnieniu, tak więc w sensie prawnym nie da się już nic zrobić. W związku z tym zaczynam mieć wątpliwości, czy powinienem gadać naokoło, jak on się nazywa. Rozumiem, że ta rozmowa, jak również wszystkie nasze rozmowy na ten temat, zostanie między nami.

- Co do tego możesz być spokojny, Lars. Nie powiedziałam nikomu ani słowa. Boże, to straszne! Da się coś chyba zrobić? To znaczy z kimś takim jak on. Można go chyba w jakiś sposób ukarać?

- Nawet jeśli, jest to już w rękach Pana - powiedział Johansson. - Obawiam się, że sprawca znajduje się poza zasięgiem ziemskiej sprawiedliwości.

- Coś jednak chyba można zrobić?

- Zastanowię się nad tym - powiedział Johansson. -

Słyszę, co mówisz, i zastanowię się nad tym. - Ale nie spodziewaj się zbyt wiele - pomyślał.

Najlepiej by było, gdybyś trzymał język za zębami - pomyślał Johansson w drodze do domu. Wyglądała na przerażoną, maleństwo.

- Jak ci poszło u wujka doktora? - zapytała Matilda, gdy wrócił na kanapę do swojego gabinetu.

- Ciotki - poprawił ją Johansson. - Doktor Stenholm to kobieta. Dziękuję, że pytasz. Poszło doskonale. Nawet mnie pochwaliła.

- Nie kłam - powiedziała Matilda. - Jesteś jak duże dziecko, wiesz? - powiedziała i pokręciła głową.

- Podwójne espresso - powiedział Johansson. - Z ciepłym mlekiem w dzbanuszk. Nie pogardziłbym też kanapką z szynką.

- Zapomnij - powiedziała Matilda. - Dostaniesz swoją kawę. Ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Że weźmiesz się w garść i zaczniesz o siebie dbać.

- Obiecuję - powiedział Johansson.

Dobra dziewczyna z tej Matildy - pomyślał, patrząc za nią, gdy wychodziła. Nie rozumiem, jak mogła się tak oszpecić. Chociaż mogło być gorzej, przy takiej matce mogła pociąć sobie ręce.

Rozdział 78

Czwartek, 12 sierpnia 2010 roku, wieczorem

Tego wieczoru Pia miała zebranie w banku i gdy tylko wyszła za drzwi, Johansson uznał, że to doskonała okazja, żeby skorzystać ze świeżo odzyskanej wolności i złożyć spontaniczną wizytę Ericie Brännström.

- Rozgrzej silnik, Max - powiedział Johansson. - Jadę porozmawiać ze świadkiem.

- Już się robi, szefie - powiedział Max.

Johansson wytłumaczył, jak wygląda sytuacja, więc Max został w samochodzie. Delikatna sprawa i tak dalej. Niektóre rozmowy można przeprowadzić tylko w cztery oczy.

- To może potrwać pięć minut albo godzinę - powiedział Johansson. - Bądź w pobliżu, zadzwonię do ciebie na komórkę.

- Jak on się nazywa? - zapytał Max. - W razie czego - dodał ze słabym uśmiechem.

- To kobieta - powiedział Johansson. - Sześćdziesięcioletnia kobieta. Nazywa się Erika Brännström i mieszka na trzecim piętrze.

- Okej - powiedział Max. - Zadzwon, jakby co.

Johansson zrobił tak, jak go nauczono. Problem w tym, że po raz pierwszy od dwudziestu lat. Najpierw przykucnął. Z dużym wysiłkiem. Potem ostrożnie odchylił klapkę otworu

na listy w drzwiach Eriki Brännström, żeby lepiej słyszeć. Ktoś jest w mieszkaniu - pomyślał. Grało radio, prawdopodobnie Złote Przeboje. W przerwie między utworami usłyszał nawet, jak ten ktoś nuci końcowe takty *Dancing Queen* Abby.

No to siup! - pomyślał Johansson. Podniósł się, żeby zadzwonić do drzwi i nagle pociemniało mu w oczach, a podłoga zamieniła się w pochylnię. Osunął się na drzwi, odbił od nich i klapnął na podłogę, choć i tak poszło mu lepiej niż ostatnim razem - jeśli weźmie się pod uwagę okoliczności. Nie musiał dzwonić do drzwi. Erika Brännström otworzyła po dziesięciu sekundach i patrzyła na niego, kręcąc z niedowierzaniem głową. Z jej miny wywnioskował, że ucieszyło ją to, co zobaczyła.

- Zamierzałeś siedzieć tu całą noc? - zapytała.

- Nie pytaj - powiedział Johansson. - Też jesteś z Norrlandu.

- Ostrożnie - powiedziała, chwyciła mocno za jego zdrowe lewe ramię i pomogła mu wstać.

- Dziękuję - powiedział Johansson.

- Chcesz kawy? - zapytała.

- Chętnie - przytaknął.

Pięć minut później siedzieli w dużym pokoju i pili kawę. Z początku Erika Brännström milczała i tylko mu się przyglądała. Nie wrogo, raczej z zainteresowaniem i może z lekkim niepokojem. Ale nie ze względu na siebie, tylko raczej ze względu na niego, przynajmniej tak mu się zdawało.

- Nie myślałeś o tym, żeby zadbać o siebie? - zapytała. - Jesteś coraz grubszy.

Gdzieś już to słyszałem - pomyślał Johansson. - To nie takie proste - powiedział.

- Taki twardy i energiczny człowiek jak ty. Nie mów, że nie dałbyś rady. Pewnie ci się nie chce. Albo masz to w nosie.

- Obiecuję, że wezmę się w garść. Mam też kilka pytań, jeśli pozwolisz.

- W takim razie, na co czekamy? Pytaj, zanim sąsiedzi zaczną się zastanawiać, co tu się wyprawia. Rozumiem, że męczy cię ta spinka. Ta, o której myślisz, że należała do Yasmine.

- Tak - powiedział Johansson. Możemy od tego zacząć - pomyślał.

- Znalazłam ją nie ja, tylko Margaretha. Jakoś jesienią, po tym okropnym lecie, kiedy została zamordowana Yasmine. Margaretha znalazła spinkę pod swoim łóżkiem, gdy robiłyśmy wielkie porządki przed wyprawą. Dała mi ją z pytaniem, czy nie należy do Karoliny lub do Jessiki. To moje córki, ale to już wiesz. Nie rozumiem, dlaczego o to zapytała, wtedy obie były ścięte na chłopaka.

- Co odpowiedziałaś?

- Powiedziałam, że to nie ich. Dopiero dużo później pomyślałam, że spinka mogła należeć do Yasmine. Zresztą nie byłoby to takie dziwne, w końcu przychodziła się bawić do Margarethy czasem kilka razy w tygodniu. Biegała w domu, gdzie tylko chciała. Jessica i Karro były trochę lepiej wychowane. Zresztą to ja po wszystkich sprzątałam, więc

trzymałam je krótko.

- A Margaretha? Czy miała na to jakieś własne wytłumaczenie? Na to, że spinka należała do Yasmine?

- Nie. Nigdy o nic nie pytała. Nie trzeba było być lekarzem, żeby zauważyć, że nie czuje się najlepiej. Bardzo lubiła Yasmine, więc to nic dziwnego.

- Nie. To musiało być dla niej szokiem, że coś takiego mogło się przydarzyć dziecku jej sąsiadów.

- Jeśli dobrze cię zrozumiałam, mogło być znacznie gorzej.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - dociekał Johansson, chociaż wiedział dokładnie, co Erika ma na myśli.

- Że została zamordowana w domu Margarethy - powiedziała Erika Brännström. - W czasie gdy ja byłam z dziećmi u rodziców w Härnösand, a Margaretha wyjechała na Rindö. Czy nie tak ci się wydaje?

- Nie wydaje mi się - powiedział. - Jestem pewien, że to stało się właśnie tam. W sypialni Margarethy Sagerlied, jeśli jesteś ciekawa. Cały czas w to wierzyłem.

- To by sporo tłumaczyło - powiedziała Erika Brännström.

- Co na przykład?

- Gdy robiłam spis rzeczy przed przeprowadzką, bo większość miała zostać sprzedana, zauważyłam, że brakuje poszewki i prześcieradła. Margaretha miała ich po dwanaście, dostała je od męża w prezencie ślubnym. Len najwyższej jakości. Z wyhaftowanymi inicjałami MS.

- Co wtedy pomyślałaś?

- Właściwie nic. W życiu nie pomyślałabym, że mogło się to zdarzyć w mieszkaniu Margarethy. To mi się nie mieściło

w głowie. Jeśli w ogóle coś pomyślałam, to pewnie, że zniknęły w praniu w ciągu tych wszystkich lat. Że wzięła pościel na wieś albo że oddała komuś komplet. Pewnie tak właśnie pomyślałam.

- Nigdy nie zapytałaś?

- Nie - powiedziała Erika. - Poza tym Margaretha coraz gorzej się czuła. To było jakoś wiosną, a może zimą. W każdym razie już po Nowym Roku, to znaczy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym, gdy większość jej rzeczy została wystawiona na sprzedaż. Bardzo się o nią martwiłam. W tym czasie była zupełnie nieobecna. Bardzo ją lubiłam, naprawdę, mimo jej wszystkich wad. W głębi duszy była porządnym i hojnym człowiekiem. Moje dzieci naprawdę nie mogły narzekać. Ciotka Margaretha była ich idolką.

- Jestem skłonny w to uwierzyć - powiedział Johansson. Tym razem nie kłamie - pomyślał.

- No tak - powiedziała Erika Brannstrom. - Skoro tak, zostało nam już tylko jedno.

- Co masz na myśli?

- Staffan Leander, siostrzeniec męża Margarethy. Był, zdaje się, synem przyrodniej siostry Johana. Johan był jego wujem, a Margaretha była jego wżenioną ciotką. Chyba właśnie tak - powiedziała Erika Brännström i pokiwała głową. - Margaretha była jego ciotką.

- Staffan Leander Nilsson. Leander to jego drugie imię. A Nilsson to nazwisko.

- Ach tak. Staffan Nilsson, bardzo możliwe. Przedstawiając mi się, powiedział na pewno „Staffan

Leander". Powiedział też, że Margaretha to jego ciotka, inaczej nie wiedziałabym o tym. Myślałam, że nie żyje nikt z jej rodziny.

- Opowiedz mi o tym - powiedział Johansson. Może powinieneś zostać policjantem, Larsie Martinie, prowadziłbyś przesłuchania - pomyślał.

Pierwszy raz Erika Brännström spotkała Staffana Leandera Nilssona wiosną tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego. Pomagała przy wyprawianiu przyjęcia w domu Margarethy i to właśnie wtedy się poznali. Ostatni raz rozmawiali ze sobą pół roku później, jesienią, gdy zadzwoniła do niego, żądając wyjaśnień w sprawie tego, co jak myślała, zrobił jej córkom. Między wiosną a latem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego widzieli się najwyżej kilkanaście razy. Dwa razy przyszedł, żeby zająć się dziećmi. Za pierwszym razem, żeby zabrać je z Margarethą do Skansenu. Za drugim, żeby pojechać z nimi do ogrodu zoologicznego Kolmården.

- Był naprawdę czarujący. Do tego wesoły i zabawny. Grzeczny i pomocny, i co tylko chcesz. Zupełnie niepodobny do mężczyzny, za którego wyszłam za mąż.

- Podrywał cię?

- Z początku myślałam, że tak. Ale mnie to ani trochę nie interesowało. Był w końcu o dziesięć lat młodszy, a ja w tym czasie miałam serdecznie dosyć wszystkich mężczyzn. Ale był naprawdę miły dla dziewczynek, bawił się z nimi i wygłupiał. Zupełnie niepodobny do ich ojca, jak już mówiłam.

- Nie wydało ci się to trochę dziwne?

- Pamiętam, że go o to zapytałam. Powiedział, że jest jedynakiem, że jego matka wychowywała go samotnie. Nigdy nie spotkał ojca. Powiedział, że przez całe dzieciństwo marzył o tym, żeby mieć młodsze rodzeństwo. Najchętniej młodsze siostry, z którymi mógłby się bawić i dokazywać. Tego chciał najbardziej.

- Brzmi przekonująco - powiedział Johansson, choć sam wychowywał się z trzema braćmi i trzema siostrami i przez całe dzieciństwo marzył o tym, żeby być jedynakiem.

- Tak, to było jeszcze przed tą debatą o pedofilii. Że taki miły, porządny chłopak mógłby się interesować dziewczynkami, i to w ten sposób... To było nie do pomyślenia. Przecież Jessica, ta młodsza, miała wtedy tylko pięć, sześć lat, a jej siostra jakieś dziesięć. Podczas pierwszych spotkań byłam przez cały czas z nimi. Byliśmy w Gröna Lund, pojechaliśmy na wycieczkę do Hagaparken. Byłam szczęśliwa i wdzięczna, że znalazłam miłego chłopca tęskniącego za rodzeństwem, którego nigdy nie miał.

- Kiedy zaczęłaś podejrzewać, że coś tu nie gra? - zapytał Johansson.

- Nie wiem - powiedziała Erika Brännström. - To było raczej przeczucie. Że jest w tym jednak coś dziwnego. Że taki młody, ładny i miły chłopak nie ma dziewczyny. O to również go zapytałam.

- I co powiedział?

- Że miał kilka dziewczyn, ale nigdy na poważnie. Jego zdaniem dziewczyny w jego wieku były zbyt płytkie. Że

jeszcze nie znalazł tej właściwej. Nabrałam podejrzeń po tym, jak pojechał z dziewczynkami do Kolmården. Po ich powrocie. Wtedy dotarło do mnie, że coś się wydarzyło. Obie dziwnie się zachowywały. Zapytałam, co się stało, ale żadna z nich nie chciała mi powiedzieć. To było jakoś pod koniec lata.

- Co wtedy zrobiłaś?

- Przez lata pracowałam w służbie zdrowia, porozmawiałam więc z dobrym przyjacielem, kolegą z pracy. Pediatrą. Zbadał je. Znał je od dawna, więc gdyby się okazało, że coś im się przydarzyło, byłoby im łatwiej rozmawiać z nim o tym. Nie znalazł jednak żadnych uszkodzeń fizycznych. Mimo to nie miał wątpliwości, że wydarzyło się coś, co im się nie podobało lub przynajmniej czego nie rozumiały. Ale nie mogło być tu mowy o gwałcie ani o niczym podobnym.

- Musiałaś poczuć ulgę. Rozmawiałaś o tym z jakimś terapeutą?

- Tak jak mówiłam, rozmawiałam z moim dobrym przyjacielem. Zapytałam go o zdanie. Stanowczo mi odradził wizytę u terapeuty. Powiedział, że jego zdaniem to może nawet zakłócić proces samoleczenia. Uważał, że dorośli ludzie nie mają prawa grzebać i dłubać w czymś takim. Nie na tym poziomie, że tak powiem.

- Posłuchałaś jego rady?

- Tak. Zresztą nie było to takie trudne. Spotkałam w pracy tylu szaleńców... Jeśli o to chodzi, myślę jak ludzie z północy.

- I dobrze - podsumował Johansson. - A Staffan Nilsson?

Co się z nim stało?

- Właśnie to było takie dziwne. Nie odzywał się przez cały miesiąc, choć wcześniej potrafił dzwonić kilka razy w tygodniu. W końcu sama do niego zadzwoniłam. Zapytałam go wprost, co takiego zrobił moim dziewczynkom, gdy byli razem w Kolmården.

- I co powiedział? - zapytał Johansson.

- Był kompletnie zaskoczony, zapewniał i zaklinał się, że nic. Wydaje mi się, że przez chwilę nawet płakał. W każdym razie tak to brzmiało. Nie mógł zrozumieć, o co mi chodzi. Twierdził, że jest niewinny. Powiedziałam mu wtedy, że na tym skończymy. Ale jeśli chociaż raz spróbuje skontaktować się ze mną lub z nimi, to pójdę prosto na policję i złożę zeznanie.

- To był wasz ostatni kontakt?

- Tak. Od tego czasu nie spotkałam go ani z nim nie rozmawiałam. Nawet go nie widziałam.

- Wspominałaś o tym Margarecie?

- Nie, nie wspominałam. Pewnie padłaby trupem, gdybym to zrobiła. O ile to w ogóle możliwe, była jeszcze bardziej prostoduszna ode mnie.

- Wydaje mi się, że twoja reakcja jest typowa - powiedział Johansson. - Zwykłym, przyzwoitym ludziom wydaje się to kompletnie niezrozumiałe i niemożliwe, zwłaszcza jeśli dotyczy kogoś, komu ufali. Tym bardziej jeśli są rodzicami.

- Pewnie się zastanawiasz, czy podejrzewałam coś po zabójstwie Yasmine. Właśnie to jest takie dziwne i zrozumiałe, jeśli mi nie uwierzysz: naprawdę nie

podejrzewałam. Że mógł to zrobić Staffan. Rozumiałam tylko tyle, że musiał to być ktoś, kto miał podobne skłonności. Ale nie podejrzewałam, że to mógł być on. To mi nigdy nie przyszło do głowy. Przecież z Yasmine stało się coś okropnego. Coś zupełnie innego niż to, co się przytrafiło moim dziewczynkom. Ten, kto zamordował Yasmine, musiał być prawdziwym potworem. To nie był ten Staffan Nilsson, którego znałam. Może udało mu się podstępem namówić je, żeby dotknęły jego członka czy coś w tym stylu. Ale żeby miał zgwałcić, udusić i co tam jeszcze – to wykluczone. To było po prostu zbyt straszne, żeby mogło być prawdziwe.

- Wierzę ci – powiedział Johansson. – Nie ty pierwsza myślałaś w ten sposób. – Ani nie ostatnia – pomyślał.

- Jestem z tobą szczerą – zapewniła Erika Brännström. – Nie docierało to do mnie.

- Margaretha Sagerlied – powiedział Johansson. – Czy miałyście ze sobą kontakt po tym, jak sprzedała dom i przeprowadziła się do miasta? Po tym, jak przestałaś u niej pracować? To było chyba wiosną osiemdziesiątego szóstego?

- Zadzwoiła do mnie. Pół roku później, jesienią osiemdziesiątego szóstego. Poprosiła, żebym się z nią spotkała. Przyszłam do niej do mieszkania. Mieszkała na Östermalm, Riddargatan, jeśli dobrze pamiętam. Przeżyłam szok. Była zupełnie inną osobą. Jakby postradała zmysły. Do tego schudła: skóra i kości. Powiedziała, że ma raka. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, o czym mówi. Że mówi o siostrzeńcu Johana. Myślała, że popełnił samobójstwo, jestem tego niemal pewna. Potem długo mówiła o moich

dziewczynkach, że mam się o nie nie martwić. Że nie ma się o co martwić. Że jej zdaniem nic się nie stało. To było naprawdę straszne.

- Wyobrażam sobie - powiedział Johansson. - Więcej już się nie odzywała? - Czas na test z prawdomówności - pomyślał.

- Za życia już nie. Potem przeczytałam w gazetach, że zmarła. Wydaje mi się, że to było wiosną osiemdziesiątego dziewiątego. Zaledwie tydzień po tym zadzwonił do mnie jej adwokat i powiedział, że zapisała moim dziewczynkom w testamencie mnóstwo pieniędzy. Pięćset tysięcy koron, pół miliona. Zdajesz sobie sprawę, ile to było w tych czasach?

- Tak - powiedział Johansson i się uśmiechnął. - Jak najbardziej. Dzisiaj jakieś dwa miliony.

- Dla mnie, dla nas, to była zupełnie niewyobrażalna suma. W testamencie był zapis, że pieniądze mają zostać przeznaczone na opłacenie studiów dziewczynek i zapewnienie im dobrego, godnego życia. Właśnie tak to napisała.

- I tak się stało?

- Mogę cię o tym zapewnić - powiedziała Erika Brännström. - Żadna z nich nie ma nawet jednego öre długu, choć obie ukończyły studia wyższe. Karro jest rehabilitantką, a Jessica magistrem ekonomii. Obie są zameżne, mają dzieci i mężów, którzy ani trochę nie przypominają ich ojca.

Pieniądzy starczyło jeszcze na wkład własny w mieszkania, które kupiły zaraz po wyprowadzeniu się z domu. Nic wielkiego, ale mimo wszystko coś. Miały własny

dach nad głową. Ilu zwykłych młodych ludzi może to o sobie powiedzieć?

- Cieszy mnie to, co mówisz - powiedział Johansson. - Dobrze słyszeć, że tak im się ułożyło. - Margaretha musiała przejść prawdziwe piekło, próbując zadośćuczynić za to, co zmałstrował jej siostrzeniec - pomyślał.

- Mam pytanie - powiedziała Erika Brännström. - Czy to prawda, że on odebrał sobie życie?

- To jego matka odebrała sobie życie. Wiosną osiemdziesiątego szóstego, tyle wiem na pewno. On sam wówczas zniknął. Co się stało później, nie wiadomo.

- Jesteś ze mną szczery?

- Niezależnie od wszystkiego, uważam, że jedno powinno być dla nas jasne.

- Co?

- Że wina za to, co się stało Yasmine, ciąży tylko na jej mordercy. W żadnym wypadku na tobie.

- Dlaczego więc coś mi mówi, że powinnam była zadzwonić na policję po tej wycieczce do Kolmården?

- To nie powinno cię w ogóle martwić - powiedział Johansson. - Gdybyś zadzwoniła i powiedziała, że podejrzewasz Staffana Nilssona o pedofilię, nic by mu nie zrobili. Najwyżej potraktowaliby cię jak psychiczną. Bo chyba nie myślisz, że padłby na kolana i wyznał swoją winę?

- Porządny z ciebie człowiek, Johansson - powiedziała Erika Brännström. - Wiesz co?

- Nie - powiedział Johansson. - Nie wiem. Czego nie wiem?

- Po naszym pierwszym spotkaniu codziennie zastanawiałam się nad tym, co się zdarzyło. Gdybym tylko mogła coś zrobić, żeby zapobiec temu, co stało się Yasmine... Czy mogłam uratować jej życie? Nie sądzę, ale nie mogę mieć pewności. Czy mogłam wam pomóc w jego zatrzymaniu? Nie sądzę. Nie przyszło mi do głowy, że to mógł być on. Że to mogło stać się w domu Margarethy. Taka myśl nawet przez chwilę nie pojawiła się w mojej głowie.

- Przecież nie powiedziałem, że to on - powiedział Johansson.

- Nie, nie powiedziałaś. Ale to tylko dlatego, że jesteś porządnym człowiekiem. Chcesz być dla mnie miły. Dlatego mówisz to, co mówisz.

- Tak uważasz.

- Tak - powiedziała Erika Brännström. - Przecież wiem. Ty wiesz, że to Staffan Leander albo Staffan Nilsson zamordował Yasmine. Co więcej, jestem przekonana, że masz rację. Nie mam natomiast pojęcia, jak na to wpadłeś. Mnie w każdym razie się nie udało. Jestem też przekonana, że on żyje i że wiesz dokładnie, gdzie on jest. On nie popełnił samobójstwa. Jego matka zrobiła to pewnie dlatego, że zrozumiała, co się stało. Gdybym miała syna, który zrobił coś takiego, pewnie też odebrałabym sobie życie. Zrozumiałam jeszcze jedno. Chociaż z początku nie wierzyłam, że to może być prawda. To znaczy kiedy przeczytałam o tym w gazecie.

- Co takiego?

- Że najwyraźniej jest już za późno, żeby on został ukarany, żeby odpokutował za to, co zrobił. Z powodu

jakiegoś dziwnego prawa, które rozumieją chyba tylko prawnicy.

- Tak - powiedział Johansson. - Tak to właśnie jest. Jeśli przestępstwo uległo przedawnieniu, przestępca nie może zostać ukarany.

- Chciałam cię prosić o jedno - powiedziała Erika Brännström.

- Co takiego?

- Dopilnuj, żeby mimo to został ukarany.

- Przysięgam, że zrobię, co w mojej mocy.

- W porządku. Jak się chce patrzeć przyzwoitym ludziom w oczy, trzeba samemu być przyzwoitym. Dobremu człowiekowi trudno uciec przed złem. Czasem musi on nawet odpowiedzieć takim samym złem. Jest szansa, że potem może iść dalej i być taki, jaki był wcześniej. Tyle chyba rozumiesz, w końcu jesteś z północy.

- Nie chcę go zabić, jeśli o tym mówisz.

- Taką mam nadzieję, bo tego i ja nie chcę. Ale jestem przekonana, że wymyślisz coś, z czym nawet my, przyzwoici ludzie, możemy żyć.

- Dobrze poszło, szefie? - zapytał Max, gdy jechali z powrotem na Söder.

- Doskonale - powiedział Johansson. Pomimo tematu - pomyślał.

- Dobrze to słyszeć - powiedział Max. - Szef powie, gdybym miał coś zrobić.

- Obiecuję - powiedział Johansson. Najprostsze rozwiązanie - pomyślał. Pozwolić Maxowi lub komuś takiemu

jak on pobić Staffana Leandera Nilssona do nieprzytomności. Oko za oko, ząb za ząb, a potem coraz niżej, aż do jego małych stópek w wypucowanych butach.

- Słuchaj, Max - powiedział Johansson. - Może zatrzymamy się po drodze i wrzucimy na ruszt hamburgera?

- Nie - powiedział Max i pokręcił głową. - Może nie.

- Nie masz ani trochę ochoty?

- Mam - powiedział Max. - Ale Pia by mnie zabiła, więc to nie jest dobry pomysł. Szef wybaczy, ale jest, jak jest.

- A może zrobiłbyś mi małą sałatkę, gdy już wrócimy do domu?

- Może - powiedział Max. - Mała sałatka nikomu nie zaszkodzi.

Rozdział 79

Piątek, 13 sierpnia 2010 roku

W piątek wieczorem Jarnebring i Max podjęli kolejną próbę zdobycia DNA Staffana Nilssona. Najpierw zadzwonili do niego na telefon stacjonarny. Bez odpowiedzi. Nie włączyła się nawet automatyczna sekretarka. Potem zadzwonili do niego na komórkę, na numer, który zdobyła Gunsan. Tu też bez odpowiedzi. O zostawieniu wiadomości nie było mowy.

Skoro byli już w mieście, pojechali pod jego dom, żeby zbadać sytuację. Samochód Nilssona stał zaparkowany w stałym miejscu. Czysty, zamknięty, zabezpieczony alarmem jak zawsze.

Potem Jarnebring wszedł do budynku. Stał pod drzwiami Nilssona i przystawił ucho. Cisza. Wyszedł z powrotem na ulicę. Dostał się do budynku po drugiej stronie, z którego klatki dobrze było widać mieszkanie Nilssona. W środku nie świeciło się światło, nie był włączony telewizor. Nic nie świadczyło o ludzkiej obecności.

- Nie wydaje ci się, że dał nogę? - zapytał Max, gdy Jarnebring wrócił do samochodu.

- Nie - powiedział Jarnebring. - Nie mam takiego wrażenia. - Gdybym wciąż był na służbie, gdyby śledztwo było wciąż w toku - pomyślał. Co więcej, gdyby jeszcze szukali mordercy, a ja dostałbym do dyspozycji siły dochodzeniowe, które mogłyby zająć się kwestiami

praktycznymi, nie musiałbym tu siedzieć i gdybać.

- Przerywamy - powiedział Jarnebring. - Możemy jeszcze sprawdzić pobliskie bary, ale potem przerywamy. Oczywiście jeżeli nic się nie wydarzy.

- Nie mógł, kurwa, dać nogi - powiedział Johansson, gdy Max składał raport z wieczornych działań, stojąc przed kanapą w gabinecie.

- Skoro szef tak mówi.

- To nie ten typ. Nie jest z tych, co popełniają samobójstwo, za bardzo lubi siebie. Ani z tych, co by zostawili samochód. Najpierw by go sprzedał, dopiero potem dałby nogę. Pewni siebie ludzie to często skąpiradła. Czasem bardzo się to przydaje, gdy tacy jak ja mamy wsadzić ich za kratki. Późno się orientują.

- Szef jest mądrym człowiekiem.

- Tak. Wciąż jeszcze jestem mądrzejszy od ciebie, ale to nie twoja wina.

- A to dlaczego?

- Całe to zło, którego doświadczyłeś, gdy byłeś małym chłopcem. Cały ten syf, na którego działanie narazili cię źli dorośli, gdy byłeś jeszcze zbyt mały, żeby się przed nim bronić. W dniu, w którym sobie z tym poradzisz, będziesz tak samo mądry jak ja.

- Miło słyszeć.

- Tak. Jeśli o to chodzi, możesz być całkiem spokojny. A skoro już jesteś na nogach, a ja leżę, a Pia siedzi przed komputerem i papie z przyjaciółkami, chciałem się zapytać, czy nie mógłbyś pójść do łazienki i przynieść apteczki

z moimi lekarstwami. - Żebym mógł uciszyć głowę i zacząć oddychać jak człowiek - pomyślał.

- Jasne - powiedział Max.

Gdy wrócił dwie minuty później, Johansson już spał. Max usiadł obok niego na krześle. Wsłuchiwał się w jego chrapanie. Siedział tak dwie godziny głównie po to, żeby się upewnić, że gdy on, Max, obudzi się rano, jego szef nadal tu będzie. Potem poszedł do swojego pokoju. Zamknął drzwi. Położył się na plecach na kanapie, nie zdjął nawet butów.

Szef to dobry człowiek. Zły człowiek zjada go od środka. Muszę mu pomóc, żeby mi nie umarł - pomyślał Max. Potem zasnął. Spał równie cicho, jak się poruszał. Spał zawsze z przymkniętymi do połowy oczami, choć nie zdawał sobie z tego sprawy.

Rozdział 80

Sobota, 14 sierpnia 2010 roku

Bo Jarnebring podjął kolejną próbę zdobycia DNA Staffana Nilssona. Tym razem sięgnął po bardziej sprawdzone środki. Pojechał na miejsce wcześniej rano. Najpierw dostał się do budynku. Drzwi otworzył za pomocą kodu, który zdobyła dla niego wierna Gunsan: wciąż pracowała w sztokholmskiej policji i bez problemu mogła dotrzeć do takich informacji. Potem wyjął „Svenska Dagbladet” wystającą ze skrzynki Nilssona, żeby zmusić go do porannego spaceru.

Godzinę później na klatce pojawił się Nilsson w szlafroku, piżamie i kapciach. Nie było wątpliwości, że głośno klnie z powodu zaginięcia gazety.

Z początku próbował zwędzić „Dagens Nyheter” sąsiada, ale że Jarnebring był wyjątkowo dokładny w przygotowywaniu policyjnych prowokacji, wepchnął wszystkie wystające gazety do skrzynek. Nilsson spróbował jeszcze kilka razy, aż w końcu się poddał, wszedł do windy i zniknął.

Dziesięć minut później wyszedł na ulicę ubrany w sportowe buty, krótkie spodenki i kurtkę. Ruszył w kierunku pobliskiego sklepu, w którym można było kupić gazety, tytoń i różne artykuły spożywcze, a także zjeść proste śniadanie. Jarnebring ruszył powoli w dół uliczki z zamiarem zajęcia lepszej pozycji. Z każdym krokiem rosła w nim

nadzieja.

Staffan Nilsson kupił „Svenska Dagbladet”, bułeczkę z cynamonem i kawę w papierowym kubku. Wziął to wszystko i ruszył w kierunku domu.

Jarnebring zaklął głośno. Z braku lepszego zajęcia sprawdził samochód Nilssona, ale ten był tak samo zamknięty, zabezpieczony alarmem i wysprzątany jak zawsze.

- Sukinsynowi nawet włosy nie wypadają - mruzczał Jarnebring, przez boczną szybę oglądając w skupieniu siedzenie i zagłówek kierowcy. Hańba temu, kto się poddaje - pomyślał. Wrócił do swojego samochodu. Zaparkował tak, żeby widzieć okna kuchni i salonu Nilssona. Obserwował wejście do klatki, przeglądając jednocześnie skradzioną gazetę. Kolejne kilka godzin bezowocnego czekania. W końcu się poddał.

W drodze do domu zadzwonił do Johanssona, żeby mu opowiedzieć o swoich porannych przygodach.

- Sukinsynowi nawet włosy nie wypadają - powiedział Jarnebring.

- Tak już jest, gdy ktoś nie pali ani nie zażywa snusu - wyjaśnił Johansson.

- Nie sądzisz, że już czas, żebyśmy zadzwonili do kolegów z drogówki? Zanim zdąży przeparkować samochód kolejny raz. Na pewno da się go zatrzymać za prowadzenie po pijanemu. Najpierw mała przekąska, a potem wepchniemy w niego danie główne.

- Nie - powiedział Johansson. - Nie sądzę. Poza tym

wybacz, ale właśnie jem śniadanie.

Rozdział 81

Niedziela, 15 sierpnia 2010 roku

- Planujemy dziś z kolegą szefa śledzić tego pedzia - poinformował Max. - Może uda nam się zdobyć to DNA.

- Doskonale - powiedział Johansson. - Powodzenia.

- Szef się nie przyłączy?

- Nie - powiedział Johansson. - Planowałem poleżeć na kanapie i pogapić się w gadające pudło. To znaczy w telewizor - wyjaśnił, bo nie był pewien, ile slangu z lat sześćdziesiątych może znać ktoś w wieku Maxa. - Planowałem obejrzeć nagranie z lat osiemdziesiątych. Na DVD. - „Nagranie”, tyle chyba rozumie - pomyślał.

- O czym?

- Nawet nieźle - powiedział Johansson. - Taka historia, w którą byliśmy zamieszani z Jarnebringiem, gdy w latach siedemdziesiątych pracowaliśmy w dochodzeniowym. Prawdziwa opera mydlana. O ministrze sprawiedliwości, który chodził na dziwki.

- W takim razie dobrego wieczoru, szefie - powiedział Max.

- Tobie również - powiedział Johansson. - Pozdrów ode mnie Bo. I powodzenia.

- Dziękuję - powiedział Max.

Film nie był zły, ale Johansson i tak zasnął w połowie. Być

może dlatego, że od niedawna zasypiał w sposób zupełnie niekontrolowany, niezależnie od tego, co działo się wokół. Gdy się obudził, zobaczył pochylonego nad nim Maxa, który ostrożnie dotykał jego zdrowego ramienia.

- Gotowe - oświadczył Max.

- Co? - zapytał Johansson i usiadł na kanapie. - Co gotowe?

- To z DNA, już załatwiłem - wyjaśnił Max i wyciągnął w jego stronę torebkę do zamrażania jedzenia z czymś, co wyglądało jak zakrwawiona chusteczka.

- Co wyście znowu wymyślili? - powiedział Johansson i wziął do ręki torebkę.

- Bo jest niewinny.

- Co znaczy niewinny?

- Coś mu wypadło. Musiał pomóc w czymś córce.

- Aha.

- No to pojechałem sam.

- Pojechałeś sam - powtórzył Johansson.

- Było dokładnie tak, jak wtedy z szefem. Wyszedł z budynku, ruszył w stronę knajpy, wszedł i usiadł przy stoliku. Tyle że tym razem do nikogo nie dzwonił. Zamówił pizzę i butelkę czerwonego wina. Wypił całą.

- Co było potem?

- Potem przypomniał sobie, że musi przeparkować samochód. W końcu jutro jest poniedziałek. Nie rozumiem, dlaczego nie zrobił tego od razu. No, ale to już nie mój problem. W każdym razie ruszyłem za nim. Gdy zaczął cofać, stanąłem z tyłu i czekałem, aż na mnie wjedzie.

- Zaczekałeś, aż na ciebie wjedzie? - Co ten chłopak, kurwa, wygaduje - pomyślał Johansson.

- Spokojnie. Nic się nie stało. Nie ma o czym gadać. Gdy mnie zauważył, otworzył drzwi, żeby zapytać, czy wszystko w porządku.

- I co było dalej?

- Podszedłem. Wyciągnąłem go ze środka. Zapytałem, co on, kurwa, wyprawia. Powiedziałem, że nie jeździ się, kurwa, po pijaku. Zaczął się rzucać, więc chlasnąłem go w nos. Potem wyjąłem z kieszeni chusteczkę i go wytarłem. Powiedziałem, żeby następnym razem nie siadał za kierownicę pod wpływem alkoholu. Że może kogoś przypadkowo przejechać.

- Chlasnąłeś go? Chlasnąłeś go w nos? - To nie dzieje się naprawdę - pomyślał Johansson.

- Otwartą dłonią - powiedział Max i uniósł prawą dłoń, która była jeszcze większa niż dłoń najbliższego przyjaciela Johanssona. - Otwartą dłonią w nos, ale wcześniej on na mnie najechał.

- W nos? - Chłopak zna się na rzeczy - pomyślał Johansson. Wie, jaka jest różnica w wymiarze kary między uderzeniem otwartą dłonią a uderzeniem zaciśniętą pięścią.

- Najlepsze miejsce, jeśli chce się, żeby ktoś puścił trochę krwi, a nie chce się go zabić - wyjaśnił Max i wzruszył ramionami. - Gdybym go rąbnął w szczękę albo w łuk brwiowy, mógłby tego nie przeżyć. Mógłbym rozbić mu czaszkę, zanim zaczęłby krwawić.

- Nic więcej nie zrobiłeś? - dopytywał się Johansson. Zna

się na rzeczy, a do tego jest przezorny - pomyślał.

- Nie. Po prostu sobie poszedłem.

- Naprawdę mam nadzieję, że Nilsson żyje.

- No przecież. Chyba jeszcze nikt umarł z tego powodu, że z nosa poszła mu krew?

- Nie - potwierdził Johansson. - Nie miałeś innego wyjścia, co?

- Nie miałem. Przecież nie mogłem wejść do knajpy i tam go chlasnąć. Za dużo świadków. Naprawdę mam nadzieję, że szef nie jest na mnie wściekły.

- Nie. Niestety, nie jestem. Pod warunkiem że było tak, jak mówisz. - Znam przynajmniej dwoje takich, którzy z miejsca by cię adoptowali - pomyślał.

- Szef może być spokojny. Ja nie kłamię. Kłamię tylko źli ludzie. Ja nigdy nie potrzebowałem kłamać.

Nie - pomyślał Johansson. Niby dlaczego miałbyś potrzebować?

- Mam tylko jedno pytanie. Zawsze nosisz w kieszeni chusteczkę?

- Zawsze - wyjaśnił Max. - Na wypadek, gdybym musiał się wysmarkać. Chciałby szef jeszcze o coś zapytać?

- Nie. Możliwe jednak, że powinienem coś powiedzieć.

- Co takiego?

- Dziękuję, Max - powiedział Johansson i kiwnął głową. - Należą ci się podziękowania. Następnym razem, gdy będziesz rozwiązywać za mnie jakiś problem, wolałbym jednak, żebyś najpierw zapytał mnie o zgodę.

- Jasne - powiedział Max.

Muszę zadzwonić do Bo - pomyślał Johansson, któremu nagle zrobiło się dziwnie wesoło, jakby ktoś zdjął z niego pas ściskający mu piersi i czasem prawie uniemożliwiający oddychanie. Głowa też go nie bolała. Ulga, nic więcej. Nareszcie - pomyślał.

Rozdział 82

Poniedziałek, 16 sierpnia 2010 roku

Johansson podjął decyzję jeszcze poprzedniego wieczoru, zanim zasnął. Kwestiami praktycznymi zajmie się Säpo – pomyślał. Bez względu na to, co o nich myślał, musiał przyznać, że potrafili trzymać język za zębami. Gdyby wysłał zakrwawioną chusteczkę do któregoś ze swoich licznych kontaktów w zwykłej policji kryminalnej, pewnie wyniki trafiłyby do niego i do gazet w tym samym czasie. Nie miał siły myśleć, co mogłoby z tego wyniknąć. Zresztą było to jasne od samego początku.

Pogadam z Lisą – pomyślał Johansson. Lisa Mattei, jego najmłodsza i najbardziej uzdolniona współpracownica w czasie jego ostatnich lat spędzonych w policji. Przeszła z nim z Säpo do Komendy Głównej, a gdy on został emerytem, ona wróciła do Säpo. Zajmowała stanowisko nadkomisarza w biurze dyrektora generalnego, choć miała zaledwie trzydzieści pięć lat.

W poniedziałek rano Johansson odwołał rehabilitację i zaraz potem zadzwonił do Lisy Mattei. – Johansson – powiedział, nie czekając, aż Lisa Mattei się odezwie.

– Lars – ucieszyła się Lisa Mattei. – Dobrze cię słyszeć. Wieść niesie, że czujesz się coraz lepiej.

– Nic mi nie jest – powiedział Johansson. Lars – pomyślał.

Co się stało z „szefie”? To już mówimy sobie po imieniu?

- Mogę ci w czymś pomóc?

- Tak - powiedział Johansson. - Co więcej, wydaje mi się, że tylko ty możesz mi pomóc. Trochę mi się spieszy.

- Możemy się spotkać za godzinę - powiedziała Lisa. - Jak myślisz, ile nam to zajmie?

- Kwadrans - powiedział Johansson. Mała Lisa jest już dużą dziewczynką - pomyślał, odkładając słuchawkę.

Chłodna, wysportowana blondynka, dobrze ubrana, o wypracowanym, miłym dla oka wyglądzie. Jednym zdaniem: Lisa Mattei - pomyślał Johansson, kiedy wszedł do jej pokoju. Zaokrąglony brzuch wskazywał, że Lisa spodziewa się dziecka. Jest już naprawdę dużą dziewczynką - pomyślał.

- Lars - powiedziała Lisa. - Tak się cieszę, że cię widzę! Mogę cię uścisnąć? - zapytała.

- Proszę cię bardzo - powiedział Johansson i pochylił się ku niej, żeby łatwiej jej było położyć ramię na jego plecach.

- Wiesz już, co będzie? - popatrzył znacząco na jej brzuch.

- Dziewczynka. Nie mogłam się doczekać, więc zapytałam - wyjaśniła.

- A tatuś? Też w policji?

- W żadnym wypadku. Jest filmoznawcą. Pracuje na uniwersytecie.

- Dobrze to słyszeć.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Lars?

- Potrzebuję zrobić badanie DNA. To delikatna sprawa. Jeśli wynik potwierdzi moje przypuszczenia, nie chciałbym,

żeby to wyciekło.

- Co to za sprawa?

- Niewyjaśnione zabójstwo na tle seksualnym dokonane na dziewięcioletniej dziewczynce około dwudziestu pięciu lat temu. Sprawa uległa przedawnieniu.

- Yasmine Ermegan? - Lisa Mattei spojrzała na niego uważnie.

- Tak - potwierdził Johansson.

- Rozwiązałeś dla nas tę zagadkę?

- Tak. Jestem niemal pewien, że znalazłem sprawcę. Żyje.

- Pozwól, że zapytam. Co sprawiło, że zainteresowałeś się zabójstwem Yasmine? To chyba nie jest któraś z twoich dawnych spraw?

- Musiałem coś robić, gdy leżałem w szpitalu.

- To do ciebie podobne, Lars - stwierdziła Lisa Mattei.

- Czy ja wiem - powiedział Johansson. - Szczerze mówiąc, bywało już ze mną lepiej. Masz tu jego próbkę jego DNA i spinkę, która, jak podejrzewam, należała do ofiary - powiedział, kładąc na biurku dwie foliowe torebki.

- Krew - powiedziała Mattei i podniosła torebkę z chusteczką higieniczną.

- Tak - powiedział Johansson. - Czasem trzeba coś naprawić w mieszkaniu. Później o tym porozmawiamy - powiedział i wzruszył ramionami.

- A spinka miałyby należeć do Yasmine?

- Tak - powiedział Johansson. - Nie sądzę, żeby to coś dało, to raczej ciekawostka naukowa, którą może warto zbadać. Ja też chciałem cię o coś zapytać. Czy możemy to

utajnić?

- Jeśli wynik będzie pozytywny, jak najbardziej. Domyślam się, że wiesz, kim jest ojciec Yasmine.

- Tak - powiedział Johansson. - A teraz?

- *What are friends for* - powiedziała Lisa Mattei i się uśmiechnęła. - Poza tym to ja tu rządę.

- Daj znać - powiedział Johansson, podnosząc się z miejsca. - I uważaj na siebie - dodał.

- Ty też na siebie uważaj, Lars - powiedziała Lisa Mattei.

Po lunchu Johanssonowi przyszła do głowy myśl. Przez chwilę ważył wszystkie za i przeciw. Postanowił złamać jedną ze swoich zasad. Zadzwoił do dawnego kolegi z komisariatu w Solnej.

- Toivonen - powiedział inspektor Toivonen z wydziału kryminalnego policji w Solnej.

- Johansson - powiedział Johansson.

- Niech to licha! - powiedział Toivonen. - Co u ciebie?

- W porządku. A ty wciąż potrafisz trzymać język za zębami? - zapytał Johansson bez owijania w bawełnę.

- Coraz lepiej. Bo szybciej się męczę. Nawet do siebie nie mam siły gadać - wyjaśnił. - W czym mogę ci pomóc?

- Mógłbyś sprawdzić, czy wczoraj wieczorem mieliście jakieś zgłoszenie? Frösunda. Parking przy rynku. Około dziesiątej wieczorem. Pobicie.

- Sekundę.

Potrwało to raczej pięć minut. W końcu jednak Johansson dostał odpowiedź.

- Przepraszam, że tyle czekałeś - powiedział Toivonen. - Coś się stało z komputerem - wyjaśnił. - Musiałem pójść do kolegi, który prowadzi sprawę. Co powiesz na to? Brutalny napad. Pokrzywdzony, Staffan Nilsson, rocznik sześćdziesiąty, napadnięty tuż przed godziną dziesiątą wczorajszego wieczoru, gdy szedł do domu, żeby się położyć. Wcześniej jadł w jakiejś knajpie w pobliżu.

- Brutalny napad?

- Tak - potwierdził Toivonen. - Co najmniej dwóch lub trzech sprawców, jak wynika z zeznania pokrzywdzonego. Zabrali mu złoty zegarek marki Rolex, złotą klamrę na banknoty z dwunastoma tysiącami w gotówce, złoty łańcuch z szyi i sygnet z białego złota, który miał na lewej dłoni. Łączna wartość tych fantów to jakieś sto pięćdziesiąt tysięcy koron. Kto to widział chodzić tak po ulicy. Chyba że facet ma jakieś zajebiste ubezpieczenie.

- Jacyś świadkowie? - Robi się coraz ciekawiej - pomyślał Johansson.

- Nikt niczego nie widział. Pokrzywdzonego znalazła jakaś starsza para, która wyszła na wieczorny spacer. Siedział na chodniku z zakrwawionym nosem. Zadzwonili na sto dwanaście. Pierwszy patrol przyjechał już po pięciu minutach. Erka chwilę później.

- A kamery?

- *Nope*, nie w miejscu, w którym doszło do zdarzenia.

- Co z poszkodowanym?

- Wyszedł ze szpitala już wczoraj wieczorem, po założeniu opatrunku. Pęknięcie kości nosowej. Nic, o czym by można

pisać wiersze. Znasz go?

- Kogo?

- Poszkodowanego.

- Jakiego poszkodowanego? - zdziwił się Johansson.

- Rozumiem - powiedział Toivonen. - Uważaj na siebie.

I na co mi to było - pomyślał Johansson.

Rozdział 83

Poniedziałek, 16 sierpnia 2010 roku, wieczorem

Lars Martin Johansson, lat sześćdziesiąt siedem, przeprowadził ponadgodzinną rozmowę z Maximem Makarowem, lat dwadzieścia trzy. Rozmowę w cztery oczy. Max opowiedział wtedy o wydarzeniach ze swojego życia, o których niemal nie sposób było opowiedzieć. To Johansson sprawił, że Max zaczął mówić, ale nigdy się nie dowiedział, czy to było słuszne, czy nie. Zaczęło się dosyć niewinnie, od próby nawiązania zwykłego międzyludzkiego kontaktu. Lub też od potrzeby pożartowania z poważnych spraw.

Najpierw Johansson poprosił Maxa, żeby zaparzył mu herbatę. Nic wielkiego dla kogoś, kto urodził się w Rosji, niezależnie od płci. Taką, jaką lubił Johansson. Nie tę angielską lure, tylko prawdziwą rosyjską herbatę. Potem usiedli w gabinecie i Johansson powiedział, że Staffan Nilsson nie tylko oberwał w nos, który następnie niezbyt delikatnie mu wytarto. Najwyraźniej został również okradziony z kłamry na banknoty, banknotów, zegarka, złotego łańcucha i sygnetu z białego złota.

- Kłamie - powiedział Max. - Nie miał żadnego łańcucha. Pamiętam tylko sygnet i zegarek.

- Wierzę ci - powiedział Johansson. - Zresztą i tak nie pasujesz do jego opisu sprawców. Dwóch, może trzech mężczyzn, żaden z nich nie był podobny do ciebie, jeżeli

dobrze zrozumiałem. - Pewnie już zgłosił rabunek swojemu ubezpieczycielowi - pomyślał.

- Naprawdę się starałem - powiedział Max. - Mam problem z takimi jak on.

- Cieszę się, że go nie zabiłeś.

- Ze względu na szefa. Oszczędziłem go tylko ze względu na szefa.

Wygląda tak, jakby był nieobecny - pomyślał Johansson.

- Opowiedz mi o tym domu dziecka, do którego trafiłeś - poprosił. - Czasem dobrze jest spuścić trochę powietrza. Wszystko zostanie w tym pokoju.

- Okej - powiedział Max.

Jest rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty trzeci. Maksim Makarow ma sześć lat i właśnie stracił grunt pod nogami. Zmarła mu babcia. Został sam, nie ma nikogo, kto mógłby dać mu coś do jedzenia i miejsce do spania. Nie ma nikogo, kto by go poprowadził. Trafia do domu dziecka.

Stare mury Petersburga w delcie Newy nad Zatoką Fińską. Prawie pięć milionów ludzi ściśniętych na powierzchni równej jednej trzeciej powierzchni Sztokholmu. Względnie uporządkowany świat sowieckich politruków opanowany przez wygłodniałe kapitalistyczne świnię.

Zwykli ludzie. Cierpienie. Pensje i emerytury wypłacane z opóźnieniem lub niewypłacane nie wiadomo dlaczego i bez uprzedzenia. Zalew towarów, na które tylko niewielu może sobie pozwolić. Rosnące ceny chleba, ziemniaków oraz tego wszystkiego, czym można zapchać żołądek. Rosnąca gwałtownie przestępczość. Nowy proletariatus okresu

przejściowego mieszkający na ulicach i placach. Nie przysługują mu już autokary, które przyjeżdżają punktualnie w każde popołudnie i wieczór i wypełnione po brzegi odjeżdżają do izb wytrzeźwień prowadzonych pod szyldem republiki ludowej. Nie przysługują im woda, wodnista zupa i chleb ani wiadro, do którego mogą zwymiotować, nasikać lub zrobić kupę. Tego już nie ma. Sowieckie państwo dobrobytu przestało istnieć. Jego miejsce zajęła wolna gospodarka.

Zniknąwszy, państwo to osierociło tysiące dzieci takich jak Max. Nagle zabrakło dorosłej ręki, która mogłaby poprowadzić te dzieci przez życie. Zamiast tego dostały dom dziecka zapewniający im trzy posiłki dziennie, dach nad głową, lanie o każdej porze dnia i nocy tym, którzy nie byli grzeczni lub posikali się w majtki. I jeszcze pełne nadziei oczekiwanie na adopcję. Oczekiwanie, że będzie się miało nową mamę i nowego tatę, którzy zabiorą cię daleko stąd, do nowego życia w kapitalistycznym raj, na bezpieczną odległość od biedy w Petersburgu.

- Dorastałem na Graždance - powiedział Max. - To miejsce nie bardzo przypomina Östermalm, gdzie mieszkają sami bogacze i gdzie Evert ma biuro - wyjaśnił.

- Na przedmieściach? - zapytał Johansson, bo nie znał zbyt dobrze Petersburga, mimo że był tam zarówno przed upadkiem komunizmu, jak i po nim.

- W tym mieście w zasadzie nie ma przedmieść - wyjaśnił Max. - Tam jest inaczej niż tutaj. Petersburg jest murowany, Graždanka to slumsy. W domu, w którym mieszkałem

z dziadkami, wychodek był na podwórku. Przez długi czas dom dziecka był w każdej dzielnicy. Teraz jest lepiej. Najgorsze minęło. Pracownicy domów dziecka nie mogą już sprzedawać dzieci. Chyba Putin tego zakazał.

Sprzedaż dzieci prowadzono zgodnie z zasadami, jakie obowiązują przy sprzedaży większości towarów. Cena ustalana była w zależności od podaży i popytu, a klienci mogli wybierać dzieci według swoich preferencji. Naturalnie najchętniej wybierano te najmłodsze, zdrowe, miłe i słodziutkie. Dziewczynki cieszyły się większym powodzeniem niż chłopcy.

- Ciebie nikt nie kupił? - stwierdził Johansson z krzywym uśmiechem.

- Zgadnij - powiedział Max i też się uśmiechnął. - Wyglądałem tak jak dziś, choć nie byłem większy od karty do gry.

- Interes nie został ubity - podsumował Johansson.

- Raz upatrzył mnie sobie taki tusty Fin - powiedział Max. - Jego żona była jeszcze bardziej tłusta. No to mu nawrzucałem. Chcesz wiedzieć, czy dostałem potem lanie? Przez kilka dni spałem na brzuchu.

Dom dziecka, w którym przez cztery lata mieszkał Max, był szpitalem, który pospiesznie wyremontowano. Znalazło się w nim miejsce dla trzystu dzieci i dwudziestu pracowników, głównie kobiet. Dzieci rozmieszczano według prostych zasad: na parterze noworodki i niemowlęta, na pierwszym piętrze dzieci między szóstym a dwunastym rokiem życia,

zaraz po wyjściu z klatki schodowej rozdzielane według płci i wysyłane w dwie strony długiego korytarza, na ostatnim piętrze dzieci do piętnastego roku życia. Po piętnastych urodzinach przeprowadzka do innego domu dziecka.

- Jak chłopakowi wyrosły włosy wokół ptaszka, a dziewczynie między nogami, szli na ostatnie piętro. Gdyby matka poczekała jeszcze rok, też bym tam trafił. Byłoby po mnie.

- Wyobrażam sobie.

- Mieszkało tam kilku moich starszych kolegów. Żaden z nich już nie żyje. Alkohol, rozcieńczalnik, rozpuszczalniki, zwykle narkotyki, przestępstwa. Z domu trafiałeś prosto na ulicę. Jeden z moich najbliższych kolegów, cztery lata ode mnie starszy, wlał w siebie butelkę metanolu. Zmarł tej samej nocy. Miał trzynaście lat.

- A szkoła? Chyba chodziliście do jakiejś szkoły?

- Jasne. Była w budynku obok. Uczyliśmy się czytać, pisać i liczyć. Przede wszystkim nauczyliśmy się jednak rzeczy praktycznych. Pracowaliśmy w warsztacie. Przez cały rok zbijałem taborety. To był mój ostatni rok w tym domu. Wcześniej myłem butelki zwrotne i obierałem ziemniaki. Personelowi zależało na tym, żebyśmy pracowali. Na naszej pracy mógł się nachapać. Z tego, że nauczyliśmy się czytać, raczej nie miał pieniędzy.

- Nachapać?

- Chowali zarobione przez nas pieniądze do swojej kieszeni. Mieliśmy sporo klientów. Restauracje, warsztaty, sklepy, firmy budowlane. Przyjeżdżały załadowane

ciężarówki i wyrzucały ładunek na podwórze. Wtedy przybiegaliśmy i wyciągaliśmy gwoździe, sortowaliśmy drewno i układaliśmy je w stosy. Zbijaliśmy zaprawę ze starych cegieł. Mrowie małych Rusków. Pracowitych jak siedmiu krasnoludków. Chociaż zdaje się, że krasnoludki pracowały w kopalni.

- Tak - powiedział Johansson i westchnął. Co mam na to powiedzieć? - pomyślał. Że siedziałem w kuchni w swoim własnym domu i łamałem gałązki na rozpałkę, jeszcze zanim poszedłem do szkoły, a mama karmiła mnie czekoladą z bitą śmietaną i świeżo upieczonymi bułeczkami z cynamonem?

- Rozumiem, że trzeba umieć na siebie zarobić - powiedział Max, jakby czytał w myślach Johanssona - ale my byliśmy niewolnikami personelu. Jak cię nie sprzedali bogaczom z Zachodu, musiałeś pracować. Nauka czytania i pisania była tylko przykrywką.

- Nie miałeś lekko - podsumował Johansson. Muszę coś powiedzieć - pomyślał. Że siedziałem przy piecu w kuchni i łamałem gałązki na rozpałkę? Że gdy byłem małym chłopcem, zdarzyło mi się kopać ziemniaki i grabić siano?

- Można mieć gorzej, to znaczy niektórzy mieli jeszcze gorzej - powiedział Max. - Zresztą nie powiedziałem o najgorszym. Było coś znacznie gorszego.

- W takim razie powiedz.

- Nie wiem, czy szef chce tego słuchać.

- To się okaże.

- No dobra. Miałem przyjaciółkę, była ode mnie o kilka lat starsza. Trafiliśmy do tego domu dziecka mniej więcej w tym

samym czasie, ona kilka miesięcy przede mną. Znaliśmy się już wcześniej. Mieszkaliśmy blisko siebie. Była dla mnie jak starsza siostra. Miała na imię Nadieżda. Nadieżda Nazarowa.

- Może nie powinienem był - pomyślał Johansson, gdy zobaczył wyraz oczu Maxa.

- Jeśli masz siłę - powiedział - opowiedz mi o Nadieżdzie.

Rozdział 84

Poniedziałek, 16 sierpnia 2010 roku, wieczorem

Nadieżda Nazarowa była o trzy lata starsza od Maxa. Mieszkała w domu po drugiej stronie ulicy. Na ich podwórku biegała mniej więcej setka dzieci w zbliżonym wieku. Ojca nie znała. Tworzyła sobie obraz mężczyzny, obserwując licznych kochanków swojej matki. Nie wszyscy byli mili. Jej matka zmarła kilka miesięcy przed jego babcią.

- Na co zmarła mama Nadieżdy?

- Spadła z rusztowania, była pijana. Śmierć na miejscu.

- Z rusztowania? A co tam, kurwa, robiła? - zdziwił się Johansson.

- Pracowała - wytłumaczył mu Max. - Była murarzem, tynkowała elewacje. To Rosja, szefie.

- Słyszę, co mówisz - powiedział Johansson.

Gdy Max, lat sześć, przyszedł do domu dziecka, Nadia, lat dziewięć, już tam mieszkała.

- Była dla mnie jak starsza siostra - powiedział Max. Zatopiony w myślach sprawiał wrażenie, że nie widzi leżącego na kanapie Johanssona.

- Trafiliśmy na to samo piętro, choć do różnych sal. Przecież ja byłem chłopakiem, a ona dziewczyną. I tak prawie cały czas byliśmy ze sobą. Wieczorem, gdy wszyscy spali, Nadia zakradała się do mojej sali, żeby przytulić mnie

na dobranoc, szepnąć mi coś do ucha, opowiedzieć bajkę, zaczekać, aż zasnę.

- No i co się stało? - zapytał Johansson, choć wiedział już dokładnie, co się stało. Potrafił to nawet zobaczyć.

- Nadia była śliczną dziewczyną. Miała dziewięć lat, a i tak różni ludzie chcieli ją adoptować.

- Mimo to została z tobą - domyślił się Johansson. Kurwa mać - pomyślał.

- Jasne, przecież obiecała, że się mną zaopiekuje, że kiedyś uciekniemy i zamieszkamy w naszym domku, o którym nikt poza nami nie będzie wiedzieć. Weźmiemy ślub, będziemy mieć dzieci, które będziemy tulić i całować.

Pewnego dnia zjawiła się jakaś para ze Szwecji. Za wszelką cenę chcieli wziąć Nadię. Wydawali się normalni. On był jakimś dyrektorem, ona nauczycielką, mieszkali w Västerås. Akurat to zapamiętałem: Västerås - powtórzył Max. - Västerås w Szwecji, nigdzie indziej.

- No i?

- Byłem pewien, że to już koniec. Że wszystko przepadło. Ale Nadia odegrała atak hysterii, wpadała w szal, rzuciła się na podłogę, próbowała wydlubać oczy tej kobiecie z Västerås. Personel wywlókł ją z pokoju i zamknął w dyżurce. Para z Västerås zdecydowała się na inne dziecko, biedactwo, które nie odezwało się nawet słowem. Cieszyłem się. Wyobrażasz sobie, jaki byłem szczęśliwy? A potem Nadii wyrósł puszek między nogami. Dopiero wtedy wszystko przepadło. Już naprawdę.

Nadia zaczęła dojrzewać przed ukończeniem dwunastego

roku życia. Urosły jej piersi i włosy łonowe. Jak wszystkie dziewczynki z tego domu dziecka trafiła do zatrudnionego w nim lekarza na pierwsze badanie ginekologiczne. I jak wszystkie dziewczynki, które miały dopiero stać się kobietami, a które przypadły mu do gustu, zdobyła swoje pierwsze doświadczenie seksualne.

- Przeleciał ją - powiedział Max ze wzrokiem utkwionym gdzieś daleko. - Pieprzył się z każdą dziewczynką, której urosło choć kilka włosków na cipce. Wiedziały o tym wszystkie dzieciaki. Ale nie wiedział nikt z zatrudnionych tam dorosłych. Tak przynajmniej twierdzili, gdy zjawiły się gliny.

Po tym, co zrobił jej ten lekarz, Nadia jakby się wyłączyła. Nie chciała ze mną rozmawiać. Ledwo mnie zauważała. Snuła się po domu jak zombie.

- Policja. Dlaczego się u was zjawiła?

- Tej nocy zmarła Nadia - powiedział Max. - Po tym jak ją znów przeleciał tamten lekarz. Zrobił to, jak zawsze, u siebie w gabinecie. Najpierw wlał w nią bimber, żeby nie krzyczała. Sam też wypił z litr. Wódki - paliwa, które od zawsze ciągnęło matkę Rosję do przodu. Potem zasnął. Normalnie odpadł. Wcześniej przywiązał Nadię do fotela, na którym siadają dziewczyny do badania. Ona też zasnęła albo zemdląła. Nie jestem pewien.

- Skąd to wiesz? - zapytał Johansson. Że też nie umiem ugryźć się w język - pomyślał w tej samej chwili.

- To ja ją znalazłem - wyjaśnił Max. Podniósł się gwałtownie. Jego szczupła twarz była biała jak kreda,

pozbawiona emocji. – Szef wybaczy – powiedział, przycisnął pięść do ust i zniknął za drzwiami.

– Okej – powiedział, gdy wrócił po dziesięciu minutach. – Na czym skończyliśmy?

– Powiedziałaś, że to ty ją znalazłeś.

– Tak. Wstałem, żeby się wysikać. W środku nocy. Kibel był zaraz obok gabinetu. Nie wiem jak, ale nagle wszystko zrozumiałem. Drzwi były zamknięte na klucz, więc zdjąłem gaśnicę ze ściany i je wyważyłem.

Dziewięć lat – pomyślał Johansson.

– Nadia już nie żyła. Nie dotarło to do mnie od razu, bo próbowałem ją ocucić. Prawdopodobnie zadusiła się wymiocinami. Wujek doktor spał, leżał na podłodze, kompletnie nieprzytomny. Wróciłem po gaśnicę i uderzyłem go w głowę. Tylko raz, bo przybiegł personel i mnie obezwładnił. Potem przyjechały gliny.

– Co było później?

– Wywalili go – wyjaśnił Max. – Tyle mniej więcej się stało. Jeśli szef jest ciekaw, nazywał się Aleksander Konstantinow. Był lekarzem w kilku domach dziecka. Gdy po raz pierwszy siedziałem z paragrafu dwunastego, to znaczy pierwszy raz w Szwecji, uciekłem. Popłynąłem promem do Finlandii, a stamtąd do Petersburga. Pomyślałem, że zakończę tę sprawę, przekażę Konstantinowowi ostatnie pozdrowienie od Nadii i ode mnie.

– Ile miałeś wtedy lat?

– Szesnaście. Ale wyglądałem tak jak teraz, więc nie było problemu.

- Znalazłeś go?

- Nie - powiedział Max. - Naprawdę szukałem, ale zmarł rok wcześniej. Szedł pijany, wpadł do Newy i utonął. Był to mój drugi największy powód do smutku.

- Rozumiem - powiedział Johansson. Pierwszym powodem była Nadia - pomyślał.

- Nie. Z całym szacunkiem dla szefa, ale szef jest dobrym człowiekiem. Ktoś tak dobry jak szef nie rozumie nic z tych rzeczy. Nigdy szef nie zrozumie i powinien się szef z tego cholernie cieszyć. Z opowieści Everta zrozumiałem, że szef był mistrzem w łapaniu morderców, jeszcze w czasach, gdy był bossem w policji. To się nie liczy. Ja mówię o czymś zupełnie innym. Gdy szef mnie poprosił, żebym sprawdził te wyciągi z rejestru samochodów, tego pedzia, Staffana Nilssona, który zamordował tę dziewczynkę, pomyślałem, że Bóg jednak istnieje.

- Dlaczego? - zapytał Johansson.

- Po pierwsze urodził się w tym samym roku co Konstantinow, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym. Po drugie obaj podobnie wyglądali. Znalazłem w sieci zdjęcie Nilssona. Może nie najnowsze, ale podobieństwo jest widoczne. Równie dobrze mogliby być braćmi. Zresztą są nimi. Tacy jak Konstantinow i Nilsson. Dorośli mężczyźni, którzy gwałcą i zabijają małe dziewczynki, są jak bracia. Zanim chlasnąłem Nilssona w nos, pomyślałem, że Bóg jednak istnieje. Że dał mi go w zamian za Aleksandra Konstantinowa, który niestety utopił się, zanim go dorwałem.

- Cieszę się, że go nie zabiłeś.

- Z szacunku, szefie. Miałem to zrobić, ale wtedy pomyślałem, że przecież on należy do szefa. To szef go znalazł, więc on należy do szefa, nie do mnie. Nic na to nie poradzę.

Rozdział 85

Wtorek, 17 sierpnia 2010 roku

- Ma szef gościa - powiedziała Matilda i popatrzyła znacząco na Johanssona, który położył się na kanapie, żeby strawić w spokoju zjedzony przed chwilą lunch.

- Jarnebring - powiedział Johansson. Nie mógł wcześniej zadzwonić - pomyślał zirytowany.

- *Niet* - powiedziała z jakiegoś powodu Matilda. - Żadnych wilków, jak okiem sięgnąć. Mały Max zamknął się w pokoju i gra na komputerze. Przyjaciel szefa leży pewnie w swojej jamie zajęty pożeraniem jakiegoś niewiniątka, na które wpadł przypadkiem na ulicy. To znacznie lepszy gość.

- Jak to?

- Przyszła dziewczyna. Młoda, ładna dziewczyna. No, powiedzmy, dosyć młoda.

- Tak ładna jak ty? - zapytał Johansson, którego znowu naszedł ten nastrój.

- Może - zawahała się Matilda. - W innym typie, że tak powiem.

- Lisa Mattei - pomyślał Johansson i nagle poczuł, że zalewa go spokój. Stał się spokojny i trochę nieobecny, jak po tych małych białych tabletkach, które, jak się domyślał, brał zdecydowanie za często.

- Lisa Mattei - powiedziała Matilda. - Twierdzi, że zna szefa. Że szef wie, o co chodzi. Ma nadzieję, że nie

przeszkadza.

- Siadaj, Liso - powiedział Johansson i wskazał jej fotel przy kanapie. - Napijesz się czegoś?

- Herbaty, chętnie - powiedziała Lisa do Matildy.

- A ja poproszę podwójne espresso, bez mleka - zdecydował Johansson. - I możesz zamknąć drzwi - dodał.

- Jak się czujesz, Lars? - zapytała Lisa Mattei i usiadła, krzyżując elegancko nogi. Brzeg niebieskiej spódniczki zatrzymał się tuż pod kolanem. - Wyglądasz jeszcze lepiej niż wczoraj.

- Jak pączek w maśle - powiedział Johansson. A ty już nigdy nie nazwiesz mnie szefem, bo jesteś dużą dziewczynką - pomyślał.

- Miło tu - zauważyła Lisa Mattei i z uznaniem powiodła wzrokiem po regałach z książkami.

- Daj już spokój, Mattei. Przejdź do rzeczy.

- Tak - powiedziała Lisa Mattei i spoważniała. - Pierwszy raz, odkąd cię znam, czyli od jakichś dziesięciu lat, naprawdę miałam nadzieję, że nie masz racji. Że nawet ty, choć ten jeden raz, możesz nie mieć racji.

- Ale tak się nie stało - powiedział Johansson. Za kogo ona mnie ma? - pomyślał.

- Nie. Głupio z mojej strony. DNA z krwi na chusteczce, którą mi dałeś, zgadza się z DNA ze spermy zabójcy Yasmine. Zdaniem naszych techników prawdopodobieństwo, że próbki mogłyby pochodzić od dwóch różnych osób, jest mniejsze niż jeden na miliard. Udało się też ustalić DNA właścicielki spinki. Na podstawie mikroskopijnych

fragmentów skóry, które znajdowały się po wewnętrznej stronie spinki.

- I?

- Yasmine Ermegan - powiedziała Mattei. Mówiąc to, trzymała prawą dłoń na swoim zaokrąglonym brzuchu, jakby chciała go chronić.

Rozdział 86

Wtorek, 17 sierpnia 2010 roku

- Jak pewnie rozumiesz, mam kilka pytań - rzuciła Lisa Mattei. - Mam nadzieję, że nie zaprotestujesz.

- Oczywiście, że nie. Pytaj, o co tylko chcesz.

- Pierwsze pytanie pochodzi od naszego technika, który badał DNA. Krew na chusteczce. Jego zdaniem to krew z nosa, co w tym kontekście wydaje się dość oryginalne. Technik chce wiedzieć, czy się nie myli.

No to ładnie - pomyślał Johansson.

- Włosy z nosa we krwi, Trzy włosy. Skutek niezbyt delikatnego wytarcia komuś krwawiącego nosa. Tak przynajmniej uważa nasz technik. Przyznam, że nawet mnie to zaciekało.

- Nic wielkiego - powiedział Johansson, wzruszając ramionami. - Niebezpieczeństwo w zwłóce - jeden z moich współpracowników lekko się zniecierpliwiał. Nie było warunków, żeby poprosić podejrzanego o włożenie wacika do ust, jak pewnie rozumiesz.

- Są inne sposoby. Niewzbudzające niczyich podejrzeń.

- On ani nie pali, ani nie zażywa snusu. Zsyp do śmieci ma w kuchni. Zawsze zamyka drzwi do mieszkania, a jego samochód jest zamknięty, zabezpieczony alarmem i starannie wysprzątany. Gdy siedział w knajpie i coś pił, nigdy nie dało się zdobyć szklanki. Jarnebring poświęcił na to

cały tydzień, i nic.

- Mogłeś do mnie zadzwonić.

- Jasne. Mogłem zadzwonić do wielu swoich kolegów, których znam z czasów, gdy jeszcze pracowałem. Chłopakom z grupy szybkiego reagowania zajęłoby to pewnie kwadrans. Mogłoby upłynąć wiele krwi. Podjąłem jednak inną decyzję. Nie bój się. Sukinsyn żyje i mimo tego, co zrobił tej dziewczuszcze dwadzieścia pięć lat temu, ma się dobrze. Dużo lepiej ode mnie, jeśli chcesz wiedzieć. Nie masz się więc o co martwić.

- Ani trochę się o niego nie martwię. Rozumiem, że wiesz już o nim niemal wszystko.

- Można powiedzieć, że wiem to, co zwykle. Jeżeli uwzględnimy naturalne ograniczenia wynikające z faktu, że jestem na emeryturze, unikam rozmów z byłymi kolegami, którzy nie potrafią trzymać języka za zębami, i na dodatek zrobił mi się ostatnio zator w głowie.

- Możesz mi podać jego nazwisko. To by znacznie wszystko ułatwiło, jak na pewno rozumiesz.

- Odpowiedź odmowna, przynajmniej w tej chwili. Wróc za tydzień, muszę się zastanowić.

- Jest niekarany?

- Tak, przynajmniej w Szwecji. Czy nadal jest aktywnym pedofilem? Co do tego nie mam wątpliwości. Czy zrobił coś jeszcze? Na pewno, ale raczej nic, co by choć trochę przypominało sprawę Yasmine. Nie róbcie sobie nadziei, że znalazłem wam niezidentyfikowanego seryjnego mordercę.

- Jeśli jesteś ciekaw, wprowadziłam jego DNA do naszego

międzynarodowego rejestru, zanim do ciebie przyjechałam. To poufna wiadomość.

- W takim razie pozostaje mi trzymać kciuki i mieć nadzieję, że rozwiążecie to w ten sposób. Szukaj tam, gdzie zwykle. Tam, gdzie tacy jak on lubią się zaszyć. Tajlandia, Filipiny, Meksyk, Ameryka Środkowa, Rosja, kraje bałtyckie, południowe Bałkany. Na twoim miejscu zacząłbym od Tajlandii. Szwecję i naszych północnych sąsiadów możecie sobie moim zdaniem darować. Nie przypominam sobie żadnych pasujących tu niewyjaśnionych zabójstw na tle seksualnym, których ofiarami były dziewczynki. Żadnych zniknięć, żadnych brutalnych przestępstw popełnionych przez pedofilów.

- Co do tego w pełni się z tobą zgadzam. Dałam to do sprawdzenia już wczoraj. Jeszcze jedno. Jak byś go scharakteryzował pod kątem społecznym?

- Szwed, w średnim wieku, samotny, bez dzieci, ani człowiek sukcesu, ani przegrany, prowadzi interesy na rynku nieruchomości. Jeśli jesteś ciekawa, wygląda całkiem normalnie. Nawet miło, szczerze mówiąc. Nikt w typie Andersa Eklunda, że tak powiem.

- Rozumiem, co masz na myśli. - Lisa Mattei z jakiegoś powodu westchnęła.

- Pamiętaj o tym, kim jest ojciec Yasmine. Śmiem twierdzić, że miałabyś problem natury politycznej, gdyby sprawa wyciekła.

- O to się nie martw. Poinformowałam już naszego generalnego.

- I co powiedział?

- Przekazuje ci pozdrowienia i ma nadzieję, że szybko staniesz na nogi. Gdybyś rozważał powrót do pracy, wystarczy jeden telefon. W zasadzie myśli to co ty. Że Joseph Simon podniesie rękawicę i że sprawcy przysługuje ochrona przewidziana szwedzkim prawem - podsumowała Lisa Mattei. Potem wstała i jeszcze raz popatrzyła na kartony wypełnione papierami. - Mam ostatnie pytanie.

- No dobra - powiedział Johansson. Ostatnie pytanie, a potem jeszcze jedna tabletkę od bólu głowy - pomyślał.

- Ile czasu ja i moi koledzy potrzebujemy na znalezienie go?

- Z pewnością więcej niż tydzień. Lepiej więc oszczędź sobie wysiłku.

- Biorę to za obietnicę. Odezwiysz się za tydzień i powiesz, kim on jest.

- Pod warunkiem że ty i twoi koledzy nie będziecie mnie śledzić.

- W życiu nie przyszłoby mi do głowy śledzić kogoś, kto widzi, co jest za rogiem. A gdyby któryś z moich kolegów mimo wszystko wpadł na taki nedorzeczny pomysł, obiecuję, że natychmiast wybiję mu ten pomysł z głowy.

- Uważaj na siebie, Liso - powiedział Johansson. Ciekawe, czy zobaczę tę jej małą? - pomyślał.

- Ty też na siebie uważaj, Lars - powiedziała poważnie Lisa Mattei. - Pamiętaj, że czekają cię chrzciny.

Pochyliła się nad nim i uścisnęła go.

Idź już - pomyślał i poczuł, jak coś ściska go w gardle. Idź

już, bo zacznę beczeć.

V

*Jeżeli zaś on poniesie jakąś szkodę,
wówczas on odda życie za życie, oko
za oko, ząb za ząb, rękę za rękę,
nogę za nogę.*

Księga Wyjścia 21:23

Rozdział 87

**Środa, 18 sierpnia 2010 roku, dzień czterdziesty
czwarty**

- Najwyższy czas coś zrobić - pomyślał Johansson, gdy obudził się rano. - Najwyższy czas skontaktować się ze Staffanem Nilssonem. Najwyższy czas złożyć mu propozycję nie do odrzucenia.

Praktycznie pewnie byłoby go zabić, posprzątać po sobie i iść dalej. Miał w końcu potrzebną wiedzę i środki, ręk do pomocy najwyraźniej też nie brakowało. A jednak była to rzecz nie do pomyślenia i myśl nie do zrealizowania, i to pomimo tych wszystkich uczuć, które gotowały się w nim i we wszystkich naokoło. Najłatwiej będzie odrzucić od razu tę ewentualność, bo w jego świecie nie było celu, który by uświęcał taki środek.

Nie miał najmniejszego zamiaru oddać Nilssona na pożarcie mediom i pozwolić, żeby motłoch dokończył dzieła. A tym bardziej skontaktować się z ojcem Yasmine i przekazać sprawy w jego ręce, choć to on był najbliższym opłakującym i stało za nim starotestamentowe prawo.

Zostawić wszystko i iść dalej? To w ogóle nie wchodziło w rachubę. Prawda, zło zawsze zwycięża - to już samo w sobie jest złem - lecz Johansson tak łatwo nie mógł dać za wygraną. Nie teraz, gdy na nim spoczywała odpowiedzialność. Jeśli miał żyć dalej, musiał żyć w zgodzie

z samym sobą i ze swoim sumieniem.

Pozostaje przemówić do rozumu temu skurczybykowi i wytłumaczyć mu, że tak będzie dla niego najlepiej - pomyślał Lars Martin Johansson.

Po śniadaniu zadzwonił do Everta, żeby prosić go o pomoc w kilku kwestiach praktycznych. Minęło pięć minut, zanim mógł w końcu przejść do rzeczy, ponieważ ostatnimi czasy Evert wypytywał go o zdrowie niezwykle szczegółowo.

- Chciałem prosić cię o pomoc - powiedział Johansson. - Planuję oszukać takiego jednego skurczybyka.

- Nie mogłeś lepiej trafić - odchrząknął Evert. - O jakiej sumie mówimy?

- Chodzi nie o pieniądze - powiedział. - O coś znacznie gorszego.

- Nie chcesz powiedzieć co to?

- Nie, może później. Jak już będzie po wszystkim - wyjaśnił. - O ile wszystko pójdzie zgodnie z planem - pomyślał.

- No to mów - zachęcił go Evert.

- Chcę skorzystać z twojego biura. Chcę wydać się wiarygodny. - Żeby facet nie domyślił się, co się święci, i nie dał nogi przed czasem - pomyślał.

- O to nie musisz nawet pytać - powiedział Evert. - To również twoje biuro. Pogadaj z Matsem, naszym dusigroszem.

- Dzięki, bracie.

Potem zadzwonił do Matsa. Mats Eriksson, o połowę młodszy

od Everta, był magistrem ekonomii i dyrektorem naczelnym grupy spółek. W tej grupie on odpowiadał za szczegóły, a Evert za poważne przedsięwzięcia przynoszące duże pieniądze. Johansson zaś siedział w zarządzie jako reprezentant samego siebie i reszty rodziny.

- Chodzi o ofertę inwestycyjną dotyczącą projektu mieszkaniowego w Tajlandii. Hotele, mieszkania pod wynajem, domy, obsługa. To co zawsze. Prześlę ci kurierem opis projektu. Chciałbym, żebyś umówił spotkanie dla Johansson Holding SA z firmą, która stworzyła ten projekt.

- Jak się nazywa firma?

- Leander Thai Invest SA. Dyrektorem jest Staffan Nilsson. To z nim chcę się spotkać.

- Staffan Nilsson - powtórzył Mats. - Czeka, mówimy o Staffanie Leanderze Nilssonie?

- Tak - potwierdził Johansson. - Zależy mi na tym, by spotkać go osobiście.

- Evert o tym wie?

- Tak. Dlaczego pytasz?

- Dlatego że wiem, kim jest Staffan Nilsson.

- Ja też wiem. Masz mnie za głupka? Zależy mi na wiarygodnym powodzie, żeby spotkać się z tym kolesiem. Mógłbyś mi to zorganizować?

- Już rozumiem - odetchnął Mats. - Chcesz, żebym przy tym był?

- Jak najbardziej. Nie chcę natomiast, żebyś mu o mnie cokolwiek mówił. Ani słowa o mojej przeszłości. Powiedz tylko, że na spotkaniu będzie jeden z właścicieli.

- Sprawdzę w kalendarzu. Wszystko jasne.
- Nie musisz. Chcę się z nim spotkać jutro, najpóźniej pojutrze. Chcę, żebyś był na spotkaniu. O mój grafik się nie martw. Mam czas w oba te dni.
- Zajmę się tym. Zadzwoń, gdy tylko będę wiedzieć coś więcej.
- Jeszcze jedno - powiedział Johansson, bo właśnie przyszła mu do głowy pewna myśl. - Zależy mi na tym, żeby spotkanie odbyło się u nas w biurze. Żaden lunch, nic w tym stylu. Ważne, żeby on przyszedł sam.
- Akurat to nie powinno stanowić problemu. Staffan Nilsson należy do tych, którzy noszą biuro w kieszeni, a jego współpracowników da się pewnie policzyć na palcach jednej ręki. Kogoś takiego jak on nie zaprosiłbym nigdy na lunch, o to nie musisz się martwić. Wystarczą kawa i woda mineralna.
- Dziękuję - powiedział Johansson. Zarozumialec - pomyślał.

Mats Eriksson zadzwonił już po godzinie.

- Załatwione. Spotkanie u nas w piątek, punkt trzynasta. Pasuje ci?

- Tak. Widzimy się pojutrze - powiedział. *Back on the road, again* - pomyślał i ból głowy minął jak ręką odjął.

Włożył do koperty kolorowe prospekty Staffana Nilssona i zawołał Maxa.

- Co mogę dla szefa zrobić?
- Chciałem cię prosić, żebyś wziął te papiery i zawiózł je do biura Everta tu na miejscu, w Sztokholmie. Karlavägen...

- Wiem, gdzie to jest - przerwał Max. - Na Östermalm, gdzie mieszkają wszyscy bogacze.

Rozdział 88

Czwartek, 19 sierpnia 2010 roku

Gdy Johansson obudził się rano, nie bolała go głowa, a ucisk w piersiach był do zniesienia. Pochylił się nad umywalką i ochlapał twarz wodą. Wtedy zauważył, że już dawno powinien się ogolić. Ale w tej chwili nie miał na to siły.

- Fatalnie wyglądasz - powiedział skrzywiony do swojego odbicia w lustrze.

Najwyraźniej Matilda dokonała tej samej obserwacji, bo gdy usiadł w kuchni, żeby zjeść śniadanie, zauważyła:

- Widzę, że szef postanowił się zapuścić.

- Przebranie - uspokoił ją Johansson, bo właśnie przyszedł mu do głowy pomysł, który być może nie był tylko wynikiem użalania się nad sobą i swoim rozpadającym się ciałem.

- Przebranie?

- Tajna misja. Czeka mnie wkrótce tajna misja. Postanowiłem więc, że trochę się zmienię - wyjaśnił Johansson. Wcale nie taki głupi pomysł - pomyślał. Musi pamiętać, ile razy pojawiał się w telewizji, zanim przeszedł na emeryturę. Musi pamiętać, jakim ostrożnym człowiekiem wydawał się Staffan Nilsson. Ożyły też wspomnienia. Gdy pracowali z Jarnebringiem jako śledczy w sztokholmskiej policji, zdarzało im się przebierać za taksówkarzy, robotników drogowych i sprzedawców kiełbasek.

- Mogę się tym zająć - zadeklarowała się Matilda. - Tak

szefa zrobię, że nawet najbliższy przyjaciel go nie pozna. Potrzebuję tylko okularów słonecznych, jakichś ubrań i tony żelu do włosów.

- Tylko bez tatuaży i kolczyków - zastrzegł Johansson. Na wszelki wypadek lepiej powiedzieć - pomyślał.

- Nawet małego kolczyka w uchu. Bez obaw, szefie.

- Musiało to być jakieś czterdzieści lat temu - przypomniał sobie Johansson. - Stał przebrany za sprzedawcę kiełbasek przed stadionem Johanneshov, gdy śledzili z Jarnebringiem notorycznego ekshibicjonistę, który najwyraźniej łączył pasję do hokeja z głęboką potrzebą wymachiwania publicznie siusiakiem.

Jarnebring nie nadawał się na sprzedawcę. Już wtedy wyglądał tak przerażająco, że nikt nie odważyłby się nawet zbliżyć do jego budki, a już tym bardziej poprosić o musztardę i keczup. Za to Johansson odnalazł się w tej roli doskonale.

- Jeszcze trochę musztardy - powiedział ekshibicjonista do Johanssona.

Chwilę potem Jarnebring zaszedł go od tyłu i capnął za kołnierz.

- A konkretnie na które miejsce? - zapytał.

Potem założyli ekshibicjoniście kajdanki, wezwali radiowóz, żeby zawiózł go do aresztu, a sami spędzili resztę wieczoru, patrząc, jak Brynäs rozstawiał Djurgården po kątach.

Wspomnienia - pomyślał Johansson. Niektóre mimo wszystko się zachowały.

- Halo, szefie - odezwała się Matilda. - Halo! Tu Ziemia...
- Przepraszam - powiedział Johansson. - Zamyśliłem się.

Potem był na rehabilitacji. Niezbyt dobry czas na myślenie i wspomnienia. Wysiłek wyłącznie fizyczny, narzucone mu nowe nawyki, każdego dnia przypominające o jego utraconym życiu. Wyszedł też z Maxem na spacer. Nie odezwali się do siebie ani słowem, widać nie mieli takiej potrzeby. Już lepiej - pomyślał Johansson i wziął głęboki oddech.

Potem zjadł lunch. Przysługujące mu dwa kieliszki wina odłożył na kolację z Pią. I z Maxem, naturalnie. Traktowali go już jak swoje dziecko pomimo jego wyglądu i pomimo tego, że w odróżnieniu od zwykłych dzieci - na dobrą sprawę od ludzi w ogóle - przemieszczał się całkowicie bezszelestnie.

Gdy Johansson leżał na kanapie w gabinecie, zastanawiając się, w jaki sposób złoży Staffanowi Nilssonowi propozycję nie do odrzucenia, niespodziewanie zadzwonił telefon. Treść rozmowy była równie niespodziewana.

- Dzień dobry, szefie - powiedział inspektor Hermansson z Komendy Wojewódzkiej w Sztokholmie. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

- Nie - wyrzucił z siebie zaskoczony Johansson.

- Wszystko u szefa w porządku?

- Jakoś leci - powiedział. Przejdź do rzeczy, lizusie - pomyślał.

- Pojawiły się komplikacje. Obawiam się, że muszę prosić szefa o zwrot materiałów dochodzeniowych w sprawie Yasmine, które szefowi pożyczyłem.

- Dlaczego? Dopiero co je dostałem - zaprotestował. Coś się stało - pomyślał. I bynajmniej nie chodzi o to, że Hermansson i jego zięć zapragnęli zaspokoić swoją ciekawość.

Hermansson zaczął tłumaczyć. Jego zdaniem to skomplikowana historia. Odezwał się do niego kierownik działu badań naukowych przy zarządzie Komendy Głównej Policji. Skontaktowała się z nim znana grupa zajmujących się zbrodniami badaczy z Northwestern University na obrzeżach Chicago. Planują przeprowadzenie wielkiego międzynarodowego studium porównawczego poświęconego poważnym przestępstwom na tle seksualnym skierowanym przeciwko dzieciom i w związku z tym potrzebują dostępu do materiałów dochodzeniowych w sprawie zabójstwa Yasmine Ermegan.

- To chyba w ramach projektu ONZ na temat *trafficking* - wyjaśnił Hermansson. - Wiesz, sprzedaż kobiet i dzieci jako niewolników seksualnych.

- Słyszę, co mówisz - powiedział Johansson. - Co to ma wspólnego z Yasmine?

- Wygląda na to, że dostali skądś dofinansowanie i rozszerzają projekt na wszystkich pedofilów, którzy zabili dzieci. Badanie obejmuje Stany i Europę.

Naturalnie - pomyślał Johansson, który nauczył się nie ufać zarówno zbiegom okoliczności, jak i innym tajemniczym koincydencjom.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, pomyślałem, że wpadnę zabrać nasze kartony - powiedział Hermansson. -

Nie chciałbym, żebyś się tym kłopotał. Najłatwiej będzie, jeśli przy okazji zajrzemy do ciebie z zięciem.

Bardzo to miłe z twojej strony - pomyślał Johansson. - Wieczorem jestem zajęty - wyjaśnił. - Ewentualnie jutro.

- Jasne, jak najbardziej mi to pasuje - powiedział Hermansson, który z jakiegoś powodu nie potrafił ukryć, jak bardzo mu ulżyło.

- Zadzwoń do mnie jutro rano.

Kiedy odkładał słuchawkę, zrozumiał nagle, jak się sprawy miały. Zaczynasz tracić ostrość widzenia - pomyślał. Jak to powiedział jego najbliższy przyjaciel? „Młoda, ładna blondynka, dziewiętnaście lat”. Dwadzieścia pięć lat temu, gdy Yasmine Ermegan została zgwałcona i zamordowana.

Rozdział 89

Czwartek, 19 sierpnia 2010 roku, wieczorem

Znalezienie adresu nie było żadną sztuką, jej nazwisko widniało w książce telefonicznej. A że Matilda jeszcze z nim była, poprosił ją, żeby do niej zadzwoniła, ale się nie odzywała. Tylko głuchy telefon. Nie chciał jej niepotrzebnie niepokoić.

- Jest w domu - zdała raport Matilda. - Odgłosy jak u mojej siostry, zanim położy dzieci i usiądzie przed telewizorem.

Max stał oparty o parapet, popijał napój dla sportowców, bez którego chyba nigdzie się nie ruszał. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy.

- Max, jedziemy - wydał polecenie Johansson.

W odpowiedzi dostał kiwnięcie głową, nic więcej. Po chwili Maxa już nie było.

- Co mam powiedzieć Pii? - zapytała Matilda i z jakiegoś powodu spojrzała na kuchenkę.

- Kolacja musi poczekać. Będę za dwie godziny. A może - zaczął i spojrzał bacznie na Matildę - może zostaniesz u nas? Będziecie z Pią raczyć się winem, dopóki ja i Max nie wrócimy.

- Zaczekaj z kolacją - westchnęła Matilda. - Gdzieś już to słyszałam. Nie ma sprawy, szefie.

- Wiadomo - powiedział Johansson. Zaczekaj z kolacją.

Zaczekaj z kolacją – pomyślał. Prosta i w sumie naturalna czynność, która, jak słyszał, była powodem zniewolenia zachodnich kobiet od epoki kamienia łupanego. Ponieważ wychował się w latach czterdziestych i pięćdziesiątych na wsi w północnym Ångermanlandzie, nie potrafił zrozumieć, o co tu chodzi. Elna też by pewnie nie rozumiała. Jego ukochana matka, która ciągle miała coś do roboty i której nie zostawała nawet minuta na czekanie na kogokolwiek. A już na pewno nie na mężczyzn, bo ci zawsze byli w pobliżu.

Szpital Karolinska otwarto już w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku, ale mieszkania dla lekarzy oddano do użytku dopiero na początku lat pięćdziesiątych. Trzy duże wille dla tych starszych lekarzy i profesorów, którzy chcieli mieć blisko do pracy, kilkanaście domów szeregowych dla tych młodszych lekarzy, którzy dopiero zaczynali życie zawodowe. Wszystko w zgodzie z angielskimi wzorcami: cegła, porządne murarskie rzemiosło, rozległe ogrody i tereny zielone, spokój, cisza. Cmentarz w Solnej od północy i wielki budynek szpitala od południa.

Ona również mieszkała w jednym z tych szeregowców. Tak jak mieszka osoba mająca jej pozycję zawodową, a pewnie też jej możliwości finansowe i wszystko to, co kieruje życiem takich jak ona – pomyślał Johansson.

– Możesz być spokojny – wyjaśnił z uśmiechem Maxowi. – Idę na spotkanie z kobietą.

– *Watch your back, boss* – poradził Max i również się uśmiechnął.

– Johansson? – zdziwiła się Ulrika Stenholm, otwierając

drzwi. - Co ty tu robisz? Nie mam w zwyczaju przyjmować pacjentów w domu.

- Nie przyszedłem tu w charakterze pacjenta. - Usiądziemy u ciebie w mieszkaniu albo u mnie w samochodzie - zaproponował, pokazując ruchem głowy czarne audi, za którego przyciemnionymi szybami widać było siedzącego nieruchomo Maxa.

- Wejź do środka. Chłopcy jeszcze nie śpią - wyjaśniła. - Czy coś się stało?

- Mnie o to nie pytaj - powiedział Johansson. - Sama wiesz najlepiej.

Pięć minut później chłopcy siedzieli w kuchni. Pięć, sześć lat, włosy tak jasne jak u mamy. Zamilkli dopiero wtedy, kiedy dostali lody i zgodę na włączenie gry komputerowej.

Regały z książkami od podłogi do sufitu, na podłodze wełniane dywany, litografie Petera Dahla na ścianach, kanapa, fotel z podnóżkiem, ława, wielki fortepian i wieża zajmująca pół pokoju. Wszystko to musiało kosztować kiedyś dużo pieniędzy. Prawdopodobnie spadek po rodzicach. Z wyjątkiem Petera Dahla. Tematyka litografii wskazywała, że starszy wiekiem duchowny raczej nie powiesiłby ich u siebie w mieszkaniu. A już tym bardziej nie podarowałby ich córce - pomyślał Johansson.

- Czy coś się stało? - zapytała Ulrika Stenholm, siadając na kanapie. - Może się czegoś napijesz? - dodała. - Kawy?

Była zaniepokojona. Tak bardzo zaniepokojona, że zapomniała nawet przechylić swoją smukłą jasną szyję.

- Nie, nie trzeba. Chciałbym natomiast, żebyś powiedziała mi o tym, co łączy cię z ojcem Yasmine. Proponuję, żebyś zaczęła od tego weekendu przed dwudziestoma pięcioma laty, kiedy została zamordowana jego córka, a wy pojechaliście na szkiery, żeby się pieprzyć jak króliki.

Gdy tylko Johansson to powiedział, biały ogień płonący w jego głowie zmalował tak, że nagle znów mógł oddychać jak człowiek. W tej samej chwili Ulrika Stenholm zakryła twarz dłońmi i wybuchnęła płaczem.

Klasyka - pomyślał. Typowe zagranie, przed którym tacy jak on nigdy nie mogli się obronić.

- Przepraszam. Przepraszam, ale nie sądziłam, że uda ci się go odnaleźć. To znaczy tego, co zamordował Yasmine.

- Opowiadaj. I przestań się mazgaić - powiedział, podając jej chusteczkę, którą przed wyjściem z domu na wszelki wypadek włożył do kieszeni. Wziął przykład ze swojego parobka.

W roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym Ulrika Stenholm jako osiemnastolatka zdała maturę w Nya Elementar w Brommie. Miała doskonałe oceny, więc bez problemu dostała się na wydział lekarski w Karolinska Institutet. Po pierwszym roku w czasie wakacji pracowała w prywatnym laboratorium medycznym, którego właścicielami byli Joseph Ermegan i jego wuj. Ten sam Joseph Ermegan, który już wkrótce miał zmienić nazwisko na Joseph Simon i przeprowadzić się do Stanów.

Ulrika chodziła do niego na zajęcia z biochemii. Wielbiła go, podobnie jak reszta studentek. Po zakończeniu zajęć

Joseph Ermegan zapytał ją, czy byłaby zainteresowana pracą w wakacje. Zgodziła się bez wahania i już drugiego dnia w nowym miejscu pracy kochała się z nim.

- Był moją wielką miłością - wyznała Ulrika Stenholm, ocierając łzy. - Właściwie moją jedyną miłością - dodała.

- Co było dalej? - zapytał Johansson.

Potem piorun uderzył w jej życie. Rozbił je na kawałki tak małe, że nie dało się ich pozbierać. Obrócił w pył najmniejszą nawet myśl o wspólnym życiu z mężczyzną, z którym właśnie była, jej wielką i przysyłającą wszystko miłość. Co więcej, Ulrika miała chłopaka, o dwa lata starszego od niej kolegę ze studiów. Niedawno z nim zamieszkała. Tego lata odbywał służbę wojskową, podobnie jak wszyscy adepci sztuki medycznej. Na wszelki wypadek. Na wypadek gdyby wydarzyło się najgorsze i przyszli Ruscy. Koleżanki tych przyszłych lekarzy zostały pozostawione same sobie.

- To on jest ojcem chłopców. Po trzech latach wzięliśmy ślub. Ale dopiero po piętnastu zaszłam w ciążę. Minęły trzy lata i się rozwiedliśmy. Nie potrafiłam dłużej udawać.

- Co on robi? - zapytał Johansson, choć Ulrika już mu o tym mówiła.

- Jest starszym lekarzem w Huddinge. Profesorem medycyny wewnętrznej. Ponownie żonatym. Ma dwójkę dzieci ze swoją nową żoną. Podzieliliśmy się opieką nad chłopcami - dodała.

- Co było dalej?

Jej wielka miłość legła w gruzach. On nawet nie chciał z nią rozmawiać. Rzucił słuchawkę, gdy w końcu odważyła

się do niego zadzwonić. Każdego dnia zadreślała się myślą o tym, co by się nie zdarzyło, gdyby nie wyjechała w ten weekend z ojcem Yasmine. Ale wyjechała i zdarzyło się to, co na zawsze zmieniło jej życie.

- Gdyby nie... Gdybyśmy wtedy nie wyjechali, dziś Yasmine by żyła - wyszeptała Ulrika Stenholm i pociągnęła nosem.

- Co to za bzdury! - zaprotestował Johansson, w którego naturze nie leżało zmaganie się z tego typu wyrzutami. Zresztą wciąż był wściekły na Ulrikę. - Puknij się w czoło! Gdybyś ty z nim wtedy nie wyjechała, na pewno znalazłby inną na twoje miejsce.

Przez dziesięć lat, co najmniej przez dziesięć lat, Ulrika codziennie oskarżała siebie samą o to, co się stało Yasmine. Nie miała nikogo, z kim mogłaby o tym porozmawiać. Z chłopakiem - nie. Z tatą też nie, to byłby dla niego równie wielki szok, jak dla jej chłopaka. Nawet nie z mamą, bo od razu wygadałaby tacie. Ani ze starszą siostrą, która niedawno wyprowadziła się z domu i zerwała wszystkie stosunki z rodzicami po tym, jak powiedziała im, że jest z kobietą. Że żyje z nią jak mąż z żoną, jak by to powiedział tata kaznodzieja. Choć pewnie nie w odniesieniu do swojej najstarszej córki, która za owego męża miała kobietę. A to czyniło podtrzymywanie rodzinnych relacji rzeczą niemożliwą.

- Po dziesięciu latach przestałam codziennie o tym myśleć - powiedziała Ulrika Stenholm i wydmuchała nos w chusteczkę, którą podał jej Johansson. - Myślałam o tym

już tylko czasem. Zaszłam w ciążę. Pomyślałam wtedy, że tak właśnie wygląda życie. Mój mąż był szczęśliwy, a z Josephem nie rozmawiałam od tego lata, gdy to wszystko się stało.

- A twój tata?

- Gdy tata powiedział mi o tej spowiedzi niecały rok temu, poczułam, jakby całe moje życie wywróciło się do góry nogami. Przez chwilę pomyślałam nawet, że chciał mnie w ten sposób ukarać, że wiedział, co zrobiłam, przez cały czas, ale wolał milczeć. I że teraz przed śmiercią chciał mnie ukarać, mówiąc mi, że wie, kto zamordował Yasmine, ale że nie może mi powiedzieć, bo obowiązuje go tajemnica spowiedzi.

- I co? Wiedział? Chciał cię ukarać?

- Nie. To wykluczone. Nie mój tata. Nie mógłby nigdy zrobić czegoś podobnego. Gdyby się dowiedział, co zaszło między mną a ojcem Yasmine, porozmawiałby ze mną, zawsze tak robił. To był po prostu kolejny straszliwy zbieg okoliczności w moim życiu. Tata nie domyślał się, przez co przeszłam. Niósł swój własny ciężar, a ja niosłam swój. Oboje z tego samego powodu. Lecz żadne z nas nie zdawało sobie z tego sprawy.

- Gdy mnie spotkałaś, co ci wtedy przyszło do głowy? - zapytał. Wierzę ci - pomyślał. Zbieg okoliczności, który dotknął was oboje. Ten jeden jedyny raz.

- Z początku to był impuls - powiedziała Ulrika Stenholm.
- W końcu tyle się o tobie nasłuchiłam od swojej siostry. Nie we wszystko wierzyłam, Anna była od zawsze nieuleczalną romantyczką, a ja próbowałam przezwyciężyć romantyczną

część mnie. I nagle trafiłeś na oddział. Poczułam się tak, jakby mówił do mnie tata, choć przecież już nie żył. Mówił, że nieznane są ścieżki Pana. Pomyślałam, że znów to się dzieje. Najpierw ja, potem tata. I nagle zjawiasz się ty.

- Słyszę, co do mnie mówisz.

- Nigdy cię nie okłamałam. Nie miałam pojęcia, że chodzi o Margarethę Sagerlied. Nie wiedziałam nawet, że mieszkała na tej samej ulicy co Joseph, chociaż byłam tam tego wieczoru, kiedy zaginęła Yasmine, jeszcze zanim pojechaliliśmy na wieś. Podjechałam pod jego dom taksówką. Przyjechała po mnie do pracy, on ją zamówił. Potem wsiedliśmy do jego samochodu i pojechaliliśmy prosto na wieś. Ta spinka, teraz to rozumiem, należała do Yasmine. Miała ją we włosach tego wieczoru, kiedy została zamordowana, ale nie miałam o tym pojęcia. Gdyby nie ty, nigdy bym jej nie znalazła.

- Tak mówisz? - zawahał się Johansson. Wierzę ci - pomyślał.

- Przysięgam. To prawda.

- No to kiedy zadzwoniłaś do swojego byłego chłopaka? Kiedy zadzwoniłaś do Josepha Simona?

- W dniu, w którym powiedziałaś mi, że wiesz, kto to jest, że wiesz, kto zamordował Yasmine. Rozmawiałam z nim po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat.

- Głupio zrobiłaś. Bardzo głupio zrobiłaś. Powinnaś była ze mną o tym wcześniej porozmawiać.

- Przepraszam. Przepraszam, nie wiedziałam.

- Zadzwoń do niego raz jeszcze. Powiedz, żeby przyjechał

tu jak najszybciej, chcę z nim rozmawiać. Ja raczej nie powinienem się ruszać - dodał. Taki Joseph Simon ma pewnie własny samolot - pomyślał.

- Mówisz poważnie? Obiecujesz, że z nim porozmawiasz?

- W poniedziałek. Jeśli będzie tu w poniedziałek, obiecuję, że się z nim spotkam.

Gdy tylko wszedł do samochodu, zadzwonił do Mattei. Z komórki na komórkę. A że Mattei była Mattei, odebrała już po pierwszym sygnale.

- Chciałbym się z tobą spotkać. Najchętniej od razu - zakomunikował jej Johansson. - Mamy pewien problem.

- W takim razie proponuję, żebyś wpadł do mnie do pracy. Tak się składa, że jestem na miejscu.

Rozdział 90

Czwartek, 19 sierpnia 2010 roku, wieczorem

Brakuje tylko dwugłowego orła nad wejściem – myślał Lars Martin Johansson, wchodząc do siedziby głównej zarządu policji na Kungsholmem w Sztokholmie. – Wielkie wejście z marmuru, uzbrojeni strażnicy otoczeni pancernym szkłem, zamki do drzwi z okuciami z polerowanej stali. Wreszcie strażnik, który przemówił do niego przez głośnik i który najwyraźniej pracował tu jeszcze za jego czasów.

– Zadzwoń do nich – zameldował. – Zejdą po szefa. Mam nadzieję, że wszystko u szefa w porządku.

– Jak w bajce – powiedział Johansson i pokazał do tyłu kciukiem na swoje wielkie czarne audi zaparkowane na ulicy.
– To mój samochód i mój szofer, nie musisz się obawiać.

Strażnik zakrył dłonią mikrofon i zbliżył twarz do okienka nad blatem.

– Się wie, szefie. Wszyscy tu wiedzą, że szef pracuje teraz w tajnych służbach.

Pięć minut później siedział na krześle dla gości przy biurku Lisy Mattei. Biurku niemal tak dużym jak to, od którego wstał przed trzema laty.

– Nie powinniście już z małą spać?

– Działamy według tego samego zegarka. W tej chwili mała kopie mi w brzuchu piłkę. Pójdziemy spać za godzinę.

- Jak już mówiłem przez telefon, obawiam się, że mamy problem. Niestety, wygląda na to, że z mojej winy.

I zrelacjonował wszystko po kolei. Zaczął od tego, jak Ulrika Stenholm opowiedziała mu swoją historię. Pominął tylko nazwisko człowieka, który zamordował Yasmine. Zdradził Mattei nazwisko swojego informatora, choć nie znał go nawet jego najbliższy przyjaciel. Zakończył wiadomością o telefonie inspektora Hermanssona zaledwie kilka godzin temu.

- No i teraz chcą odebrać moje papiery - poźalił się.

- Figa z makiem. - Lisa Mattei była stanowcza. - Mogą się pocałować w nos.

- Co robimy?

- Już ja się tym zajmę. O nic się nie martw, Lars. Zadzwoń, gdy tylko będę gotowa.

- Koleś ze stróżówki myślał, że pracujesz w Säpo - powiedział Johansson Maxowi, gdy wsiadł do samochodu.

- Nic dziwnego. Wyglądam jak ojciec, a dziadek zawsze powtarzał, że ojciec pracował w KGB.

- Czym się zajmował?

- Zawodowy morderca. Dziadek twierdził, że był zawodowym mordercą.

- A ty co na to? - zapytał Johansson. Co się, kurwa, odpowiada na takie pytanie? - pomyślał.

- Bardzo mi się to podobało. No ale wiadomo, byłem wtedy jeszcze mały.

Gdy weszli do domu, Pia siedziała z Matildą w kuchni. Piją białe wino, jak to dziewczyny, bez względu na to, ile mają lat

i ile zarabiają - pomyślał Johansson.

- Wydawało mi się, że powiedziałaś „dwie godziny”, tak w każdym razie przekazała mi Tilda - rzuciła Pia, spoglądając z wyrzutem na zegarek nad piekarnikiem.

- Niecałe trzy - wymamrotał skulony Johansson i dla pewności sprawdził godzinę na swoim zegarku.

- Witaj w domu - powiedziała Pia. - Czeka na ciebie sałatka na ciepło z grillowanymi udkami kurczaka, awokado, fasolką, pomidorami i czerwoną cebulą. Jeśli mogę wierzyć Tildzie, byłeś grzecznym chłopcem i zachowałeś swoje wino z lunchu.

- Kocham cię - wyznał Johansson. Co znaczy „grzecznym chłopcem”? Tylko Elna tak do mnie mówiła - pomyślał.

- Żeby to ci tylko nie odebrało życia - przestrzegła go Pia.

- Skąd - pokręcił głową Johansson. Jakiego życia? Przecież ja już nie mam życia. Muszę z nią porozmawiać - pomyślał.

Po kolacji wziął kawę i poszedł do gabinetu, żeby móc ją wypić w spokoju, a Pia, Max i Matilda zostali w kuchni, żeby napić się razem wina. Ledwo usiadł na kanapie i oparł się wygodnie, zadzwonił telefon.

- Nie śpisz, Lars? - usłyszał w słuchawce głos Lisy Mattei.

- Skądże znowu.

- Rozmawiałam z generalnym. On rozmawiał z szefem, a ten z kolei z komendantem. Jesteśmy całkowicie zgodni. Dochodzenie zostaje u ciebie. I jeśli nie masz nic przeciwko temu, odbiorę papiery jutro rano.

Jest już dużą dziewczynką - pomyślał Johansson. Mała

Lisa zadzwoniła do dyrektora generalnego i szefa Säpo, ten zadzwonił do komendanta głównego, a ten z kolei do komendanta wojewódzkiego w Sztokholmie, i wszyscy zrobili, jak im kazała.

- Nie ma problemu. Przyślij kogoś rano. A może dałabyś jej na imię Elna? Po mojej mamie. No wiesz, tej twojej piłkarce. Tej, co siedzi w twoim brzuchu.

- Elna to jedno z moich ulubionych imion.

- A co mówi twój facet?

- Ingrid. Na cześć Ingrid Bergman.

- To może lepiej wyjdź za mnie - zaproponował Johansson. Czemu to powiedziałem? - pomyślał.

Kwadrans później już spał głęboko. I to pomimo rozbawionych głosów, które docierały do niego z kuchni. Mimo że Hypnos kusił go zieloną makówką, stojąc w miejscu, gdzie czuwanie staje się snem. Za późno, stary, *sorry for you* - pomyślał Johansson. Zamknął oczy i zasnął sam z siebie. Bez snów i bez niczyjej pomocy. Obudził się dopiero następnego ranka, gdy poczuł, że Max stoi przy jego łóżku i dotyka ostrożnie jego lewego ramienia.

- Jakieś dwa typki do szefa. Koleś i dziewczyna.

- Co za jedni?

- Nie przypominają mojego ojca, ale wydaje mi się, że pracują w podobnym miejscu - powiedział Max. - Tyle że w Szwecji - dodał.

Rozdział 91

Piątek, 20 sierpnia 2010 roku

Dwóch milczących pracowników Säpo, mężczyzna koło pięćdziesiątki i o dziesięć lat młodsza kobieta. Nie pamiętał ich z czasów, gdy pracował jako szef operacyjny, nie było jednak wątpliwości, że oni wiedzieli, kim on jest lub kim był, jeśli mówić dokładnie.

- Przyjechaliśmy zabrać kartony - poinformował mężczyzna.

- Jasne. Zaczekajcie tutaj, to powiem Maxowi, żeby wam je przyniósł.

Potem poszedł z Maxem do gabinetu.

- O niczym szef nie zapomniał? - zapytał Max z jakiegoś powodu, pokazując na stojące na podłodze kartony.

- Nie zapomniałem - zapewnił go Johansson. Wszystkie swoje uwagi i adnotacje wymazał jeszcze poprzedniego wieczoru. Na koniec wyjął wyciąg z rejestru samochodów, z którego wynikało, że Staffan Nilsson był właścicielem czerwonego golfa, i schował do teczki, a teczkę zamknął w swojej szafie pancерnej.

- Okej - powiedział Max. - Skoro tak, to tak.

Pół godziny później zadzwonił telefon. Dzwonił Hermansson.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Mnie o to nie pytaj - rzucił Johansson zirytowany dużo

bardziej, niż zamierzał to okazać.

- Przed chwilą dzwoniли do mnie z biura komendanta i powiedzieli, że dochodzenie w sprawie Yasmine zostaje u ciebie.

- Tak. Co w tym dziwnego?

- Bardzo to wszystko tajemnicze. - Hermansson zawiesił głos.

- Nie ma w tym nic tajemniczego. Po prostu jeszcze nie skończyłem.

- A więc tylko mi się zdaje, że już go znalazłeś?

- Znalazłem kogo?

- Zabójcę Yasmine. Myślałem, że szef i ja sobie ufamy.

- Naturalnie. Ale o niektórych sprawach lepiej nie wiedzieć.

- Z całym szacunkiem. Szef wybaczy, ale nie tym razem.

- To dlatego, że nie wiesz, o czym mówisz, Hermansson. Z całym szacunkiem - powiedział Johansson i się rozłączył.

Najpierw wizyta u rehabilitantki. Gdy tylko wrócił do domu, zamknął za sobą drzwi do gabinetu. Zadzwoił do Matsa Erikssona i wydał mu krótkie instrukcje. Ani słowa o przeszłości Larsa Martina Johanssona. W razie gdyby Nilsson pytał, Johansson prowadził interesy, był współwłaścicielem firmy, bratem głównego właściciela, członkiem zarządu. Bogaty, ekscentryczny. Wszystko to, na co takim jak Nilsson ciekła ślinka. To by było tyle, ani mniej, ani więcej. Poza tym Mats musiał wziąć na siebie cały ciężar rozmowy, zadawać pytania, jakie zwykle zadaje się w takich sytuacjach. Jak klasyczny dusigrosz.

- Ja będę głównie siedzieć cicho. Żeby nie palnąć jakiegoś głupstwa - wyjaśnił Johansson. - Albo żeby nie zabić go na miejscu.

- Przyznam, że trochę mnie to zaciekawilo. Musiał zrobić coś naprawdę okropnego.

- Zgadza się.

- Co takiego?

- Coś tak okropnego, że nie o tym chcesz wiedzieć.

Potem Johansson zjadł lunch. Połknął wszystkie tabletki i tę jedną białą. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wziąć jeszcze jednej białej, żeby nabrać dostatecznie dużego dystansu do człowieka, który zamordował Yasmine i który już za chwilę miał z nim siedzieć w jednym pokoju. Zrezygnował. Istniało bowiem realne ryzyko, że będzie sprawiać wrażenie całkowicie nieobecnego lub, co gorsza, zaśnie.

- Szef jest gotów? Gotów na wielką przemianę?

- Zawsze gotów - powiedział Johansson. Rany, ale się nakręciła! - pomyślał.

Matilda znalazła wszystko, czego potrzebowała, w szafie Johanssona. Parę czerwonych spodni, które kupiła mu Pia, gdy chciała go zaciągnąć ten jeden jedyny raz na weekend na polu golfowym w Falsterbo. Chociaż w życiu nie trzymał w ręku kija do golfa i nigdy nie przyszło mu do głowy, że mógłby trzymać. Niebieska marynarka z tajemniczym emblematem na piersi. Również prezent od Pii. Biała lniana koszula, jedwabny szal wokół szyi, brązowe buty do golfa ze skórzanymi kitkami, które dostał do kompletu z czerwonymi

spodniami.

Jak normalny facet może chodzić w takim ekwipunku? – pomyślał Johansson, gdy zobaczył się w lustrze kwadrans później. Całe szczęście, że Evert mnie nie widzi. Ani Bo.

– Sutanna czyni księdza – stwierdziła Matilda wyraźnie usatysfakcjonowana.

Potem dokończyła dzieła: zaciesała mu włosy do tyłu i naniósła na nie sporo żelu. Jego zwykle nieokiełznana siwa czupryna wyglądała teraz jak błyszczący hełm. Co więcej, była znacznie ciemniejsza. Nagle miał zupełnie inny wyraz twarzy.

– Zacieska prosto ze Stureplan – wyjaśniła Matilda.

– Skończyliśmy? – zaniepokoił się Johansson.

– Jeszcze chwila.

Tylko dwa drobiazgi. Najpierw wtarła mu w policzki mocny męski zapach. Potem nałożyła mu na nos lustrzane pilotki.

– To ci dopiero – powiedział Johansson, spoglądając w lustro. To nie jestem ja – pomyślał.

– Starszy dyrektor, który ma słabość do małych dziewczynek – podsumowała Matilda. – Jeśli szef sobie życzy, mogę wciągnąć na siebie jakiś mały top i iść z szefem.

– Miło z twojej strony, Matildo, ale wystarczy, jeśli zamówisz mi taksówkę – podziękował Johansson. Pinochet – pomyślał, wsiadając do taksówki. Pinochet bez garnituru.

Na spotkanie przyszedł celowo dziesięć minut po czasie. Gdy wszedł do sali zebrań wsparty na kuli, Mats Eriksson

i Staffan Nilsson już tam siedzieli.

- Przepraszam za spóźnienie - odchrząknął Johansson. - Co za ruch. To przekracza, kurwa, ludzkie pojęcie. Siedź, siedź - powiedział i zamachał zdrową ręką, gdy Staffan Nilsson wstał, żeby się z nim przywitać.

- Z każdym dniem wyglądasz lepiej, Lars - powiedział Mats Eriksson z niewinną miną.

- Dziękuję - powiedział Johansson. Usiadł przy krótszym boku długiego stołu. Wyjął kalendarz i długopis. Przesunął okulary na czubek głowy.

- Miło, że znalazłeś chwilę, żeby się z nami spotkać, Staffan - powiedział Johansson. Głowa już go nie bolała, czuł tylko ucisk w piersiach. W sam raz odpowiednia odległość od zwierzyny. Nawet jego palec spustowy to poczuł.

Ładna, porządna zwierzyna - pomyślał Johansson. Zło w swej najbardziej sympatycznej postaci. Niebieska marynarka, taka jak jego, krawat, starannie wyprasowana biała koszula, szare spodnie, buty też takie jak jego. Starannie uczesany, starannie ogolony. Przyjazne, niebieskie oczy, białe zęby. Ani śladu opuchlizny ani przebarwień na prostym nosie, który jego własny parobek spłaszczył mu niecały tydzień temu.

- To ja dziękuję. Cieszę się, że mogłem tu przyjść i spotkać się z panami. Z przyjemnością zapoznam panów z naszym projektem. - Staffan Nilsson otworzył laptop.

- Doskonale - powiedział Mats Eriksson. Odchylił się na krześle i złożył dłonie w koszycek. - Proszę cię bardzo, możesz zaczynać, Staffan.

Staffan Nilsson pokazał zdjęcia swojego tajskiego raj. Tego, który miał stać się rzeczywistością za trzy lata, a który na razie istniał tylko w postaci kalkulacji i komputerowych animacji architekta. Naturalnie uzupełniony zdjęciami okolicy, długiej złocistej plaży, niebieskiego morza, wysp, gór wznoszących się w tle.

- Nie będzie chyba przesadą, jeśli powiem, że południowa strona wybrzeża tajskiego należy do najpiękniejszych miejsc na naszej ziemi - zaczął Staffan Nilsson. Cała prezentacja zajęła pół godziny. Mats Eriksson zadał wszystkie klasyczne pytania dusigrosza o finansowanie, płynność finansową, przyszłe zyski. Naturalnie również o zagrożenia, jakie mogą się pojawić w trakcie prowadzenia inwestycji, i o sposoby ich rozwiązania. Johansson odchrząknął kilka razy, głównie jednak siedział i przyglądał się Nilssonowi, jego mowie ciała, jego mimice, próbował odgadnąć, o czym myśli, schowany za lustrzankami i rolą ekscentryka. On naprawdę wierzy w to, co mówi - pomyślał. Jest tym, kogo teraz przedstawia. Nie potrzebuje już wchodzić w rolę. Jakby miał jakiś guzik. W końcu grał przez całe swoje dorosłe życie.

Prezentacja Staffana Nilssona była bez zarzutu. Przygotowany, wyważony, sympatyczny. Mógłbyś być nieskończenie bogaty - pomyślał Johansson. Gdybyś był normalny. Gdyby nie twoje skłonności. One sprawiają, że jedyne, co cię w życiu naprawdę interesuje, to uprawianie seksu z małymi dziewczynkami.

- Co ty na to, Mats? - dociekał Johansson. - Nie sądzisz, że warto się nad tym zastanowić? Usiądziemy i policzymy.

Może ustalimy datę kolejnego spotkania?

- Niewątpliwie to ciekawy projekt - zgodził się Mats Eriksson. - Ale prawda, musimy mieć czas, żeby to wszystko policzyć.

- Czwartek po południu. Albo piątek rano - powiedział Johansson, kartkując dla pozorów swój kalendarz. - Potem wyjeżdżam - poinformował. - Jadę polować z bratem na łosie.

- W czwartek jestem zajęty - powiedział Staffan Nilsson. - Ale piątek rano jak najbardziej.

- W takim razie spotkamy się tutaj - zdecydował Johansson. - Piątek, punkt dziewiąta. - Po tym spotkaniu będziesz zajęty przez resztę swojego życia - pomyślał.

Zaraz po powrocie do domu na Söder zadzwonił do Matsa Erikssona.

- No i? Jakie wrażenie zrobił na tobie Staffan Nilsson?

- Jestem pozytywnie zaskoczony - wyznał Mats Eriksson. - Po tym wszystkim, co o nim słyszałem, muszę przyznać, że mnie pozytywnie zaskoczył. Jego projekt nie wydaje się aż tak beznadziejny.

- Czyli zastanawiasz się nad budowaniem hoteli w Tajlandii?

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło.

- A to dlaczego? Skoro to taki dobry pomysł? - nie odpuszczał Johansson.

- Evert by mnie zabił. Nie powiesz, dlaczego tak cię interesuje Staffan Nilsson?

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Wtedy byś go pewnie zabił.

Wieczorem zadzwoniła Ulrika Stenholm. Zestresowana Ulrika, sądząc po głosie.

- Rozmawiałam z Josephem - oznajmiła. - Bardzo zależy mi na spotkaniu z tobą. Proponuje, żebyście spotkali się w Grand Hotellu w poniedziałek przed południem. Spodziewa się, że będzie w Sztokholmie już o ósmej rano.

- W porządku - powiedział Johansson.

Gdy tylko odłożył komórkę, zadzwoniła Mattei.

- Wszystko w porządku, Lars?

- Jakoś leci. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Staffan Nilsson. Nasz przedawniony sprawca. Siostrzeniec męża Margarethy Sagerlied. Nie musisz już pamiętać, żeby do mnie zadzwonić za kilka dni.

- Gratuluję. Szybko ci poszło.

- Nie było trudno po tym, co mi powiedziałaś. Wiesz, że mamy na niego stare, odrzucone zgłoszenie. Pornografia dziecięca.

- Wiem - powiedział Johansson. - Coś mi też podpowiada, że ty i twoi koledzy założyliście podsłuch w telefonie Ulriki Stenholm. Po tym, jak dałem ci jej nazwisko.

- Przepraszam. Tego ostatniego nie usłyszałam.

- Nie chcę wprawiać cię w zakłopotanie, Liso. Wiem równie dobrze jak ty, że nie rozmawiamy o tego rodzaju poszerzaniu wiedzy, ale jak już pewnie wiesz, jestem umówiony z Josephem Simonem w Grand Hotellu w Sztokholmie. Chcę oczywiście wysłać go do domu z pustymi rękami.

- Nic innego nie przyszłoby mi do głowy.

- Możesz więc jeszcze poczekać ze śledzeniem Nilssona. Jeszcze chwilę pociągnie. Daruj też sobie posłuchiwanie mnie i Simona. Nie ma co wyrzucać pieniędzy w błoto. Obiecuję, że będę grzeczny.

- Jak już mówiłam, w życiu nie przyszłoby mi do głowy podsłuchiwać szefa.

- Miło słyszeć - Johansson był zadowolony. Wreszcie to powiedziała - pomyślał. Szef.

- Jakie ma szef plany na weekend? - zapytał Max. - Słyszałem, że Pia wyjeżdża na konferencję.

- Spokój i cisza - powiedział Johansson. - Muszę zebrać myśli.

- Szef powie, gdybym mógł w czymś pomóc.

- Zadzwoń do Jarnebringa i spytaj, czy zje z nami jutro lunch. U nas w domu - dodał. - Żebyśmy mogli sobie spokojnie porozmawiać.

Rozdział 92

Od soboty, 21 sierpnia 2010 roku, do niedzieli, 22 sierpnia 2010 roku

W sobotę Johansson zjadł lunch w towarzystwie Jarnebringa i Maxa. Zamówił go w lokalnej restauracji, a że Pia znajdowała się w bezpiecznej odległości, niczego sobie ani swoim gościom nie odmówił. W czasie lunchu opowiedział im o wydarzeniach ostatnich dni i o tym, że spotkał się ze Staffanem Nilssonem. Nie wspomniał natomiast o planowanym spotkaniu z Josephem Simonem. To mogło jeszcze poczekać.

- No i jaki był? - zapytał Jarnebring.

- Gdybym nie wiedział o Yasmine, pewnie pomyślałbym, że to miły, porządny człowiek. Że tak powiem, nie zżera go sumienie. Wygląda na to, że nauczył się z tym żyć.

- Nie wzięłeś mnie ze sobą. I dobrze - powiedział Jarnebring. - Zabiłbym skurwysyna.

- Ano - powiedział Johansson - właśnie dlatego cię nie wzięłem.

- Max miał przynajmniej okazję spłaszyc bużkę sukinsynowi - powiedział Jarnebring i poklepał kompana po ramieniu. - Ale czy ktoś mówił, że życie jest sprawiedliwe?

- Właśnie dlatego Max też został w domu.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytał Jarnebring.

- Widzę cztery rozwiązania - zamyślił się Johansson,

biorąc kęs włoskiej kiełbaski, którą jego ulubiony restaurator podał z sardynkami, oliwkami i małymi marynowanymi karczochami.

- Jakie? - zapytał Jarnebring.

- Po pierwsze możemy to po prostu zostawić. Przedawniona zbrodnia - powiedział Johansson, wzruszając ramionami. - Formalnie nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy podwinęli ogon pod siebie i poszli dalej przez życie.

- Przestań, Lars - zaprotestował Jarnebring. - Nie mówisz chyba serio?

- Nie - powiedział Johansson. - W mojej księdze są sprawy, których nie można zostawić ot tak sobie. To jedna z nich. Poza tym nie wydaje mi się to możliwe, nawet jeśli nasza trójka potrafi wyjątkowo dobrze trzymać język za zębami.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - potwierdził Jarnebring. - Prędzej czy później któryś z naszych dawnych kolegów rozwiąże tę zagadkę. Już o tym gadają, jak się pewnie domyślasz. Człowiek, który widzi, co jest za rogiem, znalazł mordercę Yasmine. Ale nie chce nikomu powiedzieć. Sam wiesz.

- Rozwiązanie numer dwa to pokazanie go w mediach. Nie byłoby to pewnie szczególnie trudne, a z pewnością skuteczniejsze niż poszukiwania sprawcy prowadzone przez Hermanssona lub innego kolegę. - Pewnie chwilę by to zajęło - pomyślał Johansson.

- Nie byłoby mu do śmiechu - stwierdził Jarnebring.

- Racja. Część naszych lokalnych kryminalistów już teraz

wiesza zdjęcia pedofili na swoich stronach internetowych. A w tym przypadku znajdzie się pewnie niejeden chętny do nadrobienia niedociągnięć naszej ziemskiej sprawiedliwości.

Johansson westchnął i sącył w zamyśleniu wino. Włożył do ust dużą oliwkę i sardynkę, żeby lepiej mu się myślało.

- Najłatwiej byłoby po prostu zabić sukinsyna - oznajmił Jarnebring.

- Rozwiązanie numer trzy - powiedział Johansson. - Mam szczerą nadzieję, że nie myślałeś o nikim spośród siedzących przy tym stole.

Jarnebring nic nie odpowiedział, tylko wzruszył ramionami i zamienił spojrzenie z Maxem, który wyglądał, jakby błędził gdzieś myślami.

- Powiedziałeś „cztery” - przypomniał Jarnebring. - To jakie jest czwarte?

- Porozmawiać z nim. Porozmawiać z Nilssonem. Wyjaśnić, jak się sprawy mają. zaproponować mu, żeby odbył swoją karę. Za to, co zrobił Yasmine, dostałby dożywocie. Jestem tego pewien, całkowicie pewien, od kiedy go spotkałem i miałem okazję przyjrzeć mu się z bliska. W jego wypadku nie ma mowy o zamkniętym zakładzie psychiatrycznym.

- Słyszę, co mówisz - powiedział Jarnebring, wzruszając ramionami. Problem w tym, że w tej chwili nie grozi mu nawet pacnięcie linijką po palcach za to, że ją zamordował.

- Zaraz do tego dojdę - powiedział Johansson. - Jak postaramy się o dożywocie dla niego.

- Mam szczerą nadzieję.

- Dożywocie - powtórzył Johansson. - Mógłbym z tym żyć, nawet gdyby wypuścili go już po dwudziestu latach.

- Dożywocie za co? Problem w tym, że nic innego nie przeszkrobał. Poza tym, że ściąga z sieci pornografię dziecięcą. Co za to dostanie? W najlepszym wypadku pół roku i klepięcie w ramię.

- Jestem pewien, że nieraz zdarzyło mu się uprawiać seks z dziewczynkami w wieku Yasmine. Jeśli tylko przyznałby się do tego, robi się z tego wieloletnia odsiadka. Weź chociaż tego wariata, Thomasa Quicka, największego seryjnego mordercę w historii kryminalnej Skandynawii. Siedzi już chyba dwudziesty rok. A wszystko dzięki swojej fantazji i fantazji kilku naszych jeszcze bardziej szalonych niż on kolegów. Czy w tę sprawę nie był przypadkiem zamieszany Bäckström?

- Jasne - potwierdził Jarnebring. - Słyszę, co mówisz. Pomyślałem o matce Nilssona, która odebrała sobie życie. Ta sprawa nie jest przedawniona, o ile to było morderstwo. Ale szczerze w to wątpię. Kobieta odebrała sobie życie, bo dotarło do niej, co jej chłopczyk zrobił Yasmine. Tak więc jeśli mówimy o jego woli poddania się karze...

- Niestety, pewnie masz rację. Wygląda na to, że z niejednym potrafi żyć.

- Dlaczego pomyślałeś, że mogło się coś w tej kwestii zmienić?

- Wydaje mi się, że mógłbym go przekonać. Że to dla niego najlepsze rozwiązanie: dać mu szansę wypełznąć do jakiegoś zakładu, gdzie wsadza się takich jak on. Dać mu

szansę przeżyć za cenę kary, którą normalnie by dostał. – Johansson lekko gestykulował, żeby podkreślić to, co właśnie powiedział.

– A jak tego nie zrozumie?

– Wtedy mamy zawsze trzy pozostałe rozwiązania. Ale dostał możliwość wyboru, a to znacznie więcej, niż dostała Yasmine.

– Jeśli szef chce, żebym coś zrobił, wystarczy powiedzieć – przypomniał o sobie Max. – W mojej księdze jest wielu takich, którzy wykorzystali swoje prawo do życia.

– Słyszę, co mówisz, Max – powiedział Johansson. – Wierz mi lub nie, ale to o tobie myślę, gdy mówię, żeby dać temu spokój.

Niedzielne popołudnie Johansson spędził na czymś, co w jego rodzinnych stronach nazywało się sprzątaniami przed śmiercią. Chodziło o to, żeby człowiek będący przy życiu miał chociaż porządek w papierach, gdy dostanie rachunek za swój ziemski żywot. Żeby on czy ona zawczasu pozbyli się tego, co mogłoby zburzyć bliskim obraz ukochanego członka rodziny.

Postanowił, że napisze list do Pii. List, który dołączy do testamentu. W gruncie rzeczy chodziło tu o wiarę, że zachowanie porządku wokół siebie jest sposobem na przedłużenie sobie życia. Podobnie jak te wszystkie polisy na życie, które tacy jak on wciąż podpisywali, chociaż prawie nigdy nie wygasaly w sposób, który by uzasadniał ich posiadanie.

Sposób na to, żeby nie stracić kontroli pomimo ciągłego

bólu głowy i ucisku w piersiach, przez który nie mógł oddychać. Pomimo tych wszystkich tabletek, które połykał, gdy ucieczka i nieobecność były jedynym rozwiązaniem, jakie mu pozostało.

Ciekawe, czy trafię do nieba? – przeszło mu nagle przez myśl, gdy położył się na kanapie. Chyba powinienem. Nigdy chyba nie dopuściłem się jakiegoś większego draństwa, nawet w czasach, gdy pracowałem w Säpo. W każdym razie niczego takiego nie pamiętam. Spędziłem szmat życia, to znaczy życia zawodowego, próbując chronić innych i pomagać tym, którym przytrafiły się najbardziej niewyobrażalne okropności.

- Max! – zawołał Johansson.

- Tak, szefie – odpowiedział Max i stanął w drzwiach gabinetu.

- Jak on to robi? – zastanowił się Johansson. – Wystarczy, że wypowiem jego imię, i on już tu jest, nie muszę nawet pocierać jakiejś starej butelki.

- Wierzysz w Boga? – zapytał Johansson.

- Wierzę, że Boga nie ma.

- Dlaczego?

- Gdyby był Bóg, nie pozwoliłby, żebym znalazł się w tym domu w Graždance – powiedział Max. – Przecież byłem tylko dzieckiem. Nikomu nic nie zrobiłem.

Rozdział 93

Poniedziałek, 23 sierpnia 2010 roku

O dziewiątej rano w poniedziałek Johansson spotkał się z Josephem Simonem w jego apartamencie w Grand Hotellu w Sztokholmie. Simon zadzwonił do niego godzinę wcześniej z samochodu w drodze z lotniska Bromma.

- Mówi Joseph Simon - powiedział. - Byłem ojcem Yasmine. Jestem już w Sztokholmie. Mogę się z panem spotkać w każdej chwili. Zatrzymałem się w Grand Hotellu, ale możemy oczywiście spotkać się w innym miejscu.

- Grand, za godzinę - powiedział Johansson. - Czyli o dziewiątej.

- Świetnie - powiedział Simon. - Czy mam przysłać po pana samochód?

- Nie - powiedział Johansson. - Mam kierowcę. - Doskonały szwedzki - pomyślał. Prawie bez akcentu mimo upływu lat. Ucieszyło go to, ponieważ jego angielski pozostawiał w tej chwili wiele do życzenia.

- Max! - zawołał Johansson.

- Szefie? - odpowiedział Max sekundę później.

- Jedziemy - powiedział Johansson. - Pojedziesz ze mną na spotkanie z ojcem Yasmine. - Na wszelki wypadek - pomyślał. Skoro nie mogę zabrać Jarnebringa ze względu na zaszłości historyczne.

- Budową przypomina Jarnebringa - pomyślał Johansson, gdy przywitał się z Josephem Simonem. - Na tym jednak podobieństwo się kończy. Jego twarz przypomina mi raczej twarz szacha Iranu, choć tego ostatniego widziałem tylko na zdjęciu.

Simon podróżował w otoczeniu dworu, który takim jak on towarzyszył pewnie również podczas prywatnych wyjazdów. Czterech mężczyzn i kobieta: adwokat, sekretarka, trzech osobistych asystentów, z czego dwóch było ochroniarzami, jeśli oceniać ich po wyglądzie i spojrzeniach, jakie wymienili ze sobą na widok Maxa.

- Cieszę się, że zechciał się pan ze mną spotkać - powiedział Joseph Simon do Johanssona, wskazując mu grzecznie krzesło z podłokietnikami stojące najbliżej krzesła, na którym siedział.

- No tak - powiedział Johansson. - Ja również pomyślałem, że powinniśmy się spotkać. Wolałbym jednak porozmawiać w cztery oczy.

- Oczywiście - powiedział Simon. Wystarczyło jedno skinienie w stronę sekretarki i świta opuściła pokój. Max również wyszedł.

- Skoro tak... - zaczął Joseph Simon. - Mam znajomą, która twierdzi, że znalazł pan zabójcę mojej córki Yasmine.

- Tak - powiedział Johansson. - To dlatego poprosiłem tę kobietę, żeby pomogła nam się spotkać.

- Proszę nie mieć mi za złe tego, co powiem, ale w ciągu tych wszystkich lat kontaktowało się ze mną wiele osób, które twierdziły, że wiedzą, kim jest zabójca mojej córki.

Ludzie, którzy chcieli moich pieniędzy, lub zwykli szaleńcy... Niestety, nie wynikło z tego nic poza moim cierpieniem i wieloma problemami.

- Wiem. Wiem, o jakim typie ludzi pan mówi, ale teraz może być pan spokojny. Znalazłem go.

- Wiem, kim pan jest. Czy jest pan jednak pewien? W końcu minęło dwadzieścia pięć lat.

- Pobrałem jego DNA i porównałem z DNA sprawcy - powiedział Johansson. - Jest mniej niż jedna szansa na miliard, że to ktoś inny. Zrobiłem to badanie po to, żeby mieć całkowitą pewność. Żeby wykluczyć możliwość popełnienia błędu.

- Jak przed zbadaniem DNA wpadł pan na pomysł, że to on?

- Cóż - powiedział Johansson. - Gdybym wtedy brał udział w dochodzeniu, jestem niemal pewien, że doprowadziłbym do skazania zbrojcy nawet bez badania DNA. Zresztą w czasach gdy zginęła pańska córka, nie robiliśmy takich badań.

- U nas jest podobnie. To znaczy w moim zawodzie. Są dobrzy i niedobrzy lekarze. Niektórzy są tak beznadziejni, że w ogóle nie powinni zostać lekarzami.

- Prawda. Źle państwo trafili. To było fatalnie poprowadzone dochodzenie, a moim kolegom nie udało się zrobić tego, czego mieli państwo prawo się od nas domagać. To jeden z powodów, dla których tu siedzę.

- Chcę znać jego nazwisko - zażądał Joseph Simon.

- Niestety, nie zdradzę go panu. Wiem, kim pan jest,

dlatego nie widzę takiej możliwości.

- Dlaczego nie?

- Nie próbuję nawet wyobrazić sobie ogromu cierpienia, jakie pana spotkało. To byłaby z mojej strony bezczelność. Ujmę to tak: Gdybym był panem i gdyby przytrafiło mi się to, co przytrafiło się panu, gdybyśmy zamienili się miejscami, nie potrafiłbym zaufać samemu sobie.

- Boi się pan, że go zabiję?

- Tak.

- I nie ma niczego, czym mógłbym się panu zrewanżować za tę informację?

- Nie ma. Mam jednak dla pana propozycję.

- Jaką?

- Założmy, że udałoby się go zatrzymać dwadzieścia pięć lat temu...

- Tak?

- Dostałby wówczas dożywocie i spędził w więzieniu co najmniej siedemnaście, osiemnaście lat. Już go spotkałem, jeśli jest pan ciekaw. Nie wie, kim jestem ani co o nim wiem. Niedługo znów się z nim spotkam. Wtedy mu to zaproponuję. Żeby odbył swoją karę.

- Niby jak? - zapytał Simon. - Sprawa zabójstwa mojej córki uległa przecież przedawnieniu. Chce pan powiedzieć, że on zrobił coś jeszcze, co nie uległo przedawnieniu?

- Nie mogę wchodzić w szczegóły. Zamierzam mu złożyć propozycję nie do odrzucenia.

- A jeśli odmówi? Co pan wtedy zrobi?

- Znam pozostałe możliwości, więc mam nadzieję, że

przystanie na moją propozycję.

- A jeśli mimo wszystko odmówi? - powtórzył Joseph Simon.

- Wówczas dam panu jego nazwisko. Jeśli odmówi wzięcia odpowiedzialności za to, co zrobił, oddam go panu.

- Kiedy?

- Najpóźniej w przyszłą środę o dwunastej. Kwestiami praktycznymi już się zająłem. Proszę mi dać numer swojego telefonu. Obiecuję, że do pana zadzwonię, gdy już będę wiedział.

- Wierzę panu - powiedział Joseph Simon. - Dam panu numer. Przyjmuję pańską propozycję. Dziewięć dni. On odbędzie tę samą karę, którą dostałby za zabójstwo mojej córki.

- Rozumiem, jeśli uważa pan, że dziewięć dni to dużo czasu. Niestety, właśnie tyle czasu potrzebuję.

- Dwadzieścia pięć lat to jest dużo czasu. Dziewięć dni to nic. Mogę zaczekać te dziewięć dni.

- Skoro tak... - powiedział Johansson i wstał.

- Proszę powiedzieć, co mogę dla pana zrobić. Jestem gotów uczynić dla pana wszystko, co w mojej mocy - zapewnił Joseph Simon i mówiąc to, spojrzał z jakiegoś powodu na kulę pod prawym ramieniem Johanssona.

- To my mamy dług wobec pana. Proszę nie zaprzętać sobie tym sobie głowy - zakończył spotkanie Johansson. - Całe szczęście, że nie jestem taki jak mój najstarszy brat. Gdybym był, Joseph Simon wyjechałby stąd z pustymi kieszeniami - pomyślał, gdy siedział już w samochodzie

i jechał do domu.

Rozdział 94

Od wtorku, 24 sierpnia 2010 roku, do czwartku, 26 sierpnia 2010 roku włącznie

Wtorek, środa, czwartek. Codzienna rutyna. Ucisk w piersiach i ból głowy, zwisające prawe ramię i nieruchomy palec wskazujący prawej ręki, który mimo zapewnień rehabilitantki już pewnie taki zostanie. Poza tym przygotowania, wszystkie te kwestie praktyczne, o które trzeba zadbać, zanim nadejdzie czas konfrontacji ze Staffanem Nilssonem, zabójcą Yasmine.

- W piątek będę znów musiał wejść do charakteryzatorni - powiedział Johansson do Matildy.

- Planujesz tę samą rolę? Nie chcesz jej wzmocnić obecnością blondynki w czarnej przykrótkiej spódniczce ze skóry i malusieńkim czerwonym topie?

- To miło z twojej strony, Matildo - powiedział Johansson.
- Doceniam twoje zaangażowanie, ale wydaje mi się, że dam sobie świetnie radę z odrobiną żelu we włosach i parą słonecznych okularów na nosie. Gdybym mógł dostać któryś ze swoich garniturów, byłbym ci bardzo wdzięczny.

- Powinno przejść - powiedziała Matilda. - Już ci się zdążył przyjrzeć. Może nawet tego nie zauważy. Masz, że tak powiem, przydzieloną rolę.

- Doskonale - powiedział Johansson.

- A co z wydłubywaniem oczu?

- Wydaje mi się, że z tym poradzę sobie sam - powiedział Johansson. - Chciałbym cię jednak prosić o pewną drobną przysługę. Gdybyś mogła zrobić powiększenie tego zdjęcia - powiedział i podał jej zdjęcie Yasmine, które wyjął z materiałów dochodzeniowych.

- Słodka dziewczynka. Ładna, znaczy się - powiedziała Matilda. - Znalazłam ją w sieci, chyba nawet to samo zdjęcie. Wystarczy A4?

- W zupełności - powiedział Johansson.

W czwartek przed południem zadzwonił do niego szwagier z pytaniem, czy mógłby mu jeszcze w czymś pomóc.

- Minęło kilka dni, od kiedy słyszeliśmy się po raz ostatni. Z twojego milczenia wnioskuję, że dostałeś wszystko, czego potrzebowałeś na temat Margarethy Sagerlied i jej rodziny.

- Jestem bardzo zadowolony - powiedział Johansson. Z niecierpliwością czekam na twoją fakturę. - Przyznaj się, że to chciałeś usłyszeć - pomyślał.

- Słuchałem wczoraj wieczorem Margarethy Sagerlied. Znalazłem dawną płytę, na której śpiewa Toscę między innymi z Sigurdem Björlingiem. Sigurd śpiewa barona Scarpię, absolutnie fenomenalny baryton. Ale Sagerlied też nie jest zła. Babka wysoko wyciąga. Można mieć wrażenie, że odnalazła się w tej roli - powiedział Alf, wielbiciel opery.

- Pewnie masz sporo jej płyt - powiedział Johansson, któremu nagle przyszedł do głowy pewien pomysł. Drobiazg, to prawda, ale wart wypróbowania - pomyślał.

- Coś tam się znajdzie - przytaknął szwagier z wrodzoną skromnością.

- Mógłbym od ciebie którąś pożyczyć? Chętnie bym jej posłuchał.

- Naturalnie - powiedział Alf, nie kryjąc zdziwienia. - Naturalnie, że możesz. Masz jakieś szczególne życzenia?

- Chcę taką, na której okładce jest Sagerliedowa - powiedział Johansson. - Cokolwiek. - Wszystko brzmi tak samo - pomyślał.

- Skoro tak, proponuję *Toszę* - powiedział Alf. - Na okładce jest wyjątkowo poruszające zdjęcie Margarethy Sagerlied. Poza tym to odpowiednia płyta, jeżeli się weźmie pod uwagę wcześniejszą działalność brata.

- Co masz na myśli?

- Baron Scarpia jest policjantem - powiedział Alf. - Bynajmniej nie miłym policjantem, mogę brata o tym zapewnić. Sigurd Björling znakomicie go interpretuje.

- Doskonale - powiedział Johansson. - Wyślij ją kurierem i dołącz fakturę dla mnie. Należą ci się wielkie podziękowania, Alf. - „Bynajmniej nie miły policjant” - pomyślał.

Po południu zadzwonił do Matsa Erikssona, żeby mu powiedzieć, że nie potrzebuje go na spotkaniu ze Staffanem Nilssonem. Zamierzał się z nim spotkać w gabinecie brata. Wyjaśnił, że Eriksson nie musi uprzedzać Nilssona o swojej nieobecności. I że ma się nie pokazywać, gdy Nilsson przyjdzie do biura. Mats Eriksson nie miał w tej kwestii żadnych uwag.

- Nie ma sprawy - powiedział Mats. - Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?

- Ten stary adapter, stary adapter Everta wciąż stoi w jego pokoju?

- Oczywiście - powiedział Mats. - Puszczaj nam na nim szlagiery z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych na każdej imprezie firmowej. *Corina, Corina, Tell Laura, I Love Her, Red Sails in the Sunset*, sam wiesz.

Do dzieła - pomyślał Lars Martin Johansson, gdy już o ósmej rano w piątek weszli z Maxem do biura Everta. Chcieli zdążyć z wprowadzeniem ostatnich poprawek, zanim niczego nieświadomy Staffan Nilsson przyjdzie, by zarobić okrągłą sumkę kosztem bogatego i naiwnego chłopca z Norrlandu.

Rozdział 95

Piątek, 27 sierpnia 2010 roku

Ostatnie poprawki wprowadził osobiście. Okładkę ze zdjęciem Margarethy Sagerlied wyeksponował na środku wielkiego biurka. Krzesło, na którym miał siedzieć Nilsson, gdy będzie z nim rozmawiać i gdy – miał nadzieję – przekona go do najlepszego dla niego rozwiązania, udało mu się ustawić pod właściwym kątem dopiero po trzeciej próbie. Wierny Max usiadł za zamkniętymi drzwiami w pokoju obok. Na wszelki wypadek. Na wypadek, gdyby Staffan Nilsson zaczął kombinować i zasłużył na fangę w nos.

Zostało pięć minut – pomyślał Johansson i spojrzał na zegarek. Włączył stare nagranie z ciotką Staffana Nilssona w roli tytułowej. – Oby skończyło się to dla mnie lepiej niż dla kolegi Scarpia – westchnął, bo poprzedniego wieczoru zdążył zapoznać się z librettem na okładce płyty.

Ta to się potrafiła wydrzeć – pomyślał Johansson pięć minut później. I usłyszał dyskretne pukanie do drzwi, świadczące o tym, że przyszedł jego gość.

– Dyrektor Nilsson już tu jest – powiedziała Gerd, sekretarka Everta.

– Siadaj, siadaj – powiedział Johansson i zamachał kulą w stronę Nilssona, pokazując na krzesło dla gości. – Możesz już wyłączyć, Gerd. I zamknij, proszę, drzwi.

– Babka wysoko wyciąga – powiedział Johansson,

pokazując na okładkę płyty. Jesteś u celu i obwąchujesz zwierzynę – pomyślał.

- Cieszę się, że tak sądzisz, Lars – powiedział Nilsson. - Bardzo się cieszę. Tak się składa, że to moja ciotka.

- Co ty mówisz? – zdziwił Johansson. - Twoja ciotka? Jeszcze żyje?

- Niestety, nie – powiedział Staffan Nilsson ze smutkiem. - Zmarła pod koniec lat osiemdziesiątych.

- Coś o tym wiesz – pomyślał Johansson.

- Piękny obraz – powiedział Nilsson, patrząc na pejzaż wiszący nad biurkiem.

- Osslund – powiedział Johansson. - *Przedwiośnie w Ådalen*, z tysiąc dziewięćset dziesiątego. Widok z rodzinnego gospodarstwa. Według rodzinnych opowieści malarz ustawił sztalugi pośrodku naszego podwórza. Mój dziadek kupił obraz bezpośrednio od niego. Za sto koron, jak mówią.

- Za młodu miałem przyjemność posiadać obraz Leandera Engströma – powiedział Staffan Nilsson. - Na nim też był taki norrländzki krajobraz. I jakiś myśliwy.

- A tak – powiedział Johansson. Co ty powiesz – pomyślał, przechylił się jednocześnie do przodu i zsunął okulary słoneczne na czubek nosa. - Malarstwo i muzyka to piękne dziedziny życia, ale czas, żebyśmy porozmawiali o interesach – ciągnął. - Matsowi coś wypadło, zapomniałem powiedzieć. Nie powinno to chyba jednak stanowić dla nas przeszkody.

- Nie, ja również mam taką nadzieję – zapewnił Staffan Nilsson.

Wciąż niczego się nie domyślasz – pomyślał Johansson. Siedzisz sobie i się oblizujesz.

– Pozwól, że zapytam – zaczął Johansson. – Ile chcesz wycisnąć ze mnie i z mojego brata? Dwadzieścia, pięćdziesiąt milionów?

– O takich rzeczach pozwalam decydować inwestorom – powiedział Nilsson z uśmiechem.

– Wiesz co? Mam dla ciebie coś, co jest warte dużo więcej niż wszystkie pieniądze świata.

– Zamieniam się w słuch, Lars – powiedział Nilsson i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Pomyślałem, że dam ci szansę, byś przeżył. Przynajmniej kolejne piętnaście, dwadzieścia lat. Pod warunkiem że poddasz się karze i odsiedzisz ją w szwedzkim zakładzie karnym. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś siedział z takimi jak ty i nie został zabity przez twoich współwięźniów. Obiecuję. – Wciąż do niego nie dociera – pomyślał. Wygląda, jakby usłyszał coś, czego nie chce zrozumieć.

– Teraz nie rozumiem – powiedział Staffan Nilsson. – To jakiś żart? – Nerwowy obrót głowy w stronę zamkniętych drzwi, strach, który wkrada się do oczu.

– Niestety, nie – powiedział Johansson i podał Nilssonowi zdjęcie Yasmine Ermegan.

Tak biały na twarzy jak Max, gdy opowiadał o Nadii. Tak biały na twarzy jak Max chwilę przed tym, zanim wybiegł do toalety. Jeśli Staffan Nilsson zarzyga teraz drogi dywan Everta, będzie to równoznaczne z jego przyznaniem się do

winy. Najwyżej Gerd to posprząta.

W najgorszym razie odkupię dywan - pomyślał Johansson.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedział Staffan Nilsson. Odsunął zdjęcie. Pułapka się zatrzasnęła. Strach zawładnął jego oczami. Nerwowe ruchy głową i oczy, które szukają drogi ucieczki.

- Mówię o małej Yasmine - powiedział Johansson. - Miała dziewięć lat, gdy ją zgwałciłeś i udusiłeś poduszką w sypialni twojej ciotki w jej willi w Äppelviken. W piątkowy wieczór czternastego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego. Przyszedłeś tam, żeby popilnować domu i podlać kwiatki, gdy ciotka była na wsi. Nagle do drzwi zapukała Yasmine z pytaniem, czy może zadzwonić do swoich rodziców. Znałeś ją. Na pewno widywałeś ją, gdy przychodziła do twojej ciotki. Tyle chyba pamiętasz?

- Nie wierzę w to, co słyszę - powiedział Staffan, zrywając się z krzesła. - Nie ma w tym ani krzty prawdy. Kto ci naopowiadał takich groteskowych historii?

- Sam na to wpadłem - wyjaśnił Johansson. - Miałem też możliwość porównania twojego DNA ze spermą, która została zabezpieczona na ciele Yasmine. Więc o tym, czy jesteś winny, czy nie, nie musimy nawet rozmawiać.

- Trafiłem chyba na szaleńca, jakiegoś nawiedzonego prywatnego detektywa. To, co mówisz, jest karalne. To ciężkie pomówienie i nie zawaham się ani przez chwilę...

- Zamknij się i siadaj, zanim cię zatłukę - powiedział Johansson i spojrzał na niego w sposób świadczący o tym, że nie zniesie sprzeciwu. - Nawet nie myśl o ucieczce przez

tamte drzwi, są zamknięte. Chcesz dzwonić na policję? Proszę bardzo, ale nie radzę. Chyba że chcesz, żeby już dzisiaj pisały o tobie gazety. Jeśli to cię uspokoi, nie jestem nawiedzonym prywatnym detektywem. W tej chwili jestem, co prawda, na emeryturze, ale całe życie przepracowałem w policji. Byłem szefem Komendy Głównej i – jeśli to dla ciebie jakieś pocieszenie – widziałem wielu takich jak ty.

- Ani słowo, ani jedno twoje słowo nie jest prawdziwe – powiedział Staffan Nilsson. Miał wyraźnie odmieniony głos, spięty, suchy, jakby nie mógł złapać powietrza. Rozbiegane spojrzenie, które chwyta się wszystkiego, lecz omija Johanssona.

- Rozumiem, że jesteś przerażony – powiedział Johansson.
- Ja również nie czułbym się najlepiej, gdybym zgwałcił i zamordował córkę Josepha Simona. Jeśli ktoś zakłócał twój sen przez te wszystkie lata, to właśnie on, ojciec Yasmine, jego setki miliardów i świadomość tego, co on i jego ludzie zrobią z tobą, gdy już cię znajdą.

- Nie wiem, o kim mówisz – powiedział Staffan Nilsson, choć jego oczy mówiły coś zupełnie innego.

- Nie kłam – powiedział Johansson. - A teraz zamknij się na dwie minuty i wysłuchaj mojej propozycji. Masz słuchać uważnie. To propozycja z kategorii *once in a lifetime*. Nie stać cię, żeby ją odrzucić. - Żeby się tylko nie zesrał – pomyślał – bo Nilsson osunął się na krzesło ze spuszczoną głową, nagle nieobecny.

- Kilka dni temu spotkałem się z ojcem Yasmine – powiedział Johansson. - Chciał, żebym mu cię sprzedał.

Odmówiłem, więc wciąż nie wie, kim jesteś. Powiedziałem, że najpierw chcę z tobą porozmawiać i dać ci szansę poddania się karze. Pójdiesz na policję i wyłożysz karty na stół. Opowiesz o tych wszystkich dziewczynkach, z którymi sypiałeś, które zgwałciłeś lub które odurzyłeś narkotykami przed uprawianiem z nimi seksu. Tych wszystkich, którym wystarczyło, że dostały od ciebie pieniądze. Jestem przekonany, że to ci zapewni dwucyfrowy wyrok. Możesz też powiedzieć, że zamordowałeś swoją matkę. Dobrze się składa, że to morderstwo nie uległo przedawnieniu.

- Nie zamordowałem swojej matki! To jakieś kompletne szaleństwo.

- Ja również nie uważam, że ją zamordowałeś - powiedział Johansson. - Co więcej, jestem niemal pewien, że odebrała sobie życie, gdy zrozumiała, co zrobiłeś Yasmine. Tak samo jak jestem pewien, że sąd skazałby cię za zabójstwo, gdybyś na przykład opowiedział moim kolegom, że zagroziła pójściem na policję i że w tej sytuacji zdecydowałeś się ją otruć alkoholem zmieszonym ze środkami nasennymi. Od razu powiążą cię z zabójstwem Yasmine. Odgadną, że to dlatego twoja matka chciała pójść na policję. To z pewnością uwiarygodni twoje motywy. Nawet jeżeli pominiemy te wszystkie pieniądze, które odziedziczyłeś po matce.

Teraz przynajmniej słyszy, co do niego mówię - pomyślał Johansson - mimo że trzyma się krzesła, żeby siedzieć prosto. Mimo że opadła mu głowa, a jego oczy są rozbiegane.

- Podsumuję - powiedział Johansson. - Zrobisz, jak mówię. Wówczas chcę się o tym dowiedzieć możliwie szybko,

najpóźniej do dwunastej w przyszłą środę. Jeśli odmówisz albo się nie odezwiesz, powiem ojcu Yasmine, kim jesteś. Dostanie twoje nazwisko i numer osobisty, twój adres, kopię twojego paszportu i prawa jazdy, numer paszportu, numer rejestracyjny twojego samochodu, nazwiska wszystkich twoich znajomych, przyjaciół i kolegów. Będzie wiedzieć, co myślisz, czujesz i robisz. Znajdzie cię. To tylko kwestia czasu. Z nim sprawa jest prosta, ponieważ nie ma takiego miejsca na ziemi, gdzie mógłbyś się przed nim ukryć. O tym, co robi z tobą, gdy cię znajdzie, wolałbym nie myśleć.

- To są potworne oskarżenia - powiedział Staffan Nilsson, wstając. - Takie oskarżenia mogą sprawić, że niewinny człowiek, którym jestem, gotów odebrać sobie życie.

- Nie rozumiem, co to ma wspólnego z tobą - powiedział Johansson. - Po pierwsze jesteś winny, a to, że twój czyn uległ przedawnieniu, nie ma dla mnie znaczenia. Po drugie za bardzo lubisz siebie, żeby popełnić samobójstwo. Gdybym się w tej kwestii pomylił, jakoś to przeżyję. Wiedz, że jestem zdecydowanym przeciwnikiem kary śmierci. Właśnie dlatego daję ci szansę, byś przeżył i poddał się karze. Joseph Simon, ojciec Yasmine, ma odmienne zdanie. Ma bardziej starotestamentowy pogląd na sprawę. Oko za oko, ząb za ząb, jeśli rozumiesz, o czym mówię. Zadzwoń do mnie. Mój numer masz na sekretarce w swoim mieszkaniu. Kwestiami technicznymi się nie martw. Mogę cię osobiście podrzucić na policję. A nawet załatwić ci dobrego adwokata.

- Zapomnij - powiedział Staffan Nilsson z nienawiścią w oczach. Wściekłość na chwilę przewyciężyła strach. - Jeśli

tylko powiesz komuś choć jedno słowo z tych chorych insynuacji, pozwę cię. Zapłacisz mi za to, nie zostanie ci nawet jedna korona.

- Gadanie - powiedział Johansson. - Założmy, że pozywasz mnie za ciężkie pomówienie, założmy, że wygrałeś i dostałeś kilkaset tysięcy odszkodowania, bo na więcej nie licz. Zanim sąd ogłosi wyrok, ciebie już nie będzie. Zresztą dla mnie i brata to drobniaki. Wiesz co - dodał i spojrzał na Nilssona w sposób, jaki on i jego najbliższy przyjaciel zachowywali dla najbardziej zatwardziałych. - Jesteś najgorszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałem. Mimo to dam ci ostatnią szansę. Możesz zadzwonić do mnie i powiedzieć, że odpowiesz za to, co zrobiłeś. Zadzwoń do mnie, Nilsson. A skoro już stoisz, proponuję, żebyś wyszedł, zanim zmienię zdanie i po prostu wyrzucę cię przez okno.

- Mogę to zrobić, szefie - powiedział Max, który zjawił się nagle w pokoju, mimo że Johansson kazał mu trzymać się z boku. Wielkie dłonie otwierają się i zaciskają, oczy błyszczą - podobne do oczu wilka, patrzącego na swoją rozszarpaną ofiarę. Twarz skamieniała jak wtedy, gdy opowiadał o Nadii. O Nadii, która była dla niego jak starsza siostra w życiu włożonym mu przez innych na barki. O Nadii zgwałconej, odurzonej, uduszonej własnymi wymiocinami w domu dziecka, z którego oboje chcieli uciec. A potem chcieli znaleźć dom, o którym wiedzieliby tylko oni, i mieć dzieci, które by całymi dniami przytulali i całowali.

- Pozwól mu wyjść - powiedział Johansson. - Jestem pewien, że się odezwie.

Gdy tylko Staffan Nilsson wyszedł na ulicę, zatrzymał taksówkę, wsiadł i odjechał.

No to już – pomyślał Johansson. Bolała go głowa i czuł ucisk w piersiach, ale wiedział, że jest ktoś, kto czuje się gorzej niż on. Zasłużenie – pomyślał i zadzwonił do Lisy Mattei na komórkę.

- Właśnie skończyłem rozmawiać ze Staffanem Nilssonem – powiedział.

- Wiem – stwierdziła Lisa Mattei. - Siedzi w taksówce jadącej do jego domu, na to wygląda. Jeśli jesteś ciekaw, Lars.

- Miło słyszeć – powiedział Johansson. Ta dziewczyna daleko zajdzie – pomyślał.

- Nie wydaje mi się, żeby był z tych, co odbierają sobie życie.

- W pełni się z tobą zgadzam. Możliwe jednak, że wpadnie na wyjątkowo kiepski pomysł i spróbuje dać nogę.

- Nie wiem, gdzie niby miałyby się ukryć – powiedziała Mattei. - No ale jasne, teraz nie myśli zbyt racjonalnie. Będziemy mieć na niego oko. Gdyby przyszło mu do głowy coś innego, mogę z nim porozmawiać. Nie zatrzymam go wbrew jego woli, jak pewnie rozumiesz, ale nikt tutaj nie jest specjalnie skłonny do tego, by zapewnić mu ochronę jego tożsamości, że tak to ujmę.

- Może jest na to sposób? – zastanowił się Johansson. - Wsadzić go za kratki i dać mu czas na zastanowienie.

Potem opowiedział jej o zeznaniu złożonym przez Nilssona na komendzie w Västerort i o zgłoszeniu szkody, które z całą

pewnością dotarło już do jego ubezpieczyciela. Próba wyłudzenia dużego odszkodowania.

- Warto spróbować, jeśli nie okaże rozsądku - powiedziała Mattei. - Będę o tym pamiętać. W najlepszym wypadku posiedzi za to miesiąc, nie więcej.

- Jasne - powiedział Johansson. - Żeby w areszcie mógł sobie poczytać w gazetach o tym, co zrobił Yasmine. Dajemy mu szansę, żeby w spokoju się zastanowił, jak to rozegrać, a potem wykopujemy go na ulicę.

- Lars, Lars - powiedziała Lisa Mattei. - Tego ostatniego nie słyszałam.

- Ale tak właśnie będzie - powiedział Johansson. - Jeśli ten sukinsyn nie podda się karze. Sam tego dopilnuję, skoro nikt inny nie ma na to siły. Dałem mu szansę. Jeśli z niej nie skorzysta, niech ma pretensje sam do siebie. Nie wydaje mi się jednak, żeby był aż tak głupi.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - powiedziała Mattei. - Powodzenia na polowaniu, tak na marginesie.

O tym też wiesz - pomyślał Johansson, gdy skończył rozmowę. Fantastyczna kobieta. Kłamie bez cienia zażenowania, i to w najbardziej przekonujący sposób dwukrotnie od niej starszemu mężczyźnie, który był jej szefem i mentorem ponad dziesięć lat.

Rozdział 96

Od piątku, 27 sierpnia 2010 roku, do niedzieli, 29 sierpnia 2010 roku

W piątek po południu Johansson pożegnał się czule z żoną. Na tyle, na ile pozwoliły mu okoliczności i leki na obniżenie ciśnienia. Przytulił, pocałował i dał jeszcze kilka buziaków, tak na wszelki wypadek.

- Obiecuj, że będziesz na siebie uważać - poprosiła Pia.

- Obiecuję - powiedział Johansson. Już niedługo będę u siebie w gospodarstwie, a tam nic złego nie może mi się przydarzyć - pomyślał.

Potem pojechali z Maxem na lotnisko Bromma, prosto na płytę, i wsiedli do prywatnego samolotu, który jego brat Evert dzielił z kilkoma równie bogatymi kolegami.

Godzinę później wylądowali w Kramfors i ruszyli prosto do czekającego na nich helikoptera. Trzy godziny po wyjściu z mieszkania na Söder Johansson stał na podwórzu przed domem swoich rodziców.

- Witaj w domu, Lars - powiedział Evert. Wyszedł z przedsiionka w zielonych moleskinach i we flanelowej koszuli w kratę. Objął go niedźwiedzim uściskiem, który, o dziwo, sprawił, że napięcie w piersiach puściło.

- Dziękuję - powiedział Lars Martin Johansson. Wreszcie w domu - pomyślał.

- Teraz już będziemy tylko spędzać miło czas. No, czasem

ustrzelimy jakiegoś łosia. Pomyślałem, że ty, ja i Max będziemy mieszkać tutaj, w domu rodziców, a reszta chłopców w chatce myśliwskiej. Będą mogli brudzić, ile wlezie.

- Kiedy tu będą? - zapytał Johansson.

- W niedzielę - powiedział Evert. - Zrobimy wtedy przegląd i zjemy prawdziwy myśliwski obiad. Do tego czasu jesteśmy tu tylko my.

- Tylko nie zacznij gotować.

- Oszalałeś? - powiedział Evert, kładąc ramię na jego barkach. - Zapędziłem już do roboty kilka kobiet ze wsi. Praca wre. Dostaniesz śledzia, bimber, mięso i ziemniaki. Niech cię o to głowa nie boli.

Evert dotrzymał obietnicy. Johansson również. Spasował przed trzecią kolejką, bo nagle zobaczył przed sobą Pię. Wypił tylko dwa kieliszki czerwonego wina do mięsa nadziewanego śliwkami, zrezygnował z jabłecznika na deser. Zadowolili się filiżanką kawy i koniaczkiem w najmniejszym możliwym rozmiarze.

- Zaczynam się o ciebie martwić, Lars - powiedział Evert i mrugnął.

- Dlaczego?

- Zrobił się z ciebie asceta - powiedział Evert. - Ledwo zmoczyłeś usta - powiedział, patrząc na kieliszek w dłoni Johanssona.

- Można przywyknąć - powiedział Johansson. - Chciałem się też dziś wcześniej położyć.

Potem Johansson się odlał i poszedł do łóżka. Zasnął bez najmniejszej pomocy ze strony swojego greckiego sprzymierzeńca. Następnego dnia rano obudziły go pierwsze promienie słońca przeświecające między krawędzią rolety a ramą okna.

Wyszedł na podwórze, stanął bosy na trawie i stał tak, patrząc, jak wschodzące blade słońce rozprasza poranną mgłę w dolinie rzeki.

To tutaj musiał stać Osslund - pomyślał Johansson. Nieważne, czy na przedwiośniu, czy wczesną jesienią, jak teraz. Po prostu nie było piękniejszego miejsca na całej ziemi.

Potem wrócił do domu, połknął tabletki, wziął prysznic, ubrał się. Oddychał jak dawniej. Wreszcie spokój w głowie, wreszcie w domu. Pewnie nie trzeba było szukać nigdzie indziej - pomyślał.

Po porządnym śniadaniu pojechali na prywatny tor strzelecki, żeby wypróbować strzelbę, którą rusznikarz dostosował do potrzeb Johanssona i z której Max już wystrzelił na próbę.

Poszło znacznie lepiej, niż się spodziewał. Już po jakichś dwudziestu strzałach nie miał najmniejszego problemu ze swoim nowym palcem spustowym. Skręcić ciało, ustabilizować kolbę i łożę... Wciąż to potrafił.

- Teraz cię poznaję, Lars - powiedział wyraźnie zadowolony Evert.

Nawet Max nie potrafił ukryć zdziwienia, chociaż nigdy nie spotkał nikogo, kto by strzelał lepiej od niego.

W niedzielę wieczorem spotkali się z resztą kolegów w chatce myśliwskiej Everta w samym środku lasu i terenów łowieckich. Wszystko było jak dawniej: te same twarze, te same historie, ten sam śmiech, to samo jedzenie i tyle samo bimbru. Johansson pozwolił sobie na trzeci kieliszek i, wznosząc toast, nawet przez chwilę nie pomyślał o żonie.

- Nam, bogatym, to, kurwa, dobrze - parsknął Evert trzy godziny później, gdy siedział z wieczorną lampką grogu przed płonącym kominkiem.

- W lesie na polanie leżom dwa jelenie, do jednego strzelem, drugi go nie minie... Zdrowie, chłopcy - powiedział Evert i podniósł się nieco chwiejnie.

- Teraz pójde do domu i położę brata mego do łóżka - powiedział Johansson, który był zdecydowanie najbardziej trzeźwy z całego towarzystwa, choć od żony dzieliło go jakieś tysiąc kilometrów. Bardziej trzeźwy był tylko Max, który przez cały wieczór nie wypił nawet kropli.

- Może się posiłujemy? - zaproponował Evert.

- Odłożmy to na jutro - powiedział Johansson. W domu - pomyślał. Naprawdę w domu. Najwyraźniej musiało mu coś pęknąć w głowie, żeby zrozumiał, co tak naprawdę zostawił pięćdziesiąt lat temu.

Rozdział 97

Poniedziałek, 30 sierpnia 2010 roku

Pierwsza zasiadka znajdowała się zaledwie kilkaset metrów od gospodarstwa, w którym dorastał. Na brzegu poręby schodzącej do rzeki kilka kilometrów dalej. To tutaj zawsze zaczynali. Odkąd sięgał pamięcią, polowanie na łosie zaczynało się od brzegu rzeki poniżej gospodarstwa.

- Coście, kurwa, zrobili z moją wieżą? - zapytał Johansson, patrząc w stronę wieży strzeleckiej, w której siadał przez ostatnie dwadzieścia lat.

Miejsce zwykłej drewnianej drabiny zajęły drewniane schody z poręczami po obu stronach. Jak w ośrodku sportowym - pomyślał Johansson. Zasiadkę przejął po ojcu, gdy ten uznał, że jest już za stary, by się na nią wspinać. Poza tym uważał, że Lars Martin na polowaniu radzi sobie znacznie lepiej niż jego starsi bracia.

- Evert mnie tu przysłał - powiedział Max.

- Kiedy? - zapytał Johansson.

- W dniu, w którym szef wyszedł ze szpitala - odrzekł Max.

- Cóż za przezorność - powiedział Johansson. Przyszło mu do głowy, że brat chyba zaczyna mieć wyrzuty sumienia z powodu tego, co mu robił w dzieciństwie.

Bułka z masłem - pomyślał Johansson, gdy już wdrapał się na górę i usiadł na szerokiej ławce.

- A ty dokąd? - powiedział do Maxa, który był już w połowie drogi na górę.

- Pomyślałem, że usiądę obok szefa - oświadczył Max.

- Zapomnij - powiedział Johansson. - Jeśli będziesz cicho i nie będziesz się ruszać, możesz najwyżej usiąść pod wieżą. Jak nie, dołącz do naganiaczy.

- Rozmawiałem z Evertem...

- Zapomnij - przerwał mu Johansson. - Ołać Everta. Czas na zabawę. Czas zacząć polowanie.

- W porządku, szefie - powiedział Max, wzruszył ramionami i zrobił, jak mu kazano.

Piękniej niż teraz już nie będzie - pomyślał Lars Martin Johansson. Zaciągnął się świeżym porannym powietrzem. Ostre, jesienne słońce pogładziło go po policzkach i brodzie. Lepiej niż teraz już nie będzie - pomyślał. I nagle ktoś ścisnął go za klatkę. Ścisnął tak mocno, że Johansson daremnie próbował złapać powietrze. Ten ktoś był znacznie silniejszy od Maxa, który siedział zaledwie kilka metrów niżej i który nigdy nie spotkał nikogo, kto byłby od niego silniejszy.

Tym razem bez bonusu - pomyślał Lars Martin Johansson. I więcej nic już nie pomyślał.

VI

Jeżeli zaś on poniesie jakąś szkodę...

Księga Wyjścia 21:23

W poniedziałek, 20 września, trzy tygodnie po śmierci Larsa Martina Johanssona, dyrektor generalny i szef Säpo podjął decyzję o zakończeniu obserwacji Staffana Nilssona. Wyraził przekonanie, że sytuacja zmieniła się wraz ze śmiercią Johanssona. Stała się prostsza, ponieważ Johansson jako jedyny spoza Säpo wiedział, że to Staffan Nilsson ponad dwadzieścia pięć lat temu zamordował córkę Josepha Simona. Wyglądało na to, że Nilsson wrócił do swojego normalnego życia. Jeśli chciałby się ubiegać o ochronę tożsamości, nic nie stało przecież na przeszkodzie.

- A co ty o tym sądzisz, Liso? - zapytał dyrektor generalny. - Popraw mnie, jeśli się mylę, ale wydaje mi się, że mamy w tej chwili pilniejsze wydatki.

- Całkowicie się z szefem zgadzam - powiedziała Lisa Mattei. Mówiąc to, położyła rękę na swoim zaokrąglonym brzuchu, jakby chciała go chronić. Biedny Lars - pomyślała.

W piątek pierwszego października rozdzwoniły się dzwony w kościele Marii Magdaleny na sztokholmskim Söder dla wędrownego myśliwego z Ådalen w północnym Ångermanlandzie, którego ziemską wędrówka dobiegła końca ponad miesiąc wcześniej.

Dla jego żony Pii był to miesiąc smutku. Gdy kilka dni wcześniej po raz pierwszy i tylko na chwilę zapomniała o tym smutku, stało się to dzięki złości, która musiała wzbierać w niej od dawna.

Lars, ty durniu – pomyślała. Dlaczego nigdy mnie nie słuchałeś? Dlaczego choć raz nie mogłeś zrobić tak, jak powiedziałam?

Po mszy żałobnicy zebrali się w dawnej knajpie Johanssona przy wzmacniającej przekąsce. Wielka rodzina Johanssona, koledzy z policji sztokholmskiej, Komendy Głównej i Säpo, wszystkie stare puchacze, które stawiły się licznie – z Jarnebringiem na czele. Wkrótce atmosfera nieco się rozluźniła. Wspomnienie o zmarłym było wciąż żywe, a Lars Martin Johansson nie był nieboszczykiem, którego chowało się w ciszy. Tyle dobrych historii, które aż się prosiły, żeby jeszcze raz je opowiedzieć. Nawet Pia musiała się w końcu roześmiać.

Pia została sama w stanowczo zbyt dużym mieszkaniu, które zdecydowała się sprzedać, bo było wspomnieniem innego, lepszego życia. Decyzję podjęła w dniu pogrzebu męża, po kolejnej nieprzespanej nocy, gdy w jej głowie kłębiły się pytania bez odpowiedzi.

Mam się śmiać czy płakać? – pomyślała, idąc w kierunku

pierwszego rzędu żałobników z Anną Hult i Matildą u boku.

Najpierw zapłakała. Który to już raz? Potem się zaśmiała. Po raz pierwszy. Pogrzeb się skończył, jej życie biegło dalej. Inne niż wcześniej, ale jednak życie.

- A niech to szlag - stwierdził Evert, stojąc przy barze z najbliższym przyjacielem Larsa i ze swoim parobkiem. Pierwszy raz w życiu był czerwony od płaczu. Osiemdziesiąt lat. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że on również może umrzeć. Nie dziś, nie jutro, ale prędzej czy później, jak wszyscy inni przed nim. Wszyscy umierają, tylko nie Evert.

- A niech to szlag. Że też nie potrafił jeść i pić jak człowiek, że też nie potrafił się ruszać. Chyba że na polowaniu, wiadomo. Wtedy był wystarczająco zwinny. Przecież to młody chłopak, sześćdziesiąt siedem lat. Żaden wiek! Nasz tata Evert dożył pięćdziesięciu trzech, mama Elna pięćdziesięciu sześciu, ja sam mam siedemdziesiąt siedem i od dawna nie czułem się tak dobrze jak teraz.

- Myślę, że cholernie źle się czułem - powiedział Jarnebring. - Odszedł z policji trzy lata temu i wyglądało tak, jakby podjął decyzję. Skoro nie mógł być policjantem, było mu wszystko jedno.

- Szef był dobrym człowiekiem - powiedział Max. - Dobrym człowiekiem, który źle się czuł. Bo zły człowiek zjadał go od środka.

- Mówicie - powiedział Evert i pokiwał głową. - Lars był zawsze trochę inny. Słyszę, co mówicie, ale do głowy mi nie przyszło, że było aż tak źle. Miał przecież jeszcze polowania i gospodarstwo. Wciąż jesteśmy jego współwłaścicielami.

Teraz pewnie przejmie je po nim jego syn, Mały Leif.

- Chyba nie sądzisz, że przypadkowo kopnął w kalendarz pierwszego dnia polowania? - zapytał Jarnebring.

- Pewnie nie - powiedział Evert, a przez jego potężne ramiona przeszedł dreszcz. - Uważaj na siebie, braciszku - powiedział i spojrzał na szare październikowe niebo nad ich głowami. Uniósł kieliszek, opróżnił go jednym haustem. Zdrowie, Lars - pomyślał.

- *Na zdarowje!* Spokoju, szefie - powiedział Max. - Już ja się postaram, żeby szef miał spokój.

Krótko przed północą w dniu pogrzebu Johanssona patrol policyjny z Västerort znalazł na wyspach na jeziorze Mälaren porzucony samochód. Stał zaparkowany w zatoczce na głównej drodze łączącej Färingsö ze Sztokholmem. Szary renault klasy średniej, ładny i zadbane, w żadnym razie nie jakaś bryka. Mimo to zdecydowano się przeprowadzić rutynową kontrolę. W bagażniku znaleziono poważnie uszkodzone ciało mężczyzny wepchnięte do niebieskiej torby sportowej w największym rozmiarze. Potem wszystko odbyło się według ustalonego scenariusza.

Ciało zostało zidentyfikowane następnego dnia rano. Mężczyzna miał pięćdziesiąt lat, podobnie jak właściciel samochodu. Gdy technicy z policji w Solnej weszli do jego mieszkania we Frösunda, nie było wątpliwości, że właśnie tu został pozbawiony życia. Kałuże krwi w holu, kuchni, pokoju dziennym i łazience. Mężczyzna został połamany w sposób przekraczający ludzkie wyobrażenia, i to jeszcze za życia, dlatego prawdziwą zagadką było, dlaczego żaden sąsiad

niczego nie słyszał.

Inspektor Peter Niemi kierujący zespołem techników kryminalnych komisariatu policji w Solnej zadzwonił do swojego kolegi, Everta Bäckströma. Gdy wreszcie Evert odebrał telefon, miał wyjątkowo rzeński głos.

- Mam dla ciebie trupa, Bäckström - powiedział Niemi. - Staffan Nilsson, rocznik sześćdziesiąty. Agent nieruchomości, samotny, bez żony i dzieci, zamieszkały we Frösunda. Koledzy znaleźli go w bagażniku jego samochodu, który stał zaparkowany na drodze w kierunku Färingsö. Jestem właśnie w jego mieszkaniu. Niezła rzeźnia, więc to musiało się stać tutaj.

- Tak mówisz? - zapytał Evert Bäckström. - Co z nim? - chciał wiedzieć. Niezły początek nowego dnia - pomyślał.

- Szczerze mówiąc, w życiu czegoś takiego nie widziałem - powiedział Niemi. - Oko za oko, ząb za ząb, że tak powiem. Choć zdaniem naszego patologa sprawca zrobił to w odwrotnej kolejności, żeby jak najdłużej utrzymać tego biedaka przy życiu.

Samotny, dobra, dobra - pomyślał Bäckström. Wygląda mi to na robotę gejów. Te parówki potrafią być naprawdę okrutne, jak się do siebie dorwą.

- Typowe gejowskie zabójstwo - stwierdził Bäckström kilka godzin później na pierwszym spotkaniu ze swoimi siłami dochodzeniowymi. Żadne z nich orły, ale że to jemu przypadło prowadzenie i rozdzielanie roboty, na pewno wszystko się ułoży.

- Skąd to wiadomo? - zapytał młody talent importowany

z wydziału prewencji. Długość jego włosów wskazywała na to, że głosił radykalne poglądy.

- Znalazłem jego starą sprawę o pedofilię. Przyznał się wtedy, że jest pedziem. Znalazłem też jego dawnego chłopaka. Wygląda to obiecująco - powiedział Bäckström. Co tacy robią, kurwa, w policji? - pomyślał.

- A czemu to wygląda obiecująco? Znaczy, ten chłopak - zapytał długowłosego funkcjonariusza, który najwyraźniej nie miał zamiaru odpuszczać.

- Arab. Nazywa się Ali Hussein - powiedział Bäckström z powagą, która w policji była wręcz legendarna. Pewnie któryś z twoich kolegów - pomyślał.

Na początku grudnia, dwa miesiące po pogrzebie Johanssona, parobek Everta złożył wypowiedzenie z pracy w związku z planowaną przeprowadzką do Stanów. Dostał nową pracę. Jego amerykański pracodawca postarał się już dla niego o zieloną kartę. Nowe obowiązki Maxa dały się połączyć z nauką. Max nie chciał o tym rozmawiać, ale że sprawiał wrażenie zadowolonego, Evert nie widział powodu, żeby drążyć temat. Gdy Evert zegnał się z Maxem na lotnisku, wcisnął mu do ręki porządną sumkę i obdarzył niedźwiedzim uściskiem w starym stylu. W końcu prawdziwi mężczyźni nie mogą sobie pozwolić na okazywanie nadmiaru uczuć.

- Dobrze się czasem ruszyć, Max - powiedział Evert Johansson. - Zobaczysz trochę świata, nie to co w gospodarstwie u mnie i u mojej żony. Gdybyś jednak zmienił zdanie, wiedz, że zawsze możesz do nas wrócić.

W piątek w tym samym tygodniu, w którym Maxim Makarow wsiadł do samolotu z Sundsvall do Sztokholmu, żeby stamtąd polecieć do Nowego Jorku, a dokąd dalej, to już naprawdę nie wiadomo, Anna Holt, komendant z Västerort, odwołała zespół śledczy pracujący nad sprawą zabójstwa Staffana Nilssona.

Inspektor Evert Bäckström znalazł, co prawda, kilku Alich Husseinów, ale że żaden z nich nie wydawał się tym właściwym Alim, cała sprawa wkrótce straciła pęd.

- Wiesz, jak jest, Anno - powiedział Bäckström, gdy zdawał raport swojej przełożonej. - Prędkiej czy później wpadnie skurczygnat, a wtedy już go nie puścimy.

- Śledztwo bez efektów - pomyślała Holt, podpisując standardowe dokumenty, które podsunął jej Bäckström. Absorbowały ją zresztą ważniejsze sprawy. W najbliższy weekend po raz pierwszy miała zostać matką chrzestną. Matką chrzestną dwumiesięcznej córki Lisy Mattei - Anny Lindy Elny. Anna Linda Elna Mattei. Anna po Annie Holt, Linda po mamie Lisy, a Elna ku pamięci kogoś, o kim mama dziewczynki nie chciała nic powiedzieć.

Do testamentu Johansson dołączył list do swojej żony, Pii. Trzy krótkie linijki. Na podstawie podpisu można się domyślić, że powstały po jedenastym czerwca tego roku. „Przestań beczeć, Mała. Spraw sobie nowego faceta. Uważaj na siebie - Lars”. Pia posłuchała jego rady i rozpoczęła nowy związek zaraz po Nowym Roku. Może nie był to ktoś, za kogo by mogła wyjść za mąż, ani nawet ktoś, z kim by mogła zamieszkać, ale życie toczyło się dalej, musiała to przyjąć do

wiadomości.

Kilka tygodni później, pod koniec stycznia, Ulrika Stenholm przeprowadziła się do Stanów. W największej tajemnicy wzięła ślub z mężczyzną starszym od niej o szesnaście lat. Spodziewała się z nim dziecka. Dziewczynki, owocu miłości, której wraz z mężem planowali dać na imię Yasmine. W siódmym miesiącu Ulrika poroniła. Dziewczynka zmarła w drodze do szpitala.

Sędzia i jego kat. Oko za oko, ząb za ząb.

¹ Fantomen – fikcyjna postać z komiksów występująca głównie jako wróg Myszki Miki (przyp. tłum.).

² Królik Oswald (ang. Oswald the Lucky Rabbit), animowana postać z filmów Walta Disneya z lat 20. i 30. XX wieku. Pierwowzór Myszki Miki stworzonej po odebraniu wytwórni Disneya praw do Królika Oswalda (przyp. tłum.).

³ Jenny Lind, właściwie Johanna Maria Lind (1820–1887), szwedzka śpiewaczka operowa, sopran, zwana „szwedzkim słowikiem”, uważana za jedną z najwybitniejszych śpiewaczek XIX wieku (przyp. tłum.).

⁴ *Ciekawski George* (ang. *Curious George*, 2006), amerykański film animowany o przygodach małpki zwanej George na podstawie książek Hansa Augusto Reya i Margret Rey (przyp. tłum.).

⁵ Snus to sporządzana z drobno zmielonego tytoniu używka popularna w Szwecji, Norwegii i Finlandii. Zawiera więcej nikotyny niż papierosy. Zażywa się ją doustnie, umieszczając pod dolną lub pod górną wargą (przyp. red.).

⁶ KSSS (Kungliga Svenska Segel Sällskapet) – Szwedzkie Królewskie Towarzystwo Żeglarskie (przyp. tłum.).

⁷ Kalle Blomkvist, nastoletni detektyw, główny bohater cyklu trzech powieści dla dzieci Astrid Lindgren: *Detektyw Blomkvist*, *Detektyw Blomkvist i Rasmus, rycerz Białej Róży* oraz *Detektyw Blomkvist żyje niebezpiecznie*. Kalle marzy,

by zostać wielkim detektywem, następcą Sherlocka Holmesa czy Herculesa Poirota (przyp. tłum.).

8 Biff Rydberg to hotelowa wersja popularnego w Szwecji dania o nazwie „pyttipanna” składającego się z niewielkich kawałków mięsa, ziemniaków i cebuli podsmażanych na patelni (przyp. tłum.).